

CYKL Z ERASTEM FANDORINEM



BORIS AKUNIN

CZARNE
MIASTO

Świat Książki

**BORIS
AKUNIN**

**CZARNE
MIASTO**

Z ROSYJSKIEGO PRZEŁOŻYŁA
Aleksandra Okuniewska-Stronka


Świat Książki

Spis treści

Karta redakcyjna

Polowanie na Odyseusza

Nie, nie przestała kochać!

Drzewo, klinga, szron

Najbardziej wschodnie miasto Zachodu

Prawdziwy action film

Bankiet w Mardakanie

Kara Hasym

Fandorin przechodzi z rąk do rąk

Doświadczona kobieta z nienaganną reputacją

Dziwne towarzystwo

Silne wrażenia

Wolny! Wolny!

Polowanie skończone

Fandorin się zatrzymuje

Zapach jaśminu

Nowa perspektywa

Wielka polityka

Walka z rakopodobnym

Biały człowiek w Czarnym Mieście

Podczas miłej rozmowy

Straszna bajka

Przypisy

Tytuł oryginału: CZORNYJ GOROD

Wydawca: GRAŻYNA SMOSNA
Redaktor prowadzący: TOMASZ JENDRYCZKO
Redakcja: MARIA WIRCHANOWSKA
Korekta: ANNA SIDOREK
Skład i łamanie: Akces

Copyright © B. Akunin, 2012
Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Okuniewska-Stronka, 2014

ISBN 978-83-8031-027-8

[Więcej na vorek.pl](http://wiecej.na.vorek.pl)

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2
Księgarnia internetowa: Fabryka.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

Polowanie na Odyseusza

– ...Odyseusz piął się leśną ścieżką od przystani aż do miejsca, które wskazała mu Atena. Ale nie dotarł tam! Zniknął!

Ostatnie słowo nocny przybysz wyszeptał z takim przerażeniem, że aż zadrżały mu koniuszki uczernionych wąsów. Na epolecie z carskim monogramem zamigotał odblask lampy.

Absurd, pomyślał Erast Pietrowicz. Chimera. Siedzi sobie człowiek w hotelowym pokoju, czyta *Wiśniowy sad*, po raz kolejny próbuje zrozumieć, dlaczego autor nazwał tę nieznośnie smutną sztukę komedią, a tu nagle wpada pomylenie w generalskim mundurze i zaczyna pleść niestworzone rzeczy. O jakimś Odyseuszu, o Atenie, o mannlicherze z celownikiem optycznym. Co chwila powtarza: „Tylko pan może uratować honor starego żołnierza”. Wybałuszone oczy zachodzą łzami. Jakby ożyła postać z wczesnej sztuki Czechowa – z tamtego okresu, kiedy Anton Pawłowicz był młody, zdrowy i tworzył wodewile.

– Po co mi pan to wszystko opowiada? Za k-kogo pan mnie właściwie b-bierze?
– zapytał Fandorin, z irytacji zacinając się bardziej niż zwykle.

– Czyli że co? Erast Pietrowicz Fandorin to nie pan? Pomyliłem pokoje? – zawołał nieproszony gość w straszliwej panice.

Warto zaznaczyć, że dziwny jegomość się przedstawił. Zresztą Fandorin i tak by go poznał. Znana figura. Stołeczni karykaturzyści z dużym podobieństwem malują sterczące wąsy, imponujący nos, siwą bródkę. Generał Lombadze we własnej osobie. Gubernator Jałty, gdzie Najjaśniejsza Rodzina spędza trzy, cztery miesiące w roku. Dzięki temu nieduże krymskie miasteczko posiada szczególny status, a jego zwierzchnik cieszy się nadzwyczajnymi prawami i pełnomocnictwami. Sobiepaństwo i z drugiej strony poddańcza gorliwość jałtańskiego zarządcy dawno stały się tematem plotek. Lewicowe gazety przezwały generała „nadwornym mopsem” i żartują, że co rano przynosi Najjaśniejszemu Panu kaptcie w zębach.

– Owszem, to ja jestem Fandorin. I co z tego?

– No tak! Otrzymuję meldunki o wszystkich przyjezdnych! – Lombadze triumfująco uniósł palec. – Jest pan znakomitym detektywem. Przyjechał pan z Moskwy. Nie wiem, jakie śledztwo sprowadziło pana do mojego miasta, ale musi

pan natychmiast porzucić wszystkie sprawy!

– Ani myślę. Jestem członkiem k-komisji do spraw spuścizny po Czechowie i przyjechałem do Jałty na zaproszenie siostry zmarłego. Za miesiąc upłynie dziesięć lat od dnia śmierci Antona Pawłowicza, biorę udział w przygotowaniach do obchodów.

Była to szczerza prawda. Do szacownej komisji zaproszono Erasta Pietrowicza po pewnym niedużym śledztwie, kiedy to pomógł odszukać zaginiony rękopis pisarza.

Jednakże generał fuknął gniewnie:

– Myślałby kto, że panu uwierzę! Nie interesuje mnie, dla kogo pan teraz pracuje! Mamy tu do czynienia ze sprawą kolosalnej wagi! Życie monarchy jest w niebezpieczeństwie! Do świtu pozostały zaledwie dwie godziny. Chyba pan słyszał: Odyseusz nie pojawił się w umówionym miejscu. Teraz włóczy się gdzieś koło pałacu liwadyjskiego, uzbrojony w mannlicher z celownikiem optycznym! To katastrofa!

Fandorinowi przysły do głowy dwie zupełnie niepowiązane ze sobą myśli (jego umysł miał taką szczególną właściwość). Po pierwsze nagle zrozumiał, dlaczego *Wiśniowy sad* to komedia. Sztukę napisał suchotnik, który przeczuwał, że jego smutne życie zakończy się farsą. Niebawem umrze na obczyźnie i odstawią go z powrotem w wagonie chłodni z napisem „ostrygi”. Typowo czechowski chwyt, w komediowy sposób umniejszający tragizm sytuacji.

A po drugie z chaotycznego majaczenia gubernatora wyłaniał się pewien sens.

– Odyseusz to terrorysta? – Fandorin przerwał bezładną paplaninę jego eksceleencji.

– Bardzo groźny! Poszukiwany od czternastu lat! Niesłychanie przebiegły! Stąd ten pseudonim!

– Atena to pańska agentka prowokatorka?

– Co za słownictwo! Najzacniejsza dama, która współpracuje z nami z poczucia patriotyzmu. Członkini partii bolszewickiej. Kiedy Odyseusz zjawił się u niej, podał hasło i wyjaśnił, że chce uśmiercić monarchę... – Generał zachłysnął się z przejęcia. – Atena, rzecz jasna, powiadomiła Ochronę...

– Dlaczego natychmiast go nie aresztowaliście? Dobrze zrozumiałem, że sam go pan wyposażył w k-karabin snajperski?

Lombadze przetaił chustką pąsowe czoło.

– Odyseusz polecił Atenie, żeby zdobyła dla niego broń i pomogła mu się przedostać do specjalnej strefy – wybąkał. – Pomyślałem, że efekt będzie lepszy, jeśli schwytemy łotra na miejscu planowanego carobójstwa z bronią w rękę. Wtedy nie wykpi się katorgą, tylko trafi na szubienicę...

A ty dostaniesz nagrodę za uratowanie monarchy – Fandorin dokończył w myślach nieskomplikowany logiczny łańcuszek.

– Mam nadzieję, że karabin nie działa.

Gubernator sapnął.

– Odyseusz to niezwykle dociekliwy osobnik. Nikomu nie ufa. Gdyby odkrył, że iglicę zeszlifowano albo przypuścmy...

– Jasne. Celownik też pewnie jest w idealnym stanie? Z-znakomicie. I pańska głupia Atena zaprowadziła Odyseusza prosto na teren carskiej posiadłości?

– Ależ nie! Teren przylegający do rezydencji podlega policji pałacowej. Atena przeprowadziła łajdaka tylko przez zewnętrzny pas specjalnej strefy. Moi ludzie zabezpieczają Carską Ścieżkę na całej długości.

Erast Pietrowicz wiedział, że tak się nazywa pieszy trakt ułożony wśród nadmorskich gór od pałacu w Liwadii do Haspry. Jeśli wierzyć „Kronice Dworskiej”, car odbywa codzienne przechadzki tą malowniczą aleją, samotnie albo w prywatnym gronie. Obcy nie mają wstępu na ścieżkę.

– Ale trakt, jeśli się nie mylę, ciągnie się przez sześć wiorst. Nad nim są same skały. Można t-tam urządzić zasadzkę w stu różnych miejscach!

– W tym właśnie sęk. Atena pokazała Odyseuszowi ścieżkę i poleciła, żeby nią podążył. Na górze znajduje się zaciszny punkt, gdzie łajdak mógł się wygodnie rozlokować, okolicę widać jak na dłoni. Gdybyśmy złapali tam terrorystę z karabinem, żaden adwokat, choćby i sam Kiereński, nie uratowałby go przed szafotem. Nie zamierzam oczywiście ryzykować życia jego wysokości. Schwytałibyśmy łajdaka jeszcze przed świtem. Rano monarcha by się zbudził, a sprawa już załatwiona...

Kapcie dostarczone, pomyślał Fandorin.

– Dzięki panu Odyseusz dostał broń i włóczy się teraz nie wiadomo gdzie wśród skał i krzewów na obszarze kilku tysięcy dziesięcin. No to niech się w-włóczy. – Fandorin wzruszył ramionami. – Nie pozostaje panu nic innego, jak zameldować jego wysokości. Obejdzie się przez jeden dzień bez spaceru. Dopóki policja pałacowa i pańscy ludzie nie przetrząsną całej okolicy.

Jego ekscelencja zerwał się z krzesła.

– A jeśli zabójcy udało się zakraść do pałacowego parku? Albo zaczął się gdzieś na zewnątrz? Na wzgórzu lub na drzewie? Przecież może strzelić nawet przez okno! Ma celownik optyczny! Nie wie pan, co to za człowiek. W Baku zastrzelił czterech agentów, którzy próbowali go zatrzymać. To diabeł! – Generał sposepniał. – W dodatku jeśli jego wysokość pozna szczegóły... – Głos mu zadrżał. – Trzydzieści lat nienagannej służby... Hańba, dymisja...

Ostatni argument nie wzruszył Fandorina, ale pierwszego nie potrafił

zlekceważyć.

– Ma pan przy sobie dossier Odyseusza?

Lombadze pośpiesznie wyjął z aktówki pękniętą teczkę.

– Prędeż, na Boga Najwyższego! Monarcha budzi się o siódmej. Pierwsze, co robi, to otwiera szeroko okna...

Prawdziwa tożsamość Odyseusza była pospolita: Iwan Iwanowicz Iwancow. Litera c wciśnięta na końcu całkiem bezbarwnego nazwiska nadawała mu odcień lekkiej kpiny, szyderczego cmokania. Zresztą nie miało znaczenia, jak się ów osobnik nazywał na starcie życiowym. Później następował długi spis fałszywych nazwisk i konspiracyjnych pseudonimów. Fandorin pominął nazwiska, natomiast pseudonimy przestudiował bardzo uważnie. Z tego, jakie człowiek wybiera sobie przydomki, można co nieco wywnioskować o jego charakterze. Zgodnie z tym kryterium przestępca był miłośnikiem ptactwa – przydomki miał wyłącznie ptasie (Odyseuszem ochrzciła go Ochraha).

Nielegalny status rewolucjonisty wybrał bardzo dawno. Ani razu nie został aresztowany, a więc nie poddano go antropometrii i nie pobrano odcisków palców. Erast Pietrowicz zatrzymał wzrok na jedynej fotografii, zrobionej w pierwszym roku nowego stulecia. Ze zdjęcia spoglądał student o wesołych oczach i z mocno zaciśniętymi ustami. Fandorinowi ogromnie nie spodobała się ta twarz – twarz człowieka inteligentnego, zdeterminowanego, a przy tym nieobliczalnego. Przy określonym zbiegu okoliczności życiowych tacy młodzieńcy stają się niezwykle niebezpiecznymi osobnikami. Erast Pietrowicz wiedział o tym z własnego doświadczenia.

Kariera rewolucyjna Odyseusza całkowicie potwierdzała prognozę fizjonomiczną. Zamordowanie dwóch gubernatorów, dostawy broni dla moskiewskiego powstania 1905 roku, zuchwałe wywłaszczenia. Osobisty przedstawiciel przywódcy bolszewików, Lenina (nawet Fandorinowi, dalekiemu od wywiadu politycznego, pseudonim ów nie był obcy), współnik kaukaskiego bojowca Koby (o takim Fandorin nie słyszał). Ostatnio miejsce pobytu nieznane. Przypuszczalnie obiekt wyjechał za granicę. No, jeśli nawet wyjechał, to wygląda na to, że wrócił.

– Dobrze. – Erast Pietrowicz oddał gubernatorowi teczkę. – Jedziemy do kurnika.

– Gdzie?

– Do kurnika, gdzie wpuścił pan lisa.

Jego ekscelencja na chwilę zaniemówił z oburzenia.

– Niech się pan nie waży nazywać tak rezydencji Pomazańca, poślubionego Rosji z woli samego Boga!

– Lepiej, żeby Bóg znalazł Rosji jakiegoś innego o-oblubieńca, zdolniejszego – odparował Fandorin, prędko się ubierając. – Proszę się nie gorączkować, generale. Podczas gdy my będziemy się spierać, Rosja może owdowieć.

Argument poskutkował. Gubernator sam podał Fandorinowi marynarę. Do powozu obaj puścili się biegiem.

– A nie da się odkryć miejsca pobytu łotra, nie zajeżdżając do pałacu? – przymilnie zapytał generał, nachyliwszy się do samego ucha moskwianina, bo koła nazbyt hałasowały po bruku. – Tyle słyszałem o pańskich zdolnościach analitycznych.

– Tu nie potrzeba analityka, lecz t-tropiciela. Tak czy inaczej, będziemy musieli zbudzić komendanta policji pałacowej.

Lombadze gorzko westchnął.

Jechali brzegiem. Morze przed świtem niemal zupełnie zlało się z czarnym niebem, ale przy samej granicy dwóch żywiołów już biegła błyszcząca lamówka.

Ze Spiridonowem, komendantem pałacowej ochrony, Erast Pietrowicz zetknął się już wcześniej. Spotkanie pozostawiło niezbyt przyjemne wspomnienia obu stronom, więc teraz obeszło się bez uścisku dłoni.

Należy oddać pułkownikowi sprawiedliwość – wyrwany ze snu, nie zadał ani jednego niepotrzebnego pytania, mimo że na widok Fandorina zmarszczył brwi. Istotę sprawy pojął w lot. Lombadze jeszcze wznosił ręce, błagał, poruszał wąsami, ale pułkownik już nie słuchał. Intensywnie się nad czymś zastanawiał.

Ten trzydziestosiedmioletni oficer, który zrobił błyskawiczną karierę najpierw w Korpusie Żandarmerii, a później w wydziale Ochrony, był jednym z najbardziej nienawidzonych ludzi w Rosji. Liczba rewolucjonistów powieszonych w wyniku jego zabiegów szła w dziesiątki, wysłanych na katorgę – w setki. Cztery razy próbowano go zabić, ale pułkownik był ostrożny i przebiegły. Właśnie dzięki tym cechom niedawno otrzymał awans na komendanta policji pałacowej, bo któż lepiej niż Spiridonow ustrzeże świętą osobę imperatora? Niechętni szemrali, że pułkownik świetnie się urządził: dwustu wspaniale wyszkolonych lejbgwardzistów broniło przed terrorystami nie tylko cara, ale i samego Spiridonowa.

Już pierwsza uwaga pułkownika uzasadniła jego reputację człowieka dalekowzrocznego.

– Dobrze, generale – przerwał Spiridonow biadolenie gubernatora. – Nie zamelduję imperatorowi. O ile rozwiążemy nasz mały problem, zanim jego wysokość się zbudzi.

Fandorin zdumiał się jedynie w pierwszej chwili. Zaraz jednak zrozumiał – niesłychana wspaniałomyślność dawała się bardzo łatwo wyjaśnić. Spiridonow

otrzymał sposobność uczynienia z jałtańskiego namiestnika swojego wiecznego dłużnika.

Następnie oszczędny w słowach pułkownik zwrócił się do detektywa.

– Skoro jest pan tutaj – powiedział, nie wymieniając nazwiska Fandorina – to znaczy, że ma pan już plan. Proszę go przedstawić.

Erast Pietrowicz tak samo chłodno zapytał:

– Gdzie znajduje się cesarskie kąpielisko? Wszyscy wiedzą, że przed śniadaniem monarcha pływa w morzu bez względu na pogodę.

– Na końcu tamtej alei. Jak pan widzi, ścieżka jest dobrze ukryta wśród drzew i absolutnie bezpieczna.

– A kąpielisko? Też jest ukryte?

Pułkownik zachmurzył się i pokręcił głową.

– A zatem trzy rzeczy. – Fandorin wzruszył ramionami. – Przeczesać teren wokół pałacu. To raz. Wystawić warty za ogrodzeniem we wszystkich punktach, skąd można celować do okien. To dwa. Ja jednak jestem pewien, że terrorysta zaczął się gdzieś na wzgórzu z widokiem na kąpielisko. Jest takie miejsce w pobliżu?

– Skąd ta pewność? – wtrącił się Lombadze. – Drań może urządzić zasadzkę na całej długości Carskiej Ścieżki!

– Milcz pan – przerwał mu Spiridonow. – Odyseusz domyśla się, że uprzedzimy monarchę o niebezpieczeństwie. Spaceru po Carskiej Ścieżce dzisiaj nie będzie. Imperator nie ma jednak powodu, żeby rezygnować z kąpeli – przecież to teren parku, a tutaj nawet mysz się nie prześliznie... Jest takie miejsce – ciągnął, zwracając się już do Fandorina. – Zagajnik cytrynowy na wzgórzu. Do kąpieliska jakieś pięćset metrów. Dobry strzelec z karabinem snajperskim nie spudłuje. Ma pan rację. Właśnie tam go upolujemy.

Wyszli za bramę: pułkownik z czterema agentami i Fandorin. Piaszczysta ścieżka w blasku świtu wydawała się malinowa.

– Rozumiem, dlaczego nie wziął pan ze sobą generała. Sapie jak p-parowóz. Ale czemu tylko czterech ochroniarzy? – z ciekawością zapytał Erast Pietrowicz.

– To moje najlepsze charty. Im mniej osób, tym większa szansa, że uda nam się pojmać Odyseusza żywego... Oto i cytrynowy zagajnik. Naprzód marsz, chłopcy, nie muszą was uczyć. A pan, łaskawco, jest wolny jak ptak. Jeśli ma pan ochotę się rozruszać, proszę bardzo.

Agenci się rozdzielili. Dwaj dali nura w krzaki po lewej, a dwaj po prawej stronie ścieżki. Sam pułkownik wolał pozostać na miejscu. Przedzieranie się przez zarośla, w których mógł się łatwo nadziać na kulę, nie należało do jego planu. Fandorin zastanowił się i ruszył naprzód. Nie po to, żeby „się rozruszać”. Chciał

zobaczyć, jak się spisują w akcji charty Spiridonowa.

Zdążył zrobić zaledwie kilka kroków, kiedy ze szczytu gruchnął strzał. Po górach rozeszło się echo, a pułkownik wydał dziwny, chrapliwy odgłos, który sprawił, że Erast Pietrowicz się odwrócił.

Spiridonow stał z niezgrabnie rozcapierzonymi rękami. Oczy miał wywrócone białkami do góry, jakby próbował dojrzeć własne czoło. A na nim, dokładnie na samym środku, czerniała równiutka dziurka. Mężczyzna zachwiał się i runął na wznak martwy. Z krzaków wypadły „charty” i rzuciły się do swego szefa. Zewsząd – z lewa, z prawa, z dołu i z góry – dobiegały krzyki i tupot. To biegli ze swoich stanowisk jałtańscy żandarmi i agenci policji pałacowej.

Fandorin popędził tam, skąd sekundę wcześniej zagrzmiął strzał. Detektyw gnał po zboczu zygzakiem, omijając drzewa cytrynowe. To ćwiczenie zwane *inazuma-basiri* wchodziło do programu jego codziennej gimnastyki, toteż na szczycie znalazł się już po dwóch minutach.

Ale i tak się spóźnił. Na ziemi leżał karabin z celownikiem optycznym. Pod nim bieląła kartka. Był to powielony na hektografie wyrok, który partia wydała na „krwawego psa” Spiridonowa. Na dole dopisano ołówkiem:

Wykonano 14 (1) czerwca 1914 r. Wszystkim, którzy pomogli, merci. A wasz koronowany błazen jest nam potrzebny jak dziura w moście. To nasz główny sojusznik w walce z caratem.
Wasz Odyseusz

Z zarośli wypadł na Erasta Pietrowicza oszalały żandarm z rewolwerem.

– Kim jesteś, co?! – wrzasnął, gotów strzelać.

– D-durniem – głucho odparł Fandorin, oblewając się rumieńcem. Nie z powodu szybkiej wspinaczki, ale z wściekłości.

Kiedyś, wiele lat temu, zdarzyło mu się coś podobnego. Jednakże wtedy Erast Pietrowicz nie był niczemu winien, dzisiaj natomiast – niewybaczone uchybienie! – sam wyprowadził zwierzynę na myśliwego...

Nie, nie przestała kochać!

Przez dziesięć dni wściekłość nie minęła, a jedynie jej temperatura katastrofalnie spadła. Zazwyczaj ludzie w gniewie prędko wybuchają i tak samo prędko się spalają. Natomiast Fandorin w takim stanie (dla niego bardzo rzadkim) zastygał niczym posąg i jeśli wściekłość nie znajdowała ujścia, w duszy Erasta Pietrowicza następował okres lodowcowy.

Z Jałty Fandorin wracał, jakby był wypełniony wrzącym azotem, który jak wiadomo zaczyna kipieć w temperaturze minus dwustu stopni. Prawdopodobnie takim samym mroźnym płomieniem żywi się furia diabłów zamieszkujących buddyjskie Piekło Lotosu, gdzie króluje wieczne zimno.

Fortuna się ode mnie odwróciła, gorzko stwierdził Fandorin w drodze z Dworca Kursko-Niżegorodzkiego do domu. Przez wiele lat była mi wierna, przyjmowałem jej dary jak coś najnaturalniejszego, a tymczasem jej uczucie po prostu wygasło!

– Bo durniów nikt nie kocha! – wymamrotał głośno, aż dorożkarz obejrzał się i zapytał:

– Pan sobie życzy?

– Jedź p-prędzej – ponuro odrzekł pasażer, chociaż wcale nie spieszyło mu się do domu.

Bywały czasy, kiedy wracając do siebie, do cichej oficyny kryjącej się w głębi sennego zaułka Swierczkowa, Erast Pietrowicz czuł przedsmak błogiego wytchnienia od codziennego kołowrotu, rozkosz tymczasowej samotności i kameralnych, przyjemnych zajęć. Ale błogosławiona epoka odeszła w przeszłość.

Wysiadłszy z dorożki, Fandorin zatrzymał się, żeby poczekać na wyładowanie waliz. Z ciężkim sercem spojrzął na dwa okna po prawej stronie zasłonięte różowymi storami. Uczucie upokorzenia i duchowego zmęczenia jeszcze się nasiliło. Erast Pietrowicz westchnął. Domyślał się, w którym dokładnie momencie stracił przychyłność Fortuny. Nikogo poza sobą nie mógł za to winić.

Jednakże chwilę później jego szczupła twarz złagodniała, a usta pod idealnie przystrzyżonymi czarnymi wąsikami nawet rozchyliły się w uśmiechu.

Na ganek wypadł Masa, służący i jedyny na świecie przyjaciel. Jego okrągła fizjonomia promieniała szczęściem. Przez dwa tygodnie na głowie Japończyka odrosły włosy – gęsty, sztywny język. Coś podobnego, jest szpakowaty, zdziwił się Fandorin. Też się starzeje. Ile ma lat? Pięćdziesiąt cztery.

Zwykle Masa golił głowę na łyso – kindziałem z najostrzejszej na świecie stali *tamahagane*, ale podczas wojaży Fandorina pozwalał włosom odrosnąć: po pierwsze na znak smutku, a po drugie „zieby growa psiestara oddychaś, bo za duzio w niej myśli”. Uważał, że jeśli pana nie ma w pobliżu, to i mózgu nie ma po co wyteżać. Niech sobie podrzemie.

W ciągu trzydziestu sześciu lat życia u boku Fandorina Masa nauczył się odgadywać nastroj Erasta Pietrowicza z jednego spojrzenia, bez słów.

– Carkiem niedobrze? – Cmokał, odbierając sakwojaż i torbę podróżną. Nie przesunął się jednak, stojąc w wejściu. – Nie cieba wnosiś do domu tyle zra. Niech zostanie tutaj.

Miał rację. Złość lepiej pozostawić na zewnątrz, bo inaczej zagnieździ się w domu i trudno ją będzie wygnać.

Fandorin obrócił się, żeby nie poparzyć swoim lodowatym płomieniem niczemu niewinnego Japończyka. Zamknął oczy, wyregulował oddech i zaczął pozbywać się z duszy niepotrzebnego gniewu.

Po zabójstwie Spiridonowa Erast Pietrowicz spróbował wytropić przestępcę po świeżych śladach. Ale pierwsze, najcenniejsze godziny upłynęły na upokarzających i bezużytecznych rozmowach z policją pałacową, wydziałem Ochrony, żandarmami, nadworną kancelarią i innymi instancjami dbającymi o bezpieczeństwo i szczęście jego wysokości. O zastrzelonym pułkowniku prawie nie wspominało. Wszyscy byli zgorszeni tym, że terrorysta znalazł się tak blisko świętej osoby imperatora. Każdy urzędnik trząsał się o swoją posadę, wszyscy krzyczeli, jeden na drugiego zrzucał odpowiedzialność, jak to zwykle bywa, gdy w bezpośredniej bliskości tronu dochodzi do nadzwyczajnego wydarzenia. Gubernator Jałty rozważnie zległ w łóżku z atakiem dusznicy bolesnej, którego dostał akurat w chwili składania raportu monarsze – i tym zasłużył sobie na przebaczenie. Koniec końców ku powszechnej uldze winę zwalono na tego, kto już nie mógł się wytłumaczyć, to znaczy na nieboszczyka. Czyż to nie on na swoim stanowisku miał obowiązek dbać o bezpieczeństwo rezydencji? By nie wzbudzić społecznego niepokoju, śmierć Spiridonowa określono jako nagły zgon naturalny, a od wszystkich wtajemniczonych zażądano podpisu pod zobowiązaniem do nierozgłaszania informacji.

Dopiero kiedy ucichła administracyjna histeria, Erast Pietrowicz zyskał możliwość przystąpienia do pracy. Choć jednak tkwił w diabelskiej Jałcie ponad tydzień, na żaden ślad nie trafił. Odyseusz pojawił się znikąd, po czym przepadł jak kamień w wodę.

Terrorysta bez wątpienia wiedział, że Atena jest podwójną agentką, i znakomicie

wykorzystał tę okoliczność do swoich celów. Wybieg, który zastosował, żeby wykonać wyrok na Spiridonowie, w tradycji japońskich „niewidzialnych” nosi nazwę „zabijanie komara na ogonie tygrysa”. Chodzi o to, żeby zbić z tropu przeciwnika, udając, że się mierzy do wielkiego celu, a w rzeczywistości trafić w mały. Towarzysz Odyseusz, bolszewicki ninja, przeprowadził klasyczną manipulację bez zarzutu.

Fandorin odbył kilka długich rozmów z Ateną, w której nie odkrył nic boskiego. Baba była chytra, a nawet kuta na cztery nogi, ale nie miała za grosz rozumu, co zresztą typowe dla podwójnych agentów.

Wyjaśniło się, że Odyseusz jest szczupłej budowy ciała, wzrostu średniego, włosy ma krótko przystrzyżone, bródkę i wąsy „takiej sobie” długości, znaków szczególnych brak i w ogóle jest nijaki. Piękne dzięki za taki słowny portret. Na młodzieńczej fotografii Atena nie rozpoznała przestępcy – bardzo się zmienił. Ani na karabinie snajperskim, ani u Ateny w domu nie zostawił żadnego odcisku palca – nie ma wątpliwości, że specjalnie o to zadbał. Można by pomyśleć, że jak za sprawą diabelskiej sztuczki przywidział się tylko agentce za jej grzechy, a w rzeczywistości żaden Odyseusz nie istniał.

O tym, że to nie diabeł, ale żywy człowiek, świadczyły dwa małe potknięcia, które jednak popełnił mimo swej niesłychanej przenikliwości.

Po pierwsze kartka pozostawiona na miejscu zabójstwa. Nawet nie sama jej treść (analiza graficzna nic nie wniosła do obrazu), lecz podpis.

W tysiąc dziewięćset piątym roku, według dossier, dawny Iwancow podawał się za Drozda. W zaraniu romantycznej rewolucyjnej działalności, w gronie studenckim, przewano go Sokołem. W raporcie tyfliskiego wydziału żandarmerii cztery lata temu przewinał się niejaki Jerzyk, którego opis odpowiadał nieuchwytnemu Iwanowi Iwanowiczowi. Wobec takiego ornitologicznego fetyszyzmu specjaliści z Ochrony, skoro już lubują się w starożytności, powinni byli nazwać obiekt Feniksem – za żywotność i ognioodporność. Jednakże w tajnej dokumentacji rewolucjonista figuruje jako Odyseusz. A podpis dowodzi, że o tym wiedział. Wniosek: przestępca ma wtyczkę w jednym z urzędów śledczych.

Bardzo możliwe zresztą, że podpisując się agenturalnym pseudonimem, towarzysz Odyseusz nie popełnił żadnego błędu, po prostu znów chciał pokazać stróżom prawa język, zademonstrować, że ma ich za nic.

Tak czy inaczej z tej podpowiedzi wynikała pewna korzyść. Wiedząc, że Odyseusz ma swego informatora w policji pałacowej, Ochronie czy żandarmerii, Fandorin nikomu nie zdradził drugiego punktu zaczepienia.

Histeria szefów tak wystraszyła głupią Atenę, że na oficjalnych przesłuchaniach tylko płakała i przyznawała się do winy, nie wnosząc niczego nowego. Fandorin

zaś rozmawiał z nią inaczej – współczująco, po ojcowsku, choć chwilami miał ochotę zdzielić odrażającą damę po łbie za tępotę i brak spostrzegawczości. Podczas czwartej rozmowy Atena przypomniała sobie pewien szczegół.

Odyseusz do kogoś telefonował, zamknąwszy się w gabinecie. Atena przycisnęła ucho do drzwi i podsłuchiwała z pół minuty. (Później Fandorin namierzył połączenie, ale nic to nie dało. Abonent połączył się z kabiną w jałtańskiej rozmównicy telefoniczno-telegraficznej). Jednakże Atena miała wyszkoloną pamięć, ponieważ agentów uczy się zapamiętywania podsłuchanych wypowiedzi słowo w słowo. Erast Pietrowicz sprawdził: kobieta bez trudu powtórzyła nawet długie zdanie po japońsku.

Rozmowa, a raczej jej fragment brzmiał następująco:

„Ruszaj i sprawdź, czy wszystko idzie zgodnie z planem. Równo za tydzień będę na miejscu, to zdasz szczegółową relację...”.

Po wysłuchaniu krótkiej odpowiedzi powiedziała: „Gdzie? Niech będzie w czarnym mieście, u kulawego. Tam jest bezpiecznie”.

Znowu krótka pauza, a później: „Tak, tym o trzeciej. To wszystko, bywaj”.

Oto i cały punkt zaczepienia.

A zatem tydzień po rozmowie Odyseusz zamierzał gdzieś przyjechać o trzeciej, prawdopodobnie pociągiem, bo parowiec nie przybywa o określonej godzinie – długość podróży zależy od warunków pogodowych.

Jakie miasto Odyseusz i jego nieznany rozmówca nazywają czarnym?

Fandorin spędził piekielnie dużo czasu nad rozkładem jazdy kolei Imperium Rosyjskiego, sprawdzając, do jakich miast przyjeżdżają pociągi o trzeciej w nocy i o trzeciej po południu. Okazało się, że takich punktów jest dwadzieścia siedem – z wyłączeniem najdalszych w rodzaju Dalekiego Wschodu i Mandżurii, gdzie z Jałty nawet przez tydzień się nie dojedzie. Nic czarnego w nazwach tych miast nie było i nie budziły żadnych skojarzeń.

Może to nazwa jakiegoś lokalu: „Czarne Miasto”? Na wszelki wypadek Erast Pietrowicz wysłał pilne zapytanie do Departamentu Akcyzowego Ministerstwa Finansów. Ale nie, żadnych karczm, piwiarni i innych lokali z tak infernalną nazwą w rejestrach nie odnotowano. Widocznie nazwa nie była oficjalna, ale potoczna, dla swoich.

Oto i cały rezultat ośmiodniowego śledztwa. Dwie wątle niteczki, z których jedna najwyraźniej nie jest żadną niteczką, tylko kpina, druga zaś się urwała i prowadzi donikąd.

Życiowa mądrość głosi: szlachetny mąż nie szarpie sobie wątroby z powodu rzeczy niemożliwych, lecz wzrusza ramionami i rusza w dalszą Drogę. Trzeba tę

myśl zanotować wieczorem w *Nikki*. Chociaż nie, to banał, wariacja na temat starej modlitwy: Boże, obdarz mnie mądrością, żebym pogodził się z tym, czego nie mogę zmienić; obdarz mnie odwagą, żebym zmienił to, co mogę zmienić; obdarz mnie rozumem, żebym odróżniał jedno od drugiego.

Rozum powiedział Erastowi Pietrowiczowi: „Nie da się tutaj nic zrobić”. Mądrość stęknęła... i przyznała mu rację.

– W porządku, jestem gotowy – oznajmił służącemu Fandorin. – Wyciszony jak Budda. Rusz się, daj mi przejść.

Masa z szacunkiem odsunął się na bok, nie blokując dłużej wejścia, i powiedział po japońsku:

– Mam wiadomość, która poprawi panu nastrój. Z prawej strony pusto.

Erast Pietrowicz znowu spojrzął na różowe zasłony. Nastrój istotnie mu się poprawił.

– Panią coś zatrzymało, więc nic nie zburzy pańskiego spokoju – ciągnął Japończyk. – Może pan iść prosto do pokoju kąpielowego. Nalałem wody do wanny, przygotowałem świeżą jukatę i strój do *renshū*, jeśli ma pan ochotę się orzeźwić.

– Skąd wiedziałeś, że przyjadę? – Erast Pietrowicz zdziwił się, słysząc o gotowej kąpeli. – Przecież nie nadawałem telegramu.

– Czekałem na pana codziennie. A teraz proszę wybaczyć, muszę się doprowadzić do porządku. – Masa ze skrucą przesunął dłonią po sztywnym języku. – Tylko chciałbym wiedzieć: po kąpeli będzie pan odpoczywał czy robił *renshū*?

– *Renshū*.

Fandorin wbiegł lekkim krokiem na ganek, zrzucił kapelusz, ściągnął letnie rękawiczki. Zerknąwszy na drzwi prowadzące do prawej połowy domu, ruszył prosto do pokoju kąpielowego.

W wannie, jak się spodziewał, pływały kawałki lodu przyniesione z piwnicy. Prędko zrzuciwszy ubranie, Erast Pietrowicz zanurzył się z głową w przeraźliwie zimnej wodzie i zaczął liczyć do stu dwudziestu. Umiał wstrzymywać oddech na dwie minuty, a jeśli było trzeba, to nawet na dwie i pół. Diabeł z Piekła Lotosu beczelnie panoszący się w duszy nie wytrzymał zimna i czmychnął.

Kąpielowicz zerwał się na nogi, wzbijając gejzer rozpryskujących się strug wody. Chwycił drucianą myjkę i zaczął się nią wściekle nacierać. W żyłach pomknęła krew.

W pięćdziesiątym dziewiątym roku życia Fandorin był w lepszej kondycji fizycznej niż dziesięć albo dwadzieścia lat temu. Ludzkie ciało, podobnie jak duch,

przy prawidłowym rozwoju nie starzeje się, lecz zyskuje nowe możliwości. Gdyby dzisiejszy Erast Pietrowicz mógł stanąć do walki wręcz z trzydziestoletnim sobą, młody Fandorin nie miałby żadnych szans.

Wycierając się ręcznikiem, przyglądał się sobie w lustrze nie bez przyjemności. Zawsze podobała mu się własna powierzchowność. Owszem, włosy ma całkiem siwe (trochę toniku Brilliant blue nadaje bieli elegancki odcień), za to wąsy są intrygująco czarne (bez żadnych sztuczek, naturalnym sposobem). Na twarzy zmarszczki, ale dokładnie takie, jakie powinny być: nie wyłobiły ich złe nałogi, to rysunek charakteru. Tors jak gdyby wyrzeźbiony z marmuru – w tej chwili różowego, ponieważ skóra zaczerwieniła się od lodowatej wody i tarcia myjką.

– Gotów? – zawołał Erast Pietrowicz, wychodząc z łazienki już ubrany w czarny dopasowany strój „niewidzialnych”. Ubiór ten, bardzo wygodny do ćwiczeń fizycznych, został uszyty z najcieńszego, a zarazem najmocniejszego jedwabiu i można go było zwinąć w rulon niewiele grubszy od cygara.

– Hai! – rozległo się w odpowiedzi.

Masa siedział w salonie na stole, podwinąwszy nogi. Świeżo ogolona i wyglansowana specjalnym kawałkiem aksamitu czaszka błyszczała jak słońce. Japończyk miał oczy zasłonięte grubą przepaską, palce ścisnęły rękojeść długiego skórzanego bata.

– Słyszę cię, panie.

– Naturalnie. Daj mi minutę, muszę się przygotować...

Przekroczywszy pięćdziesiątkę, Fandorin postanowił, że nie będzie schodził po zboczach, które pogrąża się w mroku, jak robią to ludzie zawczasu pogodzeni z zapadającym zmierzchem życia, lecz będzie się wspinał wyżej. Tylko patrzeć, jak się okaże, że najwyższy szczyt jest jeszcze przed nim. W zaraniu każdego nowego roku Fandorin stawiał przed sobą dwa nowe zadania na najbliższe dwanaście miesięcy: jedno dla ciała, drugie dla ducha. No i proszę, z szóstym krzyżykiem na karku Erast Pietrowicz odniósł większe sukcesy w samodoskonaleniu się niż podczas całego dotychczasowego życia. Czasami sam się dziwił, ile nowych możliwości – intelektualnych i fizycznych – odkrył w sobie przez te osiem lat. Mają rację mędrcy utrzymujący, że większość ludzi wykorzystuje zasoby, którymi obdarzył ich Bóg albo natura, w bardzo niewielkim stopniu. Naruszają jedynie wierzchnią warstwę, prawie nigdy nie sięgając w głąb, gdzie kryją się największe skarby. Żeby dotrzeć do tych złóż, trzeba się nieźle napracować, ale wysiłki sownie się opłacają.

Program rozwoju fizycznego na rok tysiąc dziewięćset cztertnasty Fandorin postanowił wypełnić szlifowaniem wyrafinowanej i skomplikowanej sztuki

ninjutsu, opracowanej przez średniowiecznych ninja. Bezgłośnie poruszanie się to niezwykle trudna umiejętność. Prawdziwy mistrz może się przemieszczać do tego stopnia bezszelestnie, że nawet najostrzejszy słuch nie złowi żadnego dźwięku. Pewnego dnia nauczyciel ubrany na czarno i z twarzą wysmarowaną sadzą zademonstrował młodemu Erastowi Pietrowiczowi możliwości *ninjutsu*: przebiegł nocą wzdłuż całego łańcucha strażników pilnujących pałacu mikada. Żaden nie odwrócił nawet głowy, chociaż *sensei* odbył swój spacer tuż pod ich nosem.

Owo *jutsu*, jak wszystko u Japończyków, stanowi całą filozofię – jak osiągnąć harmonijne połączenie z tkanką świata. Swego czasu młody Erast Pietrowicz nie był przygotowany na to, żeby pojąć prawdziwy sens niewidzialności; spośród wszystkich tajemnych nauk ta przychodziła mu z największym trudem. Nauczyciel był cierpliwy i wyrozumiały. Mówił, że zachodni barbarzyńcy ze względu na swoją konstytucję i temperaturę ducha niespecjalnie nadają się do *ninjutsu*. Są jak dzika trawa na polu: niech tylko powieje lekki wiaterek, zaczynają szeleścić. Serce głośno im wali, oddech ich nie słucha. Tymczasem trzeba zamienić się w kamień. W wieku dwudziestu pięciu lat Fandorin nie umiał zamieniać się w kamień, ale teraz nadrabiał zaległości.

Masa traktował te zajęcia z gorącą aprobatą, ponieważ wzorując się na Fandorinie, przechodził własny kurs samodoskonalenia – trenował *benjutsu*, sztukę bata. Termin stworzył sam, japońscy ninja nie wymyślili takiej nauki. Jednakże podróżując niegdyś po Dzikim Zachodzie, Masa nie mógł się nadziwić, jak zręcznie amerykańscy kowboje operują batami. Żadnego praktycznego pożytku z tej jego obecnej pasji nie było, po prostu Japończyk lubił trzaskać czterometrowym skórzanym biczyskiem i strącać nim wszystkie drobne przedmioty. Potrafił już ściąć knot ze świecy, nie gasząc płomienia, strzepnąć muchę z tapety, nie zostawiając plamy, zdmuchnąć panu pyłek z ramienia. Fandorin znosił to głupie hobby, tylko dlatego że pomagało mu ćwiczyć *renshū*.

Doprowadziwszy bicie serca do jednego uderzenia na dwie sekundy i spłyciwszy oddech tak, że przepona prawie przestała się poruszać (nazywało się to oddychaniem skórą), Erast Pietrowicz zaszeleścił:

– Zaczynaj.

W tej samej chwili Masa wymierzył błyskawiczne uderzenie w to miejsce, gdzie stał Fandorin – tylko że Fandorina już tam nie było. Zupełnie bezgłośnie odskoczył na szań w bok.

Ogon jadowitej żmii z żalem popełził po parkiecie z powrotem w stronę stołu. Masa nastawił uszu, próbując określić, w którą stronę przemieścił się jego pan.

– Ależ się wynudziłem, siedząc tutaj sam – z fałszywą opieszałością, na dodatek

ziewając, paplał służący. – To było okrutne, że pojechał pan beze mnie. Tylko jedna rzecz trochę osłodziła mój smutek.

– Jakaż to? – zainteresował się Erast Pietrowicz, padając na podłogę.

Bat smagnął ścianę nad jego głową. Fandorin bez najmniejszego szmeru przeturlał się do kąta i poderwał na nogi.

– Zakochała się we mnie bardzo, bardzo ładna kobieta Kurasia ze szwalni na ulicy Pokurowka.

Masa odwrócił się w tę stronę, gdzie Erasta Pietrowicza już nie było, ale to nie miało znaczenia. Japończyk świetnie umiał młócić swoim bykowcem nawet przez ramię. Ponieważ kobietą urodę Masa szacował na podstawie wagi i objętości – im więcej, tym ładniej – owa „Kurasia” (najprawdopodobniej Kłasa) uznana przezeń za „bardzo, bardzo ładną” musiała mieć co najmniej pięć pudów żywej wagi.

Masa pojął, że nie zaintrygował Fandorina swoim wyznaniem i że odpowiedzi się nie doczeka, więc zmienił temat.

– A pamięta pan, jak w ubiegłym roku zakochała się we mnie piękna Furosia?

Erast Pietrowicz w milczeniu wzruszył ramionami.

– To stara historia, więc pewnie pan nie pamięta. No więc Furosia urodziła chłopca i chciała go oddać do sierocińca, ale się rozmyśliła, bo obiecałem jej zdeponować na dziecko (zapomniałem zapytać, jak mu dała na imię) tysiąc rubli. Pan przecież da mi tysiąc rubli, prawda?

– Tysiąc?

Trzask po listwie. Chybił!

Drobnymi kroczkami Fandorin prześliznął się wzdłuż ściany.

– Oczywiście, że dam. Tylko p-proszę cię... – Skok, uderzenie w pustkę. – Bądź ostrożniejszy, bo mnie zrujnujesz.

Tym razem bat zatoczył długi wymyślny łuk obejmujący pół salonu, ale Erast Pietrowicz znajdował się już w przeciwległym końcu pokoju.

Masa się zamyślił – coś sobie przypomniał.

– Czy to możliwe, żeby miał pan syna? Dziesięcio- albo dwunastoletniego?

– Dlaczego... – Fandorin dał susa – pytasz?

– Kilka dni temu zjawił się dziwny chłopiec. Podobny do pana. Pytał, gdzie pan jest. Taki zagubiony. Jakby szukał ojca.

Fandorin uśmiechnął się pod nosem. Służącemu już od dawna nie udało się celnie zahaczyć go batem, więc uciekał się do różnych sztuczek, które miały osłabić koncentrację. Masa marzył, żeby Fandorinowi urodził się syn albo przynajmniej córka, i surowo potępiał Erasta Pietrowicza za bezdżietność.

– A poza tym przyszedł list od pańskiej żony.

W lewej ręce siedzącego mężczyzny pojawiła się koperta.

Erast Pietrowicz lekko się skrzywił.

– Oczywiście przeczytałeś?

Koperta była zaklejona, ale Fandorin dobrze znał zwyczaje swojego pomocnika. Masa, rzecz jasna, przeczytał list, a kopertę zakleił dla zachowania przyzwoitości, która z jego punktu widzenia stanowiła fundament bytu.

Bat lekko się kołysał. Erast Pietrowicz również – na palcach.

Masa z westchnieniem poluzował chwyt, przytrzymując rękojeść dwoma palcami. Zrozumiał, że dzisiaj mu się nie powiedzie. Na retoryczne pytanie nie odpowiedział.

– Coś ważnego? – zapytał Fandorin.

– Nie sędzę. – Dyplomatyczne wzruszenie ramion. – Gdyby zaszło coś ważnego, Simon-san przysłałby telegram. Nie chce pan przeczytać listu? Mogę przekazać treść własnymi słowami. Mogę też tego nie robić. List został napisany dla ostatniej linijki, więc wystarczy, jak pan tylko ją przeczyta.

Masa wyciągnął dłoń z listem, a Erast Pietrowicz, zakładając, że to już koniec *renshū*, zrobił krok do przodu.

Celne uderzenie oparzyło mu plecy i ramię.

– Oszalałeś?! Przecież już skończyliśmy!

– Kończymy, kiedy powie pan „dosyś”, a pan tego nie powiedział. – Japończyk się roześmiał.

Znowu podniósł bat, ale Fandorin prędko rzucił:

– Dosyć, dosyć!

– O, jak miło jest zwyciężyć! *Batsu!*

To oznaczało karę: czterdzieści cztery przysiady ze zwycięzcą na ramionach.

Umowa to umowa. Erast Pietrowicz przykucnął, a Masa stanął z tyłu, cofnął się pod ścianę, czymś zabrzączał i z triumfującym okrzykiem wskoczył na Fandorina.

Mocno zbudowany Japończyk stanowił spore obciążenie. Fandorin odbywał karę z niemałym trudem. Aż się zirytował i obiecał sobie solidnie popracować z ciężarkami. Bezczynność w Jałcie zrobiła swoje.

– Uf, ależ się utuczyles. – Erast Pietrowicz w końcu nie wytrzymał.

– Nieprawda – z godnością odrzekł Masa. – Jadłem niewiele. Nie miałem apetytu. Bardzo przeżywałem nasze rozstanie.

– Ale zrobiłeś się cięższy!

– To dlatego że trzymam o, to.

Służący wyjął z szerokiego rękawa jukaty dziesięciokilogramowy krążek od sztangi.

– Ty bydlaku, d-dlaczegoś to zrobił? Omal się nie naderwałem!

– Żeby pan poczuł, jak mi było ciężko przez pański brak zaufania. Dlaczego nie wezwał mnie pan, kiedy pojawiły się kłopoty? Wiem, że w Jarcie coś się wydarzyło. Inaczej nie zatrzymałby się pan tak długo.

Wycierając pot, Fandorin powiedział zachmurzony:

– No dobrze, dawaj list.

Nie wezwał wiernego pomocnika na Krym, ponieważ było mu wstyd, że dał się wywieść w pole i wyszedł na żalostnego bałwana.

Żona Erasta Pietrowicza, słynna aktorka, przebywała w zakaukaskim mieście Baku na zdjęciach do kolejnego filmu. W kopercie nie było listu, lecz pocztówka. Barwna, topornie pokolorowana fotografia, której Fandorin dokładnie się nie przyjrzał, przedstawiała coś zięjącego ogniem. Chyba wulkan. Och, to wieczne upodobanie do efekciarstwa i dramatyzmu!

Zwykle takie kartki wysyła się bez koperty – po to właśnie są pocztówki, ale małżonka Erasta Pietrowicza nie mogła sobie na coś takiego pozwolić. Z jej podpisem pocztówkę ukradziono by na poczcie, co już się zdarzało. Jasne było również i to, dlaczego nie napisała zwyczajnego listu: na pocztówce jest mało miejsca, można się ograniczyć do kilku krótkich zdań.

Na odwrocie czarno-czerwonego obrazka wykaligrafowano chwiejnym, jak gdyby pragnącym czym prędzej pierzchnąć, lecz zarazem niezwykle wytwornym charakterem pisma, co następuje:

Ach, kochany, kochany, gdyby Pan tylko wiedział, jak umieram z tęsknoty za Panem! Tutaj panuje przeraźliwa nuda – ciągle bankiety, przyjęcia, pikniki i inne śmiertelnie nużące zajęcia. Ze zdjęciami się nie układa, ich zakończenie ustawicznie się przesuwają. Czuję, że będzie to albo moja najlepsza, albo najgorsza rola. Najokropniejsze jest to, że nastąpi tu infernalne upały. Telegrafowałam do salonu Roubaix, żeby mi pilnie uszyli tropikalny strój na posiadaną przez nich miarę. Proszę, aby Pan opłacił rachunek i jak najprędzej przesłał mi zamówienie.

Usychająca bez Pana

Klara

Masa miał rację. Sedno zawierało się w ostatnim zdaniu: opłacić i wysłać. No cóż, zdjęcia się przeciągają – to wspaniale. A kiedy się skończą, można będzie wyjechać gdzieś z Masą.

Uśmiechnąwszy się błogo, Fandorin z roztargnieniem spojrział na obrazek.

Nie, to nie wulkan. To pożar.

Pole usiane szybami naftowymi, słup czarnego dymu, łuna na pół nieba. No oczywiście: Baku.

Na dole podpis drobnym drukiem: *Ogromny pożar w kopalniach ropy naftowej t-wa Branobel w Czarnym Mieście niedaleko Baku.*

Masa z niedowierzaniem zapytał:

– Czyżby pan jednak ją kochał? Przed chwilą był pan ponury jak chmura gradowa, a nagle na pańskiej twarzy pokazało się słońce.

Ze szczęśliwym uśmiechem Erast Pietrowicz wyjaśnił:

– Ona nie przestała mnie kochać.

Japończyk rozdziawił usta.

– Chyba za słabo rozumiem po rosyjsku. Proszę o pozwolenie przeczytania listu jeszcze raz.

– Fortuna już się na mnie nie boczy, p-pogodziliśmy się – odrzekł Fandorin i z niezwykłym dla niego sentymentalizmem pocałował kartkę. Jak boginię szczęścia w kapryśne usta.

Drzewo, klinga, szron

Pociąg jechał z Tyflisu do Baku prawie piętnaście godzin; wyruszał w drogę po północy i przybywał na miejsce przeznaczenia o piętnastej zero zero. Właśnie tą trasą – ponad wszelką wątpliwość – podróżował kilka dni temu przebiegły Odyseusz, z satysfakcją rozmyślając o tym, jak zręcznie okpił idiotę gubernatora, tępą pałacową policję i pewnego detektywa dżentelmena, również kompletnego durnia. Terrorysta jechał na jakieś ważne spotkanie, które miało się odbyć u niejakiego „kulawego” w Czarnym Mieście – tak się nazywał rejon największego wydobycia ropy naftowej, bezpośrednio sąsiadujący z Baku.

Do przyjazdu pozostało niewiele ponad pół godziny. W oknie trzepotały białe zasłony. Dzień był upalny i chociaż w przedziale hulał przeciąg, nie przynosił ulgi – jakby ktoś przesuwiał po twarzy gorącym ręcznikiem.

Pejzaż przejmował smutkiem. Ani trawki, ani drzewka, ani kępki zieleni. Burozółta, zupełnie naga okolica z tu i ówdzie sterczącymi łysymi pagórkami i bielejącymi solniskami. Życie na tej pustyni było niemożliwe, patrzenie na nią nużyło i Fandorin już chciał się odwrócić, kiedy na horyzoncie ukazał się las. Nie był zbyt gęsty, ale składały się nań wysokie drzewa – sądząc z piramidalnych form, iglaste, a ponad ich szczytami wisiała ogromna chmura, niska i czarna. Pojawiła się nadzieja, że wkrótce zerwie się burza i lepkie od gorąca powietrze się ochłodzi.

– Przed nami Czarne Miasto, ojczulku – dobiegło zza otwartych drzwi. Na korytarzu stali, paląc papierosy, dwaj inżynierowie górnicy z sąsiedniego przedziału. – Trzeba zamknąć okno, bo sadyz naleci.

Erast Pietrowicz wyteżył wzrok: to nie były drzewa, tylko szyby. Drewniane i metalowe, wysokie i niskie, zajmowały całą równinę. Widok ten nie przypominał lasu, raczej cmentarz ciasno zastawiony czarnymi obeliskami. Prawie tak samo gęsto sterczały fabryczne kominy. Wszystko to dymiło, kociło, wyrzucało w górę kłęby sadzy. To, co podróżnikowi wydało się chmurą burzową, w rzeczywistości było gęstym smogiem.

Zaskrzypiały hamulce, pociąg zwolnił bieg. Skręcił na równoległy tor.

– Przepuszczamy jednostki z przeciwka – powiedział ten sam głos. Widocznie jeden z inżynierów był bakijczykiem albo dobrze znał miejscowe zwyczaje. – O tej akurat porze przejeżdżają składy Rothschilda, Nobla i Mantaszewa. Chyba będziemy mieć półgodzinne opóźnienie.

I rzeczywiście, minutę później arcydługi pociąg składający się z czarnych cystern załomotał obok nich.

– Czyżby towarowy był ważniejszy od pasażerskiego? – zdziwił się rozmówca. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Tutaj, ojczulku, wszystko jest podporządkowane interesom ropy. Szczególnie teraz. Zaczyna się strajk. Dopóki kolej nie stanęła, wszyscy się śpieszą, żeby przetransportować z Baku do Batumi jak najwięcej ropy, mazutu i benzyny. Chyba czytał pan w gazetach, że eksport produktów naftowych jest czasowo zabroniony. Żarty się skończyły. Całe płynne paliwo powinno iść na wewnętrzny użytek. Ropa drożeje z dnia na dzień.

– Jeśli flota wojenna, biorąc przykład z angielskiej, przejdzie z paliwa węglowego na ropę, ceny podskoczą jeszcze bardziej. Jako specjalista od silników Diesla powiem panu...

Fandorin zamknął drzwi, ponieważ ceny ropy, podobnie jak silniki Diesla, zupełnie go nie interesowały.

– Na miejscu będziemy pół godziny po czasie – z niezadowoleniem poinformował Masę.

Japończyk siedział, błogo wymachując papierowym wachlarzem. Upał go nie męczył. Na dobrą sprawę wszystko mu się bardzo podobało: i droga, i to, że jest razem ze swoim panem, a najbardziej cel podróży.

W czasach, kiedy Erast Pietrowicz musiał zarabiać na życie płatnymi dochodzeniami, Masa ogromnie cierpiał. Mówił, że jego pan traci godność, jak samuraj, który nie ma komu służyć i musi sprzedawać swój miecz za pieniądze. Jednakże do Baku, zdaniem Japończyka, Fandorin jechał w sprawie doniosłej i szlachetnej – wzięć odwet na wrogu za doznaną zniewagę.

– Pór goziny to drobiazg – rzekł teraz beztrósco. – Niebawem mój pan się uspokoi, bo znajdziemy Odyseus-san.

Do wrogów swego pana Japończyk odnosił się z szacunkiem – dlatego rewolucjonista został wyróżniony honorowym „san”.

Erast Pietrowicz usiadł i już miał zapalić cygaro, ale Masa podniósł palec i surowo powiedział po japońsku:

– *Nikki-dō!* Nie wiadomo, czy będzie dziś czas.

Miał rację. Zwłokę należało wykorzystać, żeby uwolnić się od *Nikki*.

Przyłapawszy się na tej myśli, Erast Pietrowicz się zawstydził. Co znaczy „uwolnić się”? To niedobrze, gdy tak się podchodzi do *Nikki-dō*. Ale minęło już prawie pół roku, a on ciągle nie mógł się przyzwycząić do tego męczącego obowiązku.

Jeżeli w programie fizycznego samorozwoju tysiąc w dziewięćset czternastym

roku znajdowało się *ninjutsu*, to w ramach praktyki duchowej Fandorin postanowił opanować *Nikki-dō*, Drogę Dziennika.

Dzienniki prowadzi wiele osób, zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie. Naiwne gimnazjalistki zapisują w sekretnych pamiętnikach sercowe przeżycia, pryszczaci studenci oddają się nietzscheańskim rojeniom, szanowane matrony prowadzą kronikę dziecięcych chorób i salonowych plotek, pisarze wygładzają swoje myśli na użytek pośmiertnej publikacji w przedostatnim tomie pełnego wydania dzieł (w ostatnim, jak wiadomo, umieszcza się listy). Ale osoba, która w każdym zajęciu próbuje odnaleźć sposób wzniesienia się na wyższy szczebel bytu, doskonale rozumie, że prawdziwy sens codziennych pisemnych zwierzeń polega na tym, żeby rozwijać jasność umysłu i ducha. Kiedy dziennik (po japońsku *nikki*) traktuje się w taki sposób, nie jest on zwykłą pisaniną, ale Drogą, w dodatku bardzo skomplikowaną. Trudniejszą niż teoria kwantowa, której Fandorin poświęcił cały rok tysiąc dziewięćset trzynasty.

Nikki należy prowadzić codziennie. Nie istnieją ważne przyczyny, które pozwalałyby zrobić przerwę. Ani choroba, ani zmartwienie, ani niebezpieczeństwo nie stanowią wymówki. Jeśli znalazłeś się na pustyni bez papieru i pędzelka – rysuj patykiem na piasku. Jeśli twój statek się rozbił i płyniesz po morzu na desce – pisz palcem na wodzie.

Niezwykle ważny jest styl, którego w żadnym razie nie wolno zmieniać.

Istnieją różne style *Nikki-dō*. Można się skoncentrować na opisach przyrody i pogody, żeby stale porównywać wewnętrzny stan ducha z tchnieniem Wszechświata. Inna metoda na odwrót, zaleca odciąć się od świata zewnętrznego i skupić na najsubtelniejszych niuansach swego wnętrza, przy czym każdego dnia, najlepiej o zmierzchu, bez względu na wszystko znajdować świeży powód do wzniosłych łez.

Stylów jest koło czterdziestu. Fandorin wybrał styl o nazwie „Trzy harmonie”. Właśnie on najlepiej nadaje się dla osoby z karmą w wersji „Lutowa noc na morskich przestworzach” – to znaczy naprzemienne występowanie mgły i przeblysków księżyca przy szkwałowym wietrze. Żeby nie stać się igraszką fal, człowiek o tak niełatwym losie wiele zyska, wykorzystując formułę „Drzewo – Klinga – Szron”.

Pierwszy element tej pięknej triady odpowiada za wysiłki umysłu i pomaga sferze intelektualnej płynnie się umacniać i rozwijać – tak jak rosnące drzewo wyciąga się do nieba. Ponieważ umysł krzepnie dzięki nowej wiedzy, zaleca się, żeby codzienny zapis rozpoczynał się od jakiejś przydatnej informacji zdobytej w ciągu minionego dnia. Czasem Erast Pietrowicz po prostu brał encyklopedię albo biuletyn naukowy i wypisywał stamtąd fakt, który go zainteresował. (Swoją drogą

pożyteczny nawyk).

„Klinga” to symboliczne określenie jasności i skuteczności dowolnego planowanego działania. Klinga czynu znacznie zyskuje, jeśli najpierw przeleje się swoje przemyślenia i wnioski na papier. Bardzo mądra praktyka – zwłaszcza podczas trudnego dochodzenia, no i zawsze, gdy trzeba poradzić sobie z jakimś skomplikowanym problemem albo duchowym zamętem. Tę część prowadzenia dziennika Fandorin cenił najwyżej.

Gorzej przedstawiał się ostatni element – „Szron”, którym należało zakończyć ćwiczenie. „Szron” to stan duchowego spokoju, oświecenia i uwolnienia od codziennych trosk. W pokonaniu wewnętrznego chaosu najlepiej pomaga mądra sentencja. Po męczącym dniu piekielnie trudno wykrzesać z siebie coś mądrego, w dodatku trzysta sześćdziesiąt pięć razy w roku! Jednakże kryterium jest surowe. Myśl powinna być dostatecznie głęboka, oryginalna i elegancko ubrana w słowa, żeby nie było wstyd napisać jej na zwoju i powiesić w tokonomie.

Sformułowanie owej maksymy stanowiło największą mordęgę. No bo na przykład napiszesz wieczorem coś podniosłego: „Jednym z najbardziej niegodnych uczuć, jakie mogą ogarnąć człowieka, jest świadomość niemożności udźwignięcia wziętego na siebie brzemienia i niewykonalności postawionego celu. Jeśli dobrowolnie przystałeś na obarczenie się brzemieniem, przyjmij, że zostało już podźwignięte; w osiągnięciu celu, który przed sobą postawiłeś, może przeszkodzić tylko śmierć – i to przejściowo, jedynie do chwili następnych urodzin, kiedy i tak go osiągniesz”. Kładziesz się spać dumny z siebie. A rano przeczytasz na świeżo i spluniesz. Filozof od siedmiu boleści! To samo można powiedzieć o wiele krócej: Jak się wprzągnęś do wozu, to ciągnij dalej. Raczył pan pójść na łatwiznę, Eraście Pietrowiczu!

Język japoński w znacznym stopniu uleciał mu z pamięci, toteż Fandorin musiał pisać po rosyjsku, nie pędzelkiem, ale amerykańskim wiecznym piórem. Jednakże był to najprawdziwszy *Nikki*, a nie trywialny europejski dziennik. Pierwszego dnia tysiąc dziewięćset czternastego roku Fandorin uroczyście wykaligrafował na odwrocie okładki motto. Wybrał na nie początek *Zapisków z celi* średniowiecznego mnicha Chōmeiego: „Od chwili, kiedy zacząłem pojmować sens rzeczy, minęło już ponad czterdzieści wiosen i jesieni. Przez ten czas nagromadziło się wiele niezwykłych wydarzeń, których byłem świadkiem”. We wspaniałym angielskim skoroszycie z metalowymi zaciskami wymienił już dwa stustronicowe bloki papieru. Erast Pietrowicz nie przechowywał starych zapisków, po prostu je wyrzucał – *Nikki* nie prowadzi się w celu powtórnego czytania albo, uchowaj Boże, dla potomstwa, ale wyłącznie w imię samego procesu. To, czego potrzebuje umysł i serce, i tak pozostanie. To, co zbyteczne, niech ulatuje jak suche listowie

niesione wiatrem.

Fandorin usiadł zatem przy stoliku, zmusił się, żeby zapomnieć o upale, który na skutek postoju stał się nie do wytrzymania, i starannie namalował pod dzisiejszą datą (16 czerwca) ideogram „drzewo”.

Z „Drzewem” nie ma problemu. Erast Pietrowicz zaopatrzył się na drogę w przewodniki oraz informatory, żeby stworzyć sobie wyobrażenie o miejscowości, w której będzie musiał pracować. W trakcie podróży pomocna literatura została przestudiowana, potrzebne strony zaznaczone, fragmenty podkreślone. Nie analizując, co może się przydać w sprawie, a co nie, Fandorin wypisywał wszystkie bez wyjątku najważniejsze rzeczy.

Złote pióro zaskrzypiało na papierze.

木

Rosyjska historia miasta Baku liczy dwieście lat. Podczas wyprawy perskiej Piotr Wielki dał rozkaz generałowi Matiuszkinowi „ruszać na Baku co rychło i usilnie starać się one miasteczko z pomocą Bożą musowo dobyć, jakoż to klucz do całej naszej sprawy”. Jego wysokość nawet nie wyobrażał sobie w swojej przedenergetycznej epoce, do jakiego stopnia Baku „to klucz do całej naszej sprawy”. W tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym roku, kiedy owo nadmorskie miasteczko zostało miastem gubernialnym, zamieszkiwało je siedem tysięcy osób, a domy były bez wyjątku „architektury azjatyckiej”, przeważnie z glinobitki. W ciągu minionego półwiecza zaludnienie wzrosło czterdziestokrotnie, nie licząc nielegalnych robotników – amszari, którzy przyjeżdżają na zarobek z biednego Iranu i mieszkają w „amszari-pałanach”, dzielnicach nędzy. Ilu jest w Baku tych pozbawionych praw proletariuszy ropy naftowej, nikt nie sprawdzał i nie zamierza sprawdzać.

Zawahawszy się (do „Drzewa” jeden ustęp to nieco za mało), Fandorin postanowił przepisać z książki pouczającą historię o mężczyźnie, któremu miasto zawdzięczało swój oszałamiający rozkwit.

Czterdzieści lat temu młody Szwed Robert Nobel, brat właściciela petersburskiej fabryki broni, wyruszył do Lenkoranu na poszukiwania drewna orzechowego niezbędnego do produkcji kolb karabinowych. Nobel nie znalazł potrzebnego materiału, ale przejeżdżając przez Baku, zainteresował się ropą, którą w tamtych niezbyt odległych czasach wydobywano chałupniczo, ze studni, i wykorzystywano jedynie w charakterze taniego oleju oświetleniowego. Pierwszą fabrykę Robert Nobel kupił za pięć tysięcy rubli i zatrudnił zaledwie trzydziestu robotników. W tysiąc dziewięćset trzynastym roku w bakijskich przedsiębiorstwach koncernu Branobel pracowało już trzydzieści tysięcy osób, dochód zaś wynosił osiemnaście milionów. Ten niezwykle dobitnie potwierdzał starą prawdę, że historię i postęp popychają do przodu ludzie umiejący spoglądać w przyszłość. Fandorin przepisał jeszcze do dziennika niektóre informacje o ludności miasta.

„Przeważają tu dwa plemiona: Tatarzy Azerbejdżańscy, zupełnie niesłusznie nazywani Persami, oraz Ormianie”, podaje przewodnik. Jednak w informatorze etnograficznym rdzenną ludność określa się mianem „azerbejdżańskich ludów turkijskich”, więc nie wiadomo, jak jest poprawnie. W tysiąc dziewięćset czternastym roku miasto gubernialne zamieszkuje sto jeden tysięcy ośmiuset trzech muzułmanów, sześćdziesiąt siedem tysięcy siedmiuset trzydziestu Rosjan, pięćdziesiąt siedem tysięcy czterdziestu Ormian, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesięciu Gruzinów, a także „całkiem spora liczba cudzoziemskich poddanych”.

No i wystarczy do „Drzewa”, zdecydował Erast Pietrowicz po przeczytaniu tego, co napisał. Pora przejść do „Klingi”.

Zrobił przerwę, wewnątrznie się przestrajając. Masa troskliwie pomachał swemu panu wachlarzem przed nosem, aby odświeżyć mu głowę.

Po co właściwie pognąłeś do tego Baku? – zapytał sam siebie Fandorin. No w zasadzie wiadomo po co: żeby odnaleźć Odyseusza, który najprawdopodobniej gdzieś tutaj przebywa. Ale po co ci Odyseusz? Co cię obchodzi pułkownik Spiridonow, który był skończonym łajdakiem i, prawdę mówiąc, dostał to, na co zasłużył?

Chodzi o to, że zniewag nie puszcza się płazem. Nikomu. Niepomszczona zniewaga narusza równowagę sprawiedliwości i plami karmę szlachetnego męża, powiedział sobie Erast Pietrowicz, bezceremonialnie pakując do jednego worka buddyzm i konfucjanizm.

Fandorin żadną miarą nie mógł się uważać za chrześcijanina – nie zgadzał się z tym miłosiernym nauczaniem w szeregu zasadniczych aspektów. Na przykład w kwestii przebaczenia i przykazania „nie będziesz zabijał”. W ciągu pełnego przygód życia Erast Pietrowicz nieraz musiał zabijać – przy czym nierzadko robił to bez jakichkolwiek skrupułów, a czasem nawet z radością. Był przekonany, że w pewnych okolicznościach zabijać można, a nawet trzeba. Jak nie zniszczyć wroga, który pragnie śmierci twojej albo tego, kto jest ci drogi? Albo chce unicestwić twój kraj? Przykazanie „nie będziesz zabijał” jest obłudne, sama cerkiew nie traktuje go poważnie, inaczej duchowni nie święciliby okrętów bojowych i samochodów pancernych.

W zemście nie ma również niczego złego, jeśli nie jest manią ani patologią, lecz sprawiedliwym odwetem. Niech wierzący pokładają ufność w „Ja oddam”, Fandorin nie należał do ich grona. A zresztą kto wie: może naprawdę jestem narzędziem Bożej odpłaty, skoro nic się nie dzieje bez Jego woli? – nagle przyszło Erastowi Pietrowiczowi do głowy.

Myśl nie była szczególnie głęboka, ale całkiem dobrze pasowała do rozdziału „Szron”, toteż zostawiwszy na „Klingę” dwie puste strony, Erast Pietrowicz

wykaligrafował ładny ideogram:

霜

Masa na chwilę łypnął do zeszytu. Wiedział, że jego pan nie znosi zaglądania do dziennika, ale nie mógł się powstrzymać. Filozofię Japończyk darzył szczególnym szacunkiem. A kiedy udawało mu się podpowiedzieć Fandorinowi myśl do „Szronu”, był z siebie bardzo dumny.

– Mam świetny pomysł na dzisiejszy „Szron”. Jedno i to samo zjawisko może zmieniać swoją istotę w zależności od tego, jak się je nazwie. Niejasne? – Masa uśmiechnął się wyrozumiale. – Zaraz wytłumaczę. Sama karma przywiodła pana do miasta o nazwie BA-KU, którą tak łatwo oznacza się ideogramami. Problem w tym, że odpowiednich znaków jest za dużo. Od razu przychodzą mi do głowy cztery „ba” i przynajmniej dwadzieścia „ku”. W zależności od zestawu komponentów nazwa miasta może być albo neutralna, albo odpychająca, albo implikująca los. Jeśli się na przykład napisze „ba-ku” jako 場工, będzie to „zakład przemysłowy” – precyzyjnie i sucho. Jeśli 罵垢 – „obrzydliwe błoto”, 馬嘔 oznacza „końskie rzygowiny”. Ja jednak proponuję wybrać nazwę 婆馱 – „ucieczka od wiedźmy”, ponieważ mam przeczucie, że ta podróż nie tylko pozwoli panu rozprawić się z krzywdzicielem, ale przyniesie również długo oczekiwane wyzwolenie od kobiety, która...

Erast Pietrowicz cisnął pióro i wrzasnął:

– Masa!

Japończyk ze skruchą skłonił głowę, jakby przyznając, że naruszył cichą umowę – nigdy nie rozmawiać z panem o jego problemach rodzinnych. Sądząc jednak z błysku w oczach, żal nie był szczery.

Ustaliwszy, że Odyseusza należy szukać w Baku, Fandorin po pierwszym ataku euforii skrzywił się, jakby bolał go ząb. Ze wszystkich miejsc na planecie z najmniejszą ochotą wyruszyłyby teraz do tego zakaukaskiego miasta.

Erast Pietrowicz starał się w miarę możliwości nie przebywać w tym samym miejscu co żona. Czasami nawet specjalnie wymyślał dodatkowe wyjazdy – tak na przykład było z podróżą do Jałty.

W ostatnim dniu maja Klara zaprosiła gości na „pożegnanie z wiosną” – miała taki zwyczaj, że uroczyście żegnała każdą porę roku. Jednocześnie zamierzała uczcić wyjazd do Baku na zdjęcia do nowego filmu. Fandorinowi nie uśmiechało się uczestniczenie w męczącym przyjęciu, wymyślił zatem pretekst do podróży na Krym. Planował wrócić nazajutrz po wyjeździe małżonki. Jednakże los

postanowił inaczej. W Jałcie Erast Pietrowicz musiał zabawić dłużej, zdjęcia również się przeciągnęły. Teraz będzie musiał jechać do Baku i nie uniknie spotkania z Klarą.

No cóż, tym więcej ma powodów, żeby jak najprędzej odnaleźć towarzysza Odyseusza i ulotnić się z powrotem do Moskwy, dopóki w prawej połowie domu w zaułku Swierczkowa panuje błogosławiona cisza.

Za nieudane małżeństwo zwykle odpowiadają obie strony, ale Erast Pietrowicz winił tylko siebie. Nie jest przecież chłopcem i wiedział, z kim zamierza się połączyć. Klara jest aktorką, to mówi samo za siebie. Czyż można żądać od motyla, by cały czas siedział na jednym kwiatku? Czy można oczekiwać od ważki, żeby żyła jak mrówka? Mieć żal do rusalki, że nie może się obejść bez morza? Oto na czym polegał pierwszy błąd. Drugi również leżał całkowicie po stronie Fandorina. Są na świecie mężczyźni, którzy organicznie nie nadają się do małżeństwa. Jak można było z szóstym krzyżykiem na karku nie zauważyć w sobie tak oczywistej cechy?

Główne nieszczęście nieudanego związku polega na tym, że niełatwo go rozwiązać, nawet jeśli nie został zawarty w cerkwi (poprzedni mąż Klary nie dał jej oficjalnego rozwodu, więc ślub był cywilny). Wszak nie chodzi o świstek papieru! Słowo szlachetnego męża to nie wróbel. Skoro zaoferował rękę i serce – z powrotem ich nie zabierze. Załóżmy, że nad sercem człowiek nie panuje, ale nad swoją ręką – bez dwóch zdań.

Kiedy minęło pierwsze zaślepienie, okazało się, że Erasta Pietrowicza i jego wybranki zupełnie, ale to zupełnie nic nie łączy. Teraz Fandorin miał wrażenie, że trzy lata temu zakochał się do szaleństwa w jakiejś innej osobie, która już nie istnieje, a może nigdy nie istniała. Odczucie zamiany nasilało się jeszcze i z tego powodu, że kobieta, którą Erast Pietrowicz niegdyś kochał, zmieniła imię. Wymagała tego jej kariera kinematograficzna. Klara Łunna – tak się teraz nazywała. Fandorin mdliło od pretensjonalnego, a chyba i trywialnego pseudonimu, głośnego w całej Rosji. Najgorsze było to, że również w życiu codziennym żona żądała, żeby nazywać ją Klarą, i na poprzednie imię nie raczyła reagować. Jak niezagojona rana męczyła Erasta Pietrowicza myśl, że swoją irracjonalną miłością przekreślił poniekąd pamięć o innych, bardzo nielicznych kobietach, które kochał dawniej. Nie okazał się ich godzien. Poniżył je i zdradził.

Jak?! Jak można było do tego stopnia oślepnąć, żeby stracić głowę dla niemądrej, zbikowanej, niestałej pozerki! Niestalość nie oznaczała jednak zdrady małżeńskiej. Niestety. Klary nie interesowały romanse. Jej największą przyjemnością, sensem istnienia było nie oddawanie się miłości, ale rozkochiwanie w sobie. A *cinéma* pasował idealnie do tej manii. Piękna twarz na ekranie odbierała

mężczyznom rozum, tworząc iluzję bliskości, lecz związek pozostawał bezcielesny. Czy scena może dać aktorce taką liczbę wielbicieli?

Decyzja przejścia z teatru do kinematografu dojrzała w żonie Fandorina w chwili, kiedy obejrzała amerykański obraz *Przyjaciele*, gdzie po raz pierwszy w historii wykorzystano wielki plan. Mary Pickford wpatrywała się w widzów swoimi magnetyzującymi oczami i sala mdlała pod jej czarującym spojrzeniem.

Monsieur Simon, flibustier rosyjskiego przemysłu filmowego i urodzony psycholog, umyślnie zaprosił aktorkę teatralną na pokaz nowatorskiego filmu, ukradkiem obserwował jej reakcję i szepnął: „Imagine salę, w której znajduje się nie tysiąc plas, lecz milion, dziesięć milionów”. I tak nastąpił przewrót w karierze.

Ach, gdyby Klara mnie zdradziła! – czasami małodusznie marzył Erast Pietrowicz. Wówczas mógłby z czystym sumieniem ją zostawić, z całego serca życząc szczęścia. Ale Klarę zadowalała jej sytuacja rodzinna: nieuciążliwy, wiecznie nieobecny małżonek, który się nie naprzykrza, nie przeszkadza w życiu artystycznym, nie jest zazdrosny. Takiego męża można bez wstydu pokazać publiczności – stateczny, elegancko ubrany, z imponującą siwizną. Kilka razy w roku Fandorin wypełniał ciężką powinność – pojawiał się z żoną w świecie. Na tym jego małżeńskie obowiązki właściwie się kończyły.

Masa, który początkowo był bardzo przychylnie nastawiony do ukochanej pana, bez wahania dokonał wyboru, kiedy zobaczył, że małżeństwo jest nieudane.

*

– Mimo to dokończę. – Masa spojrzał na zmarszczone brwi Fandorina i śmiało kontynuował: – Jestem pewien, że karma skierowała pana do „Miasta ucieczki od wiedźmy” nieprzypadkowo. Wyrwie się pan z niewoli. Zaczniemy żyć wesoło i swobodnie, jak w dawnych czasach. To wszystko, co chciałem powiedzieć. Nic nie usprawiedliwia mojego braku taktu. – I znowu nisko się skłonił, bardzo z siebie zadowolony.

Byłoby nieźle, przebiegło przez myśl Erastowi Pietrowiczowi. Złość mu przeszła. Ale nastrój „Szronu” przepadł.

Należało zabrać się do „Klingi”. Chyba warto podsumować informacje zdobyte w tyfliskim urzędzie żandarmerii, oddzielając to, co pożyteczne, od tego, co niepotrzebne.

刀

„W.-D. nieobecny. Przyjął Turbin. Ulotnił się, przekazał kom. u. ż.

Piestruchinowi. Pożyteczna osoba. Wild East. Z-ca gub. ppłk Szubin?” – pędkiem zanotował Erast Pietrowicz, nie mając ochoty pisać dokładniej. Po co? *Nikki* nie prowadzi się dla cudzych oczu, a piszący i tak wie, o co chodzi.

Ten krótki zapis oznaczał, co następuje.

Okazało się, że kaukaskiego namiestnika Woroncowa-Daszkowa, do którego Fandorin miał list polecający, nie było na miejscu. Moskiewskiego gościa przyjął czasowo pełniący obowiązki generał Turbin. Po pięciominutowej rozmowie, dowiedziawszy się, że chodzi o poszukiwania terrorysty, jego ekscelencja skrzywił się i skierował Erasta Pietrowicza do komendanta urzędu żandarmerii, pułkownika Piestruchina. Uprzedzenie zawodowego wojskowego do spisku politycznego było zrozumiałe, za to żandarm odniósł się do celu podróży Fandorina z pełnym uznaniem.

Problem Odyseusza niezwykle zainteresował pułkownika, który dawno podejrzewał, że wszystkimi działaniami rewolucyjnego podziemia na Zakaukaziu kieruje jakiś sprytny konspirator, jednakże wpaść na ślad przestępcy jak dotąd się nie udało. Nie ustalono nawet jego tożsamości.

Fandorin odrzucił propozycję zabrania ze sobą do Baku grupy doświadczonych agentów, ale poprosił o nakreślenie sytuacji w mieście i polecenie jakiegoś funkcjonariusza, do którego w razie potrzeby będzie mógł się zwrócić o pomoc.

Na temat sytuacji pułkownik wyraził się krótko: „To najniebezpieczniejsze miejsce w Imperium Rosyjskim”. W Baku krążą bardzo duże, a przy tym łatwo zdobyte pieniądze. I jak to bywa w podobnych okolicznościach, zwłaszcza z dala od centrali, tę gęstą i ciemną dżunglę zamieszkują dzikie drapieżniki walczące o zdobycz. Baronowie naftowi skaczą sobie do gardeł z powodu zysków, ludność turkijka i Ormianie się nienawidzą, szeroko upowszechnił się zwyczaj zemsty krwi, wszędzie kręcą się agenci, rewolucjoniści różnej maści zajmują się wywłaszczaniem i wymuszaniem, a na dodatek w mieście roi się od kryminalistów. Codziennie zdarzają się napady na dobrze ubrane osoby – w tym zasobnym mieście prawie każdy przyzwoity obywatel trzyma w portfelu sporą sumę pieniędzy, a w kieszeni złoty zegarek. Dlatego względnie przezorny osobnik nie rozstaje się z bronią dla samoobrony – jeśli nie stać go na osobistą ochronę.

– Mówiąc szczerze, prawo, z którego przestrzeganiem u nas w Rosji jest wszędzie nietęgo, w Baku w ogóle nie istnieje – powiedział Piestruchin, popisując się liberalizmem, co wśród oficerów żandarmerii było uważane za szczególnie szyk.

– Przypuszczam, że takich miast pan nie widywał.

– Niby czemu? Widziałem – odparł Erast Pietrowicz. – Na Dzikim Zachodzie w Ameryce.

Stąd też zapis w dzienniku: Dziki Wschód.

Okazało się, że z funkcjonariuszem również niełatwa sprawa. Formalnie całą machiną organów ścigania kierował gubernator, odpowiadający za porządek w mieście i w fabrykach.

– Wszelako pułkownik Ałtynow, choć jest człowiekiem odważnym, to jednak, *entre nous soit dit*^[1], jest całkowicie ograniczony. Nierozgarnięty, zapalczywy. Robi dużo hałasu, ale niewiele z tego pożytku – z westchnieniem rzekł Piestruchin. – Sam pan wie, jak się mają sprawy z kadrami. Kiepsko! Wymienić Ałtynowa się nie da, bo monarcha zna go osobiście jako bohatera i najwierniejszego z wiernych: przeżył trzy zamachy, pokaleczony odłamkami bomby. Toteż do gubernatora zwracać się nie radzę... Mojego kolegę, komendanta gubernialnego urzędu żandarmerii Kleontjewa mianowano w Baku niedawno. Pogubił się biedak w morzu problemów i zasypuje namiestnictwo histerycznymi raportami. Boję się, że on też nie przyjdzie panu z pomocą. Najdzielniejsza osoba, jak to się u nas często gęsto zdarza, nie stoi na szczycie hierarchii. – Pułkownik łagodnie się uśmiechnął, dając do zrozumienia, że ta zasada w pełni odnosi się także do jego pozycji w Tyflisie. – Radzę panu spotkać się z zastępcą gubernatora, podpułkownikiem Szubinem. Wszystkie skomplikowane i delikatne sprawy, zwłaszcza natury politycznej, powierzamy jemu, pomijając bezpośredniego szefa. Szubin jest tą osobą, której pan potrzebuje. Powiadomię go szyfrogramem o pańskim przyjeździe.

– Proszę tego nie robić – twardo powiedział Fandorin, pamiętając, że Odyseusz ma wewnątrz systemu wywiadowczego informatora, który może uzyskać dostęp do tajnej korespondencji, kto wie? – Wystarczy list polecający.

Na tym się rozstali.

Znak zapytania postawiony przy nazwisku Szubina oznaczał, że Erast Pietrowicz zaplanował najpierw przyjrzeć się „dzielnemu podpułkownikowi”. Jeśli istotnie okaże się przydatny, znacznie uprości to zadanie.

Pociąg wreszcie ruszył, zasłony znowu zafalowały pod wpływem delikatnego podmuchu wiatru, ale Fandorin już nie patrzył w okno – pośpiesznie pisał w dzienniku, żeby uwolnić się od uciążliwego obowiązku. Ostatecznie rozdział „Szron” obył się bez filozoficznych sentencji. „Człowiek sam wybiera, jaki sens powinno się nadać temu czy owemu zjawisku. To miasto nie stanie się dla mnie Końskimi Rzygowinami ani Ucieczką od Wiedźmy, ale ideogramem 幕 (baku) oznaczającym kurtynę – pisał Erast Pietrowicz, dumny, że sobie przypomniał właściwy homonim bez pomocy Masy. – Spuszczę kurtynę na przedłużającą się karierę pana Odyseusza. A zatem postanowione: Baku to Miasto Kurtyna”.

– Dojeżdżamy, dojeżdżamy. – Korytarzem prędko szedł konduktor. – Dojeżdżamy do Baku.

Pociąg zaczął hamować, zazgrzytał i stanął. Trzaskały drzwi przedziałów, zmęczeni podróżą pasażerowie w pośpiechu opuszczali wagon, jednakże Erast Pietrowicz nie kwapił się do wyjścia. Wszystko przez stare (mówiąc wprost, nie całkiem męskie) przyzwyczajenie: nie wychodzić z pomieszczenia, dopóki nie sprawdzi się jak należy, czy wygląd i ubiór nie wymagają poprawek. Spojrzenie w lustro ujawniło niepełną symetrię kołnierzyka i lekką niedbałość fryzury. Usunięcie nieprawidłowości zajęło trochę czasu. W rezultacie Fandorin wysiadł z pociągu na samym końcu, kiedy na peronie już cichły radosne okrzyki przybyłych i większość podróżnych ciągnęła w stronę wejścia do budynku dworca.

Dworzec cechował niewiarygodny jak na głuchą prowincję przepych – budynek przypominał baśniowy pałac z arabskiej opowieści. Miasto nuworysz, pomyślał Erast Pietrowicz, przyglądając się wzorzystym ścianom, blankom na dachu oraz ażurowym zwieńczeniom kolumn. – Od razu sypie piaskiem w oczy.

Choć Fandorin miał na sobie letni garnitur, leciutki, z cudownej kremowej czesuczy, upał nawet w cieniu okazał się nieznośny. A co będzie w pełnym słońcu?

Musiał poczekać, aż zostaną wyładowane bagaże.

Cywilizowany człowiek powinien ubierać się estetycznie, wygodnie i różnorodnie, ale tym razem Fandorin szykował się do wyjazdu w pośpiechu. Wszystkie niezbędne rzeczy zmieściły się w czterech walizach i dwóch sakwojążach, które Masa już wytaszczył na peron. Olbrzymi kufer z sukniami i kapelusikami Klary jechał oddzielnie, w wagonie bagażowym.

– Masa, przypilnuj, żeby prędko wyładowali – z rozdrażnieniem polecił Erast Pietrowicz.

Japończyk skłonił się i zniknął, a Erast Pietrowicz zapalił cygaro, stojąc przy wagonie.

Zamieszanie na peronie jeszcze się nie skończyło. Wszędzie kręcili się tragarze, ktoś się z kimś obejmował i całował, ktoś rozlewał do kielichów szampana, wydzielali się hotelowi naganiacze.

– Łapać! Łapać złodzieja! – wołano gdzieś niedaleko.

Fandorin stłumił ziewnięcie. Dworce wszędzie są jednakowe, pomyślał. To najbardziej kosmopolityczne miejsca na świecie. Niewykluczone, że za jakieś sto lat cały świat stanie się jednym gigantycznym dworcem i nie sposób będzie się zorientować, w której części planety człowiek się znajduje.

Ktoś pędził co sił w nogach skrajem peronu, ludzie się odsuwali. Krzyki „łapać złodzieja!” niosły się w ślad za biegnącym. Rozległ się przenikliwy gwizd stójkowego.

Krzepki, zwinny mężczyzna zbliżał się do Fandorina, sadząc wielkimi susami. Żeby schwytać złodziejzka, wystarczyło wyciągnąć rękę. Ale do wróbli nie strzela się z armaty. Erast Pietrowicz obojętnie się odwrócił.

Ach, popełnił okropny błąd!

Zrównawszy się z beztrosko palącym pasażerem, złodziej nagle z całej siły pchnął go w plecy. Kapelusz z włoskiej słomki poleciał w jedną stronę, cygaro w drugą, a sam Fandorin, uderzywszy twarzą i klatką piersiową o metalowe poszycie wagonu, runął w szczelinę pomiędzy pociągiem a peronem. Jeśli się nie potłukł, to tylko dlatego że dawno opanował sztukę prawidłowego padania, która nieraz ustrzegła go przed okaleczeniem, a nawet uratowała mu życie.

Kiedy się pada, trzeba stać się kotem: jedne mięśnie rozluźnić, inne naprężyć, przenieść środek ciężkości, a co najważniejsze – przekształcić pion w poziom.

O gorący bok wagonu Fandorin uderzył, będąc jeszcze solidnym dżentelmenem w świetnym garniturze, a na torowisku wylądował jako zwierzę z rodziny kotowatych – miękko i bez hałasu, na czterech łapach.

Potłuc się nie potłukł, ale na wpół oślepnął – na skutek kontrastu pomiędzy blaskiem dnia a gęstym cieniem. Przetarł oczy. Potrząsnął głową. I nie tyle zobaczył, ile wyczuł z prawej strony, w ciemności pod wagonem, bardzo blisko, jakiś błyskawiczny ruch.

Coś tam błysnęło – wąskie, długie.

Klinga kindzału wycelowana prosto w gardło.

Najbardziej wschodnie miasto Zachodu

Jeśli przed wstrząśnieniem mózgu i złamaniami uchroniła Fandorina umiejętność prawidłowego padania, to przed pchnięciem kindżału uratował go inny nawyk: w chwili niebezpieczeństwa Erast Pietrowicz wyłączał umysł i całkowicie zdawał się na instynkt. To nie świadomość i nie wola, lecz instynkt zmusił na wpół ogłuszonego Erasta Pietrowicza do uchylenia się przed ciosem.

Stal dźwięcznie uderzyła o zakopcony resor. Klinga zaciśnięta w czarnej dłoni natychmiast wykonała cięcie w bok, przed którym w ciasnej przestrzeni nie było gdzie uskoczyć – Fandorin nawet nie próbował tego zrobić. Chwycił niewidocznego w ciemności wroga za przegub ręki i mocno wykręcił. Broń upadła na podkład. Teraz należało unieruchomić również drugą rękę niedoszłego zabójcy. Nie wypuszczając jego nadgarstka, Erast Pietrowicz wyprężył się, sięgnął tam, gdzie powinien był się znajdować lewy łokieć przeciwnika, ale palce namacały pusty rękaw. Jednoręki? Zaskoczony Fandorin na chwilę rozluźnił uchwyt, a wtedy nieznajomy gwałtownie się szarpnął i uwolnił. Wykręcił się całym ciałem, przeturlał pod kołami i ruszył przed siebie na czworakach.

Kremowy garnitur był i tak zniszczony, więc Erast Pietrowicz tym samym psim sposobem rzucił się w pogoń. Ale udało mu się dojrzeć jedynie zelówki i czarną połę jakiejś długiej szaty. Zabójca, mimo że posługiwał się tylko trzema kończynami, poruszał się bardzo żwawo i zdążył wysliznąć się spod wagonu, zanim Fandorin go dopadł.

Wydostawszy się na zewnątrz, detektyw znowu na wpół oślepl – tym razem od słońca. W ciągu dziesięciu czy dwudziestu sekund spędzonych w ciemności źrenice zdążyły się rozszerzyć.

Zgięty wpół mężczyzna w czarnej czerkiesce i szarej papasze czmychał przez sąsiedni tor, po którym sapiąc i dymiąc, przejeżdżał z łoskotem parowóz. Zabójca przemknął przed samym buforem, a Erast Pietrowicz musiał się zatrzymać. W ślad za lokomotywą potoczyły się cysterny, którym nie było końca.

Uciekł!

Wymamrotawszy słowo niegodne ust szlachetnego męża, Fandorin nie czekał, aż minie go długi skład – nie miało to najmniejszego sensu.

Gdy wygramolił się z powrotem na peron, przypominał diabła: cały w mazucie i sadzy, z odkrytą głową i rozczochrany.

– Nie potłukł się pan? – Otoczyli go świadkowie incydentu (a raczej tylko pierwszej jego części). – Cóż to jednak za łajdak! Przewrócił człowieka i uciekł! Złodziejstwo całkiem się rozpasало. Musi się pan udać do punktu sanitarnego.

– D-dziękuję, nic mi nie jest – syknął przez zęby Erast Pietrowicz, więc dobrzy samarytanie dali mu spokój.

Z wagonu bagażowego wracał Masa, tragarz pchał za nim wózek z kufrem Klary.

– Ależ się pan wybrudził! Wchodził pan pod wagon? – zdziwił się Japończyk. Z ciekawością spojrzął na kindżał zaciśnięty w dłoni Fandorina. – Ładny *wakizashi*. To po niego się pan fatygował? A pochwy tam przypadkiem nie było?

– Gdzie złodziejasek? – zapytał Erast Pietrowicz, rozglądając się.

– Jaki zrodziejašek?

Zwykle pan i służący rozmawiali w mieszanym rosyjsko-japońskim narzeczu, przy czym każdy posługiwał się swoim ojczystym językiem, ale zdarzało się, że pewne słowa Masa rozumiał nie od razu.

– Ten, za którym wszyscy się tu uganiaли!

– A, *dorobō*. Owszem, biegał jakiś. Umknął, nie złapano go.

Fandorin znowu zaklął, teraz po japońsku.

– Nie wiedziałem, że trzeba go schwytać. – Masa zaczął się usprawiedliwiać. – Przecież przyjechaliśmy do Ba-Ku nie po to, żeby łapać dworcowych zrodziejašek.

Erast Pietrowicz z ponurą miną obracał w rękach kindżał – ogon zbiegłej jaszczurki. Masa miał rację: wspaniała broń z prawdziwej damasceńskiej stali. Rękojeść z kości słoniowej z misternie wyżłobionym ornamentem.

A to co takiego? Dlaczego ktoś tu wyrzeźbił prosty czarny krzyż?

– Pozwolę sobie zauważyć, że choć *wakizashi* jest nie najgorszy, chyba niepotrzebnie zniszczył pan sobie ubranie – powiedział Japończyk. – Sam bym go przyniósł.

Fandorin nie odpowiedział. Myślał teraz nie o zniszczonym garniturze.

To był zamach, świetnie przemyślany i przygotowany: jeden wspólnik zepchnął wybraną ofiarę z peronu, a drugi czekał na dole z obnażonym kindżałem. Ktoś nieobeznany ze sztuką przetrwania leżałby teraz na torze z podciętym gardłem.

Jawi się zatem pytanie, czy przestępcy chcieli zabić właśnie Fandorina, czy po prostu stał się on przypadkową ofiarą zgrai dworcowych kryminalistów. Raczej to drugie. Jedyne mieszkaniec Baku, który miał powody obawiać się Erasta Pietrowicza, nie mógł wiedzieć o jego przyjeździe. Tyfliski pułkownik uprzedzał, że w Baku grasuje mnóstwo opryszków. Widocznie mężczyzna w modnym garniturze i z cygarem w dłoni stanowił łakomy kąsek. Jeśli zepchnąć owego eleganta pod pociąg, wykończyć go, a później przetrząsnąć mu kieszenie,

z pewnością będzie się można nieźle obłowić. Fandorina zdumiewała niefrasobliwość, z jaką bandyci odważyli się na mokrą robotę. Widocznie na Dzikim Wschodzie, podobnie jak na Dzikim Zachodzie, życie ludzkie nie jest w cenie.

Podczas gdy tragarze ładowali walizy na wózek, umieszczając je na kufrze, Fandorin opowiedział pomocnikowi o zdarzeniu. Masa zmarszczył rzadkie brwi.

– Trzeba znaleźć jednorękiego zabójcę. Ten mężczyzna pana obraził. Obrazy nie wolno puszczać płazem.

– Poza tym chciałbym się upewnić, czy napad był rzeczywiście przypadkowy – zauważył Erast Pietrowicz, próbując zetrzeć chusteczką plamy na kolanach. – Sądzę, że bez najmniejszego problemu odszukamy osobnika o tak charakterystycznym wyglądzie: pusty rękaw, czarna czerkieska, szara barankowa papacha, miękkie buty na płaskiej podeszwie z cholewami.

– I oderwiemy my drugą rękę. – Twarz Japończyka rozjaśnił krwiożerczy, a zarazem promienny uśmiech. – Podróż staje się coraz ciekawsza. Szukaliśmy jednego nieprzyjaciela, teraz będziemy szukać dwóch. Przysięgam na Jezusa Chrystusa i na reinkarnację duszy, że podoba mi się to miasto.

Przez wspaniałą poczekalnię, w której mógłby się zmieścić dwór wschodniego władcy, wyszli na plac przed dworcem, prawie cały zajęty przez soczyście zielony skwer. Jego utrzymanie w tak gorącym klimacie, na niemal bezwodnym gruncie, musiało kosztować miasto majątek.

Erast Pietrowicz rozejrzał się, wchłaniając pierwsze wrażenia z Baku.

Jasno. Upalnie. Hałaśliwie. Pachnąco. Tłoczno.

Choć było wiele dorożek, prywatnych powozów oraz automobili, Fandorin nie miał ochoty przepychać się przez tłum pasażerów tylko po to, żeby jak najprędzej odjechać. Lepiej poczekać, aż wszyscy się rozjadą, a tymczasem zaopatrzyć się w lokalną prasę.

Gazeciarze kręcili się tu i tam. Ich nawoływania były przeważnie niezrozumiałe:

– Do strajku przyłączyły się Bałachany!

– W dwieście dwudziestym piątym wystrzeliła fontanna!

– W Mardakanie w wyniku zemsty krwi zastrzelono Hadzi Radzaba Zarbaly Ogly!

– W Sarajewie zabito następcę austriackiego tronu!

Erast Pietrowicz chwycił za ramię chłopca, który krzyczał o Sarajewie.

– Co, co? Daj no.

Lokalna gazeta „Morze Kaspjskie” przedrukowała komunikat agencji telegraficznej Reutera:

Z Wiednia. 15 (28) czerwca w bośniackim mieście Sarajewo dziewiętnastoletni Serb oddał strzały z rewolweru do arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego małżonki. Obie najjaśniejsze osoby zostały śmiertelnie ranne i wkrótce zmarły. Imperium Austro-Węgierskie jest wstrząśnięte. Wszędzie odbywają się antyserbskie manifestacje.

Wczorajszej nocy, kiedy pociąg wyjeżdżał z Tyflisu, o zamachu nie było jeszcze wiadomo.

Nieopodal, również z gazetą w rękach, czekał na fiakra inżynier z sąsiedniego przedziału. Skłoniwszy się Fandorinowi, powiedział:

– Biedny Franciszek Józef! Cięży nad nim fatum. Brata stracili Meksykanie. Żonę zakłuto pilnikiem. Syn się zastrzelił. A teraz zabito bratanka! Co za nieszczęsna rodzina ci Habsburgowie!

W czasach, kiedy Fandorin zmuszony był przebywać poza granicami ojczyzny, miał okazję nawiązać znajomość z „nieszczęsną rodziną”, dla której przeprowadził pewne delikatne śledztwo w tajemnicy przed prasą, a nawet policją. Spotkał się kilka razy z cesarzem Franciszkiem Józefem. Ten długowieczny mężczyzna, zasiadający na tronie już siódme dziesięciolecie, był obiektem kpin, wszelako rozdrobniony środkowoeuropejski kraj utrzymywał się na powierzchni jedynie dzięki doświadczeniu i sprytowi starego lisa.

Jeśli własne imperium Erasta Pietrowicza, rosyjskie, jego zdaniem ciężko niedomagało, choć może choroba nie była jeszcze śmiertelna, to monarchia Habsburgów była w agonii. Organizm państwowy, w którym jeden duży naród ponieważ szeregi innych, może jakoś funkcjonować na peryferiach Europy i na przestrzeniach Azji, ale na światłym kontynencie podobny anachronizm nie ma racji bytu. W Rosji panująca nacja wielkorosyjska przynajmniej stanowi niemal połowę ludności, natomiast w Austro-Węgrzech Niemcy, skupiający w rękach pełnię władzy administracyjnej, są zaledwie piątą częścią mieszkańców. Fandorin dawno doszedł do wniosku, że zróżnicowane etnicznie, religijnie i kulturowo narody mogą współistnieć pokojowo jedynie wówczas, gdy dla wszystkich jest to korzystne i żaden nie czuje się dyskryminowany. W przeciwnym razie wcześniej czy później dojdzie do wybuchu. Rosja ma jeszcze szansę uniknąć tej tragedii – jeśli rząd zmieni politykę wyznaniową i narodową wobec trzydziestu milionów muzułmanów, dziesięciu milionów katolików, sześciu milionów Żydów i innych obywateli drugiej i trzeciej kategorii. Byleby tylko nie doszło do zewnętrznego albo wewnętrznego wstrząsu.

A sarajewska tragedia łatwo może się przerodzić z problemu austriackiego albo austriacko-serbskiego w poważniejszy konflikt. Wszyscy wiedzą, że Rosja uważa Serbię za swoją strefę wpływów, Serbowie widzą w carze swojego orędownika.

Brakuje tylko wojny dwóch ułomnych mocarstw wskutek zderzenia ich ambicji.

Tyle że takie rozwiązanie jest mało prawdopodobne. Przecież nikt nie zwariował. Dyplomaci wymienią się notami, utworzą komisję rozjemczą, zorganizują pojednawczą konferencję. Jakoś się wszystko ułoży, uspokajał się w duchu Erast Pietrowicz.

Tymczasem podjechał jego powóz. Fandorin musiał zrezygnować z eleganckiej dorożki, ponieważ kufer Klary by się w niej nie zmieścił. Wziął zatem faeton, długi dwukonny pojazd, w którym bagaż można było ułożyć i z tyłu, i na dnie.

– Dokąd rozkażesz, efendi? – zapytał czarnobrody woźnica w płaskiej czapeczce.

– Na ulicę Gorczakowską. Hotel „Nowa Europa”.

Fandorin sposepniał i zebrał się w sobie. Nie z powodu Austrii ani nawet dworcowych rzezimieszków. Musiał zapanować nad nerwami przed spotkaniem z żoną.

Z kwaśną miną przyglądał się domom i ulicom Miasta Kurtyny.

Azja, która ukazała się w konstantynopolitańskich konturach dworca, rozplynęła się. Faeton podskakiwał po bruku idealnie prostej, na wskroś europejskiej arterii. Domy murowane, dwu- i trzypiętrowe. Jak na Pietrowce czy Nieglinnej. Ludzie też mało interesujący – jak w centrum Tyflisu. To znaczy trafiali się przechodnie we wschodnich strojach, ale stanowili zdecydowaną mniejszość. Damy spacerowały z koronkowymi parasolkami, w lekkich kapelusikach i jasnych sukniach, a kiedy na skrzyżowaniu ukazały się dwie kobiece postaci z zasłoniętymi twarzami, Masa omal nie wypadł z powozu – wciąż się oglądał, ogromnie zaintrygowany. Nigdy przedtem nie bywał na mużułmańskim wschodzie.

Bakijki w czadrach mijali jeszcze kilkakrotnie i za każdym razem Japończyk pożerał je wzrokiem.

– Kobiety w Ba-Ku są chyba bardzo mądre – orzekł w końcu.

– Skąd to przypuszczenie?

– Te szpetne wolą zakryć twarz. Czy to nie dowodzi rozumu?... Ale zdarzają się też głupie – dodał minutę później. – Na przykład tamta chuda *kikimora* powinna się zasłonić jakąś szmatką.

Rosyjskie słowo „*kikimora*”^[2] weszło do słownika Masy niedawno – spodobało mu się dzięki swojej dźwięczności i podobieństwu do japońskiego.

Tymczasem Fandorin znalazł nowy powód do zdenerwowania. Okazało się, że mężczyźni w Baku ubrani jak kropka w kropkę jak pechowy zabójca (czarna czerkieska, szara papacha, a nawet kindżał z kościaną rękojeścią za pasem), jest

całkiem sporo. Ze znaków szczególnych pozostawała jedynie jednoręczność.

Najpewniejszy sposób przełamania nasilającej się chandry polega na zrobieniu czegoś pożytecznego. Kufer Klary może poczekać. A gdyby tak zacząć od podpułkownika Szubina? Garnitur co prawda jest poplamiony, a kapelusz przepadł, ale mówi się trudno.

– Jedź najpierw do rezydencji gubernatora – polecił Erast Pietrowicz woźnicy, zajrząwszy do kieszonkowego przewodnika. Sadowa jeden. Znasz ten adres?

– Kto by nie znał? – śpiewnie odezwał się brodac, wykonując półobrót i przykładając dłoń do piersi.

Nie chcąc tracić czasu, Fandorin rozłożył składaną mapę miasta. Musiał się jak najprędzej rozeznac w miejscowej topografii.

Tak... Faeton jedzie przez regularne dzielnice, które wyrosły już za Rosjan. Gdzieś z lewej strony znajduje się Stare Miasto, dawna stolica bakijskiego chanatu. Aha, za tym zadbanym, ale łysawym bulwarem ukazał się szarozółty mur z zaokrąglonymi blankami – reminiscencja Wschodu. Niestety po prawej stronie zwartym szeregiem ciągnęły się szare fasady domów w stylu francuskim. Fandorin doznał pewnego rozczarowania, jak w swoim czasie po spotkaniu z Jokohamą, której oblicze okazało się tak mało egzotyczne.

Bezceremonialny pajak Zachód coraz mocniej oplata planetę swoją szarą pajęczyną. Standardowa architektura, jednolitość stroju, wszędzie europejskie języki. Baku to przecież wschodnie miasto należące do rosyjskiego tronu, a ulica niczym w Nicei, połowa szyldów w językach francuskim i niemieckim.

– Rezydencja gubernatora, efendi. – Woźnica pokazał budynek, wstrzymując konie.

Na samym końcu szerokiego bulwaru – dalej ciągnęło się już morskie nabrzeże – stała ładna willa: stiukowa fasada, eleganckie balkony, wzdłuż chodnika ozdobne latarnie. Gdyby nie dyżurujący przy frontowym wejściu policjanci, nikt by nawet nie podejrzewał, że w tym szykownym pałacyku mieści się nudny urząd państwowy.

– Czekaj. To może potrwać – rzucił Erast Pietrowicz pomocnikowi.

W środku budynek okazał się jeszcze wspanialszy niż na zewnątrz. Trudno uwierzyć, żeby w jakimś innym mieście imperium do wykończenia wnętrza siedziby gubernatora użyto tyle marmuru i brązu. Pod wysokim sufitem połyskiwał kryształowy żyrandol – jak w teatrze. Od spodu mienił się wszystkimi kolorami tęczy, a jego zwieńczenie stanowiła złota obręcz z wygrawerowanym dużymi literami napisem „Dar od XXVIII Zjazdu Przedsiębiorców Naftowych”.

Aaa, to wszystko wyjaśnia.

Odstawszy kilka minut w kolejce do okienka dyżurnego, Erast Pietrowicz

zapytał, czy zastał zastępcę gubernatora, Szubina. Nie, brzmiała oschła odpowiedź. Podpułkownik wyjechał i dzisiaj już nie wróci.

Fandorin musiał powiedzieć, że ma do Szubina pilny list z kancelarii namiestnika.

Urzędnik przywołał na twarz uprzejmy uśmiech.

– Jeśli pilny, radzę poszukać pana pułkownika w „Lokancie”. W poniedziałki o tej godzinie jego wielmożność tam przesiadują.

– A co to takiego? – zapytał Fandorin, wyjmując przewodnik.

– Restauracja *variétés*.

Erast Pietrowicz nieco się zdziwił, ale nie zanotował adresu rozrywkowego lokalu. Z Szubinem lepiej porozmawiać w poważnej scenerii, bez rozgłosu.

Wyglądało na to, że haczyk pozostał pusty. Nie udało się od razu zabrać do sprawy.

– Dobrze, w-wpadnę później.

Hotel „Nowa Europa”, nowoczesny sześciopiętrowy budynek, nie spodobał się Fandorinowi. Co z tego, że Europa. Co z tego, że nowa. Mógłby stać w Moskwie albo w Berlinie. Cała ulica Gorczakowska była podobnym europejskim destylatem. Tylko jak na Europę panował za duży upał.

Do powozu rzucili się szwajcarzy rozładować bagaż.

– Tylko kufer – powiedział Fandorin, a Masie i woźnicy znowu kazał czekać.

Do holu Erast Pietrowicz wkroczył jak do poczekalni u dentysty – z wyrazem łagodnej i odważnej gotowości do cierpienia. Podeszedł do recepcji.

– Czy pani Klara Łunna jest u siebie?

Nadąsany portier podejrzliwie obejrzał utyłaną marynarkę Fandorina i nie raczył odpowiedzieć.

– Czyżby ekipa f-filmowa nie zatrzymała się u was?

– Owszem, u nas. Jeśli pan jednak w sprawie autografu, to niepokojenie pani Łunnej jest surowo zabronione. Niech pan nawet nie prosi.

Erast Pietrowicz wiedział, że Klara z łatwością potrafi zawrócić w głowie personelowi. Lokaje, kelnerzy, pokojówki, charakteryzatorzy zawsze wystawiają pierś w jej obronie. Klara zyskuje ich uwielbienie nie dzięki hojnym napiwkom, ale dzięki wspaniale odgrywanej przychylności wobec ludzi. Uśmiechnąć się tklawie, lekko dotknąć ręką ramienia, a najlepiej poskarżyć się w zaufaniu na migrenę albo zmęczenie – i serce małego człowieczka od razu topnieje.

– Ja nie po autograf. Proszę przekazać pani Łunnej, że przyjechał mąż.

Na puciołowatej twarzy pracownika odmalowała się gama silnych emocji. Niedowierzanie błysnęło i natychmiast zniknęło – taki solidny dżentelmen, choć w brudnym garniturze, nie będzie kłamał, a tym bardziej żartował. Potem pojawiło

się ożywienie (taka nowina!), a na końcu nie wiedzieć czemu zmieszanie.

– Czy ona jest tutaj? – niecierpliwie zapytał Erast Pietrowicz. Nie miał czasu na analizowanie doznań portiera.

– I owszem, w sali „Trianon”. Wynajęto ją na atelier. Cała ekipa tam się znajduje, pracują. Pan reżyser bardzo się gniewają, jeśli ktoś przeszkadza, ale dla takiego gościa...

Portier wykonał ruch, jakby natychmiast, w tejże sekundzie, miał zerwać się z miejsca, ale Fandorin zawołał głosem pełnym ulgi:

– Nie, nie! Niech pracują! Niech pan każe zanieść do pokoju ten oto kufer, a ja zostawię Klarze kartkę.

– Nie życzy pan sobie tymczasem się zameldować?

– Nie życzę. Zatrzymam się w innym hotelu. Mam sprawy w mieście, całe to zamieszanie będzie mi przeszkadzać. – Fandorin wskazał pracownika w niebieskim kitlu, który zręcznie popychał jakiś przedmiot przypominający reflektor.

– Rozumiem...

Po zdumionej minie portiera było jednak widać, że taka postawa nie mieści mu się w głowie. Kto zdrowy na umyśle rezygnuje ze szczęścia dzielenia pokoju z Klarą Łunną?!

– Ej, przyjacielu! – Skinieniem dłoni Fandorin przywołał pracownika. – Kiedy skończą się zdjęcia?

– Za dziesięć minut będzie przerwa. Lamy potrzebują odpoczynku – odparł tamten (zapewne oświetleniowiec).

Erast Pietrowicz zaczął się śpieszyć.

– Jaki hotel w Baku jest najlepszy?

– Nasz – z godnością odparł portier.

– No a drugi w kolejności?

– „National”. Przyzwoity, ale z nami się nie równa. Skoro jednak w zdjęciach będzie zaraz przerwa, czemu pan nie zaczeka przy stoliku? Każę podać oranżadę. A jeśli pan sobie życzy, wyjmę szampana z lodówki.

– Nie trzeba. Jeszcze wrócę.

Woźnica miał szczęście – czekał go trzeci kurs.

– Znasz „National”?

– Kto by nie znał? – Azjata skłonił się z tą samą flegmatyczną atencją.

Pyzaty portier skłamał – hotel „National” był wytworniejszy niż „Nowa Europa”. I droższy. Ceny pokoi sprawiły, że Fandorin pokręcił głową.

Było tu za to przytulnie i staroświecko, bez nuworyszowskiego zadęcia,

a wyszkolony personel przywitał nowego gościa tak, jakby czekał nań całe życie. Szkoda tylko, że do hotelu Klary było bardzo blisko, raptem pięć, może dziesięć minut pieszo. Ledwie Erast Pietrowicz zdążył się umyć i przebrać w biały płócienny garnitur, rozległo się głośnie pukanie. Obsługa tak energicznie się nie dobija.

Czyżby Klara? No oczywiście. Przekłety portier od razu pobiegł jej donieść o przyjeździe męża i o tym, dokąd się udał.

Rozciągając usta w uprzejmym uśmiechu, Fandorin otworzył drzwi i... wymuszony uśmiech stał się zwyczajny, naturalny.

– Erast Pietrowicz! Pan Masa!

Na progu, błyskając zębami, stał młody dandys w kamizelce połyskującej złotem. Napomadowana fryzura mieniła się i lśniła, wywoskowane wąsiki sterczały ostro do góry. Monsieur Simon, *producteur* filmowy, starał się wyglądać tak samo nienagannie jak Fandorin, ale nieco przedobrzył z elegancją.

Erast Pietrowicz uściśnął dłoń starego przyjaciela. Gość nisko się skłonił Masie, a Japończyk z ważną miną kiwnął mu głową – taki mieli zwyczaj. Później obaj się rozpromienili.

– Sieńka-kun! Aleś się zrobir stary, brachu – pochwalił Masa. – Zmarśki na ciole.

Zanim „brachu” skończył trzydzieści lat, zdążył już przebyć bardzo różne ścieżki życiowe, tak więc patrząc na niego, Fandorin rozmyślał czasami o niezgłębionych pokładach metamorfizmu leżącego w ludzkiej naturze i tak słabo wykorzystywanego przez większość żyjących.

Mężczyzna, którego cały przemysł filmowy znał jako monsieur Simona, był niegdyś młodocianym przestępcą z Chitrowki, później wykierował się na rdzennego paryżanina i entuzjastę srebrnego ekranu, a w ciągu ostatnich trzech lat znowu zapuścił korzenie w rosyjskiej ziemi. Na skutek tych wszystkich perturbacji i z braku formalnego wykształcenia język Simona stanowił *ragoût* z rosyjskiego i francuskiego. Kiedy brakowało mu właściwego słowa lub zwrotu, *producteur* bez wahania wstawiał galijskie *mo* i w ogóle się tym nie przejmował.

– Dlaczego nie jesteś na zdjęciach? – zapytał Fandorin.

– Purkła fer? – Simon wzruszył ramionami. – Ja jestem prodiukter, a tam rządzą reżyser i operator.

Baczenie przyjrząwszy się Simonowi, Erast Pietrowicz stwierdził, że za nieudawaną radością młodego człowieka kryje się chyba zmieszanie. Ale z jakiego powodu? Simon nigdy nie grzeszył nieśmiałością.

– Pański ariwe tak miło mnie zaskoczył! – z nieco przesadnym entuzjazmem zawołał *producteur*. – Klara nie uprzedzała...

– To dla niej niespodzianka. – Fandorin zmienił nieprzyjemny temat. – Jak film? Wiem, że macie opóźnienie. Znowu wpadłeś w tarapaty finansowe?

Każdy człowiek, jak wiadomo, ma własną pieniężną karmę – jednym pieniądze same się pchają do rąk, inni się gimnastykują, urabiają po łokcie i wiecznie są w dołku. Karma finansowa monsieur Simona była szczególna. Zewsząd spływały do niego złote strumyczki, bez widocznego wysiłku z jego strony, ale tak samo prędko toczyły się dalej, zostawiając producenta z niczym. Nie, Simon nie zadawał szyku, nie puszczał pieniędzy na prawo i lewo. Był oszczędny, a nawet skąpy. Ale miał jedną namiętność – kręcenie filmów, więc każdą kopiejkę inwestował w jakieś przedsięwzięcie kinematograficzne. Przez pierwsze dwa lata pobytu w Rosji zrobił sześć filmów: trzy udane i trzy chybione, to znaczy trzykrotnie się wzbogacił i trzykrotnie splajtował. Po kolejnym bankructwie, cały we łzach, zjawił się u Fandorina, żeby prosić o pożyczkę. Erast Pietrowicz dał mu nie tylko pieniądze, ale i radę, która odmieniła całe życie filmowca.

– Nie odniesiesz sukcesu, inwestując własne pieniądze. To nie twoja wina, taką masz karmę. Spróbuj obracać cudzym kapitałem.

Właśnie wtedy Simon odkrył nową profesję – zaczął robić filmy za środki pozyskane z zewnątrz i osobiście pilnował każdego wydanego rubla. Ponieważ rosyjskie słowo na określenie tego rzemiosła nie istniało, Simon uzupełnił deficyt kosztem języka francuskiego – i tak narodził się *producteur*.

Okazało się, że Simon z wirtuozerią znajduje pieniądze i potrafi skrzętnie nimi gospodarować. Jako reżyser własnych produkcji nie był najlepszy, miał jednak fantastycznego nosa do talentów. Jego poprzedni film, *Zagłada Titanica* z Klarą Łunną w roli głównej, przyniósł rekordowe zyski i nawet trafił na europejski rynek filmowy. Nową produkcję o tematyce orientalnej Simon rozpoczął z niebywałym rozmachem i zawrotnym budżetem (jeśli wierzyć gazetom, niemal trzysta tysięcy).

Fandorin słusznie przewidział, że pytając o film, uniknie konieczności wyjaśniania przyczyny swojego przyjazdu.

– Nie, z pieniędzmi pa de problem. Nigdy przedtem nie miałem takiej swobody w wydatkach. Ale ta wschodnia powolność! Żadnej paktualite! A przecież zamierzam dokonać rewolusją, sprawić, że rosyjski sinema będzie najlepszy na świecie! O, mesje Gaumont jeszcze pożałuje, że nie przyjął mnie do spółki! – Oczy Simona rozbłysły, policzki się zaróżowiły, bo dosiadł swego ulubionego konika. – Robię obraz dźwiękowy i w kolorze, zdjęcia z trzech kamer, z oszałamiającą egzotik oriętał, z boską Klarą Łunną! Świat oszaleje!

– Dźwiękowy i w kolorze? – zapytał zaintrygowany Erast Pietrowicz, który uważał za swój obowiązek śledzenie postępu we wszystkich dziedzinach techniki.

– Jak to możliwe?

– To bardzo proste! A właściwie bardzo trudne... Kadry zostaną pomalowane ręcznie, na wszystkich kopiach. A dźwięk będzie prerekorde na płytę gramofonową. Bie siur, aktorzy w zbliżeniu u nas nie mówią, tylko z daleka albo stojąc tyłem. Ale szmer przyrody, ulicy, odgłosy walki, to wszystko będzie natiurel! Ten system udźwiękowania nosi nazwę chronofonu.

– Ciekawe – przyznał Fandorin. – Może wywołać sensację. Widownia jest żądna nowości.

– O, to zaledwie połowa mojego proze! W ostatnim filmie zrobiłem wielką dekuwert: żeby film odniósł sukces, trzeba uczynić z aktorki pierwszoplanowej etual błyszczącą na niebie. Zainwestowałem pięćdziesiąt tysięcy w wydrukowanie plakatów, kart postal, kalendarzy, zacząłem wydawać ilustrowane czasopismo, i na każdej okładce Klara Łunna.

– Tak, widziałem. – Fandorin westchnął.

Prawa część domu w zaułku Swierczkowa była poobwieszana dziełami sztuki poligraficznej: Klara załamująca ręce, Klara z olśniewającym uśmiechem, Klara z tragicznie uniesionymi brwiami, Klara na koniu, Klara na lodowcu i tak dalej, i tak dalej.

– Nie wyobraża pan sobie, jaki to dało efekt! – Simon nie zauważył cienia, który przebiegł po twarzy rozmówcy. – Nowy film jest jeszcze niegotowy, a dystrybutorzy już zarzucili nas zamówieniami! Armia adoratorów Klary wzrosła dziesięciokrotnie! Oczywiście wielbiciele tworzą serten dyskomfort, zwłaszcza tu w Baku, gdzie mężczyźni są tak porywczy i natarczywi, ale to tylko zwiększa liumier otaczającą prawdziwą etual!

Dopiero teraz Simon zwrócił uwagę na zachmurzoną twarz Erasta Pietrowicza i zmieszał się, uświadamiając sobie, że mąż raczej nie szaleje z zachwyty, wysłuchując podobnych rzeczy o swojej żonie. Ale skłonność do długotrwałego poczucia winy nie leżała w charakterze Simona.

– Jest jeszcze jeden skutek promowania etual w kinematografii. – Mężczyzna zrobił komiczny grymas. – Teraz tysiące kobiet marzy, żeby zostać etualami. Aktorki teatralne, kursantki, gimnazjalistki, znudzone damy ślą mi tysiące listów i fotografii. Zacząłem cieszyć się grand sjukse u płci przeciwnej. Nie nadążam robić seleksją.

– Co to takiego seleksją? – spytał Masa, który przestał rozpakowywać rzeczy i nastawił uszu, gdy tylko rozmowa zesła na kobiety.

– Wybór kandydatki do roli. Sprawdzasz, czy ma ładną twarz i figurę, no i talent. Nieodpowiednie odrzucasz.

– Przypomina *casting*. Tak Anglicy nazywają selekcyonowanie koni przed skokami. – Fandorin się skrzywił.

– Kasting. – Simon powtórzył dźwięczne słowo. – Brzmi solidnie. Dobitniej niż seleksją. Zapamiętam.

Masa podszedł, objął przyjaciela w pól i powiedział przymilnie:

– Sieńka-kun, jesteś wielki, barzio zajęty czrowiek. Pociębny ci pomocnik, robiś kasting. Ja ci pomogę. Kto cię uczyr, jak postępowaś s kobietami? Znam się na kobietach. Twaś, figura... wśyśko będzie najlepsze.

Fandorin się wzdrygnął, wyobraziwszy sobie film, w którym zagrają wyłącznie kobiety odpowiadające gustowi Masy.

Ale Simon się wykręcił.

– Zapomniał pan o talencie, sensei. Tylko prodiukter może stwierdzić, czy aktorka dysponuje potęsjel komersjal. Nawet reżyserzy tego nie potrafią.

Masa się zamyślił.

– A jeśli kobieta jeś barzio radna, ale bez talentu? Wtedy ją, biedačkę, psieganiaś?

– Zatrudniam jako asystentkę. – Simon zachichotał i zerknął na zegarek. – Oj, Eraście Piotrowiczu, chodźmy prędko, dopóki trwa przerwa. Gdy tylko wystygną lampy, znowu się zacznie turnaż i reżyser nikogo do Klary nie wpuści. To istny wariat.

– Tak, tak, chodźmy.

Pomysł, by porozmawiać z Klarą krótko, dopóki nie ostygły lampy, był Fandorinowi na rękę. Zachować pozory przyzwoitości – i do widzenia. Można spokojnie zająć się swoimi sprawami.

W drodze powrotnej do „Nowej Europy” (z uwagi na upał szli wolno, starając się trzymać cienia) Simon bez przerwy opowiadał o filmie. Erast Pietrowicz nie był ciekaw, słuchał piąte przez dziesiąte.

– Reżyser trafił mi się niespełna rozumu, choćby zaraz można go wysłać do domu dla obłąkanych. Okropnie mi się z nim poszczęściło, jestem po prostu w siódmym niebie! – nie dbając o logikę, trajkotał Simon. – Początkowo wziąłem tego Leona Arta z dezespuar. Nie miałem pieniędzy na film. A jego stryj to naftowy pręś. Chciał zrobić z bratanka spesjalist, wysłał po naukę do Ameryki, do kopalni ropy naftowej. W Kalifornii Leon zakochał się w sinema. No i powiedział stryjowi: Nie zależy mi na ropie, ale na kinie. Wu káprenę? Leon ma pieniądze, ale nie wie, jak się robi film. Ja natomiast wiem, jak się robi film, ale nie mam pieniędzy. Nie uwierzy pan, ale kiedy go spotkałem, byłem po prostu w otchłani rozpaczy!

Simon mógł doznawać tylko dwóch stanów emocjonalnych: albo być w siódmym niebie, albo w otchłani rozpaczy, dlatego Erast Pietrowicz stłumił

ziewnięcie i nic nie odrzekł.

– Mój proze oriętał się rozsypał, wszystkie pieniądze przepadły, wierzyciele grożą sądem. Opowiadałem panu, jak nikczemnie oszukał mnie emir z Buchary?

Fandorin pokręcił głową.

– A jakże! To był koszmar, wschodnie wiarołomstwo! Zebrałem pieniądze, żeby nakręcić orientalny film w naturalnym milie, nie w atelier i nie na Krymie, lecz w najprawdziwszej wschodniej scenerii. Według scenariusza miał być Bagdad, ale Buchara okazała się jeszcze lepsza. Nie tak daleko, nie trzeba ubiegać się o paszporty, a meczety, pałace, kupol, te, jak je tam... minarety, wszystko jak tysiąc lat temu. Dogadałem się z dwoma bucharyjskimi ministrami. To byłaby sęsasją! Ale przed samym wyjazdem nagle się zaczęło. Nadworna kancelaria napisała, że jego ekscelencja emir niepokoi się, czy w filmie nie będzie rzeczy hańbiących Bucharę. Zażądano scenariusza do przeczytania. Niech pan sobie wyobrazi! Ja nawet aktorom nie daję scenariusza! Płacę za niego mnóstwo pieniędzy! Ktoś skradnie pomysł i adie. Odmówiłem. Skoro tak, piszą, niech się pan nie fatyguje. Inaczej głowa pod topór. Kompletne fiasko! Jestem w otchłani rozpaczy. Ekspedisją udaremniona, skandal w gazetach, ęwestiser wycofali pieniądze. – Simon chwycił się za głowę, ogarnięty okropnymi wspomnieniami. – I wtedy zjawił się Leon Art. Dowiedział się o filmie z gazety. Pieniądze, mówi, są. Można kręcić w Baku. Jeden kondisją: on będzie reżyserem. Zgodziłem się, bo nie miałem wyjścia. I jak pan myśli? Leon okazał się szalenie utalentowany! – z zachwytem zawołał *producteur*. – Jestem w siódmym niebie! Razem dokonamy przełomu w całej ędustri sinematografik.

Doszli już do hotelu, ale Erast Pietrowicz nie śpieszył się do środka. Gestem pokazał Simonowi, żeby opowiadał, bo chce posłuchać do końca.

Przed wejściem filmowcy palili papierosy, stojąc w grupkach – jedni ubrani zwyczajnie, inni w turbanach i chałatach. Czyli przerwa jeszcze się nie skończyła, a Fandorin chciał się zobaczyć z Klarą dopiero w ostatniej chwili.

– Jaki f-film kręcisz?

– *Miłość kalifa*. Magia i tajemnica Wschodu! Po raz pierwszy na ekranie! – Simon ucałował koniuszki palców. – Nie fabuła, ale marcepan! Wielki Harun ar-Raszid, bagdadzki kalif, wędruje po nocach w przebraniu po Bagdadzie, żeby poznać życie prostych ludzi. Widzi w oknie piękną Bibigul. Kudefudr! Trafiony w samo serce! Ale Harun postanawia ukryć swoją pozisją, żeby Bibigul pokochała męzczyznę, a nie władcę.

– Oryginalna fabuła. – Erast Pietrowicz nie powstrzymał się od komentarza.

– I ja tak sądzę! Kłopot w tym, że w piękności zakochuje się łotr Sabbah, przywódca asasynów, sekty zabójców.

– Zaczekaj. – Fandorin się zdziwił. – Jeśli masz na myśli Hasana ibn Sabbaha, to żył trzy wieki po Harunie. W czasach ar-Raszida asasyni jeszcze nie istnieli.

– Naprawdę? – *Producteur* się nie przejął. – A u nas jest inaczej. Nieważne. Zaraz będziemy robić turnaż sceny, która rzuci wszystkich na kolana. Imagine: łotr zaplanował posiść ślicznotkę, odurzywszy ją oparami haszyszu. Pozostając we władzy zmysłowych widzeń, Bibigul wyobraża sobie, że jest z nią piękny młodzieniec, którego zobaczyła przez okno, lecz w rzeczywistości to Sabbah. Leon wymyślił niesłychanie śmiałą miząsen. Obawiam się, że w Rosji będą problemy z cenzurą. Myślę, że zrobimy specjalną kopię dla zagranicznych dystrybutorów, bez skrótów. Klara odsłania nogę do samego kolana, a przez delikatny muślin prześwieca pierś. Ma pan pojęcie, jaka to będzie bomba?!

Simon ze szczęśliwym uśmiechem wbił wzrok w posępną twarz Fandorina. Zreflektował się, zamrugał przestraszony. Erast Pietrowicz nie myślał o przejrzystej tkaninie, lecz o tym, że chyba pora już iść. Kiwnął uspokajająco Simonowi.

– Wtedy zjawia się Harun i na widok tej sceny pęka mu serce... – zakończył opowieść wciąż nieco spięty *producteur*. – Zaraz będziemy kręcić końcową część epizodu, rozmowę Haruna z Bibigul. Oj, chodźmy, zostało pięć minut!

W westybulu było jeszcze tłoczniej niż na zewnątrz. Wszędzie przechadzali się albo gawędzili ze sobą strażnicy, młodzieńcy w krótkich modnych marynarkach, ostrzyżone panny z papierosami, robotnicy w fartuchach. Simon poufale objął odaliskę w szarawarach:

– Gdzie Klara?

– Na próbie. Leon wygonił wszystkich z atelier.

Obaj mężczyźni podążyli krótkim pustym korytarzem.

– Wynająłem na zdjęcia salę bankietową – wyjaśnił szeptem Simon. – Wszystkie sceny turnajujemy tam, zmieniamy tylko dekoracją...

Przed drzwiami, których krawędzie obito wołłokiem, Simon zatrzymał się, przykładając palec do ust. Na jego twarzy pojawił się wyraz nabożnego skupienia, jak w cerkwi przed ołtarzem.

– Leona nie wolno rozpraszać – powiedział bezgłośnie. – Wpada w histerię, odmawia pracy. Cały dzień idzie wtedy na marne...

Bezszelstnie uchylił drzwi. Fandorin zajrzał mu przez ramię.

Okna w sali szczelnie zasłaniały plansze. Na jednej namalowane były kopuły i minarety, a na drugiej wisiała duża, oślepiająco jaskrawa lampa, prawdopodobnie przedstawiająca słońce albo może księżyc w pełni.

Drewniane przepierzenia ustawione w kształcie greckiej litery Π okalały środek

pomieszczenia. Z zewnętrznej strony widniały zwyczajnie zbite deski, ale wewnątrz wisiały kobierce, co tworzyło klimat bogatej komnaty o wschodnim wystroju. Silne reflektory oświetlały ją z trzech stron. Ustawiono dwie kamery: jedną w oddali, drugą tuż przed kanapą, na której siedzieli aktorzy.

Klara miała włosy ufarbowane na czarno, była ubrana w tiulową tunikę. W zasadzie wschodnia piękność powinna nosić szarawary, ale wtedy nie byłoby widać zgrabnych nóżek.

– ...No więc zakrywa pani oczy dłonią, w ten sposób, i wydaje rozkoszny jęk – mówił młody mężczyzna w turbanie i brokatowym płaszczu. Przyłożył dłoń do czoła, wygiął szyję i melancholijnie zajęczał: – O-o-o-o-o...

– To Leon – szepnął Simon. – Przepędził Mozzuchina, bo wzięła go chęć, żeby samemu zagrać kalifa. I wychodzi magnifik. Talent, on do wszystkiego ma talent.

– Jestem jeszcze pod wpływem haszyszu? – spytała Klara.

Reżyser zerwał się, zrzucił z głowy zawój, długie czarne kędziory rozsypały mu się na ramionach.

– Ach, co ma do tego haszysz! Jest pani w okowach zmysłowej namiętności, która jest silniejsza od narkotyku! Nawet pani nie zauważyła, że to on! Wszystko pani jedno, kim on jest! Bywają takie chwile. Uwielbia pani miłość! Jest pani kobietą!

Art załamywał delikatne dłonie i przyciskał je do piersi. Ładna twarz, natchniona, pomyślał Fandorin. Nawet przesadnie duży nos jej nie psuje. Podobny do Cirana, poetycki Gaskończyk.

Gwałtowna wypowiedź reżysera wydała się Erastowi Pietrowiczowi chaotyczna i niejasna, ale zdaje się, że Klara wszystko świetnie rozumiała.

– Ach, w tej scenie nie trzeba grać, lecz... – Długie palce Leona wykonały w powietrzu jakąś arabeskę. – Rozumie pani, prawda?

– Naturalnie!

– Żeby jak po skórze... – Leon nachylił się i delikatnie pogładził aktorkę po obnażonej szyi. Fandorin mrugnął zdziwiony. – To przyjemne uczucie, prawda?

– Tak, tak! – zagruchała Klara, przytulając policzek do dłoni reżysera.

– A trzeba inaczej! – Art wbił paznokcie w jej skórę. – Żeby zdierać, żeby czuć mięso pod paznokciami, żeby bolało! To właśnie jest sztuka! Żeby najpierw bolało, a później... Rozumie pani?

– O tak!

– A potem do kamery, takim wzrokiem, powłóczyłym, w którym... – Leon znowu zamachał rękami, nie potrafiąc znaleźć właściwych słów. – Myślałem o tej scenie przez całą noc. Napisałem wiersz... On lepiej pani wyjaśni, proszę posłuchać.

Klara posłała reżyserowi płomienne spojrzenie z dołu do góry, doskonale znane Fandorinowi z niedługiego okresu ich małżeńskiej idylli. Erast Pietrowicz skierował pytający wzrok na Simona. Ten stał czerwony, ze spuszczonej oczami.

– Moja wina... Nie dopilnowałem... – wybąkał *producteur*. – Chociaż co ja mogłem?

Ach, to stąd twoja konsternacja, pomyślał Fandorin i przyjrzał się parze aktorów uważniej. Reżyser płonie namiętnością, to widać po rumieńcach, po gorączkowym blasku w oczach. Ale i Klara jest zakochana. Albo gra zakochaną. Chociaż u niej to jedno i to samo. Tak, może Masa miał rację, proponując nazwać Baku Ucieczką od Wiedźmy? Boże, czyżby... To byłoby wybawienie! Utalentowany reżyser – oto do kogo Klara powinna zapalać poważnym i trwałym uczuciem. Mają ze sobą tyle wspólnego.

Tymczasem pan Art deklamował wiersz. Głos miał dźwięczny, wspaniale modulowany.

Może to już najwyższa pora,
Bym pozbył się ciasnej maski,
Zdzierając wraz z nią strzępy skóry.
Niestraszny mi piekący ból.
Bo z dobrowolnej tej niewoli,
Jak Odyseusz na śpiew syreny,
Uciekam precz z obmierzłej sceny.
Za kulisy krocę powoli –
Gram ostatnią z tragicznych ról.
Zwracam ku sali wzrok ponury:
Cichnie śmiech, milkną oklaski.
Zimno spogląda Terpsychora.

– Och, jakież to piękne! – jęknęła Klara. Obfity potok łez trysnął jej z oczu.

Ten „łzawy dar” – umiejętność naturalnego płaczu na scenie – zawsze poruszał widzów w teatrze.

– A niby co w tym pięknego? – burknął Simon, widocznie zatroskany o Erasta Pietrowicza. – Bez ładu i składu. W środku coś tam zaczęło wychodzić, ale później znowu groch z kapustą.

– Ależ skąd! – zaproponował Fandorin. – Całkiem zręcznie. Nowomodny wiersz-reverse ze zwierciadlanym układem rymów. W salonach wykonuje się go na dwa głosy, męski i żeński, przy akompaniamencie fortepianu. Mężczyzna czyta pierwszy wers, kobieta przygłuszonym echem ostatni, mężczyzna drugi, kobieta przedostatni. I tak cały wiersz z obu stron.

– Taak? – zapytał Simon, mało wrażliwy na piękno słowa.

Nie, do zdrady jeszcze nie doszło, uznał Fandorin, patrząc, jak reżyser nabożnie przyklęka na jedno kolano i przyciska koniuszki palców Klary do ust. Ale to kwestia czasu. Trzeba po prostu nie plątać im się pod nogami.

Nagle się opamiętał i zawstydził. Czy szlachetny mąż może prowadzić takie cyniczne rozważania? Zwłaszcza jeśli ma żonę!

– A właściwie czemu tak szepczemy? – gniewnie rzekł Erast Pietrowicz, po czym pchnął drzwi i stukając obcasami, wszedł do atelier.

– O Boże!

Widząc małżonka, który pojawił się nie wiadomo skąd i podążył ku niej zdecydowanym krokiem, Klara zerwała się i przycisnęła dłonie do płonących policzków.

Leon Art również się podniósł. Jego delikatną, nerwową twarz wykrzywiła wściekłość.

– Cóż to znaczy?! Kto się ośmielił?!

– To mój mąż... – wybąkała Klara i spróbowała się uśmiechnąć. – Erast, kochany, pisałam, oczywiście, że szalenie tęsknię, ale niepotrzebnie...

– Przywiozłem pani stroje – przerwał jej Fandorin. – Kufer jest już w pokoju.

Reżyser śmiertelnie pobladł. Piękne czarne oczy geniusza rozszerzyły się z przerażenia i jak gdyby zmartwiały. Erast Pietrowicz poczuł się jak Gorgona Meduza. Przyjaźnie uśmiechnął się do reżysera, po czym się przedstawił.

Tamten wyciągnął bezwładną, słabą dłoń. Jego twarz przybrała tragiczny wyraz. Art wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać.

– Zatrzymałem się w innym hotelu, żeby nie przeszkadzać pani w pracy – spokojnie podjął Fandorin, zwracając się do żony. – Mam w Baku kilka spraw do załatwienia. Będę ogromnie z-zajęty. Możliwe, że już się nie zobaczymy. Ale koniecznie chciałem się p-przywitać i życzyć udanych zdjęć.

Reżyser ożył w oczach. Biała twarz pokryła się różowymi plamami. Za to Klara wydawała się zaskoczona i spoglądała na męża pytającym wzrokiem.

Bojąc się, że przeholował, Erast Pietrowicz prędko dodał:

– Jeśli oczywiście znajdę wolny czas, który zbiegnie się z przerwą w pani zajęciach, z pewnością, z pewnością się z-zobaczymy, żeby...

W tym miejscu się zająknął, nie znajdując powodu, dla którego tak naprawdę powinni się zobaczyć. Na pomoc przyszedł mu Leon Art, który już ochłonął po wstrząsie.

– Drogi, niezrównany Eraście Pietrowiczu, Klara opowiadała mi o pańskiej pracy! Wiem, że bywa pan obarczony troskami państwowej, kolosalnej wagi! Przysięgam, że zrobię, co tylko możliwe, żeby przeorganizować grafik zdjęć

w sposób maksymalnie dla pana dogodny!

Akurat ci uwierzę, pomyślał Fandorin i uśmiechnął się do młodego mężczyzny jeszcze przyjaźniej.

– Jutro mój stryj urządza w swojej podmiejskiej willi przyjęcie na cześć Klary, to znaczy pani Łunnej. Zapowiada się wydarzenie na skalę bakijską! – Leon uroczyście zaakcentował zwrot „na skalę bakijską”, tak jakby mówił „na skalę światową”. – Przyjechał pan w samą porę!

– Żałuję, ale nie będę mógł się stawić. Ważne sprawy. – Erast Pietrowicz rozłożył ręce.

– Bardzo proszę nie odmawiać. Ze względu na mnie. – Klara uśmiechnęła się doń tkliwie. – Sam pan chyba przyzna, że to dziwne. Wszyscy się dowiedzą, że przyjechał mój mąż, ale na uroczystości na moją cześć go nie będzie. Co sobie pomyślą?

Spojrzenie i barwa głosu były dokładnie takie jak na samym początku wspólnego pożycia. Wówczas Fandorin od razu miękł i był gotów spełnić każde jej życzenie. Ale od tamtej pory zbyt dużo się zmieniło. Ta przesadna czułość nie wzbudzała w nim nic poza rozdrażnieniem.

Jakże mi się sprzykrzył ten teatr Klary Gasul. Przysięgam, że następnym razem pokocham kobietę, w której nie znajdę śladu obłudy. Kobietę, która mówi to, co czuje.

Łatwo się składało takie obietnice. Fandorin był absolutnie pewien, że czas miłości już przeminął. I całe szczęście.

Powód, dla którego żona prosiła go o obecność na raucie, był jasny. Klarze podobają się tylko te skandale, dla których sama pisze scenariusze. Tu natomiast mogło dojść do sytuacji, w której głównym źródłem sensacji stanie się nie sama *étoile*, lecz zagadkowa nieobecność jej męża.

– Niestety – rzekł Fandorin z bezlitosną satysfakcją. – Nie dam rady. Proszę mi w-wybaczyć.

W oczach Klary znowu mignął niepokój. Było tak zawsze, gdy coś wymykało się jej pojmowaniu.

– Trwają zdjęcia. Ekipa czeka. – Erast Pietrowicz lekko skłonił się reżyserowi. – Nie ośmielam się przeszkadzać panu w twórczej pracy.

– Tak, tak. Już czas! – Leon głośno zaklaskał w dłonie. – Panie i panowie, wszystkich proszę tutaj! Do pracy! Do pracy! – Odwrócił się do Simona. – Monsieur Simon, pamięta pan, że mamy dzisiaj jeszcze uliczną *action*? Atak asasynów.

– Oczywiście! Potrzebujemy barw zachodu słońca. Ulica jest odgradzona, przygotowania w toku. Przed dziewiątą wszystko będzie *san reprosz*.

– Murzyni dotarli?

– Przybędą dzisiejszym parowcem. Przez ten przeklęty strajk wiele rejsów odwołano. Ale odebrałem telegram z Astrachania: wypłynęli, wkrótce będą na miejscu.

– Strajk, strajk! Nie da się pracować! – Reżyser tupnął nogą. – Co to za seraj bez Murzynów? Czy znowu będziemy musieli przerwać zdjęcia? Inna ekipa dawno by zbankrutowała przez te przestoje!

– Z pańskim stryjaszkiem to nam nie grozi – przymilnie rzekł Simon.

Przez drzwi zajrzał Masa, któremu widocznie znudziło się sterczenie w westybulu.

– Przynajmniej dostarczono Kirgiza! – Leon się ucieszył. – Dlaczego nie jest przebrany? Zróbcie z niego mongolskiego eunucha. Nakręcimy na nowo scenę w haremie.

Masa z ciekawością spytał Fandorina po japońsku:

– Co to takiego ebnuh?

Widać było, że nie ma nic przeciwko graniu w filmie.

– *Kangan* – przetłumaczył Erast Pietrowicz.

– Nie, ebnuh się nie zgadziam. Jeś inna rola?

– Może wasza miłość ma ochotę zagrać bagdadzkiego kalifa? – z sarkazmem zapytał Art i wręczył Masie swój ozdobiony kolorowymi szkiełkami turban.

– Co to takiego karifu, panie?

– Arabski szogun.

Japończyk wydawał się zadowolony.

– Dobrze. Karifu można.

I zaczął wkładać turban na głowę.

– Co tu się u licha dzieje! – Reżyser bezradnie obejrzał się na asystentów i aktorów wchodzących tłumnie do atelier. – Jestem na granicy wytrzymałości nerwowej, a tu mi podsuwają nierozgarniętego Kirgiza! Zabierzcie mu mój turban!

– Masa, kochany, jak się cieszę! – powiedziała Klara, podchodząc.

Twarz Japończyka jak gdyby skamieniała. Złożył ceremonialny ukłon.

– Kurara-san...

Aktorka gorzko westchnęła. Wiedziała, że dawno straciła władzę nad służącym męża, ale od czasu do czasu podejmowała próby stopienia lodu – niestety nieudane. Nachyliwszy się, półgłosem wyjaśniła coś Leonowi.

Tamten się stropił.

– Ach, proszę wybaczyć, łaskawco... Wziąłem pana... Mieli mi przysłać prawdziwych Kirgizów z Krasnowodska, żeby... Zresztą nieważne. – Odkaslnął.

– Słyszałem o pańskich sukcesach teatralnych. Klara, to znaczy pani Łunna

opowiadała... Ale kino to co innego. Nie ośmielę się proponować epizodu takiemu talentowi, a dużą rolę... Widzi pan, teraz jest moda na zbliżenia, szczególnie z profilu. Jeśli *en face* pana twarz jest bardzo interesująca, to z profilu... Profilu jest trochę za mało.

Dotknięty do żywego Masa odwrócił się do Fandorina:

– Za to on ma za dużo profilu! Nos jak u kappy.

Tymczasem małżonka Erasta Pietrowicza odciągnęła go na bok.

– Mój drogi, najdroższy, jakże się ucieszyłam na pana widok – mówiła cicho i z przejęciem, nieśmiało się uśmiechając. – Proszę przyjść wieczorem. Usiądziemy i pogawędzimy. Za oknem zapadnie noc, będzie hulał wiatr, a my będziemy tylko we dwoje i porozmawiamy od serca. Przykro mi, że tak się od siebie oddaliliśmy. Wszystko jest nie tak, jak być powinno, to nie ma sensu. Wiem, że jestem zanadto skupiona na aktorstwie i marna ze mnie żona, do niczego się nie nadaję. Ale proszę wierzyć, że jest pan mi drogi i że przeszłość, kiedy byliśmy szczęśliwi, nie jest dla mnie pustym dźwiękiem. Naprawdę proszę przyjść. Będę czekać...

Sztuka *Mewa*. Dialog Zariecznej z Trigorinem z czwartego aktu. A w rzeczywistości ona po prostu czegoś ode mnie potrzebuje. Wcieli się w rolę żony witającej męża po długiej rozłące, zapamięta się w grze, no i wiadomo, czym się to skończy. Nie, tylko nie wszystko od początku...

– Nie mogę. Jestem zajęty. Mam spotkanie wieczorem u g-gubernatora.

– O, nie chcę burzyć pańskich planów. Spotkamy się tam, gdzie panu wygodnie.

– Klara błyskawicznie przestawiła się na rolę potulnej ofiary. Z jakiego to utworu? Chyba z *Ostatniej ofiary* Ostrowskiego. – Od dziewiątej wieczorem mamy zdjęcia w Starym Mieście, to zupełnie niedaleko rezydencji gubernatora. Błagam pana, zaledwie kilka minut!

Taka pokorna, zebrząca o zupełną błahostkę. No, jeśli na ulicy i tylko kilka minut, to da się wytrzymać.

– Dobrze. P-przyjdę.

– Jakowie Załmanowiczu, mój złoty, niech pan będzie łaskaw zapisać mężowi adres dzisiejszej wieczornej lokacji! – Klara głośno zwróciła się do asystenta.

Fandorin, na którego jeszcze minutę wcześniej nikt nie patrzył, nagle znalazł się w centrum powszechnej uwagi. Mamelucy i Murzyni, nałożnice i służące, filmowcy i elektrycy z ciekawością utkwili wzrok w mężu Klary Łunnej. Ktoś dosyć głośno zawołał: „Oho! Jak w wodewilu: tamci i groźny mąż”. W odpowiedzi rozległ się chichot.

Wracając do hotelu „National”, Erast Pietrowicz stawiał ogromne kroki. Pustą butelkę, która mu wpadła pod nogi, z rozmachem odrzucił uderzeniem laski.

Marzyć o ucieczce od niekochanej żony to jedno, co innego natomiast, kiedy ktoś uważa cię za rogacza. Jednakże to drugie logicznie wypływało z pierwszego, musiał się z tym jakoś pogodzić.

- *Renshū* – wrzasnął do ledwie nadążającego za nim sługi.
- Jakie *renshū*, panie?
- Bieg po suficie.
- He. – Masa się zdziwił. – Aż tak poważnie?

Prawdziwy *action film*

Biegiem po suficie nazywali ćwiczenie, które polegało na tym, żeby z rozpędu wbiec jak najwyżej po ścianie, odbić się i po zrobieniu salta wylądować. Aby pozbyć się rozdrażnienia, Erast Pietrowicz musiał wykonać ten niełatwy trik trzykrotnie – dopiero wtedy poczuł powrót harmonii ducha. Przez następny kwadrans trenował bezgłośnie czołganie się po ciemnym hotelowym korytarzu. Trzykrotnie minęli go goście hotelowi, dwukrotnie pokojówki i nikt nie zauważył czarnej postaci wijącej się po podłodze. Taki trening, w warunkach zbliżonych do bojowych, hartował prócz ciała nerwy – gdyby Fandorina odkryto, doszłoby do kompromitacji i skandalu, a dla szlachetnego męża nie ma nic straszniejszego, niż znaleźć się w kłopotliwym położeniu.

Nieco orzeźwiony podwójnym *renshū*, Erast Pietrowicz ponownie udał się do gubernatora. Masa niósł pod pachą kindżał z czarnym krzyżem na rękojeści, zawinąwszy dowód rzeczowy w hotelowe prześcieradło. Jeśli podpułkownik Szubin okaże się godzien szczerzej rozmowy, trzeba będzie pokazać mu owo trofeum.

Jednakże na Sadowej niedawne rozdrażnienie napłynęło z nową siłą. Szubina znowu nie było na miejscu. Dyżurny poradził poszukać pana podpułkownika w kasynie, „ponieważ dzisiaj jest przecież poniedziałek i zbliża się wieczór”. Dzielny. A jakże. Zabawia się to w „Lokancie”, to w kasynie. Trzeba jednak z Szubinem koniecznie porozmawiać. Tyle że chyba nie przy stoliku do ruletki.

– Zdaje się, że będę m-musiał odłożyć spotkanie do jutra. O której podpułkownik zjawia się w pracy?

– Co też pan! – Urzędnik się zdziwił. – Jutro żadnego z naczelników nie będzie. Przecież Miesrop Karapietowicz urządza bankiet w Mardakanie.

Powiedział to takim tonem, jakby cała ludzkość, łącznie z tymi, którzy po raz pierwszy przyjechali do Baku, powinna rozumieć sens abrakadabry „miesropkarapietowiczurządza bankiet w mardakanie”.

Erast Pietrowicz zazgrzytał zębami. Pierwszy dzień bakijskiego śledztwa wyraźnie się nie udał.

Opanowawszy się, grzecznie zapytał, czy daleko stąd do meczetu Muhammada na ulicy Kiczik-kała w Starym Mieście. Musiał jeszcze znieść rozmowę z żoną.

Klara go nie oszukała. Droga zajęła niecałe dziesięć minut.

Przy starej bramie wybitej w głuchym fortecznym murze Fandorin na chwilę znieruchomiał. Poczł kwaśną, słodkawą, piźmową woń z wyraźną domieszką zgnilizny, stęchlizny i zleżalego kurzu. Zapach był znajomy – jak w starych dzielnicach Konstantynopola. Woń Wschodu – tak, to właśnie to. Skąd się wzięła w nowobogackim, kosmopolitycznym Baku?

Jednakże za murem kryło się zupełnie inne miasto. Ciasno stłoczone niewysokie domy z płaskimi dachami, ciemne zakamarki, żółte kamienne ulice – i tłum, w którym w ogóle nie było ludzi ubranych po europejsku, a w gwarze głosów nie rozbrzmiewało bodaj jedno słowo po rosyjsku.

Od wewnątrz do muru przytykały podcienia, w których odbywał się ożywiony handel: sprzedawano tam wzorzyste tkaniny, gliniane i miedziane naczynia, owoce i orzechy, słodycze, tytoń, chustki, chałaty, przyprawy.

Stosując się do wskazówek urzędnika, Fandorin skręcił w środkową z rozchodzących się uliczek. Ściany domów zsunęły się tu jeszcze ciaśniej, niebo przestało być widoczne, ponieważ na piętrach wszędzie wyrastały drewniane oszklone werandy, a na przeciągniętych pomiędzy nimi sznurkach suszyło się pranie.

– Trzeci z-zakręt w lewo, później drugi w prawo – mrucał Erast Pietrowicz. – Masa, nie zostawaj w tyle. Zgubisz się.

– To niemożliwe, żeby mieszkaly tutaj wyłącznie brzydkie kobiety – powiedział Japończyk, odprowadzając wzrokiem każdą postać w parandzy (kobiet z odsłoniętymi twarzami nie było, ani jednej). – W przyrodzie takie rzeczy się nie zdarzają. Trzeba sprawdzić.

Jakie to dziwne, myślał Fandorin. Wschodnie miasto ukryte w środku europejskiego. Jakby się szło zaułkami konstantynopolitańskiego Beyazitu. Przecież to Imperium Rosyjskie, dwudziesty wiek, a jakby inny świat i inna epoka. Czy to możliwe, żeby most Kuzniecki i baśń Szecherezady istniały w granicach jednego państwa? I sam się uśmiechnął: co tu mówić o moście Kuznieckim! Europa znajduje się znacznie bliżej, dwieście metrów stąd – i nic, jakoś to wszystko ze sobą koegzystuje.

– Muszę koniecznie zajrzeć pod czarną siatkę. – Masa wciąż się denerwował. – I oczywiście pod chałat. Nie wiadomo, czy jeszcze kiedyś przyjedziemy do Baku. Ta tajemnica nie da mi spokoju.

Drugi zakręt w prawo po trzecim zakręcie w lewo zakończył się ślepią uliczką – ścianą bez okien i drzwi. Musieli zawrócić.

Wszędzie – na chodnikach i stopniach, na parapetach, a nawet na dachach siedziały, leżały, spacerowały koty.

– Jesteśmy w kocim królestwie – powiedział Masa, wycierając spocone czoło. – Wolę psy. Ale tu ich nie ma.

– Dla m-muzułmanów pies to nieczyste zwierzę.

– O jakiej tu mówić czystości...

Japończyk zatkał nos – już któryś raz z rzędu przechodzili koło sterty gnijących odpadków. Fandorin powziął podejrzenie, że to wciąż to samo wysypisko i że znaleźli się w zaczarowanym kręgu.

– Z-zabłądziliśmy.

Spróbował zapytać o drogę, ale kobiety w milczeniu odsuwały się od człowieka w europejskim garniturze, a mężczyźni odwracali głowy i mijali ich.

– Odnoszę wrażenie, że nikt tutaj nie mówi po rosyjsku. – Fandorin rozłożył ręce.

Masa, pobłażliwie obserwujący działania swojego pana, powiedział:

– Jest język, który rozumieją wszyscy. Niech pan weźmie wachlarz i ochłodzi twarz. Przypomina ugotowany burak.

Japończyk stanął na środku ulicy i podniósł rękę. W palcach obracał rublowy banknot.

Od razu zatrzymali się dwaj przechodnie: jeden w brązowym chałacie i turbanie, z nienaturalnie czerwoną brodą, drugi z sumiastymi wąsami, w podartej czerkiesce i wyliniałej papasze.

– Meciet Muhamedo, Kiczik-kara – oznajmił Masa.

I doskonale go zrozumiano!

Doszło do krótkiej szarpaniny. Papacha odepchnęła turban.

– Idzie za mną, proszę!

Pięć minut później Fandorin i Masa znaleźli się na planie filmowym.

*

Na mały niebrukowany plac otoczony koślawymi domami nie sposób było się przedostać, ponieważ wszystkich przejść strzegli postawni wąsacze w baranich czapkach, z identycznymi żółtymi kaburami i okazałymi kindzałami u pasa. Fandorin pomyślał, że Simon wynajął jakąś miejscową firmę ochroniarską. Bardzo rozsądnie, zważywszy na wysoki stopień przestępczości w mieście.

Zatrzymali się na przyległej ulicy, pod pękatym minaretem (to właśnie był meczet Muhammada). Zebrali się tutaj wszyscy statyści: hurysy z orszaku, jacyś wypacykowani zbóje z krzywymi szablami, konie, osły, wielbłądy.

Do Klary nie można się było zbliżyć. Siedziała na garbatym dromaderze leniwie przeżuającym pokarm, cała w jedwabiach, i z gracją paliła papierosa w długiej

lufce. Dwaj czarnoskórzy niewolnicy wachlowali *étoile* strusimi piórami. Murzyni nie byli prawdziwi, lecz malowani. Widocznie astrachański parowiec jednak nie przybył.

Reżyser stał na taborecie i ciągle krzyczał przez tubę ochrypłym głosem:

– Janczarzy i mamelucy, na miejsca! Asasyni, ukryjcie się w obejściach! Ale nie wszyscy w tym samym! Boże, to nie do wiary, z jakimi baranami muszę pracować!

Do Fandorina podszedł Simon i rzekł z dumą:

– Kręcimy scenę „Atak asasynów”. Wydaliśmy siedem tysięcy rubli na kostiumy, broń i wynajęcie zwierząt. Magnifik!

– Czyżby w czasach Haruna ar-Raszida były garłacze? – zapytał Fandorin.

– Wypożyczyłem je z filmu *Szturm Izmaïła* za bezcen. Kręcimy film dźwiękowy. Potrzebne są wystrzały. – *Producteur* odprowadził Fandorina na bok. – Mam do pana *tre grand demand*. Proszę nie odmawiać i pojechać na jutrzejszy *raut*. Gospodarz to dla mnie ważna osoba. Wiele o panu słyszał. Wie, że Klara porzuciła dla pana wpływową personę. A skoro do tej pory pan żyje, to znaczy, że wpływowa persona nie waży się pana tknąć; w miejscowym mniemaniu to jedyne możliwe wyjaśnienie. Jeśli pan tam pojedzie i wyrazi się o mnie pochlebnie, to bardzo podniesie mój prestiż w oczach *ęwestiser*.

– Jestem naprawdę bardzo zajęty. Wybacz.

– *Ekute* – wyszeptał Simon. – Nie pytam, jakie sprawy tu pana przywiodły. Na pewno *poufne*. Ale niech pan zauważy, że Miesrop Karapietowicz może się okazać bardzo *util*. Wszędzie ma znajomości.

– Kto może się okazać *p-przydatny*? – Fandorin uniósł brwi.

– Miesrop Karapietowicz Artaszew, stryj Leona. Przyjęcie na cześć Klary odbędzie się w jego willi w Mardakanie.

Więc to tam będzie jutro podpułkownik Szubin. To zmienia postać rzeczy...

Żeby nie zdradzić swojego zainteresowania, Erast Pietrowicz zapytał jednak o co innego.

– A ja myślałem, że Leon Art jest Francuzem.

– Nie, naprawdę nazywa się Lewon Artaszew. Jego stryj to jeden z filarów miasta. Jutro w Mardakanie zbierze się cały bakijski *bo mą*. Będę panu szalenie zobowiązany, jeśli szepnie pan Artaszewowi seniorowi *pti mo!*

– Dobrze. – Fandorin zgodził się jakby *wbrew* sobie. – Skoro tak ci na tym zależy.

Za miastem, w willi, jakoś zwabię Szubina na małe *tête-à-tête*, pomyślał, zarażając się od Simona mieszanią francuskiego i niżnonowogrodzkiego.

– Mersi, Eraście Pietrowiczu! Jest pan moim *sower!*

W tłumie gapiów, którzy przyszli obejrzyć niecodzienne widowisko, zaczął się

ruch.

– Wszyscy, którzy nie uczestniczą w zdjęciach – przesunąć się na prawą stronę ulicy. Oczyszczyć kadr! – wołali asystenci.

Fandorin ulokował się pod zakurzoną ścianą domu, starając się nie pobrudzić. Masa stał obok, trzymając pod pachą zawiniątko z kindżalem.

Procesja ruszyła ulicą. Klara na swoim wielbłądzie znalazła się na samym początku kawalkady. Gdy tylko spojrzała w jego stronę, Erast Pietrowicz wymownie pokazał na zegarek. Klara złożyła dłonie w błagalnym geście: proszę zaczekać!

Teraz wszyscy aktorzy wbili weń oczy. Szeptali między sobą, podśmiewali się.

Fandorin przywołał na twarz beztroski uśmiech. Z mocno zaciśniętymi zębami nie było to łatwe.

– Uwaga! – piskliwie wykrzyknął reżyser. – Wielbłąd, jazda! Asasyni do przodu, jak machnę chustką! Mamelucy, bez rozkazu nie strzelać! Panowie, mamy dzisiaj historyczny dzień! Pokażemy całemu światu, co to znaczy prawdziwy *action film*. Akcja!!!

Statyści ruszyli. Zadzwończyły dzwoneczki, zaszczękały tarcze i szable, zakłębił się kurz.

Erast Pietrowicz z ciekawością obserwował scenę, ale Masa, wciąż jeszcze nadąsany na Leona, demonstracyjnie się odwrócił i spoglądał na przeciwległą stronę ulicy, gdzie między domami widniało tonące w cieniu podwórze.

– Asasyni, jazda!!!

Do wielbłąda podbiegli ludzie w białych chlamidach, wymachując mieczami. Malowani Murzyni popadali na ziemię. Klara odrzuciła głowę, elegancko wystawiła obnażone łokcie. Nie krzyczała – widocznie dźwięk zostanie nagrany później.

– Mamelucy, ognia!!!

Huknęły ślepe strzały, dwie dziesiątki luf wyrzuciły z siebie ogień i dym.

Nagle Fandorin omal nie runął jak długi. To Japończyk ni z tego, ni z owego pchnął go w ramię.

– Masa, oszalałeś?!

Huk zagłuszał słowa. Masa w milczeniu pokazał na ścianę, pod którą chwilę wcześniej stał Fandorin. W tynku ziała dziura z połyskującą pośrodku spodnią częścią kuli, która tam utkwiała.

Drugą ręką Japończyk pokazał przed siebie. Śledząc wzrokiem ruch jego dłoni, Fandorin zobaczył, że z głębi obejścia naprzeciwko, znad oszklonej galerii na piętrze unosi się dymek.

– *Hayaku!* – krzyknął Masa i rzucił się przez tłum statystów. – Prędko!

Ucieknie!

Erast Pietrowicz puścił się w pogoń, nie zapominając o tym, żeby nisko się schylić i nie zepsuć kadru.

Minęli w pędzie budynek opasany na górze drewnianą galerią. Fandorin trzymał w pogotowiu swojego nowego, wykonanego na zamówienie webleya, dotąd jeszcze niewypróbowanego w akcji; Masa wymachiwał zdobyczym kindziałem. Ale nikt więcej nie strzelał.

Wbiegłszy po zmurszałych schodkach przyklejonych do samej ściany, Erast Pietrowicz znalazł się w zakurzonym, trzeszczącym pudle o wymiarach dwa na półtora sążnia. Weranda była kiedyś przeszklona, ale połowa kwadratowych szybek została wybita. Na parapecie znajdował się karabin zamocowany na statywie, połyskiwała lufa wsunięta przez jedną ze szczerb, na podłodze poniewierała się wystrzelona łuska. Prowadzące do wnętrza domu drzwi, które ktoś niedawno pchnął, jeszcze się kołysały na zardzewiałych zawiasach. Nieznany osobnik wypadł przez nie zaledwie kilka sekund wcześniej.

Masa odepchnął Fandorina i wbiegł pierwszy. Erast Pietrowicz za nim, gotów otworzyć ogień.

Puste pomieszczenie. Niezamieszkane, w dodatku od dawna. Dziury w podłodze, obłupane ściany, strzępy pakuł zwisające z sufitu. Ale na wprost były jeszcze jedne drzwi, uchylone, przez które sączyło się światło. Japończyk nie mocował się z nimi, lecz żeby nie tracić czasu, podskoczył i wywalił je kopniakiem razem z ramą. Z hukiem, w chmurze wiórów i kurzu, wylądował na podłodze z wzniesionym do uderzenia kindziałem.

Natomiast Fandorin zatrzymał się w progu.

Dom okazał się nie tylko niezamieszkały, ale i na wpół zburzony. W pokoju nie było zewnętrznej ściany. Zamiast niej widniała ulica. Zachodzące słońce igrało czerwonymi odbłaskami na odłamkach szkła i skorupach, które zaściewały podłogę. Dachy nie było – między krokwiami prześwitywało intensywnie niebieskie niebo.

Fandorin z Masą zbliżyli się do samej krawędzi. Spojrzeli w lewo, potem w prawo.

Strzelec oczywiście zeskoczył na dół. Skręcił za róg albo na sąsiednie podwórze, albo po prostu wtopił się w tłum. Teraz niepodobna go było dogonić.

– To nie ma sensu – skonstatował Fandorin. – Wracajmy na werandę. Chcę coś sprawdzić.

Na miejscu, skąd padł strzał, Erast Pietrowicz nachylił się, by uważnie obejrzeć karabin i mocujący go uchwyt.

– Co ty na to? – zapytał, prostując się.

– Ktoś się dobrze przygotował. Wiedział, że zjawi się pan na planie zdjęciowym i że będzie kanonada, więc nikt nie usłyszy strzału z karabinu. – Masa kucnął, żeby określić możliwy sektor ostrzału. – Dobra pozycja. Widać połowę placu i prawie wszystkich gapiów na ulicy. Gdziekolwiek by pan stanął, i tak znalazłby się pan w zasięgu strzału.

– Wnioski?

– Oczywiście. Trzeba szukać wśród tych, którzy wiedzieli, że przyjdzie pan tu o dziewiątej i że na planie będzie hałas.

Fandorin wzruszył ramionami:

– W hotelu każdy mógł podsłuchać moją rozmowę z Klarą. Niekoniecznie ktoś z ekipy filmowej, z pewnością kręcili się tam również obcy. Poza tym pytałem o drogę w kancelarii g-gubernatora, tam też było sporo interesantów. Zabójcy starczyło czasu, żeby się zainstalować na werandzie, podczas gdy ty i ja błądziliśmy w labiryncie ulic.

Masa nie oponował.

– W takim razie jeszcze jedno – dodał. – Napad na dworcu nie był próbą rabunku. Ktoś usiłuje za wszelką cenę pana zabić.

– Powiem więcej. – Erast Pietrowicz poklepał statyw. – Po co, twoim zdaniem, jest ten zacisk?

– Chodzi o niezafodność ściąru. Odziut mniejsi i muśka nie drzi – odparł pomocnik po rosyjsku. Rodzinną Japonię opuścił w czasach, kiedy broń palna nie cieszyła się poważaniem. Nową terminologię przyswajał już na nowym lądzie, toteż o karabinach i pistoletach wołał mówić po rosyjsku albo po angielsku.

– Nie, stabilność można było zapewnić, opierając lufę po prostu na ramie, to bardzo wygodne.

– *Katappo!* – Masa palnął się w czoło, znowu przechodząc na japoński.

– Tak. Jednoręki. Z tego wniosek...

– ...że Odyseusz-san oczekiwał pańskiego przyjazdu. Jednorękiego zabójcę nasłał pański wróg.

– No właśnie.

Erast Pietrowicz wracał przez podwórze głęboko zamyślony.

A zatem hipotezę z dworcowymi opryszkami można wykluczyć. To raz. Odyseusz skądś się dowiedział, że do Baku przybywa myśliwy po jego duszę. To dwa. Wiedział także, którym pociągiem przyjadę. To trzy. I cztery: mój przyjazd potraktował na tyle poważnie, że zadbał o zorganizowanie dwóch zamachów następujących po sobie w ciągu zaledwie kilku godzin.

Jedyny punkt, w którym mógł nastąpić wyciek, to Tyflis. Kto był wprowadzony w sprawę? Pułkownik Piestruchin, nikt inny. Jednakże podejrzewanie komendanta

urzędu żandarmerii o kontakt z rewolucjonistami to absurd. Bojowcy już dawno wydali na niego wyrok śmierci, podobnie jak na nieżyjącego Spiridonowa!

Brakuje jakiegoś ogniwa w logicznym łańcuchu...

Fandorin i Masa znaleźli się na ulicy, kiedy zdjęcia się skończyły. Zmartwychwstali Murzyni troskliwie ścigali Klarę z wielbłąda.

– Erast, jak to miło, że pan na mnie zaczekał!

Fandorin podszedł i ukłonił się.

– O czym chciała pani ze mną rozmawiać? – Westchnął. – Czy pani koledzy będą teraz zawsze wybałuszać na mnie oczy?

Żona spojrzała nań wzrokiem bezgranicznej miłości wyćwiczonym podczas roli panny bez posagu[3]: „Nie zależy mi na rozmowie! Z panem mogę być wszędzie. Skoro pan mnie tu zabrał, to i pan powinien odwiedzić mnie do domu!”.

Mniej więcej tych właśnie słów użyła, zwracając się do Fandorina:

– Co mnie to obchodzi? Niech patrzą. Jest pan moim mężem, a ja pańską żoną. Wypada, żebyśmy wszędzie i zawsze byli razem! Wiem, że nie mam prawa zgłaszać do pana pretensji. Czuję się nieskończenie winna, gdyż poświęcałam panu i naszym relacjom zbyt mało uwagi. Swoją duszę i cały swój czas oddaję sztuce, temu przekleństwu, temu opium, które wysusza moje życie! Ma pan za to prawo okrutnie mnie ukarać, zniszczyć moją reputację!

Znowu eksploatacja „łzawego daru”. Boże, co za nuda...

– Więc czego pani sobie życzy? – przerwał Erast Pietrowicz. – Co ma do tego reputacja?

Teraz Klara naprawdę się rozplakała. Fandorin potrafił rozpoznać prawdziwe łzy – w takich chwilach żona przestawała panować nad mimiką, twarz jej się wykrzywiała i zaczynała przypominać normalną, ludzką. Ale czasy, kiedy Erasta Pietrowicza poruszały te rzadkie chwile naturalności, dawno minęły. W dodatku doskonale rozumiał, z jakiego powodu Klara teraz posmutniała – poczuła, że jej czary już nie działają.

– Przestał pan mnie kochać – chlipnęła. – Stał się pan całkiem obcy... Nie obchodzę pana.

– Czego pani sobie życzy? – powtórzył, zaczynając się domyślać powodu całego melodramatu. – Żebym jutro towarzyszył pani u tego pani d-dobroczyńcy?

– On nie jest moim dobroczyńcą! Nic podobnego! Ale od tego człowieka zależy los filmu, w który zainwestowałam cały swój talent. O, błagam pana! – Złożyła ręce w głupim geście, którego używa się tylko na scenie, ale nigdy w prawdziwym życiu. – Wiem, jak pan nie lubi tłumnych przyjęć. Ale niech się pan tam przynajmniej pokaże! Niech pan nie robi ze mnie obiektu plotek! Nie ma nic gorszego niż rola żony, którą pogardza własny mąż!

– Dobrze. P-przyjedziemy jednocześnie, a potem się pożegnam.
Klara zamruwała. Nie spodziewała się tak szybkiego zwycięstwa.

– Nie rozmyśli się pan?

– Nie.

Łzy momentalnie wyschły. Twarz rozjaśniła się w zwycięskim uśmiechu.

Jest pewna, że znalazła nowy klucz do mojego serca: jeśli trochę popłacze, owinie mnie wokół palca. No i niech sobie tak myśli.

*

– Po co mamy tam jechać? – zapytał Masa, kiedy Fandorin pożegnał się z Klarą. Japończyk stał oczywiście z tyłu i podsłuchiwał.

– Żeby się poważnie rozmówić z Szubinem. Skoro Odyseusz i tak wie o moim przyjeździe, nie ma sensu konspirować się przed osobą, która może się okazać użyteczna. T-trzeba się dowiedzieć, czy w policyjnych dossier nie figuruje jakiś kulawy mężczyzna z Czarnego Miasta. Interesuje mnie jeszcze jeden inwalida: jednoręki, ale świetnie władający kindżałem i karabinem.

W ich stronę podążał Leon Art, ubrudzony dymem prochowym, ale bardzo zadowolony.

– Zdążyliśmy – oznajmił uroczyście. – W Baku słońce zachodzi bardzo nagle, ale w porę złapaliśmy światło!

Rzeczywiście, słońce, jeszcze minutę wcześniej oświetlające Stare Miasto miodowym blaskiem, skryło się za dachami i od razu, bez chwili zwłoki, zapadł błękitny zmierzch.

– Broń z rekwizytorni? – zapytał reżyser, spoglądając na karabin w dłoni Japończyka. – Jakaś nieciekawa. Mam nadzieję, że nie znalazła się w kadrze.

Masa odwrócił się nieuprzejmie, ale Leon nie zauważył afrontu.

– Amerykanie mogą się od nas uczyć! To nie jest jakiś żalony *Napad na pociąg!* – Art objął szerokim gestem wielbłądy, konie, statystów. – Oto co znaczy prawdziwy rozmach! Oto co znaczy prawdziwy *action film!*

Rozmowa z diabłem

Mężczyzna zaprzętający wszystkie myśli Fandorina znajdował się w tym czasie kilka kilometrów od Baku, w pustym domu.

Pusty był nie tylko dom. Wszystkie okoliczne dzielnice świeciły pustkami, odkąd zbankrutowała rafineria ropy naftowej Mursalijewów, znajdująca się w tej części Czarnego Miasta. Hale zamarły, magazyny zamknięto, baraki robotników opustoszały. Właściciel

domu, kulawy Hasan, pozostał jedynym mieszkańcem tego martwego miejsca, pracował jako stróż fabryczny.

Znakomity lokal konspiracyjny, po prostu doskonały.

Mężczyzna leżał na wgniecionej pryczy, założywszy ręce pod głowę. Ustawiczny smog powodował, że w Czarnym Mieście ściemniało się jeszcze szybciej niż w Baku. Przed chwilą okno było jasnoszare, a już stało się czarne. Nocą zadymione powietrze przerzedzi się, zaczną migotać gwiazdy, ale na razie w ciemności żarzył się tylko ogieniek papierosa.

Na parapecie, między otwartymi skrzydłami okna, spacerował wróbel.

Naprzeciwko łóżka wyłaniał się z mroku niewyraźny zarys krępej, zgarbionej sylwetki – usadowił się tam na krześle wieczny rozmówca leżącego mężczyzny.

– Co, niebiański ptaku, pogadamy?

Wróbel jak gdyby nigdy nic postukiwał dziobem. Po pierwsze głos nie do niego się zwracał. Po drugie żadnego głosu nie było.

Mężczyzna na łóżku rozmawiał sam ze sobą. W myślach. Zadał pytanie, po czym odpowiedział na nie bezgłośnie:

– Czemu nie, rogaty. Dopóki nie zjawi się Krab, możemy pogawędzić.

Na oparciu krzesła wisiała kurtka. Mężczyzna celowo ją tam umieścił – żeby miał z kim porozmawiać.

Dialog z wyimaginowanym biesem dawno wszedł mu w nawyk. Pomagało mu to przefiltrować myśli.

Psychicznie mężczyzna był absolutnie zdrowy, nie cierpiał na schizofrenię, nie dręczyło go wewnętrzne rozdarcie, do postaci Iwana Karamazowa i twórczości Fiodora Dostojewskiego podchodził z humorem. Ale pomysł rozmowy z mądrym, szyderyczym, krytycznie nastawionym oponentem był produktywny. Zawsze warto poddać swoje poglądy i plany sceptycznej próbie. W diabła, jak i w Boga, mężczyzna oczywiście nie wierzył, jednakże alegorię anioła - rewolucjonisty, który postanowił obalić niebiańską monarchię, traktował z aprobatą.

Ostatnie tygodnie okazały się ciężkie, nie miał kiedy odpocząć, zebrać myśli. I właśnie trafiła się chwila, żeby pogawędzić z mądrym cz... – omal nie pomyślał „człowiekiem”. Mężczyzna na pryczy cicho się roześmiał.

– Po kiego licha powlokłeś się do Jałty? – z wyrzutem rzekł diabeł. – Potrzebny był ci ten kundel Spiridonow jak dziura w moście! Po co się narażałeś przed czekającym cię wielkim wyzwaniem? Nie wstyd ci, Dziecioł?

Dzięciołem nazywali mężczyznę z papierosem ci, którzy wiedzieli, czym naprawdę się zajmuje. Zawsze, od wczesnej młodości, wybierał tylko ptasie przezwiska. Lubił ptaki. Ponieważ umieją latać. A obecny pseudonim wywodził się z pięknego, choć mało znanego powiedzenia: „Dzięcioł nawet dąb wydrąży”.

– Wyszedłeś po tym wszystkim na głupca – dodała postać. – Zostawiłeś ślady i musisz teraz wypić piwo, którego nawarzyłeś.

W życiu nikt nie ośmieliłby się rozmawiać z Dzięciołem tak napastliwie. Diabeł był złośliwy jak osa. Ale rozsądny. Nierzadko podsuwał sensowne rozwiązanie. Innego rozmówcy, z którym można by pogadać od serca, mężczyzna o ptasim przezwisku nie miał. I bardzo dobrze. Pewien egzaltowany poeta powiedział, że żaden człowiek nie jest samotną

wyspą. A Dzięcioł myślał o sobie, że jest właśnie wyspą. W dodatku dużą. Tak dużą, że można ją wziąć za kontynent. Taki jak Australia. Albo nawet większy.

Co to jest wyspa? Twierdza ze wszystkich stron otoczona przez nierozumną, słabą i pulsującą masę.

– A idźże ty – odparł Dzięcioł. – Każdy człowiek pracy ma prawo do odpoczynku. O to właśnie walczymy. Wszystko przygotowałem, pozostaje tylko czekać. No dobrze, pojechałem, rozerwałem się. I co w tym złego?

– Polujesz na Słonia, a pogońłeś za myszą. Głupio.

– Za to przyjemnie. Nabrałem chęci do działania.

Lekkomyślny dialog został przerwany.

Całe życie Dzięcioła było podporządkowane jednemu wielkiemu celowi. Z nikim poza diabłem nigdy o tym nie rozmawiał. Ale często myślał. Prawie bez przerwy.

Jeszcze w dzieciństwie zobaczył w zwierzyńcu ogromne, brzydkie, bezmyślne zwierzę. Słoń był gigantyczny, a chłopiec mały. Ale chłopiec wyciągnął palec, zmrużył oczy i „Paf!” – wyobraził sobie, że olbrzym pada, machając w powietrzu grubymi jak kłody drewna nogami.

Polowanie, któremu Dzięcioł poświęcił tyle lat, zbliża się do końca. Słoń jest skazany, nie ma szans na ocalenie. Kierownictwo partyjne nadało operacji romantyczną nazwę „Z ciemności do światła”, natomiast po cichu Dzięcioł ochrzcił ją mianem „Polowanie na Słonia”.

Zębate kółeczka zahaczają jedno o drugie, stukają młoteczki – wszystko działa jak mechanizm w zegarze. Do rozwiązania pozostało ostatnie zadanie, najbardziej zawile: co począć z ochroną? Dopóki nie znajdzie się pomysł, nie można wydać rozkazu.

Myśl, głowo, myśl!

Ech, pomocników nie brakuje, ale w najważniejszej sprawie można liczyć tylko na siebie. Zawsze tak było.

Kiedy po klęsce rewolucji skierowano go na Zakaukazie, zadanie partii brzmiało: zorganizować finansowanie. Na tym krańcu imperium krążą ogromne pieniądze, a policyjna łapówka jest mniejsza niż w centrum. W tamtych czasach stawiano głównie na ekspropriacje: okraść parostatek, obrobić bank i takie tam kozackie sztuczki. Hałasu przy takim finansowaniu było sporo, a korzyści niewiele. Najgłośniejsza akcja, napad na karete tyfliskiego urzędu skarbowego w 1907 roku, przyniosła ćwierć miliona, a ile pożytku? Numery zrabowanych banknotów rozesłano po całej Europie i wielu towarzyszy wpadło na tych znaczonych pieniądzech.

Dzięcioł prędko się zorientował, że problem trzeba rozwiązać inaczej. Po cichu, bez zamieszania, bez policyjnych nieprzyjemności. Idealny przyczółek to nie Tyflis, lecz Baku. Właśnie tutaj bije i rozpryskuje się na wszystkie strony najpotężniejsza piętężna fontanna – tylko podstawić wiadra. A w dodatku jest tu niewyczerpane źródło rewolucyjnej kadry: gorąca ludność turkijska, płomienni Ormianie, bojowy proletariat. Plus niebagatelny czynnik – zapasiona, ugodowa policja.

Stopniowo ukształtował się system wygodny dla wszystkich, a tym samym trwały. Opierał się na „dobrowolnych wpłatach” dużego kapitału. Biznes naftowy jest przecież tak nietrwały – wystarczy jedna zapałka i z intratnego przedsiębiorstwa zostają zgliszczka. To tylko jedna

z metod, są też inne, nie mniej dochodowe.

Który to już rok całą partię tak naprawdę utrzymywał jeden Dziecioł myśliwy. Z niewyczerpanego bakijskiego źródła płynęły na wszystkie strony strumyczki pieniędzy, od Pitra do Władywostoku, od Archangielska do Zurychu. Wydajny i rentowny interes funkcjonował bez zarzutu. Żyj sobie i nie przejmuj się. Pytanie tylko, w imię czego. Całą tę bandycką (bo jaką inną?) działalność tłumaczył i usprawiedliwiał jedynie wielki cel: obalić Słonia. W przeciwnym razie Dziecioł byłby zwyczajnym przestępcą i szantażystą, hersztem przestępczej szajki. A ze Słoniem jest przywódcą myśliwych.

– Naganiacze nie wystawią cię do wiatru? – Diabeł przerwał milczenie. – Parszywych masz jegrów, przyjacielu.

Co prawda, to prawda. Z pomocnikami więcej problemów niż z policją. Dawno wiadomo, że kiepski sojusznik jest gorszy od wroga. Kłopoty sprawiają byli jednopartyjni eserzy, mieńszewicy, nacjonaści, a zwłaszcza zbzikowani anarchiści. Jedynie bolszewicy są do rzeczy. Pozostali mają w głowie sieczkę.

Nie szkodzi. Dziecioł przywykł do pracy z „inwalidami”. W Baku kalek jest zatrzesienie. Takie to już miasto, nienasycone – jednemu rękę urwie, innemu nogę. Kalectwo w pracy to najlepsza agitacja przeciwko kapitalistycznemu wyzyskowi. Ale pod pojęciem inwalidy Dziecioł rozumiał nie osobę kulawą czy bezręką, ale pozbawioną rozumu. Och, ilu takich się znajdzie w rewolucji! Najrozmaitszych odcieni, od bladego różu do głębokiej czerwieni przechodzącej w czerni. Mnóstwo czasu i sił pochłania budowanie relacji pomiędzy uczestnikami polowania. Ormiańscy „mauzerowcy” gryzą się z turkijскими Robin Hoodami, nadęci eserzy uważają, że oni są najważniejsi, ponieważ mają poparcie transportowców, mieńszewicy do wszystkiego się wtrącają i ni cholery nie wezmą się do roboty, idioci anarchiści nie zamierzają się nikomu podporządkować.

Tak, jegrzy są bezmyślni i niezorganizowani. Ale jakoś udało się zebrać ich razem. Większość nawet się nie domyśla, kto jest celem polowania.

– Tych, którzy płaczą się pod nogami, sprzątniemy. Żeby nie popsuli wszystkiego – obiecał Dziecioł rozmówcy.

– Nie wątpię. Przyznaj jednak, że z Jałtą pokpiłeś sprawę. Przywlokłeś na ogonie rzep, który nazywa się Fandorin.

– Masz rację. Ale błąd można łatwo naprawić. Ten słowik lubi śpiewać solo, czyli że nie jest szczególnie niebezpieczny. Choroba każdej zgniłej władzy polega na tym, że spycha utalentowanych ludzi na pobocze. Z pojedynczym osobnikiem, nawet bardzo sprytnym, nietrudno sobie poradzić.

W tej samej chwili na zewnątrz, niedaleko, huknęły dwa rewolwerowe strzały. Był to umówiony sygnał. W Czarnym Mieście, w dodatku nocą, można się nie przejmować – nikt się nie zdziwi, słysząc strzelaninę.

Dziecioł poweselał. A jednak okazuje się, że denerwował się z powodu „słowika”. A raczej dlatego że jego bakijskie wakacje zagroziły polowaniu na Słonia.

– Co ci mówiłem? – Dziecioł się roześmiał i spuścił nogi z łóżka. – Oto i Krab. To znaczy, że Fandorina już nie ma.

Na sygnał należało odpowiedzieć strzałem.

Dziecioł wyjął spod poduszki mauzera, uniósł rękę. Z wróbla zostały tylko piórka.

To dlatego że Dzięcioł miał już dosyć tego stukania.

Bankiet w Mardakanie

– Przyszedł mi do głowy pomysł, na który nikt jeszcze nie wpadł! Świat będzie szoke! Po sukcesie *Kalifa* będę mógł sobie pozwolić na wszystko! Nawet na film o cuchnącej mazi!

Przez całą drogę od hotelu Simon nie przestawał mówić. Zajął miejsce obok Fandorina i Masy w ich sfatygowanym kabriolecie, na samym końcu orszaku ciągnącego podmiejską szosą. Z przodu jechała luksusowa czarna limuzyna, potem trzy demokratyczne fordys, a daleko z tyłu otwarty przedpotopowy parsifal. Nic lepszego nie udało się wypożyczyć. Ceny w mieście były zawrotne. Jeśli w Moskwie, a nawet w Europie, Erast Pietrowicz czuł się osobą dobrze sytuowaną, to w Baku jego majątek uznano by za nader skromny.

Pięćset rubli za tygodniowy wynajem wehikułu, który wyciąga zaledwie czterdzieści kilometrów na godzinę! Baku było bez wątpienia najdroższym miastem imperium. A może i całego eurazjatyckiego kontynentu. Jeśli w centralnych guberniach osoba posiadająca sto tysięcy uchodziła za bogatą, to w tym naftowym eldorado zamożność zaczynała się od miliona, a milionerów na Półwyspie Apszerońskim mieszkało mniej więcej tylu, ilu w całej pozostałej Rosji.

Z obu stolic zlatywali się tu jak pszczoły do miodu adwokaci, inżynierowie, restauratorzy, kupcy, artyści, profesjonalne piękności. Fandorin przeczytał w gazecie, że bakijski burmistrz otrzymuje niesłychanie wysoką pensję – pięciokrotnie wyższą niż tyfliski, chociaż stolicą namiestnictwa kaukaskiego nie było Baku, lecz Tyflis.

Okazało się, że i proletariat zarabia tu całkiem nieźle. Jako tako wykwalifikowany robotnik dostawał na wieży wiertniczej albo w kopalni ropy naftowej minimum sześćdziesiąt rubli – jak radca tytularny na rosyjskiej prowincji. A robotnicy jeszcze strajkowali, żądali więcej!

Parsifal sapał astmatycznie, podskakując na wybojach. Kurz kłębił się nad kiepską drogą, osiadał na szklach gogli samochodowych, na płaszczu, którym Fandorin przezornie okrył swój biały smoking. Słońce stało w zenicie, jego ciężkie promienie lały się pionowo niczym wrzący syrop. Rozsądniej byłoby oczywiście wziąć zakryty automobil, ale Erast Pietrowicz wybrał kabriolet umyślnie – wiedział, że żona będzie się bała zniszczyć sobie fryzurę.

Tak też się stało. Klara i Leon Art pojechali przysłanym przez stryja rolls-royce'em, pozostali zaproszeni członkowie ekipy filmowej wsiedli do fordów, a Fandorin, Masa i towarzyszący im *producteur* łykali kurz na samym końcu kolumny.

– Firm o ciuchnącej mazi? – Masa się zainteresował. – A cieniura psiepuści?

– Mam na myśli ropę naftową. – Simon pokazał na widniejące w dali wieże szybów naftowych Czarnego Miasta (tędy wiodła droga do terenów lotniskowych).

– Jeszcze żadnemu filmowcowi nie wpadło do głowy, żeby się zainteresować tą lepką, tłustą, brudną mazią! A ja się tu napatrzyłem i nasłuchałem tylu rzeczy! Ękruajabl! O, to znacznie bardziej widowiskowe niż wydobywanie złota! Co za namiętności, co za przestępstwa! Feerik, fantastik! Jakie tematy, jakie postaci! Aż się proszą na ekran! Tylko ludzie z żelaza mogą prowadzić naftowy biznes. Słabeusze nie przetrwają. Opowiedziano mi istuar o Aleksieju Iwanowiczu Putiłowie, dyrektorze trzech koncernów naftowych. Nie pozwolił na małżeństwo córki z młodym mężczyzną, którego kochała. Biedaczka połknęła arszenik. Ukochany w dzień pogrzebu zastrzelił się pod jej drzwiami. I wu sawe, jak zareagował Putiłow? Powiedział: „Brakowało nam tylko taniego melodramatu”. Nieźle, prawda?

– N-niegodziwie – odparł Erast Pietrowicz, przyhamowując, żeby przejechać przez rurę wkopaną w poprzek drogi.

– A według mnie gotowy film! Albo drugi człowiek z żelaza, dyrektor departamentu górnictwa Salkowski. Mecenas baletnic, swój człowiek na Riwierze. Staraniem Rothschildów dostał order leżią doner. Bez Salkowskiego rząd nie podejmie żadnej ważnej decyzji. Wesoły z niego jegomość – bezproblemowy, czarujący, niczego się nie boi! Swego czasu otrzymał propozycję łapówki: „Zapłacimy panu dwadzieścia tysięcy i gwarantujemy pełną poufność”. A on na to: „Dajcie lepiej czterdzieści i opowiadajcie, komu chcecie”. Toż to człowiek zrobiony ze stali Kruppa!

– W naszym imperium takich ze stali jest całe mnóstwo – zauważył Fandorin, znowu hamując, tym razem przed przejazdem wąskotorowym, za którym zaczynał się zadymiony rejon kopalni odkrywkowych.

Tutaj na skrzyżowaniu mieścił się cyrkuł, który jak gdyby chronił „czyste” dzielnice przed piekłem sięgającym samego Baku. Przedtem w pociągu Erast Pietrowicz, zajęty dziennikiem, nie przyjrzał się Czarnemu Miastu. Teraz nadarzyła się sposobność.

Nawet na słynnych polach naftowych Teksasu nie widział nic podobnego. Tutaj naprawdę wszystko było czarne: ściany budynków fabrycznych, magazynów i baraków, okrągłe boki cystern, wieże wiertnicze. Czarna była ziemia, po której

we wszystkich kierunkach wiły się niczym czarne węże niezliczone rury. W powietrzu unosiły się płatki sadzy i kopcia. Za to kałuże były bardzo ładne, mieniły się intensywnymi tęczowymi barwami i przypominały masę perłową – było w nich więcej ropy niż wody.

Pewnie tak będzie wyglądać planeta, kiedy chciwi przemysłowcy zapełnią fabrykami każdy skrawek przestrzeni, niszcząc całą zielen, pomyślał Erast Pietrowicz. Nie będzie czym oddychać i życie wyginie. Wszystko stanie się takie właśnie: czarne i martwe.

– Dlaczego większość budynków jest p-pusta? – zapytał. – Myślałem, że w Baku trwa boom naftowy, a tu prawie nie widać ludzi. Połowa wież nie pracuje. To z powodu strajku?

– Nie tylko – odrzekł Simon. – Wie pan, jak to wszystko działa? Gdy skończy się na działce ropa, cała okolica pustoszeje. Albo ktoś zbankrutuje. Tutaj często dochodzi do bankructw. No i strajk, bię siur.

Jednakże z prawej strony szosy ukazała się fabryka, w której praca szła pełną parą. Kominy energicznie kopciły, ku wysokim ścianom biegingy ze wszystkich stron rury – zarówno po ziemi, jak i w powietrzu, na wspornikach. Prawdopodobnie z lotu ptaka fabryka (no bo co innego?) przypominała pająka rozciągającego gęstą pajęczyngę.

Simon sięgnął jednak po inną metaforę:

– To serce Czarnego Miasta. Przepompownia państwowego ruropociągu naftowego. Pompuje ropę ze wszystkich rafinerii i przesyła do głównej rury. Imagine: ropa płynie stąd przez niemal tysiąc kilometrów do samego Batumi. Cała Rosja i cała Europa z niej żyje.

Państwowego? Teraz wiadomo, dlaczego przed bramą stoją żandarmi, a na rogach znajdują się wieże wartownicze. Najbardziej dochodową część produkcji ropy przejęło państwo. To chyba słusznie. Dzięki temu można się nie obawiać strajków. W Rosji w przedsiębiorstwach państwowych nikt nie strajkuje.

Ruszyli w dalszą drogę. Teraz z obu stron, blisko, wznosiły się jedna za drugą wieże wiernicze. Fandorin zobaczył, jak w czarnej kałuży pod samymi wspornikami drewnianej piramidy krzątają się przygarbieni, od stóp do głów utyłani ludzie. Stali rządem i podawali sobie ciężkie wiadra, których zawartość przelewali do dużej beczki.

– Za taką pracę sześćdziesiąt rubli miesięcznie to raczej mało – powiedział Erast Pietrowicz, przypomniawszy sobie, jak jeszcze niedawno dziwił się chciwości bakijskich robotników. – Ja też bym z-zastrajkował.

– Ci nie strajkują. Sześćdziesiąt rubli też im nikt nie płaci. Dobrze, jeśli dostają pół rubla dziennie. Widzi pan, wieża jest stara, rozlewnicza, nawet bez świdra.

W takich warunkach pracują obecnie tylko Persowie. – Simon się wzdrygnął. – Brr, teribl! Nie widzi pan jeszcze tych, którzy wybierają ropę na dole w szybie. Słyszałem, że wielu się topi w lepkiej mazi. Nikt ich nie wydobywa, nie urządza pogrzebu. Żeby się nie tłumaczyć przed policją.

Fandorina przeszył zimny dreszcz, gdy spojrział na koszmarną scenerię, niemal żywcem wyjętą z *Piekła* Dantego.

Prawa zysku są nieubłagane. Po co płacić więcej, po co inwestować pieniądze w poprawę warunków pracy, jeśli byle jakie zajęcie to dla zwykłego człowieka szczęście? Ile jest w imperium fabryk i kopalń, w których sytuacja wygląda tak samo albo niewiele lepiej? Państwo, które powinno zmuszać właścicieli, żeby traktowali pracowników po ludzku, lekceważy tę misję, a w razie konfliktu z całą mocą staje po stronie kapitalisty. To wszystko nie skończy się dobrze...

W cuchnącej atmosferze Czarnego Miasta upał stał się jeszcze dokuczliwszy.

– To dosyć dziwne, żeby urządzać raut w środku dnia, gdy mieszka się w gorącym k-klimacie – z niezadowoleniem zauważył Erast Pietrowicz. – Wieczorem przynajmniej słońce by nie prażyło.

Simon odparł z uśmiechem:

– Niech się pan nie martwi. W willi Miesropa Artaszewa będzie chłodno.

– Jak to m-możliwe? Przed zimnem chroni ogrzewanie, ale przed upałem trudno szukać ratunku. Chyba że znajdzie się cień. Ale tutaj nawet drzew nie ma. Na tej ziemi przesyconej ropą i solą nic nie rośnie!

– Jak dojedziemy do Mardakanu, przestanie się pan dziwić. To paradi. Nauczono się tam pokonywać upał. Wie pan, co wymyśliła spółka Nobla? Założyła dla służących osadę, gdzie latem w domach jest zawsze dwadzieścia stopni. Zimą zwozi się z gór setki tysięcy ton lodu, pakuje do specjalnych piwnic i doprowadza rurami zassane przez kompresor zimne powietrze. A u Artaszewa jest jeszcze ciekawiej. Sądzę, że nigdzie na świecie nie ma czegoś takiego.

Kawalkada wyjechała na równinę. Nie było tu fabryk i zakładów, ale wieże szybów naftowych nadal wznosiły się z obu stron, choć nie tak gęsto. Kwadrans później na horyzoncie pojawił się ciemnozielony pas.

– Oto i Mardakan. Ropy tam nie ma, tylko same drzewa. I bryza, bo z drugiej strony jest morze. Wszyscy poważni bakijczycy mają tu szale albo szato.

* * *

Można było odnieść wrażenie, że auto nie oddaliło się od miasta o dwie dziesiątki wiorst, ale przeniosło z jednej strefy klimatycznej do drugiej – z pustyń w subtropiki. Ulice były cieniste, świeże powietrze przepelniała woń kwiatów,

nawet słońce jak gdyby złagodniało i stało się delikatniejsze – nie piekło już i nie oślepiało, tylko głaskało promieniami i mrugało przez gęste listowie.

Karawana zatrzymała się przed wspaniałą pozłacaną bramą – takiej nie powstydziliby się nawet pałac Buckingham. Wzdłuż ażurowego ogrodzenia jak okiem sięgnąć stał rząd drogich samochodów i lakierowanych land. Gdzieś niedaleko orkiestra światowej klasy grała walca wiedeńskiego. Na gałęziach akacji paliły się różnokolorowe lampiony, co przy dziennym świetle było raczej zbyteczne.

– Oto jak mieszka Miesrop Artaszew – oznajmił Simon z taką dumą, jakby cały ten przepych stworzył własnymi rękami.

– P-przypomina zjazd pospolitego ruszenia. – Fandorin z ciekawością przyjrzał się mężczyznom stojącym grupkami koło automobili. Byli to osobnicy o groźnym wyglądzie: jedni w czarnych karakułowych czapkach i aksamitnych kamizelkach ze srebrnymi guzikami, drudzy w czerkieskach i szarych papachach, jeszcze inni w białych beszmetach, i wszyscy uzbrojeni po zęby. – Co to za abrekowie?

– Ochroniarze. Tutaj, Eraście Pietrowiczu, bez tego nie da rady. Zauważył pan, jak nas pilnowano podczas zdjęć w Starym Mieście? Miesrop Karapietowicz przysłał swoich ludzi na wszelki wypadek.

Fandorin starł z twarzy kurz uperfumowaną chusteczką, po czym przejrzał się w podróżnym lusterku.

– A czemu mają t-takie srogie miny? Jakby zamierzali lada chwila urządzić strzelaninę.

– Se tużur kom sa, już przywykłem. Ci z drewnianymi kaburami to ochroniarze ormiańskich milionerów. A ci ze skórzanymi – muzułmańskich nafciarzy. Ormianie lubią mauzery, a Turkijczycy rewolwery. I jedni, i drudzy to okropni zbóje, nie znoszą się wzajemnie. Ale rzezi nie urządzają. W każdym razie dopóki ich szefowie żyją ze sobą w zgodzie.

Po czerwonej piaszczystej ścieżce, w ślad za pozostałymi, goście skierowali się ku dużemu domowi w stylu tokańskim, ale przed wejściem wszyscy skręcili w prawo – w głąb parku.

– D-dlaczego nie wchodzimy do środka?

– Do domu udamy się wieczorem, kiedy się ochłodzi. Tam odbędzie się bankiet i bal. A dopóki świeci słońce, całe towarzystwo zostanie na dole.

– To znaczy gdzie?

Simon uśmiechnął się zagadkowo.

– Takich rzeczy jeszcze pan nie widział. Żame.

Teraz stało się jasne, że orkiestra gra gdzieś za szpalerem gęsto rosnących tuj. Dźwięk był dziwny, jakby płynął z wnętrza ziemi. Słyszać było również plusk

wody. Erast Pietrowicz przypuszczał, że za żywym ogrodzeniem znajduje się staw albo fontanna.

– Będę tutaj ciekar na pana. – Masa sztywno się uklonił.

Fandorin przywykł do dziwactw swojego pomocnika, więc nie oponował. Jak chce, niech czeka. Z punktu widzenia Japończyka wasal ma obowiązek towarzyszyć panu do miejsca podniosłej uroczystości, a sam pozostać na zewnątrz. Nie chodzi tu o pokorę, wręcz przeciwnie – to przejaw piekielnej pychy. Nie ma bardziej wyniosłych i pewnych siebie służących niż Japończycy i Anglicy. Według nich każdy człowiek powinien być dumny z zajmowanej pozycji. Pewien brytyjski kamerdyner przyznał się kiedyś Erastowi Pietrowiczowi, że pod żadnym pozorem nie zamieniłby się losem ze swoim lordem. W Japonii wielu samurajów z pewnością powiedziałoby to samo.

– Pamiętaj, żebyś był uprzejmy wobec tutejszych zbirów, b-bo wiem, że będzie cię korciło. – Fandorin pogroził Masie palcem. – I nie zaczepiaj panien służących. To wschód, z tym nie ma żartów.

Japończyk z godnością się odwrócił.

Dróżka skręciła i przywiodła gości do bramy powitalnej, którą oplatały pachnące róże.

Erast Pietrowicz przeszedł przez bramę i zamarł. Przed nim ziała pustka, z której dobiegały dźwięki muzyki, śmiechy, głosy i szmer wody.

Po wewnętrznym obwodzie żywego ogrodzenia biegła wąziutka ścieżka okolona balustradą, a cały środek zajmował wykop o głębokości jakichś trzydziestu czy czterdziestu metrów. Z górnego podestu schodów rozpościerał się fantasmagoryczny widok: w dużym basenie o rozmiarze pięciu albo sześciu kortów tenisowych biła podświetlona fontanna, a wokół niej pływało kilka śnieżnobiałych łódek podobnych do łabędzi. Brzegi zbiornika tonęły w cieniu, gdzie przechadzało się lub stało w grupkach wielu gości. Simon miał rację: takiego kardynalnego sposobu walki z upałem Fandorin nigdy przedtem nie widział, choć objechał cały boży świat. Trudno było sobie wyobrazić, nawet w przybliżeniu, jaką sumę gospodarz wyłożył na to dziwactwo.

Można tam było zjechać windą podobną do pozłacanej bombonierki, ale przed kabiną ustawiła się kolejka aktorów, więc Erast Pietrowicz wolał skorzystać ze schodów.

Na dole, w rogach esplanady wyłożonej różnobarwnymi marmurowymi płytami, znajdowało się kilka podestów: na jednym grała orkiestra, na drugim mieścił się bufet, na trzecim stoły do gry w karty, na czwartym kanapa z kalianami. Z każdą kondygnacją (było ich osiem) upał doskwierał coraz mniej, a na dole zrobiło się

nawet chłodno. Wysokie ściany wykopu były otynkowane i pokryte freskami z wizerunkami rajskich przybytków. Za trzema aksamitnymi draperiami znajdowały się prawdopodobnie groty wykute w skale. Na lewej portierze widniała dama w krynolinie, na prawej dżentelmen w cylindrze (aha, jasne), na środkowej zaś pysznił się herb z szybem naftowym w otoczeniu heraldycznych zwierząt.

Fandorin zatrzymał się na najniższej kondygnacji. Oczy przyzwyczyły się do półmroku, więc mógł się teraz należycie przyjrzeć zebranym.

Publiczność była różnorodna, w połowie europejska, a w połowie wschodnia. Mundury i smokingi przeplatały się z czerkieskami, blask epoletów z iskrzeniem złotych gazyrów^[4] i rękojeści kindżałów. Damy również wyglądały rozmaicie: większość miała na sobie wydekoltowane suknie z obnażonymi ramionami, ale były też kobiety w strojach azjatyckich, niektóre nawet z zasłoniętymi twarzami.

Nagle przez tłum przetoczyła się fala. Wszyscy obrócili się w stronę windy, z której z czarującym uśmiechem wysiadła Klara w towarzystwie Leona Arta. Miała na sobie wąską srebrzystą suknię podkreślającą kruchość figury. Reżyser w czarnym fraku, z rozsypanymi na ramionach włosami i orchideą w klapie również był piękny jak malowanie.

Ładna para, pomyślał Fandorin. Po co im ten trzeci? Prędzej by już...

Na spotkanie gościa honorowego, rozdając po drodze ukłony, toczył się grubasek z błyszczącą łysiną okoloną wianuszkiem nienaturalnie czarnych włosów.

– Erast, Erast! – Klara zaczęła się rozglądać z rozbrajającą bezradnością. – Proszę państwa, jestem dzisiaj z mężem. Ach, oto i on! Pozwólcie, że przedstawię: Erast Pietrowicz Fandorin.

Wszyscy wlepili wzrok w szczęśliwego małżonka gwiazdy, a on, zgrzytnąwszy zębami, zszedł po stopniach.

– Po co mi się k-kłaniasz? – z rozdrażnieniem zapytał Simona.

– Żeby wszyscy widzieli, jaka ważna z pana figura – szeptem wyjaśnił *producteur*. – Inaczej nie będą szanowali.

– Na co mi ich szacunek...

Jednakże trzeba było zaprzestać zrzędzenia. Do Erasta Pietrowicza zbliżyła się Klara, ze wzruszającą małżeńską troską poprawiła mu kołnierzyk (i tak nienaganny), pocałowała w policzek. Rolę kochającej żony odegrała kilkoma oszczędnymi ruchami, jak nakazuje metoda Stanisławskiego.

Spotkanie ekipy filmowej z dobroczyńcą i mecenasem przypominało audiencję u cesarza. Leon Art pierwszy podszedł do stryja. Za nim Erast Pietrowicz z małżonką i Simon, przez szacunek trzymający się nieco z tyłu. Później pierwszy operator, dwaj aktorzy, którzy wczoraj wykonywali rolę głównego asasy

i głównego mameluka. Inni stanęli w półkołu i wymienili ukłony z daleka.

Znalazłszy się twarzą w twarz z wielkim Miesropem Karapietowiczem, Fandorin poczuł mglisty niepokój i nie od razu odgadł jego przyczynę. Nie chodziło przecież o bogactwo bakijskiego Krezusa. Ani o badawcze spojrzenie małych, czarnych, błyszczących jak jagody kiszmiszu oczek, które wpiły się w twarz Erasta Pietrowicza, zerknęły na bratanka, Klarę i znowu spoczęły na Fandorinie, teraz już na dobre.

Niziutki, okrągłutki, z mięsistymi, dużymi wargami, z mnóstwem pierścieni na palcach, pan Artaszew wyglądał jak postać z operetki. Typ komicznego grubasa. Skąd zatem odczucie dyskomfortu?

Nagle Erast Pietrowicz zrozumiał, co je powoduje. Razem z przemysłowcem tworzyli, na zasadzie kontrastu, arcykomiczną parę. Jeden okrągły jak piłka, drugi wysoki jak tyczka grochowa; jeden ma czarne włosy i siwe brwi, drugi siwe włosy i czarne wąsy; jeden ubrany w czarną jedwabną marynarkę i białe spodnie, drugi, na odwrót, w białą marynarkę i czarne spodnie. Pozytyw i negatyw. Pat i Patachon.

Fandorin poczuł nieprzepartą chęć, by jak najprędzej się oddalić, zanim wszyscy dokoła zaczną się krztusić ze śmiechu. Najpierw jednak musiał dopełnić nieodzownego rytuału uprzejmości.

– Lewonczik-dżan! – zawołał Artaszew, nie odrywając wzroku od Fandorina.

– Ach, świetnie się spisałeś, przywożąc drogich gości.

– Stryju, prosiłem, żebyś mnie tak nie nazywał! – Leon Art się uniósł.

– Klaroczka-chanum. – Nie zwracając uwagi na bratanka, Miesrop Karapietowicz ucałował rączkę gwiazdy. – To dla nas święto! Przyjazd pani szanownego małżonka to podwójne święto.

On też czuje się przy mnie nieswojo, zrozumiał Erast Pietrowicz, łowiąc w spojrzeniu magnata niespokojny błysk. Ciekawe czemu? Chyba nie z powodu kolorystycznej inwersji.

– Jaki to zaszczyt, jakie niebiańskie szczęście i dla Klary-chanum, i dla tego domu! Dużo, dużo o panu słyszałem, szlachetny gościu!

Fandorin lekko skinął głową na kwieciste powitanie gospodarza. Wyciągnął smukłą dłoń, którą Artaszew uściśnął dwiema miękkimi rączkami.

– Monsieur Simon również mi o panu opowiadał – podjął uprzejmie Erast Pietrowicz, pamiętając o obietnicy złożonej młodemu mężczyźnie. – Właściwie za jego namową postanowiłem złożyć panu wizytę.

Mógł to powiedzieć bez obaw, ponieważ Klara już odfrunęła. Widocznie rytualna prezentacja małżonka dobiegła końca i mąż nie był jej więcej potrzebny. Aktorkę natychmiast otoczył tłum kawalerów. Leon Art nerwowo potrząsał lokami, groźnie spoglądając na wielbicieli Klary.

Erast Pietrowicz został z nafciarzem sam. Aktorzy i operator energicznym krokiem ruszyli w stronę bufetu. Simon wycofał się z szacunkiem, jakby nie ośmielając się uczestniczyć w rozmowie tak ważnych osobistości. Tylko na odchodne posłał Fandorinowi wymowne spojrzenie, które mówiło: „Liczę na pana!”.

– Jestem pewien, że Simona czeka wielka przyszłość – powiedział Erast Pietrowicz. – Rzadko się myślę w takich sprawach.

– Ja również. – Miesrop Karapietowicz lekko się uśmiechnął. – Ja się nie myślę w żadnych sprawach. Pański *protégé* myśli, że Artaszew chce dogodzić ulubionemu krewniakowi: „Masz tu pieniądze, Lewonczik-dżan, kup sobie zabaweczkę”. Ale ja nie daję Lewonczikowi, tylko monsieur Simonowi. Czemu nie wydać kilku rubelków na dobrą sprawę? Trzysta albo czterysta tysięcy to drobiazg. A może wyjść ciekawy geszeft. Zawsze powtarzam, że nie wolno stawiać tylko na ropę. Mało to się może zdarzyć? Przyjdzie kryzys albo spadną ceny, albo ktoś wynajdzie inne paliwo, albo robotnicy wzniedą duży pożar, jak w dziewięćset piątym. A kino przetrwa. Czyż nie mam racji, mój drogi?

Erast Pietrowicz wzruszył ramionami. W zasadzie mógłby już opuścić gospodarza. Prośba Klary została spełniona, podobnie jak prośba Simona. Pora zająć się własnymi sprawami. Mimo to Fandorin zwlekał – chciał się dowiedzieć, czym można wytłumaczyć te niepokojące ogniki w oczach Artaszewa. Na kogóż on tak nerwowo zerka? Aha, na bratanka i Klarę. Więc o to chodzi! Na wschodzie zazdrośni mężowie bywają niebezpieczni. Erasta Pietrowicza wzięła nagła chętka, by spletać figła. Schyliwszy się, szepnął:

– Niech się pan nie martwi o bratanka. Pani Łunna jest zupełnie wolna.

Miesrop Karapietowicz zamrugał rzęsami i rozdziawił usta. Zadowolony ze swojego wybryku Fandorin chciał się oddalić, ale w tej samej chwili podeszło do nich dwóch Azjatów i przywitało się tak uprzejmie, że musiał im się odkłonić.

Jeden był starszy, z siwą brodą, w obszytym galonami mundurze instytucji dobroczynnej, ze wstęgą i gwiazdą, ze szpadą, ale we wschodniej czapce przypominającej turecki fez. Drugi młody, z bujnymi węsami, w idealnie skrojonym fraku i również w tubylczym nakryciu głowy – perłowszarej papasze. Byli to bez wątpienia muzułmanie.

Pierwszy wyciągnął do Miesropa Karapietowicza obie dłonie (widocznie taki był tutaj zwyczaj), drugi z szacunkiem pocałował gospodarza w ramię. Erast Pietrowicz wiele słyszał o ormiańsko-turkijskiej wrogości, tymczasem powitanie robiło wrażenie nader serdecznego.

– To czcigodny Musa Dżabarow, milion pudów ropy rocznie. – Artaszew pokazał w stronę młodego mężczyzny. A o starszym, przyciskając dłoń do piersi

i zniżając pełen uwielbienia głos, powiedział: – Jego ekscelencja po trzykroć czcigodny Hadzi-aga Szamsijew, dwa i pół miliona pudów.

Wyglądało na to, że w Baku ilość wydobywanej ropy stanowiła coś w rodzaju arystokratycznego tytułu. Pan Dżabarow należał do kategorii „czcigodnych”, to znaczy znajdował się, powiedzmy, w randze barona naftowego, a status „po trzykroć czcigodny” odpowiadał tytułowi markiza albo hrabiego naftowego. Sam zaś Artaszew, sądząc z zachowania muzułmańskich feudałów, był co najmniej księciem naftowym.

Erast Pietrowicz został przedstawiony tonem znaczącym i nieco zagadkowym:

– Pan Fandorin z Moskwy. Wielki człowiek, bardzo mądry. – Gospodarz przewrócił oczami.

Obaj lordowie naftowi nisko się uklonili.

– Jest pan zapewne hojnym filantropem? – z ciekawością zapytał Erast Pietrowicz jaśnie wielmożnego Hadzi-agę. – Słyszałem, że aby otrzymać Annę na wstęde^[5] należy odzłować co najmniej sto tysięcy.

Markiz naftowy figlarnie się uśmiechnął i śpiwnie, z miękkim, przyjemnym akcentem odparł:

– Jeśli Rosjanin, to sto tysięcy. Jeśli muzułmanin, dawaj pół miliona, mniej nie wypada. Ale pieniądze są. Więc czemu nie dać? Być „jaśnie wielmożnym” to duża wygoda.

Staruszek jest sprytny, pomyślał Fandorin, i chyba całkiem niegłupi. Ale i Artaszew, mimo że grubas, nie ma w sobie nic komicznego. Zdaje się, że Simon nie przesadzał, kiedy opowiadał o ludziach z żelaza.

– Taki ze mnie generał jak z osła rumak – ciągnął Szamsijew. – Mój tato był cyrulikiem na bazarze. Strzygł włosy, wycinał odciski, tępił wszy naftą, ale najlepiej mu szło puszczenie krwi. Gdy byłem mały, trzymałem miednicę i wachałem krew. O krwi wiem wszystko. I oto co panu powiem, czterokrotnie czcigodny panie Fandorin. Ropa to krew Ziemi. A my jesteśmy cyrulikami i ją pompujemy. To, jak bije serce Ziemi – wolno czy szybko – zależy od nas.

– Ładni powiedział, muallim! Aj, jak ładni! – zawołał z zachwytem młody przemysłowiec, którego gwara była jeszcze bardziej soczysta i śpiwna. Swoimi czarnymi wypukłymi oczami baron naftowy zerkał przy tym nie na Hadzi-agę, ale gdzieś w bok. – Kriw nie lubi stać w miejscu. Jak chcesz, żeby szybciej pobiegł, zaciśnij. Później znowu puść, aj, jak wesoło pobiegnie!

– Ty także, drogi Muso, ładnie powiedziałaś – pochwalił go Miesrop Karapietowicz. – Dzisiaj, słyszeliście?, moje akcje poszły w górę o cztery procent. Co robi strajk! Ajaj!

Szamsijew pocmokał i westchnął.

– Moje o sześć. Dobrze, prawda? Ropa w ciągu miesiąca podrożała o dwanaście pirocent. Też dobrze. Tylko czy nie za bardzo dobrze, he? Kiedy jest tak dobrze, ogarnia mnie strach. Co zrobimy, jeśli wszystko całkiem stanie? Moje magazyny naftowe niebawem się zapełnią. Będę jadł swoją ropę? Zamiast pić herbatę? My z młody Musa bardzo się denerwujemy, chcemy z tobą pomówić, drogi Miesrop-aga.

Dżabarow denerwował się chyba nie tylko z powodu cen ropy. Erast Pietrowicz odkrył, gdzie z takim zainteresowaniem zerka „młody Musa”. Otóż na Klarę, opowiadając coś dźwięcznym głosem tłumowi adoratorów.

– Ach, co za kobieta! Miliona nie żał za taką kobietę! – Mężczyzna pocałował koniuszki palców.

Artaszew cicho powiedział coś nie po rosyjsku, szeptem. Rzuciwszy wystraszone spojrzenie na Fandorina, baron naftowy poczerwieniał i spuścił oczy.

Sytuacja stawała się zupełnie nie do wytrzymania. Przecież nie wypada podchodzić do każdego i tłumaczyć: „Nie potrzebuję miliona, oddam za darmo. Jeszcze sam dopłacę”.

– Nie będę panom przeszkadzał w rozmowie o interesach. – Erast Pietrowicz lekko się skłonił.

Ropa ropą, Klara Klarą, pora jednak zająć się swoją sprawą. Należało znaleźć jowialnego podpułkownika Szubina, miłośnika bakijskich rozrywek.

Nieśpiesznie przechadzając się esplanadą wzdłuż basenu, Fandorin rychło dojrzał na podeście do gry w karty (wiadomo, gdzie by indziej?) niebieski żandarmski mundur. A nawet dwa.

Przy stole przykrytym zielonym sukniem, na którym leżały rozsypane banknoty i złote monety, stali dwaj oficerowie sztabowi. Wysoki, chuderlawy donośnie o czymś perorował, a gruby, z ogoloną głową potakiwał. Pozostali gracze siedzieli, odłożywszy karty, i również słuchali – z wyrazem najgłębszego szacunku.

Erast Pietrowicz podszedł bliżej.

– ...Poleciłem ogłosić miesiąc walki z łapówkarstwem – z wyniosłą miną oznajmił pułkownik, którego surowa twarz była pocięta bliznami. – Podpisałem zarządzenie, zgodnie z którym w każdym cyrkule zostaną rozwieszane wyjątki z Pisma Świętego piętnujące przekupstwo. Timofiej Timofiejewicz – kiwnął w stronę drugiego żandarma – przygotuje listę środków dyscyplinujących urzędników, którzy przejawiają duchową skłonność do karygodnej chciwości. Teraz, panowie, koniec z łapówkarstwem w miejskiej policji!

– Nie od razu, ale po skończeniu akcji – uściślił drugi. Jego nalana twarz nie drgnęła, ale w oczach mignęła iskierka. – Jeśli takie jest życzenie gubernatora, nikt

nie ośmieli się go zakwestionować.

– Tak, tak, za miesiąc – przytaknął pułkownik.

Fandorin domyślił się, że to właśnie jest Ałtynow, którego w Tyflisie nazywano gorliwym, ale bezmyślnym służbistą. A gruby podpułkownik to bez wątpienia jego zastępca, dzielny Szubin.

Brawo! Znakomite posunięcie! Najwyższy czas! – mówili jeden przez drugiego siedzący mężczyźni.

Gubernator z majestatyczną miną opuścił towarzystwo. Podpułkownik wytarł chusteczką spoconą łysinę – z taką kompleksją było mu gorąco nawet nad basenem.

– Kotofieju Kotofiejewiczu, kontynuujemy? – odezwały się wołania. – Zdaje się, że zaryzykował pan i zagrał *va banque*.

Szubin, istotnie bardzo podobny do utuczonego kota, usiadł na krześle, kiwnął okrągłą głową w ślad za szefem, po czym wymownie przewrócił oczami. Nad stołem przetoczył się śmiech.

– Marniutko wypadnie bakijczykom ów miesiąc – zauważył ten, który wspomniał o *va banque*, i poskrobał paznokciem ogromy brylant na palcu. – Ale do tego jeszcze daleko, a pan, obrońco prawa, zaraz przegra z kretesem.

– To nic, Kotofiej Kotofiejewicz zawsze sobie rekompensuje straty – rzucił wesoło drugi gracz i wszyscy wybuchnęli śmiechem, chociaż sens żartu nie był oczywisty.

Szubin dobrodusznie wymruczał:

– Zobaczmy, zobaczmy. Oto pięć katieniek^[6]. – Wyłożył sturublowe banknoty jeden obok drugiego. – Kto chce sekundować?

Erast Pietrowicz nie znał zasad gry, ale obserwował podpułkownika bardzo uważnie. Z tego, jak człowiek zachowuje się podczas gry hazardowej, można wiele wywnioskować o jego charakterze.

Odkryto karty.

– Brawo! Pięknie pan nas ograł! – Gracze podnieśli szum.

Podpułkownik miękkiem ruchem, jak kot łapą, przysunął sobie wygraną.

Nie jest zapalonym graczem, przezorny, ma szczęście, ale nie lubi ryzyka. Należy do tych ludzi, którzy we wszystkim znają umiar. Na ustach miód, ale lepiej nie odwracać się do niego plecami.

Jakby na potwierdzenie tezy o umiarze, Szubin się podniósł i powiedział:

– Na razie dosyć. Dziękuję za towarzystwo, panowie.

Druga połowa diagnozy również okazała się słuszna. Erast Pietrowicz niezwłocznie się o tym przekonał.

Podpułkownik, który aż do tej chwili ani razu nawet nie zerknął w kierunku Fandorina, nagle podszedł doń i zapytał, spoglądając mu w twarz bardzo spokojnymi jasnymi oczami:

– A cóż to pan, łaskawco, wypala mi wzrokiem dziurę z tyłu głowy, a ja nie miałem przyjemności i w ogóle widzę pana po raz pierwszy?

Poważny człowiek. Erast Pietrowicz w myślach oddał sprawiedliwość taktyce Szubina. Tylko czy podpułkownik zasługuje na zaufanie?

W milczeniu wręczył Szubinowi list z Tyflisu.

Ku zaskoczeniu Fandorina żandarm nawet nie zerknął na przesyłkę, za to delikatnie ujął go za łokieć i z tonu agresywnego przeszedł na poufny:

– Odejdźmy na bok. O, tam jest świetne miejsce, nikt nam nie przeszkodzi. I nie będą się gapić.

Albo dopatrzył się w rysach nieznanego czegoś szczególnego, albo zdążył jednak prześliznąć się wzrokiem po kopercie i rozpoznał charakter pisma.

Podpułkownik czytał list, z wielką gracją lawirując między gośćmi. Pomimo imponujących gabarytów wyróżniał się niebywałą giętkością ciała.

Jak się niebawem wyjaśniło, prowadził swojego towarzysza ku portierze z herbem. Okazało się, że za zasłoną kryje się nie grot, jak przypuszczał Fandorin, lecz początek podziemnego chodnika. Czy jest długi i dokąd prowadzi, trudno było ocenić: dwa metry dalej znajdowała się krata z wiszącą na niej kłódką. Za kratą widniał wykuty w skale korytarz, który niemal od razu skręcał w prawo.

– Cóż to takiego? – zapytał Erast Pietrowicz.

– Hmm? – zamruczał żandarm, nie odrywając wzroku od listu. – Jakieś podziemne przejście z dawnych czasów. Nie zdziwię się, jeśli Artaszew wykorzystuje jaskinie do kontrabandy. Jest stronnikiem dywersyfikacji biznesu. Warto się tym kiedyś zainteresować. – Nagle Szubin spojrzał na rozmówcę i porozumiewawczo mrugnął. – A zresztą po co szkodzić? Na Wschodzie panują inne obyczaje.

Schował list do kieszeni, ale zamiast zapytać, czemu zawdzięcza wizytę tyfliskiego gościa i jakiego to „wszelkiego wsparcia” ten potrzebuje, zaczął z innej beczki.

Też się przygląda. Ostrożny. Ostrożny i sprytny, uznał Fandorin.

– Na Wschodzie wszystko jest umiarkowane, niefrasobliwe, syte. Nawet działalność wywrotowa. Bo prawo tutaj to kategoria umowna. U nas na Rusi prawo jest czymś w rodzaju dyszla: mimo że się obraca zgodnie z życzeniem woźnicy, jest jednak prosty i sztywny. Na Wschodzie prawo to powój – owija się wokół każdego twardego patyka i wdzięczy się do niego. Tutaj i ja stałem się podobny: wyciszyłem się, roztyłem, złagodniałem. Gdy ujrzy mnie jakiś dawny kolega

z pracy, nie pozna, jak Boga kocham.

Szubin śmiał się, mówił niespiesznie, rozciągając słowa, ale wzrok miał wciąż czujny: bez przerwy obserwował słuchacza, od czasu do czasu skupiając się na oddzielnych detalach – jakby fotografował do dossier. Głupia byłaby mysz, która by uwierzyła, że ten kocur jest leniwy i niegroźny.

– Żyjemy tu w sposób szczególny: z bogaczami staramy się być w dobrych stosunkach, na ich wybryki patrzymy przez palce. W zamian za to Rada Zjazdu Przedsiębiorców Naftowych (to w Baku coś w rodzaju świętego sanhedrynu) co roku wykłada na utrzymanie policji sześćset tysięcy. Najmniejszy stójkowy dostaje osiem setek rocznie, nie licząc przydziałowego jedzenia, drewna i wszelkiego rodzaju bakszyszy. Od czasu gdy nauczyłem się właściwie wykorzystywać Wschód, moje życie stało się syte, przyjemne, niekłopotliwe. Ormianie donoszą mi na Tatarów, a Tatarzy na Ormian. Wśród towarzyszy rewolucjonistów też mam swoich ludzi – choć to raczej nie moja eparchia. Ale nasz komendant urzędu żandarmerii to człowiek europejski, kwadratowo-trójkątny. Trzeba się ubezpieczać...

Tym sposobem, płynnie i bez nacisku, nie zadawszy ani jednego pytania, podpułkownik przeszedł do rzeczy. Mimo że w liście polecającym nie było powiedziane, że pan Fandorin przyjechał do Baku szukać niebezpiecznego rewolucjonisty, to jednak samo autorstwo rekomendacji oraz jej ton dla doświadczonego człowieka mogły oznaczać tylko jedno: sprawa jest bardzo ważna, o znaczeniu państwowym.

– Tak, w Tyflisie poradzono mi, żebym zwrócił się nie do stosownego urzędu i nie do g-gubernatora, ale bezpośrednio do pana jako do najbardziej kompetentnej instancji.

– Czuję się zaszczycony, miło mi. – Oczy Timofieja Timofiejewicza przybrały maślany wyraz, chyba naprawdę czuł się mile połączony. – Choć nie przeceniam swoich skromnych możliwości. W czym mogę pomóc? Pan chyba z powodu strajku?

Erast Pietrowicz nie odpowiedział. Nie zdecydował jeszcze, czy powinien wprowadzać podpułkownika w swoje plany. Z całą pewnością to osoba wielowymiarowa. Może trzeba go lepiej poznać.

Szubin odebrał milczenie jako znak zgody.

Rozchyliwszy nieco zasłonę pośrodku, żeby widzieć, gdy będzie się zbliżał któryś z gości, podpułkownik przystąpił do wyjaśnień:

– W namiestnictwie wszyscy są bardzo zaniepokojeni, wiem. Istnieje zagrożenie, że strajk przerodzi się w powszechny protest. Robotnicy zupełnie się rozzuchwalili. Żądają miesięcznego płatnego urlopu, ośmiogodzinnej zmiany, zagwarantowania

dnia wolnego, półtorakrotnego wzrostu pensji. Zaraza szybko się rozprzestrzenia, fabryki stają jedna za drugą. Na łamistrajków, nie zważając na ochronę, napadają rewolucjoniści. Nasz dzielny gubernator wprowadził w Czarnym Mieście stan wyjątkowy: zabrania się wychodzić na ulicę po ósmej wieczorem, nie wolno gromadzić się w grupach powyżej trzech osób. Zakazów za diabła się nie przestrzega, ale góra została poinformowana, że podjęto środki. – Szubin z westchnieniem wzruszył tłustymi ramionami. – A tymczasem ceny ropy z powodu deficytu rosną. Miesiąc temu pud kosztował trzydzieści pięć kopiejek, teraz prawie pół rubla, a kontrakty futures ciągle drożeją. Naftę, nasz najważniejszy i najbardziej pożądaný produkt, dzięki państwowemu rurociągowi na razie przesyłamy bez problemu, ale zapasy ropy się kończą. A przy tym wartość akcji spółek wydobywczych podskoczyła z piętnastu do dwudziestu procent. Na giełdzie panuje niepokój...

Zdaje się, że w tym mieście nawet policjanci są specjalistami w dziedzinie rynku naftowego. Erast Pietrowicz chciał przerwać mało interesujący wykład, ale podpułkownik właśnie go zakończył. I to dosyć efektownie:

– Dlatego wcale się nie dziwię, że naszym strajkiem przejęła się również centrala. Do tego stopnia, że przysłała z nieoficjalną inspekcją samego Fandorina...

Okazuje się, że Szubin był osobnikiem jeszcze bardziej złożonym, niż Erast Pietrowicz myślał. I zorientowanym nie tylko w bakijskich sprawach – wiedział na przykład, kim jest E.P. Fandorin.

Kolejna replika Timofieja Timofiejewicza sprawiła, że jego akcje wzrosły jeszcze o kilka dodatkowych punktów (giełdowa stylistyka okazała się zaraźliwa):

– A zresztą teraz widzę, że się pomyliłem. O strajku słuchoł pan bez zainteresowania i we wzroku można było wyczytać pewną skrywaną myśl. – Szubin się uśmiechnął. – Może lepiej nie będę strzepił języka po próżnicy. Sądzę, że obaj już się sobie przypatrzyliśmy i dojrzeliliśmy do rozmowy o istocie sprawy. – I stanowczym tonem prędko zapytał: – Po co pan przyjechał? Jakiego rodzaju pomocy pan ode mnie oczekuje?

Kot przestał udawać śpiocha. Cap pazurami – i mysz schwykana.

Nadszedł czas, żeby dać puszystemu Timofiejowi Timofiejewiczowi po nosie. Żeby zrozumiał: w tym tańcu przydzielono mu rolę damy, a nie kawalera.

– Najpierw p-pozwoli pan, że zadam pytanie. Odniosłem wrażenie, że jakoś tak bardzo łatwo udało się panu rozbić bank. Żaden z partnerów nie wyglądał na poirytowanego. I nie poprosił o możliwość odegrania się. Czyżby to była zawoalowana łapówka?

Podpułkownik uważnie spojrzał na Erasta Pietrowicza. Nie oburzył się, nie zaczerwienił. Zmrużył jedynie oczy. Po chwili milczenia odrzekł:

– Mógłbym oczywiście powiedzieć, że mam szczęście w grze. Jednak przeszkodziłoby to w zbudowaniu relacji zaufania. A zatem pan pozwoli: łapówek od tubylców nie biorę, inaczej wpakują mi się na kark. Ale pozwalam im ze mną przegrywać w karty. Po troszeczkę.

– Ładne po troszeczkę. Tysiąc rubli.

Szubin uśmiechnął się wyrozumiale.

– W Moskwie tysiąc rubli to pieniądz, a tutaj, żeby się utrzymać na przyzwoitym poziomie, muszę wydać jakieś sto tysięcy. W przeciwnym razie nikt mnie nie będzie szanował. To Baku. Uczciwych ponad miarę tutaj nie lubią i okropnie się ich boją. Zaczynają przeciwko nim intrygować, rozpuszczać plotki. Jeśli nerwy całkiem ich poniosą, mogą nasłać „mauzerowców”, w przypadku gdy morderstwo zleca Ormianin. Albo zbirów goczi, jeśli to muzułmanin chce kogoś sprzątnąć.

– Goczi? – powtórzył Fandorin

– Miejscowi turkijscy bandyci. Nazywają ich różnie: goczi, goczu, koczi, koczii.

Co mam z tobą zrobić, cwaniaku? Erast Pietrowicz wciąż nie mógł się zdecydować. Wspominać o Odyseuszu czy nie?

– A może ciekawi pana tematyka szpiegowska? – Szubin obserwował gości przez szparę. – O ile wiem, te sprawy wchodzą w zakres pańskiego zainteresowania bardziej niż ropa. W takim razie niech pan zwróci uwagę, o, na tę nierozłączną parę.

Podpułkownik rozsunął kotarę szerzej i kiwnął głową w stronę dwóch mężczyzn, którzy szeptali ze sobą z dala od bawiącego się tłumu. Sądząc z twarzy, rozmowa dotyczyła czegoś poważnego, a nawet niepokojącego.

– K-kto to jest?

– Chudy, w surducie wizytowym to niemiecki konsul Totmann. Tęgi to austriacki konsul Lüst. Niech pan zwróci na niego szczególną uwagę. Choć hohenzollernowskie imperium jest potężniejsze niż habsburskie, u nas w Baku rej wodzi Austriak, Niemiec go we wszystkim słucha. Herr Lüst mieszka tu od dawna, ma obszerną siatkę informatorów. Nawiasem mówiąc, to oficer kadrowy sztabu generalnego, major. Wszyscy sądzą, że jest w stanie spoczynku, ale my znamy prawdę.

Nagle konsul austriacki, jakby wyczuwając zwrócone nań spojrzenia, obrócił się. Lekko skłonił się Szubinowi, jednakże wzrok utkwiał nie w podpułkowniku, lecz w Fandorinie.

Wie, kim jestem? Raczej nie. Ale zawodowiec rozpozna zawodowca z daleka. Jak rybak rybaka.

Lüst odwrócił się, wziął towarzysza pod rękę i odprowadził nieco dalej.

Niemiecko-austriaccy agenci nie interesowali Erasta Pietrowicza, ale nie warto

było tego tłumaczyć podpułkownikowi. Im więcej człowiek mówi, tym bardziej się odkrywa. A zatem czy informować go o Odyseuszu, czy nie?

Szubin kontynuował:

– W Baku jest kilka tysięcy niemieckich i austriackich poddanych: inżynierów, handlowców, zwyczajnych poszukiwaczy łatwych pieniędzy. Wiadomo, że brak własnych zasobów ropy to najsłabszy punkt imperiów centralnej Europy. Są jak sępy, które się spóźniły na rozdziobywanie zdobyczy: krążą bez przerwy, ale nie mają już gdzie usiąść.

– Więc co robią w Baku?

– Szpiegują. Kupują przedsiębiorstwa przez podstawione osoby. Doniesiono mi, że po wydarzeniu w Sarajewie w całej niemiecko-austriackiej gminie wrze jak w ulu. – Timofiej Timofiejewicz podrapał się w okrągły policzek. – Ale przecież pan nie przyjechał z powodu Niemców i Austriaków. Znowu nie widzę zainteresowania w pańskich oczach. Może jednak pan mi wyjaśni? Czy mam tak rzucać na ladę wszystkie swoje towary jak kupiec w sklepiku?

Wciąż jeszcze nie podjąwszy decyzji, Fandorin rzekł:

– P-później. Umówimy się w spokojniejszym miejscu na konkretną rozmowę. A tymczasem mam pytanie. Czy znany jest panu jednoręki bojowiec albo może po prostu bandyta związany z rewolucjonistami? A dokładniej z bolszewikami?

Timofiej Timofiejewicz pocmokał mięsistymi wargami, jakby smakował pytanie.

– A jednak interesuje się pan rewolucjonistami. Tak, tak. Jednoręki? W Baku to żaden znak szczególny. Zdarza się dużo wypadków w fabrykach, w rafineriach. Podczas przygotowywania bomb zamachowcy często tracą ręce... Hm. Nie sądzę, żeby interesowała pana drobnica. Do poważnych osób należy gocki Abdułła Nordaranski. I Chaczatur Jednoręki, przywódca szajki ormiańskich anarchistów. Wprawdzie obaj są na wojennej stopie z bolszewikami, ale mogli się przecież pogodzić. Jest jeszcze z jedną ręką rabuś Szamir-chan, Lezgin. Dość często wpada do Baku na występy. Poza tym...

Zacinając się i wpatrując przymrużonymi oczami w kamienne sklepienie, podpułkownik zaczął wymieniać opryszków, ekspropriatorów, zbiegłych katorżników. Timofiej Timofiejewicz miał znakomitą pamięć, ale Fandorin rychło pojął, że owo katalogowanie na nic się nie zda.

– Czy któryś jednoręki używa czarnego krzyża jako swojego godła? Może to znak jakiejś szajki?

– Czarnego krzyża? Nie, nie słyszałem. – Szubin ze skrucłą rozłożył ręce. – To Baku. Tutaj nie da się wytropić każdego mordercy. Lepiej zrobmy tak. Niech pan zajrzy do mnie do pracy koło trzeciej po południu. Zejdziemy do archiwum

i poszukamy.

– Znakomicie. A zatem d-do jutra.

Można było wracać. Wstępna rozmowa z Szubinem zaliczona. Potwierdziło się, że to osoba pożyteczna. Poza tym rola starego męża młodej piękności sumiennie odegrana. Masa się naczekał. Już czas.

Uprzejmość nakazywała pożegnać się z gospodarzem.

Artaszewow znajdował się tam, gdzie Erast Pietrowicz zostawił go pół godziny wcześniej, teraz jednak przemysłowiec nie rozmawiał z muzułmańskimi magnatami, lecz z jakąś wschodnią parą. Twarz damy prawie całkowicie zasłaniał czarny woal, skromnie opuszczone powieki drżały wspaniałymi rzęsami, brwi też były nad podziw ładne. Za to nos ma chyba jak Hadzi-aga albo Miesrop Karapietowicz. Dlatego go ukrywa, pomyślał Fandorin. Tak w każdym razie powiedziałyby Masa.

O krok za niedoskonałą pięknnością stał bardzo reprezentacyjny brunet z mocno zakręconymi wąsami. Nie brał udziału w rozmowie, tylko rozkoszował się widokiem swoich rubinowych spinek.

Rozmowa odbywała się w języku rosyjskim, który widocznie był w Baku językiem komunikacji pomiędzy wieloma narodowościami zamieszkującymi to nadmorskie miasto.

– Aj, niedobrze, droga Saadat-chanum. – Gospodarz robił kobiecie wyrzuty. – Oni mają proletariacką solidarność, a my powinniśmy mieć kapitalistyczną. Jeśli ustąpi pani robotnikom, jaki to będzie przykład dla innych? Nieładnie pani robi, zawodząc nas wszystkich.

– Co ja, biedna wdowa, mogę? – Saadat-chanum cała się skurczyła. – Słucham jedynie rad mojego drogiego przyjaciela i obrońcy Guram-beka.

Jej towarzysz poprawił mankiety, nasepił kosmate brwi, skinał głową. Nie zwracając nań uwagi, Artaszewow znowu odezwał się do wdowy:

– Saadat-chanum, pomówię z pozostałymi, ale sama pani wie, że to się nikomu nie spodoba.

– A bakijska rycerskość?! – wykrzyknęła dama. W jej pięknych oczach błysnęły łzy. – A litość dla nieszczęsnej, która musi dźwigać ciężkie brzemię na swoich słabych barkach?

Kobieta mówiła po rosyjsku bardzo dobrze, o wiele czyściej niż Miesrop Karapietowicz.

– Ech, kiedy chodzi o ropę, rycerskość nieszczególnie się sprawdza – powiedział gospodarz i dodał poważnie: – Niech się pani dobrze zastanowi, radzę jak przyjaciel.

– Tak zrobię – przygaszonym głosem odparła Saadat-chanum. – Guram-beku, mój drogi, proszę mnie zaprowadzić tam, gdzie mogłabym odpocząć. W głowie mi się kręci...

Oboje się oddalili. Erast Pietrowicz wreszcie mógł się pożegnać.

Okazało się to jednak nie takie proste. Usłyszawszy, że gość zamierza odjechać, Artaszew wpadł w panikę.

– Mój przeznacny, czy ktoś pana obraził? – zapytał z niepokojem, który wydawał się całkiem szczery. – Jeśli chodzi o głupie uwagi młodego Musy Dżabarowa, zmuszę go, żeby pana przeprosił! Jeśli natomiast o... – Nie dokończył, ale spojrzenie skierowane na bratanka, który nadal nie odstępował olśniewającej Klary, było wymowne. – Jeśli gość tak szybko wychodzi, to u nas zły znak dla gospodarza!

– Żeby mnie obrazić, potrzeba bardziej przekonujących m-metod. – Erast Pietrowicz usiłował go uspokoić. – A panią Łunną zostawiam wielbicielom na pożarcie bez najmniejszego żalu ani nawet ciekawości.

Jednakże Miesrop Karapietowicz nie ustępował.

– Wszyscy zauważą, że odjechał pan bez małżonki. I wielu z tych, którzy szczególnie gorliwie jej nadskakiwali, może się przestraszyć. Mój drogi, nie zna pan bakijczyków. Kiedy oblatuje ich strach, oj, to niebezpieczne.

– Nie szkodzi, zaryzykuję.

– Proszę zostać przynajmniej do północy. Niebawem zajdzie słońce. Stąd, gdzie się znajdujemy, zobaczymy gwiazdy. Całe niebo jak perski dywan! Aj, pięknie! – Artaszew wznosił swoje oczka przypominające jagody kiszmiszu. – A później wszyscy udadzą się do domu na bankiet. Jesiotry faszerowane homarami! Homary faszerowane biskajskimi krewetkami! Biskajskie krewetki faszerowane kawiozem!

– A kawior czym? – spytał Fandorin.

Spierali się z dziesięć minut. Erast Pietrowicz przeklął w myślach swoją uprzejmość; trzeba było wymknąć się po angielsku. W końcu jednak się pożegnali.

Gdy Fandorin zmierzał do windy, na brzegu basenu zastąpił mu drogę główny asasyn z ekipy filmowej. Zdążył już sobie niezłe użyć w bufecie; w drżącej ręce chybotął się róg z winem.

– A-a, stary mąż, groźny mąż... – z wyraźnym trudem wybełkotał aktor i czknał. – Hep. Źle pan widzi przez swoje okulary...

W tej fazie zamroczenia alkoholowego zazwyczaj ma się ochotę wywołać skandal, toteż Erast Pietrowicz odpowiedział bardzo uprzejmie:

– O, szanowny Ibn Sabbahu, nie noszę okularów. Choć jestem stary, mam idealny wzrok.

– Sam pan jest Sabbah – odparł pijany mężczyzna, grożąc palcem. – A ja jestem

Ławrientij Gorski, były aktor cesarskiego teatru i gwiazda srebrnego, hep, ekranu! Moje nazwisko stało się głośne za sprawą *Wojny i pokoju*! Hep.

– Gdzie zagrał pan Dołochowa. D-domyśliłem się.

Jąkanie Fandorina nie spodobało się gwiazdzie srebrnego ekranu.

– Czyżby pan mnie prze... hep... drzeźniał? – Gorski podsunął Erastowi Pietrowiczowi pod nos róg, najwyraźniej wcielając się ostatecznie w rolę huzara zabijaki. – Za piękne kobiety i ich kochanków! Niech pan będzie łaskaw i wypije.

W myślach Fandorin przyznał Klarze jeszcze jeden punkt karny za tę miłą scenę. Wsłuchał się w siebie: może to ostatnia kropla i pora już, żeby z czystym sumieniem zerwać stosunki? Co na to *moralische Gesetz in mir*^[7]? *Gesetz* oświadczył: „To nie wystarczy, ale już niebawem. Cierpliwości”.

– Za p-pozwoleniem.

Ostrożnie, dwoma palcami, Erast Pietrowicz odsunął pijanego aktora. Pchnięcie było zupełnie słabe, ale Sabbah-Dołochow wiele nie potrzebował. Zachwiał się i czerwone wino chlusnęło na śnieżnobiały smoking Erasta Pietrowicza.

– O Boże... – wybełkotał Gorski, wychodząc z roli zawadiaki. – Proszę mi wybaczyć... Nie chciałem...

Fandorin obrzucił wzrokiem ubranie. Wyglądał tak, jakby właśnie popełnił harakiri tęnym mieczem. Koszula, dzięki Bogu, nie ucierpiała. Na ciemnych spodniach plam prawie nie było widać. Marynarkę zaś Erast Pietrowicz miał dwustronną – wywrócona na lewą stronę była czarna. Każdy doświadczony elegant wie, że z odzieżą w białym kolorze wiecznie zdarzają się nieprzyjemne niespodzianki, toteż należy być przewidującym.

Szkodę da się naprawić, ale gdzie by się tu przebrać?

Fandorin się rozejrzał. A chociażby w jaskini, gdzie rozmawiał z podpułkownikiem Szubinem. To zajmie tylko chwilkę.

Za portierą obejrzał poplamione ubranie i przekonał się, że marynarka, niestety, została bezpowrotnie zniszczona. Nie da się jej wyprać ani wyczyścić. Do wyjścia jakoś się przedostanie, ale później będzie ją musiał wyrzucić. W ciągu dwóch dni druga strata. W bagażu zostały zaledwie cztery zmiany przyzwoitej odzieży...

Z tyłu dało się słyszeć lekkie skrzypienie. Krata się poruszyła. Drzwi, uprzednio zamknięte, teraz były otwarte. Dziwne.

Zza zakrętu skalnego chodnika słabo oświetlonego żarówkami dobiegł cichy melodyjny dźwięk. Gwizdanie?

Detektywowi stale towarzyszy ciekawość. Kiedy napotyka on zagadkowy fenomen, ogarnia go nieprzeparta chęć, aby go rozszyfrować.

Powiesiwszy marynarkę na drzwiach (niech trochę podeschnie), Erast Pietrowicz

przeszedł w stan *ninpōjutsu* – bezszelestnie ruszył korytarzem.

Blisko, zaraz za rogiem, ktoś bardzo wiernie, choć z przerwami, wygwizdywał arię *Ja, wir sind es, die Grisetten*^[8] z *Wesołej wdówki*.

Jeszcze krok i za zakrętem chodnika, który prowadził dalej w ciemność, Fandorin zobaczył zgrabną, niewysoką damę, zwróconą do niego plecami. Na przemian zaciągała się papierosem w lufce i pociągała łyk z małej płaskiej manierki, a w międzyczasie pogwizdywała, w dodatku przytupując rytmicznie pantofelkiem. Nieznajomej dopisywał znakomity humor.

Ciekawe, czy jest ładna?

Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Erast Pietrowicz chrząknął: „Ekhm, ekhm”.

Kobieta prędko się odwróciła.

No, pięknością w znaczeniu konwencjonalnym raczej nie była. Ale twarz miała żywą, interesującą. A oczy – po prostu cudowne. Brwi też niczego sobie.

Chwileczkę, te oczy i brwi już widziałem! Rozmówczyni Artaszewa. Jakaś chanum, również właścicielka kopalni ropy naftowej. Saadat-chanum, tak się nazywa.

Fandorin niesłusznie przyjął, że muzułmańska wdowa ukrywa pod muślinem zbyt wielki nos. Nos był z garbkiem, ale mały – zupełnie inny niż u Miesropa Karapietowicza. Usta o pięknym wykroju, soczyste. Szkoda takie chować przed światem.

Grymas przestrawienia i niezadowolenia zniekształcił na chwilę rysy wschodniej piękności, a ręka, z której wypadł papieros, gorączkowo sięgnęła po kwef. Ale natychmiast opadła.

– *Oh, mon Dieu!* – z ulgą wykrzyknęła Saadat-chanum. – Myślałam, że to któryś z bakijczyków. Kim pan jest i dlaczego w samej koszuli?

Stworzenie nie należy do gatunku nieśmiałych. Przed Artaszewem udawała. Ach tak, oni tutaj wszyscy w przemyśle naftowym mają nerwy ze stali. Widocznie kobiety również.

Erast Pietrowicz się przedstawił.

– Saadat Walidbekowa. Milion pudów z hakiem. – Kobieta złożyła żartobliwy dyg. – Nie, nie, haka żadnego nie mam. Tak się przyjęło, że mówimy o sobie, podając ilość wydobywanej ropy.

– Tak, s-słyszałem.

– Co do koszuli, niech pan się nie tłumaczy. Po prostu proszę powiedzieć, kim pan jest. – Podniosła papierosa i jakby nigdy nic wsunęła go do ust. – Przemysłowiec? Inżynier? *Trader*?

– Nie, nie zajmuję się ropą.

– A zatem nikt. W każdym razie według bakijskich standardów.

Erast Pietrowicz zawsze podejrzewał, że muzułmanki wcale nie są tak zahukane i potulne, jak sądzą Europejczycy. Mimo to był zaskoczony taką bezpośredniością.

– Łaskawa pani... dlaczego zachowuje się pani teraz inaczej niż tam?

– Po co mam udawać płochliwą łanię, skoro i tak nakrył mnie pan na tym nieszariackim zajęciu. – Saadat pokazała lufkę i papierosa. – A poza tym jestem zmęczona tą całą... fontanną Bachczysaraju. – Kiwnęła głową w stronę basenu. – Dla dobra interesu trzeba grać komedię, ale to okropnie nużące. Wie pan, o czym marzę?

Przymknęła oczy, błogo się uśmiechając. Erast Pietrowicz domyślił się, że pani Walidbekowa nie jest zupełnie trzeźwa.

– O czym?

– Sprzedam interes choćby złym mocom, wyjadę stąd, zamieszkam w Nicei, będę się przechadzała po Nabrzeżu Angielskim. W prostej sukni, z obnażonymi ramionami, żeby czuć podmuch bryzy, i w koronkowych rękawiczkach do łokci, a na dodatek z cudownym czarnym bokserem.

– Z czarnym bokserem? – Fandorina zdumiała tak odważna fantazja.

– Owszem. Na smyczy. Tylko z suką, one są niesłychanie wytworne! W Baku coś takiego jest niemożliwe. Zburzyłoby obraz pobożnej muzułmanki – rzekła z westchnieniem wesoła wdówka. – Nieczystego zwierzęcia nie wolno trzymać w domu, *haram*. O miłosierny Allachu, jak ja lubię psy!

– Życzę, żeby pani m-marzenia całkowicie się spełniły.

Fandorin oddalił się, żeby nie przeszkadzać damie w oddawaniu się zakazanym rozkoszom. Czoło mu się wygładziło, kąciki warg uniosły w uśmiechu. Ta krótka rozmowa z jakiegoś powodu wprawiła go w dobry humor.

* * *

– Został z tyłu?

– Nie, panie. – Masa się odwrócił. – Jedzie.

W drogę powrotną ruszyli, kiedy się już ściemniło; stary parsifal długo nie chciał zapalić. Prawie od samej willi podązał za nimi jeździec. Nie zbliżał się, ale też i nie oddalał. Nie mogli się dobrze przyjrzeć figurze na koniu. Kiedy spomiędzy chmur wyjrzał księżyc, zobaczyli, że mężczyzna jest ubrany na czarno, na głowie ma włochatą papachę, i tyle.

Kwadrans później Fandorin przyhamował, żeby sprawdzić, czy to może przypadek. Jeździec również się zatrzymał.

Nie przypadek.

Ciekawe. Zobaczymy, co będzie dalej.

– Jak pan myśli, ma jedną rękę czy dwie? – zapytał Masa. – Warto by sprawdzić.

Przejechali kawałek na wstecznym biegu – mężczyzna zawrócił konia, cofnął się.

– Jeśli nas śledzi, to zachowuje się głupio. Jeśli zamierza dokonać napaści, jeszcze głupiej. – Erast Pietrowicz wzruszył ramionami. – Do diabła z nim. Co może zrobić jeden człowiek, nawet jeśli ma dwie ręce?

Japończyk przytaknął.

– Jak chce się wlec z tyłu, to niech się wlecze. Zechce zaatakować, niech atakuje.

Tak dojechali do Czarnego Miasta. Zgubić jeźdźca, dodając gazu, nie zdołali. Z powodu wybojów i słabych reflektorów musieli poruszać się z prędkością nie większą niż piętnaście kilometrów na godzinę.

Nocą w dzielnicy przemysłowej było jeszcze ciemniej niż za dnia. Nie widać było smogu ani czarnych budynków, ale po obu stronach błyskały złowieszcze płomienie, a wyłaniające się z mroku wieże szybów przypominały ogromne szkielety. W dodatku tu i tam rozlegały się strzały.

– Pospacerowałbym sobie tutaj. – Masa z ciekawością wpatrywał się w mrok. – Miałbym trochę rozrywki. A tak dzień się kończy i nic się nie dzieje. Nuda. Po wczorajszych wydarzeniach nastawiłem się na... – Nie kończąc, prędko rzucił: – Konny się zbliża.

Erast Pietrowicz się obejrzał. Rzeczywiście: jeździec, przez cały czas kłusujący w odległości stu pięćdziesięciu, najwyżej dwustu metrów, przeszedł do galopu. Czarna burka rozpostarła się jak skrzydła. Sylwetka wydawała się nienaturalnie duża – widocznie za sprawą światła księżyca.

Gdyby Fandorin spoglądał przed siebie, w porę zauważyłby błyski – i salwa by go nie zaskoczyła. A tu nagle ni z tego, ni z owego ogłuchł. Przednia szyba rozprysła się na kawałki, parsifal podskoczył w koleinach. Usiłując nie wypaść z drogi, Erast Pietrowicz skręcił kierownicę, ale niestety, nie udało się. Samochód poleciał na pobocze, przewrócił się na bok. Obaj pasażerowie wypadli na zewnątrz.

Ogłuszony Fandorin zawołał do Masy:

– Jesteś cały?!

Ale Japończyk leżał twarzą do ziemi i nie poruszał się. Przednią szybę przebiły trzy kule z prawej strony – akurat tam, gdzie siedział Masa.

Nad głową wściekle kręciło się koło. Przewrócony na bok parsifal osłaniał leżących przed strzałami.

Erast Pietrowicz odwrócił Japończyka.

Marnie! Cała koszula we krwi. Pod powiekami widać białka wywróconych oczu.

Oddycha, ale pierś ma przestreloną. W niebezpiecznym miejscu.

Trzeba jak najprędzej pozbyć się wrogów i zająć rannym.

Fandorin poderwał się na równe nogi i wychylił z za samochodu.

Wszystko jasne. Zasadzkę urządzono na zakręcie drogi, gdzie automobil, i tak jadący niezbyt szybko, powinien był przyhamować. Strzelano z niewielkiej odległości, z za muru jakiegoś magazynu. Cud, że nie trafiono w kierowcę. Nieprawdopodobny, a właściwie zwyczajny Fandorinowski fart.

Górną część muru rozjaśniły wybuchy. Samochód zakołysał się pod gradem kul. Erast Pietrowicz w odpowiedzi wystrzelił tylko raz. Sądząc po krzyku, celnie.

A gdzie się podział jeździec? Żeby tylko nie podkraść się od tyłu.

Nie, za plecami Fandorina było czysto.

Oderwawszy kawałek koszuli Masy, Fandorin naprędce zrobił tampon przeciwkrwotoczny i założył na ranę.

Trzeba niezwłocznie do szpitala!

Nowa salwa. Parsifal zadrzał, znowu się zachwiał.

Włączyć *yorume*.

Przez jakąś minutę Erast Pietrowicz masował gałki oczne, żeby przestroić się na *yorume*, nocne widzenie. Wrogowie pewnie myślą, że jest unieruchomiony. Ktoś przeskoczył mur.

Dwóch napastników.

Jeden zatoczył łuk z prawej, a drugi z lewej strony.

Właśnie zaczęło działać *yorume*. Strzał z za maski samochodu, skok, strzał z za tylnego zderzaka. Upadły dwa ciała. Erast Pietrowicz był zły, śpieszył się i dlatego strzelał, żeby zabić, w głowę.

No, dużo was tam jeszcze?

Och, dużo.

Znowu gruchnęła salwa. Automobil przechylił się i runął wprost na Fandorina, uderzając go w tył głowy krawędzią ciężkich drzwiczek.

* * *

Ocknąwszy się, Erast Pietrowicz stwierdził, że nie może się ruszyć. Napastnicy wywlekli go już spod samochodu, ale mocno przytrzymywali za ręce i nogi. Było ich co najmniej czterech. Twarzy w ciemności nie było widać, Fandorin słyszał tylko głośnie sapanie. Czuł zapach tytoniu, czosnku i potu. Zamachowcy ze wzburzeniem dyskutowali między sobą w niezrozumiałym języku.

Ale jeden odwrócił głowę i krzyknął po rosyjsku:

– Chaczik, tego wykończyć czy jak?

Z ciemności ktoś odpowiedział basem, również po rosyjsku, ale z silnym akcentem:

– Zabił Aszota i Arama, a Sarkis umiera. Nie zasłużył na lekką śmierć.

Ziemia zaskrzypiała pod ciężkimi krokami.

Ktoś w papasze i czerkiesce stanął, zasłaniając połowę czarnego nieba. Lewy pusty rękaw miał wsunięty za pas.

– Zwiążcie go – polecił jednoręki i dodał coś jeszcze w niezrozumiałym języku – ormiańskim, jak się domyślił Fandorin.

Prędko okręcono go sznurem od ramion aż po same kolana, tak że nie mógł się ruszyć.

Bandyci podnieśli go, stękając, i gdzieś potaszczyli. Wykręciwszy głowę, Erast Pietrowicz dostrzegł nieruchome ciało leżące w tym samym miejscu co poprzednio. Nieszczęsny Masa! Umrze bez pomocy lekarza!

Minutę później Fandorin przestał uważać Masę za nieszczęśliwego. Dola Japończyka była godna pozazdroszczenia w porównaniu z tym, co czekało samego Erasta Pietrowicza. Domyślił się, jaką śmierć szykuje mu Jednoręki, kiedy nad głową zaczerniało ażurowe rusztowanie wieży szybu naftowego, jednej z tych, które wznosiły się wzdłuż szosy.

– W dół nogami, nie głową! – powiedział Rosjanin. – Niech się gad pomęczy.

Fandorin zawisł nad dołem, z którego dochodził intensywny i mdlący zapach ropy.

– Raz, dwa, rzucaj!

Spadał krótko. Raptem z kilku metrów. Z głuchym leniwym pluskiem Erast Pietrowicz wpadł do błotnistej mazi. Zaparł się nogami i próbował podskoczyć. Maź dochodziła mu do pasa. Prawie od razu zaczął się zapadać głębiej. Ciasne pęta nie pozwalały mu wyciągnąć nogi. Wokół panowały kompletne ciemności. Tylko na górze szarzał niewyraźny kwadrat.

– Zdychaj, sukinsynu!

Takie było ostatnie „przebac” adresowane przez ludzkość do Fandorina.

Simon opowiadał, że szyb wciąga ciała robotników, którzy wcześniej się duszą z braku powietrza.

Z każdą chwilą Erast Pietrowicz stawał się jakby o cal niższy. Czyżby podnosił się poziom lepkiej mazi? Oddychał z trudem, ustami – w przesyconym wyziewami powietrzu prawie nie było tlenu.

Przez kilka minut Fandorin próbował poluzować więzy. Były jednak mocno zaciągnięte. Szamotanie się i rzucanie powodowały, że coraz szybciej zanurzał się w cieczy. Ropa sięgała mu już do połowy klatki piersiowej.

Wiele razy Erast Pietrowicz zastanawiał się, jaka ona będzie – jego śmierć. Ale

w najmroczniejszych fantazjach nie wyobrażał sobie czegoś aż tak przerażającego.

Szlachetny mąż powinien pamiętać, że zachowanie godności nie zależy od tego, co się z nim dzieje, ale od tego, jak on w danej sytuacji postępuje!

Zadał głowę, żeby zobaczyć na ostatek kawałek kosmosu – to nic, że mały i szary.

W kwadratowym otworze – umierającemu Fandorinowi nagle wydało się to szczególnie nikczemnym szyderstwem – płonęła blada gwiazda Wenera.

Kara Hasym

Gwiazdę miłości zasłoniła czarna plama. Głos, który w studni wydał się bardzo donośny, zawołał coś niezrozumiałego:

– *Ay kiši, sən sağsan?*

To na pewno wrócił któryś z bandytów, żeby na koniec sobie podrwić, ale Erast Pietrowicz ucieszył się i z takiego przybysza.

Trzeba go wytrącić z równowagi! Zawołać coś okropnego. Żeby się obraził i zastrzelił! Cokolwiek, byleby tylko nie tonąć powoli w obrzydliwej brei!

Kłopot polegał na tym, że Fandorin absolutnie nie był biegły w sztuce słownych zniewag. Przeżył tyle lat, ale się jej nie nauczył. A teraz od tego zależało życie. Ściślej mówiąc, śmierć.

Przedstawiciele niewielkich nacji są wyczuleni na punkcie swych uczuć narodowych. A napastnicy, sądząc po imionach, byli głównie Ormianami.

Erast Pietrowicz zaczął wymyślać Bogu duchu winnemu narodowi ormiańskiemu, na co nigdy by sobie nie pozwolił, gdyby nie strach przed męczeńską śmiercią.

– *Vay*, słusznie mówisz – zahuczał bas. – Rosjanin, a mówisz słusznie. Zaraz oglądać cię będę. Gdzie tu lampa był?

Cień zniknął, znowu zamigotała podstępna gwiazda.

Ale już minutę później na górze pokazała się świecąca kula, która zaczęła się pomалу opuszczać. Była to szklana lampa olejna. Lekko kołysząc się na sznurze, zatrzymała się nad głową tonącego. Teraz nie było widać gardzieli studni, za to z mroku wyłoniły się czarne, śliskie ściany.

– Bądź przeklęty, brudny psie! – niezbyt pewnie odezwał się Fandorin, mrużąc oczy. Nie miał pojęcia, co się dzieje.

– Sam żeś jest brudny – odrzekł głos. – Głowa czarna cała. Całkiem tonąć chcesz? Zaczekaj, nie toń.

Lampa odjechała z powrotem. Znowu zrobiło się ciemno. Jeszcze ciemniej niż przedtem. Erast Pietrowicz szarpnął się, wyteżył wszystkie swoje niemałe siły, ale więzy nie puściły. Wpadł tylko jeszcze głębiej, prawie po szyję. Zacisnął zęby, żeby nie krzyknąć, nie prosić nieznanego, kimkolwiek jest, o ratunek. Szlachetny mąż prosi o ratunek tylko Boga. I jedynie pod warunkiem że w Niego wierzy.

– Boże – wymamrotał Erast Pietrowicz – jeśli nie jest Ci wszystko jedno, czy

wierzę w Ciebie, czy nie, to zrób coś. Inaczej już wkrótce stanę przed Tobą i zapytam, za co tak mnie potraktowałaś.

Możliwe, że Najwyższy przestraszył się albo zawstydził. A może po prostu nie planował na razie spotkania z Erastem Pietrowiczem. Tak czy inaczej na górze znowu zajaśniało światło i zaczęło się zbliżać. Była to ta sama lampa, ale teraz do spodu miała przymocowany nóż z wąskim ostrzem. Klinga kusząco połyskiwała, kołysząc się na boki.

– *Hançer* ostry – rzekł na górze tubalny bas. – Zęby węź, sznur tnij. Jeden ciach i gotowe.

Pomysł, żeby stanąć na palcach okazał się niefortunny. Fandorin zanurzył się jeszcze głębiej. *Hançer* (zapewne kindżał) wisiał przed samym nosem związanego Erasta Pietrowicza, ale pochwycenie rękojeści zębami graniczyło niemal z cudem. Fandorin wykręcił szyję. Spróbował z jednej strony, potem z drugiej. Bez powodzenia!

Oto jaką sztukę trzeba było opanować, zamiast biegać po sufitach!

Za czwartym razem się udało. Erast Pietrowicz z całej siły wpił się zębami w rękojeść. Ale co dalej? Przecież kindżał jest przywiązany do lampy. Szarpnął – i nóż z niesłychaną łatwością się wysliznął. Węzeł ledwie trzymał. Mocno zacisnąwszy szczęki, Fandorin wygiął się całym ciałem. Spróbował sięgnąć ostrzem górnego odcinka krępującego go sznura, znajdującego się na wysokości pachy. Dosięgnął. Ależ znakomite ostrze! Za pierwszym dotknięciem sznur pękł. Rzeczywiście „jeden ciach”! Teraz to samo z drugiej strony. Gotowe!

Więzy zaczęły się rozluźniać. Po jakichś dwóch minutach ręce miał wolne. Żeby uwolnić nogi, musiał się schylić i zanurzyć głowę w ropie, ale to był drobiazg.

– *Vay*, brawo – powiedział nieznany wybawca. Do tej chwili w milczeniu obserwował poczynania Fandorina.

Nie wierząc swojemu szczęściu, podekscytowany Erast Pietrowicz spróbował sam wydostać się z szybu. Zapierał się o ściany – i ześlizgiwał, spadał.

Niech to diabli wezmą, nie wydam się stąd nawet z rozwiązanymi rękami!

– *Vay*, głupiec. – Bas z niewzruszonym spokojem skomentował jego daremne wysiłki. – A sznur na co? Mocno trzymaj, tak? Lampa zdejmij, rzuć. Tylko najpierw dmuchaj. Bo całkiem upieczony będziesz.

Fandorin zdjął szklany klosz i ostrożnie zdmuchnął płomień. Jedna iskra – i można spłonąć żywcem.

Krzyknął w ciemność:

– Gotowe! Trzymam się!

W tej samej chwili nieznajomy pociągnął go w górę – bez żadnego wysiłku, jakby zdążył przymocować sznur do wyciągu.

Minutę później Erast Pietrowicz siedział na krawędzi otworu i chwycił ustami nocne powietrze – czyste, orzeźwiające, magiczne. A przecież wcześniej wydawało mu się, że w Czarnym Mieście nie ma czym oddychać.

Na górze było jasno. Światło księżyca, w porównaniu ze studzienną ciemnością ostre nie do zniesienia, sprawiło, że Fandorin zmrużył oczy. Osłaniając je ręką, przyglądał się swojemu wybawcy.

Wysoki jak dąb, zwalisty mężczyzna ze wspaniałymi sumiastymi wąsami również taksował wzrokiem ocalonego. Wielkolud był ubrany na czarno: papacha, czerkieska, burka. Czarne były gęste, szerokie brwi, duże okrągłe oczy również mieniły się matową czernią.

Nieznajomy bez ceregieli poobracał Erasta Pietrowicza w potężnych łapskach, obmacał, pogniatał. Skonstatował:

– Ran nie ma. Ktoś ty? Dlaczego Ormianie studnia cię topili? Żeby żywy człowiek w ropa topić, mocno nienawidzić musi. Ej, ktoś ty? Odezwij się! – Potrząsnął jeszcze niezupełnie przytomnego Fandorina za ramiona. – Powiedz, tak? Ja ciekawy!

– Mój wróg – powiedział Erast Pietrowicz, odpluwając lepką, oleistą wydzielinę. – Jednoręki. Nazywa się Chaczik. Trzeci raz usiłował mnie zabić. Nie wiem dlaczego.

Mówić mógł tylko krótkimi frazami.

Nagle sobie przypomniał: Masa! Zerwał się, pobiegł w stronę przewróconego auta. Japończyk leżał w tym samym miejscu. Odchylona do tyłu twarz była biała, martwa. Ciemne oczy wydawały się puste.

Fandorin upadł na kolana i zbadał puls. Żyje!

Rozpiął koszulę. W pierwszej chwili krzyknął z ulgą – rana, na którą pośpiesznie założył zaimprovizowany tampon, była prawie styczna, przelotowa: w boku, pomiędzy żebrami widniał otwór wylotowy. Jednakże w pobliżu mostka czerniał jeszcze jeden otwór. Prawie nie krwawił, ale ciemny pęcherz podniósł się zeń i opadł. Przebite płuco!

– Umiera? – zapytał czarny mężczyzna i pocmokał. – Umiera. Krew do środka płynie, gówno sprawa.

Ma rację! Trzeba powstrzymać krwotok wewnętrzny! Skup się, nie rozklejaj! Działaj!

Erast Pietrowicz wysiłkiem woli zmusił się, by zapomnieć o tym, że to Masa. W ogóle o wszystkim zapomnieć. O niczym nie myśleć. Wyłączyć całe ciało z wyjątkiem palca wskazującego. Skoncentrować się na nim. Akumulować w nim energię *qi*.

Kiedy palec zaczął ćmić od nagromadzonej w nim siły, jak z bólu, Fandorin

nabrał do płuc jak najwięcej powietrza, wsunął pierwszy człon palca w ranę i trzymał dopóty, dopóki starczyło mu oddechu.

– To czary? – z ciekawością zapytał siłacz.

– Trzeba go zawieźć do szpitala.

Erast Pietrowicz podniósł się i obszedł samochód dokoła. Z pomocą wąsatego drągala można by postawić go na kołach. Ale przecież nie ruszy. Przednie opony są przestrzelone. I chyba olej wyciekł.

– Wieść można.

Nieznajomy pokazał gdzieś dłonią. Nieopodal, przy sąsiednim szybie, stał olbrzymi koń, spokojnie machając ogonem.

– Więc p-pomóż go podnieść.

– Dlaczego pomóż? Nie trzeba.

Zrzuciwszy z ramion burkę, mężczyzna z łatwością przeniósł na nią Masę, zawinął go w nią, dźwignął. Każdy jego ruch był nieśpieszny, rozważny.

Przyjrząwszy się koniowi, Erast Pietrowicz zapytał:

– Zaczekaj no. To ty za nami jechałeś?

– Ja.

– P-po co? Kim jesteś?

– Jak to po co? Ograbić chciał – z godnością odparł siłacz, umieszczając Japończyka na szerokim grzbiecie wierzchowca. – Ja Kara Hasym, ty nie słyszał?

– Nie.

Mężczyzna wyglądał na urażonego.

– Wasi mówią Czarny Hasym. Też nie słyszał? Skąd ty się wziął, co? Ja jestem goczi.

– Aa, rabuś.

– *Aman, aman*, sam żeś jest rabuś! – Kara Hasym się rozżłościł, ale nie przeszkadzało mu to przywiązywać rannego do konia: głowę do siodła twarzą do góry, nogi do ogona. – Rabuś zła, słabe ludzie krzywdzi. A goczi słabe ludzie broni, złe ludzie krzywdzi. Idziemy, tak? Wytłumaczę ci, bo nic nie rozumiesz.

Ruszyli szosą w stronę miasta, trzymając konia z dwóch stron za uzdę. Ten, jakby rozumiał, że musi stąpać równo, stawiał kopyta ostrożnie, omijając doły.

– Kto zła człowiek, biednych krzywdzi, ja przychodzę i mówię: grzywna płać. Wiesz, co to jest grzywna?

– W-wiem.

Erast Pietrowicz nie spuszczał oczu z Masy.

Boże, czy on umrze? Organizm ma wyjątkowo silny, ale trzeba jak najprędzej na stół operacyjny! Ech, mogłem sprawdzić, czy kula przeszła na wylot, czy gdzieś nie utkwiała.

Hasym uznał jednak za stosowne wyjaśnić:

– Grzywna trzeba płacić. Kto nie chce płacić, dusza precz. Ale tylko na początku nie chcieli. Kiedy kilka złe ludzie dusza precz, później wszyscy zachcieli. Złe ludzie na świecie niemało. Zawsze od kogoś można grzywna wziąć. Ja wiedział, że do psubrat Miesrop Artaszewow dużo złe ludzie w goście przyjadą. Czekał, kto pierwsza z powrotem do miasta pojedzie bez solidna ochrona. Ty pojechał. Całkiem bez żadna ochrona. Dobrze, myślę. To nie tylko złe, ale i głupie ludzie. Pomyślał, że będę za złe ludzie jechać do szyb Rothschild, gdzie ubiegły rok pożar był, i tam dogonić. Cichy miejsce, ładny. Tam wszystko zabiorę. Nie będą dawać, zabiję. Porządek taki. Kto nie chce oddawać, można zabić. Ale zabić można pistolet (mężczyzna poklepał się po boku), *hançer* też można (poklepał się po drugim). – A do szyb naftowy żywy człowiek rzucać nikt nie wolno. Nawet zła człowiek nie wolno. Kto taki zrobił, gorszy od szejtana.

– Skąd pewność, że jesteśmy ź-źli?

Hasym się zdziwił.

– Samochód jest, tak? Biała marynarka jest, tak? Czyli bogata. A bogate wszyscy złe. Można od każda bogata grzywna brać, nie ma pomyłka. Połowę grzywna biorę dla siebie, bo ja muszę dużo jeść. Mięso muszę, pilaw muszę, suszona morela i rodzynka muszę (suszona morela i rodzynka ja mocno lubię, dużo jem). Drugą część grzywna biedne ludzie dają. Za to mam szacunek, a policja figa z makiem. Wiesz, co to jest figa z makiem?

Gwoli oczywistości pokazał ciężką figę nad końskim zadem.

– Wiem. Skąd tak znasz rosyjski? Nawet figę z makiem?

– Tamten rok więzienie ja siedział. Braiłowski zamek znasz? Niedobra miejsce. Ale ludzie dobre. Chociaż Rosjanie, ale mocno dobre. Ja z nimi sześć miesięcy jedna cela siedział. Mógł tysiąc razy uciec – nie chciał. Siedziałby tak rok, dwa. Ale komendant chciała mnie Syberia wieźć. Ja nie chciał Syberia. Tam zimno, nie ma suszona morela i rodzynka (ja suszona morela i rodzynka mocno lubię). Dobrzy Rosjanie uczyli mnie dużo pożyteczny rzecz. Teraz ja mądry zrobił się. Żadna szpicel nie znajdzie, żadna posterunkowy nie złapie.

Osobnik był zajmujący. Erast Pietrowicz słuchał go z coraz większym zainteresowaniem.

– Słuchaj, dobrze mówisz po rosyjsku, tylko ciągle mylisz rodzaj żeński z męskim. To dla ciebie najtrudniejsze?

– Dlaczego najtrudniejsze? Dobre słowo zawsze on złe słowo ona. Ja kobiety nie szanuję. Cała zło od nich.

Interesująca myśl. Nie o kobietach, ale o stosunku do słów. Od razu widać, co się człowiekowi podoba, a co nie. Mówisz na przykład: „Łaskawa panie, czy mogę

ufać słowu honoru, które pan dała?” – i rozmówca momentalnie rozumie, że nie dasz się okpić... Boże, co za bzdury chodzą mi po głowie!

– Daleko do sz-szpitala?

– Zapomnij swój szpital – powiedział Hasym. – Nie wolno szpital. Dobry, spokojny miejsce trzeba. Jest taki miejsce. Tam twój przyjaciel spokojnie umrze. Albo nie umrze, jak Allah zechce. Doktor dobry jest, przyprowadzę. A do szpital nie wolno. Wszyscy dowiedzą się. Całe miasto dowie się. Jednoręka Chaczik dowie się. Dowie i znowu zabije. Jego zabije, ciebie zabije. Po co? Niech Chaczik myśli, że on nie żyje i ty nie żyjesz. Tak lepiej.

Erast Pietrowicz się zatrzymał.

– Znasz Jednorękiego? Co o nim wiesz?

– Wszystko wiem. On moja wróg. Ej, idziemy, tak? Koń nie rozumie, czemu stoimy.

– Chaczik to twój wróg?

– Słuchaj. – Goczi się zdziwił. – Myślisz, po co ja z tobą idę, twój przyjacielskośne-oczy na swój koń wiozę?

– P-po co?

– Wróg dla moja wróg to mój przyjaciel, jasne? Kiedy ty powiedział o jednoręka Chaczik, ja pomyślał: „Ej – myślał – ten brudny człowiek pomagać trzeba”.

Fandorin prędko obszedł konia dokoła, chwycił Hasyma za rękę. Rabuś okazał się o pół głowy wyższy i dwa razy szerszy od detektywa.

– Kim jest ten Chaczik?

– Zła człowiek. Ormianin. Ormianie bywają złe i całkiem złe. Ta jest całkiem, całkiem zła. Gorzej nie ma. Jasne, tak?

– Niejasne! Dlaczego on tak chce mnie zabić?

– Bo ja wiem? – Hasym filozoficznie wzruszył ramionami. – Zła, dlatego chce. Mówię tobie: Ormianin. Anarchiści znasz? U Chaczatur Jednoręki w banda anarchiści. Nie tylko Ormianie, Rosjanie też są, a muzułmanie nie ma.

Mówi się, że anarchiści nie żyją z bolszewikami w zgodzie. Dziwne. Ale może ta informacja jest nieaktualna i Odyseusz został anarchistą? Przecież zabił Spiridonowa, a bolszewicy nie stosują terroru. Chaczatur Jednoręki? To imię wspominał podpułkownik Szubin!

– A co, Chaczik i Chaczatur znaczy to samo?

– Słuchaj, skąd ty taki dziki przyjechał? Chaczik i Chaczatur to u nich jak u was Wania i Iwan. Ty teraz zrozumiał?

– Chaczatur posługuje się znakiem czarnego krzyża?

– Może i tak. Chacz po ichniemu, po ormiańsku, znaczy krzyż.

Hasym splunął – czy to na krzyż, czy to na Ormian.

Stan Masy zupełnie wytrącił mnie z równowagi, spostrzegł się Fandorin. Sprawa sprawą, a ja nawet nie podziękowałem za ocalenie!

– Dziękuję, że mnie wyciągnąłeś. Myślałem, że wybiła moja ostatnia g-godzina. Hasym lekceważąco spojrział z góry na dół.

– Dziękuję kobieta mówi. Mężczyzna dziękuję nie mówi. Mężczyzna dziękuję robi.

– Dobrze. Jak mogę ci się zrewanżować?

– Widziałem, jak strzelasz. Prawie jak ja strzelasz. Chcesz mi zrobić dziękuję, to razem zabijemy Chaczatur. Ty jedna wróg mniej, ja jedna wróg mniej. Życie lepsze.

– Ale... Przez to zaciągnę u ciebie jeszcze większy d-dług.

– Dług to można mieć u zła człowiek, co lichwiarz się nazywa – pouczył Hasym.

– Ja lichwa nie daję i nie biorę. Ja uczciwy lubię, sprawiedliwy. Pomożesz mi Chaczatur zabijać i między ja i ty będzie uczciwy.

– To korzystna transakcja. Z-zgoda.

Bóg chyba jednak istnieje. Zabrał jednego pomocnika i zaraz obdarzył w zamian drugim. Myśl pojawiła się sama z siebie i Fandorin bardzo się jej zawstydził. Jakby sprzedał Masę. Schylił się, poprawił rannemu głowę.

– Daleko do twojego „spokojnego miejsca”?

Odpowiedź była flegmatyczna:

– Co to jest daleko, a co to jest blisko? Bywa, pięć krok daleko. A bywa, sto wiorsta blisko. Dwie godziny iść będziemy. Albo trzy. Opowiedz coś, czas prędko popłynie. Coś ty za jeden, co robisz?

– Długo by opowiadać. Nie starczy trzech godzin – wymamrotał Erast Pietrowicz, badając puls na szyi rannego.

– Więc ja mówić będę. Lubię mówić. A ty słuchaj, tak?

– Dobrze. Tylko najpierw odpowiedz: powiedziałaś, że wróg twojego wroga to twój wróg. – Fandorin badawczo spoglądał na swojego wybawcę, który zgodnie kiwał papachą. – Ale kiedy wyciągałeś mnie ze studni, nie wiedziałeś jeszcze, że Jednoręki jest moim wrogiem.

– Nie wiedział. – Hasym poklepał konia po grzywie. – Ale tak umierać nikt nie wolno. Ja by nawet Chaczatur z szyb wyjął. Później ja by go zarznął, ale utonąć w dół by nie dał...

Mężczyzna nagle sposepniał, zasapał ciężko.

– Jeden rzecz ja ci powiem. Tylko słuchaj. Jak to się mówi, nie przerywaj, tak? Denerwuję się, kiedy o tym opowiadam. Serce wali. Mój ojciec... tata, tak?... był kopaczem. To ten, co w szyb na dole stoi, wiadro ropa nabiera. Uduślił się tata, umarł w dół. Dwaj starszy brat ja miał, też ropa czerpał. Jeden spalił się żywy,

kiedy pożar był. Drugi osuwisko zasypała. Ten, co zasypała, Musa się nazywa, ładny był, mądry, chciał szkoła uczyć się. Pieniądze nie było, oszczędzać trzeba. Dlatego szyb pracował. Bał się, ale pracował. Kiedy Musa umarł, mama też umarł. On Musa mocno kochał. Przed śmiercią mama mi powiedziała: „Hasym, jak pójdziesz do szyb pracować, to ja z tamten świat cię przeklnę”. Ja się wystraszył, nie poszedł do szyb, został ładowacz, ciężary dźwigać. Miał siedemnaście lat, mógł jedna ręka sześć pud podnieść. A gdy miał dwadzieścia, jeden jak trzy ładowacz pracował. Dużo pracował, za dzień dwa ruble dostawał. Bo bardzo jeść się chce. A ja dużo jem. Pilaw jem, baranina dobry jem, rodzynka i morela suszona mocno lubię.

– Już m-mówiłeś.

– Ej, nie przerywaj, tak? – Hasym lekko się rozgniewał. – Słuchaj, wzdychaj, mów ojej.

– Ojej – powiedział Erast Pietrowicz.

Przyłożył Masie dłoń do czoła. Czoło było lodowate, została na nim brudna smuga.

Jestem czarny jak kominiarz. Kominiarz Etiopczyk.

– Allach wie, że głupio ja żył. Ile w ciągu dzień zarobił, tyle zjadł. Wtedy zaczął myśleć. Myślę: będę nosić worki, żeby jeść, a potem umrę. I wyjdzie, że żył ja na ten świat, żeby dźwigać worki i jeść. Szkoda. Myślał ja o tym, myślał, długo myślał, i zdarzył się jeden dobry rzecz. – Goczi uśmiechnął się, przywoławszy miłe wspomnienie. – Deszcz była, błoto była. Ulica chodzić nie można, kto czysty. Ładowacz można. Ładowacz jest wszystko jedno. Powóz-bryczka podjechał. Tam bogate Rosjanie, pijane. Jedna krzyczy: „Ej, ładowacz, przenieś mnie na chodnik. Daję rubla!”. Druga krzyczy: „Mnie zanieś! Daję dziesięć!”. Myślę sobie: za dziesięć rubli pięć dni jeść można. Ona na mnie wsiadł...

– Kobieta?

– Czemu kobieta? Rosjanin, bogata, pijana. Ma cienki kij, co laska się nazywa. Sama się śmieje, laską po głowie bach, bach. „Pędź, ośle!”, krzyczy. Ja wtedy rosyjski język słabo znał, ale słowo osioł rozumiał. I raptem myślę: ech, ja naprawdę osioł. Osioł też ciężar nosi, żeby jeść, przez całe życie. Wziął ja ją, ta człowiek, za boki, przekręcił i w dół rzucił, gdzie błoto. Źle zrobił. – Hasym ze skruchą pokręcił głową. – Trzeba było objąć, pocałować. Ona mnie oczy otworzyła! Ja był osioł, a został człowiek. Zdjął ja pałan, poduszka taki, na niej worki noszą. Też rzucił. Poszedł ulica. Deszcz, dobrze. Z tyłu wołają. Cyrkułowy biegła, gwizdała. Dogoniła mnie, głupia łeb. Chwyła kołnierz. Walnęła ja cyrkułowy, szablą odebrał, nagan odebrał. I przestał żyć nieciekawie, zaczął żyć ciekawie. Bo nieciekawie życie gorsze od śmierci, tak?

– Tak.

– Więc czego śmierć się bać? Nieciekawym życie trzeba się bać. Słusznie mówię?

– Nie wiem. – Fandorin się uśmiechnął, chcąc nie chcąc podziwiając narratora. – To znaczy jestem tego samego zdania, ale nie wiem, czy mam rację.

Hasym go zganiał:

– Ech, stary człowiek, włos siwy, ja cię za to szanuję, a taka głupstwo mówisz. Szanowany człowiek zawsze ma racja, nawet kiedy nie ma.

Nagle Erast Pietrowicz zrozumiał, dlaczego z taką uwagą słucha tego bakijskiego olbrzyma i mu się przypatruje. Południowcy zazwyczaj są ruchliwi i mają niespokojne usposobienie, prędko mówią, łatwo się ekscytują. A ten nie przypomina temperamentem południowca. To Portos, tylko w papasze i czerkiesce. Monumentalna budowa ciała i bycza siła sprawiają, że Kara Hasym jest powolny, spokojny, niewzruszony. Wzbudza instynktowne zaufanie. Znikają przy nim niepokój i strach. Może doktor, o którym mówi gocki, uratuje Masę?

Czarne Miasto z jego szybami, fabrykami, cysternami i magazynami dawno zostało z tyłu. Hasym ominął oświetloną reflektorami stację państwowego rurociągu naftowego i cyrkuł w pobliżu przejazdu kolejowego. Później skręcili z szosy i przemierzali jakieś niebrukowane uliczki. Pojawiły się domy mieszkalne – nie takie jak w centrum, ale niziutkie, płaskie, otoczone niewysokimi murami i płotami.

Nagle, za kolejnym zakrętem, odsłonił się przed nimi widok na szeroką ulicę oświetloną latarniami. Ni stąd, ni zowąd wyrosły kilkupiętrowe budynki, zabłyśły w poświacie księżyca szyny tramwaju, być może konnego, a po drugiej stronie ulicy pokazały się blanki twierdzy. Erast Pietrowicz rozpoznał mur Starego Miasta – Hasymowi udało się dotrzeć do samego serca Baku, pozostawiając z boku wszystkie europejskie dzielnice.

– Teraz idziemy plac przed bramą – powiedział. – Tam nocą stójkowy stoi. Daleko idziesz, to ona myśli my się boimy. Stójkowy jest jak pies: szczeka, kto się boi.

Pociągnąwszy konia za uzdę, nieśpiesznie ruszył jezdnią w stronę, gdzie pod gazową latarnią dreptał nocny policjant.

– P-po co nadstawiać karku? – zapytał szeptem Fandorin, doganiając Hasyma.

– Niech ona widzi, kto idzie.

Stójkowy usłyszał stukot kopyt, drgnął.

– A cóż to się dzieje?! – rozległo się groźne wołanie. – Co wieziesz? Stój no.

Hasym szedł dalej przed siebie, zignorowawszy pytanie.

Policjant prędko ruszył w jego kierunku, położył rękę na kaburze. Nagle się

zatrzymał. Poprawił bandolet, zawrócił. Spacerowym krokiem, noga za nogą, spoglądając na księżyc, wrócił na swój posterunek.

– Poznała – powiedział Hasym. – Teraz idziemy Iczeri-Szeher.

– G-gdzie?

Goczi machnięciem ręki wskazał forteczną bramę.

* * *

Uliczki Starego Miasta wydawały się Fandorinowi labiryntem nawet w świetle dnia, więc teraz, w ciemności, natychmiast stracił orientację. Nie było tu żadnego oświetlenia. Światło księżycy prawie nie dosięgało ziemi, nie przepuszczały go ciasno zwarte nadbudówki domów. Nie wiadomo, jak Hasymowi udawało się poruszać w całkowitych ciemnościach tak pewnie. Kilka razy w mroku mignęły pary zielonych punktów. Koty, domyślił się Erast Pietrowicz.

Musiał uruchomić nocne widzenie, inaczej bez przerwy potykałby się o kępy i wyboje.

– Tutaj mieszkam – oznajmił w końcu Hasym, skręcając w bramę, za którą pojawił się dom, jota w jotę jak tamten, z którego strzelał Jednoręki. Nawet przeszklona weranda i schody były takie same. – Nikt nas tutaj nie widzi. A kto widzi, nikt nie powie. Bo jesteś gość Kara Hasym.

Zdjął zawiniętego w burkę Masę, klepnął konia po zadzie – ten, machnąwszy łbem, zniknął gdzieś w ciemności.

– Poszedł do domu.

– To znaczy, że koń nie jest twój?

– Dlaczego mój? Trzeba, to biorę.

Niosąc rannego na rękach, Hasym ruszył po schodach na werandę. Stopnie żałośnie skrzypiały pod jego ciężkimi krokami.

Drzwi nie były zamknięte. Gospodarz po prostu pchnął je ramieniem.

– Tutaj piję herbatę – powiedział, ruchem głowy wskazując porozrzucane na podłodze poduszki.

Minęli następne drzwi.

– Tutaj jem, kiedy mam goście.

Jednakże nawet z *yorume* trudno było coś dojrzeć w nieprzeniknionych ciemnościach. Tymczasem Hasym prowadził Fandorina dalej. Ciasnym korytarzem, na który wychodziły jeszcze jakieś drzwi.

– Tutaj jem, kiedy jestem sam... Tutaj myślę... Tutaj śpię... Tu nic nie robię, po prostu taki pokój... A tutaj ty zamieszkasz.

Znowu pchnąwszy skrzydło drzwi ramieniem, wszedł do ciemnego

pomieszczenia, ale Fandorina nie wpuścił do środka.

– Bardzo proszę, nie wchodź taki brudny. Wyglądasz jak szejtan. Zdejmij ubranie, na dworze jest beczka na śmieci, tam wyrzuć.

Erast Pietrowicz rozebrał się. Smoking, spodnie, koszula – wszystko zeszytniało od zaschniętej mazi. Fandorin nie czuł już zapachu, zdążył się przyzwyczaić. Nawet bielizna była czarna.

Kiedy wrócił z podwórza, pozbywszy się zniszczonego ubrania, w pokoju paliła się lampa naftowa. Masa leżał na derce, pod kobiercem umieszczonym na ścianie, od góry do dołu obwieszonym najprzeróżniejszą bronią.

– E, cały goły. – Hasym zdziwił się na widok Fandorina.

Teraz, z bliska i przy świetle, Erast Pietrowicz mógł wreszcie przyjrzeć się należycie bakijskiemu Portosowi.

Hasym przekroczył chyba trzydziestkę, ale postawni mężczyźni zawsze wydają się starsi, niż są w istocie. Twarz miał mięsistą, z dużym nosem i grubymi wargami, bardzo smagłą. Wąsy i brwi nie były zwyczajnie czarne, ale jak gdyby wysmarowane smołą. Kiedy Hasym zdjął papachę, żeby otrzeć pot z ogolonej głowy, ona też okazała się czarna od gęstego zarostu. Czarny był również cały strój gocchi, nawet kościane wierzchołki gazyrów na czerkiesce były poczernione.

Hasym też studiował twarz Erasta Pietrowicza, ale niezbyt długo.

– Czarny cały, tylko oczy widać. Jutro na ciebie patrzeć będę. Masz szmatka, ropa wycieraj. Masz chałat. Stary, nie szkoda. Ja idę. Po doktor idę.

– Co to za lekarz? Dobry?

– Nie bój się, nie Rosjanin. Prawdziwy *tabip*. Ludzi nie kroi. I język trzyma za zęby.

Przekonawszy się, że Masa oddycha i że puls, choć słaby, nie jest przerywany, Erast Pietrowicz zajął się higieną. Z pół godziny wycierał się szmatką. Skóra nie zrobiła się dzięki temu czysta, ale Fandorin przynajmniej stał się ponownie członkiem rasy europeidalnej.

Gorzej było z włosami. Imponująca siwizna – śnieżna, z niebieskawym odcieniem – zamieniła się w pozlepiane pakuły. Erast Pietrowicz nie wiedział, czy uda się w ogóle kiedykolwiek doszorować włosy. Wąsy sterczały jak wywoskowane. Niestety, lepszego rezultatu w danych warunkach osiągnąć się nie dało.

Chałat od gospodarza można było nazwać starym tylko przez uprzejmość. Podziurawiony, z wyłazającą na wierzch watą, pasowałby raczej do Pluszki[9]. Całe szczęście, że w pokoju nie było lustra.

No dobrze. Ale co dalej? Może niepotrzebnie posłuchałem Hasyma? On jednak

ma rację – Jednoręki nie uspokoi się, dopóki nie doprowadzi sprawy do końca. Powinien myśleć, że obaj jesteście martwi.

Stukanie do drzwi położyło kres tym rozmyśleniom. Rozległy się dwa głosy: jeden głęboki, znajomy, drugi starczy, słaby. Rozmawiano po turkijsku.

Do środka wszedł przygarbiony człowieczek w białym turbanie, z długą, zaplecioną w warkoczyk bródką. Był w chałacie nieco lepszym niż ten Fandorina: wytłuszczonym i połatanym. Erastowi Pietrowiczowi ścisnęło się serce, kiedy starzec podrapał się w policzek brudną ręką z poobgryzаныmi paznokciami. Za nic w świecie nie wolno pozwolić, żeby ten szarlatan zbliżył się do rannego!

Starzec prześliznął się obojętnym wzrokiem po Fandorinie i zamiast się przywitać, pociągnął tylko nosem. Ale kiedy zobaczył bladego mężczyznę, nieruchomo leżącego na wznak, wyblakłe oczka zabłysły, a dłonie z zapalem potarły jedna o drugą. Wówczas Erast Pietrowicz pojął, że to prawdziwy medyk. Ten, kto tak lubi swoje rzemiosło, nie może być szarlatanem.

Bardzo zręcznie i prędko *tabip* rozebrał rannego do pasa. Kilka razy dotknął palcami ran – lekko, jakby grał etiudę na fortepianie. Coś powiedział – Fandorin zrozumiał tylko słowo „mauzer”. Hasym z szacunkiem odpowiedział, po czym przetłumaczył:

- Muallim mówi: dobrze, że mauzer. Kula mały, na wskroś przebija.
- Ale on nawet nie spojrzał, czy przeszła na wylot.
- Muallim nie trzeba patrzeć. Tylko rosyjski lekarz patrzy.

Medyk wyjął jakąś flaszkę i ją otworzył. Rozszedł się nieprzyjemny, ostry zapach. Staruszek oblizał wątpliwej czystości palec, wsunął do flaszki, posmarował rany.

Tymczasem Hasym, z ciekawością obserwujący owe czynności, dzielił się z Erastem Pietrowiczem swoim zdaniem na temat zalet i wad różnych marek broni palnej.

– Ormianie są drobni, prędcy, wszędzie zdążyć chcą. Dlatego mauzer lubią. Pif, pif, pif! Jak sroka, tak? Tam dziobnął, tu dziobnął, a zabić nie zabił. Ja kolt lubię. – Wyjął i pokazał rewolwer z długą lufą, kaliber 45. – Nabój jak śliwka. Bach! Kto stał, pada, dłużej stać nie będzie.

– Zapytaj, jak *tabip* zamierza go leczyć – przerwał Fandorin. – I najważniejsze: czy jest nadzieja?

Nie przestając opatrywać ran, *tabip* odrzekł coś śpiewnie. Wyglądał na zadowolonego, a nawet uradowanego. To znaczy, że nie jest beznadziejnie, pomyślał Erast Pietrowicz.

– Muallim mówi: pewnie umrze, ale to wola Allacha. Może nie umrze. Dużo spać trzeba. Jeśli cały czas spać, to może żywy będzie. Jeśli nie spać, jeśli... jak

to się mówi, jeden bok, drugi bok...

– Przewracać się.

– Tak. Krzyczeć będzie. To źle. Umrze.

Medyk wyjął z torby jakieś powrósło. Potarł zapałkę, zapalił. Żółtobury koniec zaczął się tlić i dymić.

– To trzeba pod nos. Wtedy cały czas śpi – przetłumaczył Hasym.

Fandorin nachylił się, powąchał. Coś na bazie opium.

– Nie jest niebezpieczne?

– On mówi: głupiec wszystko niebezpieczne, nawet woda pić, jeśli miara nie zna.

W tym momencie *tabip* wstał, uniósł Masie jedną powiekę, potem drugą. Z niejasnego powodu splunął rannemu na środek czoła, roztarł palcem.

– P-po co to?

– Czaruje troszeczkę.

Na tym leczenie się skończyło. Staruszek znowu spojrział na Erasta Pietrowicza. Chichocząc, powiedział coś Hasymowi, który również się roześmiał – uprzejmie, zakrywając wąsiska dłonią.

– Muallim pyta, dlaczego *akbaş* brudny taki. Mówi: trzeba łaźnia iść. Słusznie mówi. Rano łaźnia pójdziemy.

– Co to takiego *akbaş*?

– Biały Głowa. Dobrze nazwał. Ja ciebie też tak nazwać będę.

* * *

Pozostałą część nocy Fandorin spędził u wezgowia rannego. Co chwila zapadał w drzemkę, ale od razu się podrywał – pilnował, żeby nasenne powrósło nie zgasło. Kawalek woskowanego papieru, na którym palił się odurzający knot, leżał na piersiach Masy, poniżej podbródka, ale trochę dymu prawdopodobnie przenikało również do płuc Erasta Pietrowicza, ponieważ przez cały czas śniły mu się sny – krótkie, ale bardzo wyraźne.

Nie były to zresztą majaki wywołane przez opium (Fandorin wiedział coś na ten temat z własnego doświadczenia, w swoim czasie omal nie przypłacił tego życiem). Nic fantazyjnego, tylko obrazy z przeszłości. Niektóre z dalekich zakamarków pamięci, zapomniane na wiele lat, nieprzywoływane.

...Młody, osiemnastoletni Masa, sapiąc, wpił się w nadgarstek. Wykręca rękę, powodując ból. Ręka zaciśnięta na pistolecie. Masa powtarza: „*Ikemassen! Ikemassen!*”, co znaczy: „Nie wolno! Nie wolno!”. Siebie Fandorin nie widzi, ale

czuje, jak coś rozrywa mu piersi, oczy zachodzą łzami. Minuta rozpacz, próba samobójstwa. Rok siedemdziesiąty ósmy. Jokohama.

...Masa skończył trzydzieści lat. Teraz to on ma złamane serce. Płacze. Masa rozstał się z kobietą, którą pokochał – po raz pierwszy i ostatni. Erast Pietrowicz słyszy swój wzburzony głos, który mocno się zacina: „Idioto! D-dlaczego? Ona ciebie też k-kocha! Ożeń się!”. Masa szlocha, rozmazuje łzy po okrągłych policzkach. Zgodnie z japońskim wyobrażeniem mężczyzna nie musi się wstydić płaczu z powodu złamanego serca. „Wierność nie dzieli się na dwoje”, odpowiada Masa i zanosi się jeszcze bardziej rozdzierającym płaczem.

...Masa ma pięćdziesiąt lat. Siedzi przed lustrem, goli głowę ostrym kindzalem. Mina uroczysta, oczy na wpeł przymknięte. „Buddyjskim m-mnichem i tak nie zostaniesz”, kpiąco rzuca Erast Pietrowicz. Je jabłko, w ustach czuje świeży, kwaśny smak antonówki. Precyzyjnym, wytwornym ruchem Masa strząsa z klingi pianę. „Człowiek zostaje tym, kim chce zostać”.

I tak dalej, i tak dalej. Każdy sen był o Masie. I za każdym razem urywał się w ten sam sposób – Erast Pietrowicz otwierał oczy z przerażeniem. Umarł! Nachylał się, żeby sprawdzić, czy Masa oddycha. Sprawdzał tłący się płomycek. Znowu zasypiał.

Ostatni sen, już w świetle porannego słońca był taki.

...Pędzelek próbuje nakreślić na papierze ryżowym ideogram „samotność”. To ćwiczenie z koncentracji. Idealnie namalowany znak, którego znaczenie znakomicie odpowiada chwili, wprowadza świadomość na poziom doskonałości. Wtedy myśl osiąga ostrość miecza i zadanie, które wydawało się nie do rozwikłania, samo się rozwiązuje. Rzecz wielokrotnie sprawdzona. Ale perfekcyjny ideogram nie zawsze się udaje. Teraz – wcale. Erast Pietrowicz próbuje wciąż od nowa, na papierze rozpryskują się krople tuszu. Wówczas ponad jego ramieniem wysuwa się dłoń o krótkich palcach, odbiera mu pędzelek i prędko, zamasyście rysuje szponiasty znak: „samotność”.

孤

Fandorin nie zdążył się zachwycić doskonałością pisma, ponieważ ręka cisnęła pędzelek i zaczęła potrząsać go za ramię.

– Akbaş! Trzeba *hammam* iść, dopóki ulice ludzie mało! W ciągu dnia taki

brudny, podarty całkiem nie wolno. Myć się idziemy!

– A Masa? – zapytał Erast Pietrowicz, podnosząc się i przecierając oczy. – Nie można zostawiać go samego.

– Człowiek siedzieć będzie.

– Jaki cz-człowiek?

Hasym obrócił się w stronę drzwi i krzyknął. Na progu stanęli dwaj mężczyźni, młody i stary. Biednie odziani, chudzi, obaj zastygli w pokłonie.

– Oni siedzieć będą.

– A kim są?

– Nie wiem. Jeszcze nie mówili. Zawsze od rana ludzie siedzą. Czekają, kiedy zapytam, po co przyszli. Kara Hasym dużo ludzi pomaga.

Goczi przykazał im coś surowo, wskazując na Masę.

– *Baş usta, aga* – chórem odparli petenci.

– Wszystko zrobią – przetłumaczył Hasym. – Jak mama dogłądać będą. Jakby coś, to do *hammam* przybiegną. Ej, nie bój się. Oni wiedzą: kto mnie dobrze robi, ten ja dobrze robię. A kto mnie źle robi, ten źle będzie.

* * *

Wędrowanie ulicą w odrażających łachmanach, z wystającymi spod chałata gołymi kostkami, w popękanych od ropy lakierkach, ze sztywnymi od brudu włosami stanowiło dla Erasta Pietrowicza, eleganta pierwszej wody, nie lada próbę. Ludzi na ulicy było jeszcze niewielu, poza tym Hasym starał się wybierać drogę przez zaułki, mimo to Fandorin wzdrygał się, łowiąc na sobie pogardliwe albo litościwe spojrzenia przechodniów.

Do łaźni nie chciano go wpuścić. Nawet kiedy groźny Kara Hasym pokazał odzwiernemu potężną pięść, ten i tak pokręcił głową, mamrocząc: „*Bağirmaram, heç ğur bağirmaram!*”. Wówczas goczi rozwarł pięść. Na dłoni leżał srebrny rubel.

Posługacz chwycił monetę i rozglądając się, prędko zamachał: żywo, żywo!

Chwilę później znajdowali się już w oddzielnym pokoju kąpielowym – niedużym pomieszczeniu wyłożonym kaflami. Z dołu przez kraty napływały kłęby rozgrzanej pary.

– Ta śmietnik wyrzucić! – powiedział Hasym o łachmanach Fandorina. – Kamasz też wyrzucić.

– To w czym p-pójde?

– Ty teraz nie będziesz Rosjanin, ale Dagestan. Masz. – Goczi wyjął z tobołka beszmet, papachę i miękkie buty z cholewami. – W Baku Dagestan dużo. Łatwo się ukryć. Po naszymu nie mówią. U Dagestan każdy auł swój język. Nikt Dagestan nie

rozumie. Sam Dagestan drugi Dagestan nie rozumie.

Niezły kamuflaż, pomyślał Erast Pietrowicz, z przyjemnością pozbywając się łachmanów.

– Głowa siwy, ciało młody – powiedział Hasym, dokładnie oglądając nagiego Fandorina. – Mocny ciało. Jak *kandırbaz*, co na bazar po lina chodzi.

– Po linie też trochę umiem – skromnie wyznał Erast Pietrowicz, połączony komplementem.

Hasym spojrzał niżej.

– Ej, co za wstyd! Nigdy taki nie widział! Weź ręcznik, zasłoń prędej! Jak zobaczy łaźiebny, to wygoni.

Ma na myśli obrzezanie, a raczej jego brak, domyślił się Fandorin i poszedł za mądrą radą – obwiązał biodra ręcznikiem.

Jeśli chodzi o Hasyma, to w stroju Adama przypominał niedźwiedzia: olbrzymi, porośnięty burą sierścią, z okrągłym brzuchem i grubymi udami.

Fandorin długo, bardzo długo szorował się ostrą myjką i pumeksem. Następnie i jego, i Hasyma zaproszono na stół do masażu. Dwaj krzepcy młodzieńcy zaczęli ugniatać leżących kolanami i stopami, okładać łokciami, ścisnąć i szczypać, wykręcać stawy. Fandorin znosił wszystko z zaciśniętymi zębami. Hasym stękał i ochał.

Wreszcie tortury się skończyły. Zataczając się i nie czując własnego ciała, Fandorin podniósł się na nogi. Miał wrażenie, że jest lekki jak piórko – mógłby się wznieść aż pod sufit. I bardzo czysty, jakby zrzucił starą skórę. Tylko włosy nie domyły się należycie. Odsunawszy kosmyk z czoła i spojrzawszy w górę, Fandorin zobaczył, że dawna szlachetna biel nie powróciła.

– Teraz cyrulik idzie – powiedział Hasym, gładząc zarost na głowie. – Będę głowa i policzki golić. A ty broda nie gol, Dagestan nie wolno. Tylko głowa gol.

– N-na łyso? – Erast Pietrowicz przeraził się w pierwszej chwili. Ale zaraz sobie powiedział: A co innego zrobić z tymi pakułami?

Godzinę później siedzieli na otwartej werandzie, która wychodziła na cienisty sad z szemrzącą pośrodku malutką fontanną, i pili herbatę. To znaczy herbatę pił Fandorin, bo Hasym prawie nie dotykał filiżanki – jadł. Czurieki, chałwę, suszone owoce, orzechy. Od czasu do czasu oblizywał palce, bekał i oznajmiał: „Aj, jak dobrze”.

I rzeczywiście, było dobrze. Świeży wiaterek przyjemnie pieścił ogoloną, wrażliwą jak listek mimozy skórę głowy. Obejrzeć się w lustrze emerytowany radca stanu jeszcze się nie ośmielił. Siedział po turecku i przyzwyczajał się do kaukaskiego stroju.

– Nie będę cię nazywać Akbaş – powiedział Hasym. – Będziesz Yumrubaş, Okrągły Głowa. Ej, filiżanka tak nie wolno trzymać! Ty już nie Rosjanin. Trzeba, jak to się mówi, maniery dobre, bo ludzie zobaczą i nie uwierzą, że ty muzulman.

– Dobre maniery, czyli na przykład co?

– Czemu ty czapka zdjął? Szanowany człowiek zawsze czapka siedzi. Herbata cicho pijesz, niegrzecznie. O tak pij. – Hasym z hałaśliwym siorbaniem pociągnął łyk z filiżanki. – Zrozumiał?

Fandorin również spróbował. Za trzecim razem wyszło nieźle.

– Jeść będziesz pilaw, tylko prawy ręka bierz. Nigdy lewy. Trzy palec bierz, o tak. Dłoń nie brudź. Jak broda wyrośnie, dobrze henna czerwony farbować. Pers tak robi, Dagestan, co z dalekie góry, też lubi. Nikt nie pomyśli, że ty Rosjanin...

Słuchając instruktazu, Erast Pietrowicz analizował sytuację, w której się znalazł. Kiedy na szlachetnego męża spada nieszczęście, pierwsze, co robi ów mąż, to mówi losowi „dziękuję” i próbuje wyciągnąć korzyści z nowych okoliczności.

A korzyści niewątpliwie były.

Wróg jest przekonany, że mnie już nie ma. To znaczy, że można się nie obawiać nowych napaści. To raz. Nielegalny status oraz kamuflaż otwierają nowe możliwości, dają pełną swobodę manewru. To dwa. Zdobyłem bardzo poważnego sojusznika. Teraz poradzę sobie bez Szubina. To trzy.

– Gdzie się ukrywa Jednoręki Chaczatur? – Fandorin przerwał nauczycielowi dobrych manier.

– Bo ja wiem? – Goczi włożył do ust duży orzech włoski, bez trudu go rozgryzł i wypluł na dłoń łupiny. – Do domu przyjdę, śniadanie będę jadł. Potem się dowiem. Dzisiaj się dowiem. I zrobimy, co trzeba zrobić.

Wierzyć mu czy nie, Fandorin nie wiedział.

– Jeśli Chaczatur jest twoim wrogiem i tak łatwo go znaleźć, dlaczego do tej pory się z nim nie porachowałeś?

– Wcześniej ja jeden, a ich osiem. To dużo. Ty dwie zabił, jedną ranił. Teraz ich pięć. To mało. A nas dwa. To dużo. Nie martw się, Yumrubaş, jedz czuriek. Dzisiaj my wszystkie Ormianie zabijemy.

– Powiedz, czy wy z Ormianami zawsze tak się nienawidziliście? – spytał Erast Pietrowicz.

– O tym dużo łgarstwa opowiadają. Nikogo nie słuchaj, mnie słuchaj. Ja ci prawda powiem... – Hasym hałaśliwie upił łyk herbaty, westchnął. – Rosyjscy urzędnicy zawsze, sto lat, za Ormianie byli. Bo Ormianie krzyż noszą, Biblia czytają. Ale Ormianie nie tylko Biblia, Ormianie inne książki też czytają, a od książek w głowie wiatr hula. Kto książki dużo czyta, władza nie szanuje, chce ciągle co innego robić. Rewolucja chce. A władza rewolucja nie chce, władza chce,

żeby cicho i porządek. Dziesięć lat temu w Baku był gubernator Nakaszydze. Gruzini, a Gruzini tylko ciut lepsi od Ormian. Gubernator Nakaszydze razem z Ochraną chciał Ormian nastraszyć. Żeby zapomnieli rewolucja. Ochra powiedziała głupie i chciwe ludzie (takie też u nas są): można Ormian trochę rabować i wyrzynać. Kiedy władza pozwala wyrzynać, to łatwo. Zaczęli wyrzynać, rabować. Trochę nie wyszło, bo trochę wyrzynać nigdy nie da się. Władza mówi: wystarczy, a ludzie jeszcze chcą. Wtedy żołnierze strzelać zaczęli. A na Kaukaz jak strzelać zaczniesz, to strzelanie nieprędko skończy się. Ludzie się obrazili, zabili główny generał, który rozkaz wydał. Ormianie obrazili się na gubernatora Nakaszydze, też zabili. Przez głupie i chciwe muzułmanie Ormianie na wszystkie muzułmanie obrazili się. Strzelać zaczęli. Wtedy nasi na Ormian jeszcze bardziej obrazili się. Koniec, teraz sto lat strzelać będziemy. To Kaukaz. My nie lubimy Ormian, Ormianie nie lubią nas, wszyscy do spółki nie lubimy Rosjanie. Dawniej w Baku wszyscy koło siebie żyli. Szło się, gdzie kto chciał. Teraz nie. Od przylądek Bałowa do Olginska muzułmanie mieszkają, dalej na północ Ormianie. Iść można, ale lepiej sobie darować.

Zwyczajna historia typu „dziel i rządź”, pomyślał Fandorin. Ta strategia nigdy nie sprawdza się na obszarze, gdzie ludność przyzwyczajona jest do noszenia broni.

– Jeśli rozumiesz, jak do tego wszystkiego doszło i kto ponosi winę, dlaczego tak nienawidzisz Ormian?

Hasym wzniosł oczy do sufitu.

– Krew ma swoją prawdę. Kiedy krew się polała, głowa milczy. Męczyzna musi robić to, co musi. Później Allah osądzi. Ormianie we mnie strzelali, ja strzelałem w Ormian. Ale do więzienia posadzili mnie nie Ormianie, tylko Rosjanie. W więzieniu Ormianie też byli, dużo, ale bójka nie było i kłótnia nie było. W więzieniu jeden wróg – władza. Kiedy rosyjska władza z Baku odejdzie, na zawsze odejdzie, wtedy my Ormianie wykończymy. A na razie tylko nie lubimy. Mocno wyrzynać na razie nie będziemy.

Wątpliwa sprawa, żeby Rosjanie kiedykolwiek opuścili Kaukaz, a to znaczy, że w najbliższej przyszłości wojna domowa w tym kraju nie grozi.

– Chodźmy do domu. Już czas.

Z powrotem nie szli już opłotkami, ale ulicą, która stała się gwarna i tłoczna. Fandorin uważnie rozglądał się na boki. Zapamiętywał drogę, uczył się orientować w chaosie krzywych zaułków, małych placów i wypalonych słońcem pustkowi.

Przedwczoraj, szukając miejsca zdjęć filmowych, Erast Pietrowicz czuł się tu jak turysta, obca istota. Teraz wszystko się zmieniło. Takich jak on było wokół pełno i nikt mu się nie przyglądał.

To był Wschód, najprawdziwszy, jakby zstąpił ze starej litografii. Na drewnianym podeście malutkiej herbaciarni, przy zakopconych samowarach bucharyjczycy w brajtszwancowych papachach z sukiennymi główkami statecznie popijali herbatę z Kiachty. Siedział tu również miarowo poruszający szczękami Pers. Sądząc z mętnego spojrzenia, przeżuwał haszysz. Przechodnie nosili szarawary i podpasane archałuki, wielu było w czerkieskach i z kindzałami. Kobiety snuły się niczym czarne, pozawijane w chusty cienie.

Kiedy dotarli do szerokiego skrzyżowania, Fandorin stanął, żeby lepiej się przyjrzeć malowniczemu obrazowi, rozeznąć się w gwarze różnorodnych głosów.

– *Meydany* zawsze taki – powiedział Hasym, z dumą pokazując ręką tłum. – Co chcesz, wszystko jest. *Kebabçı* jest, *halvası* jest. Chcesz pić, *şərab* jest. Wróżbita jest. Chcesz swój los znać?

– Nie, dziękuję.

Erast Pietrowicz zapatrzył się na koszyk, w którym powoli się kołysząc, tańczyła kobra. Zaklinacz grał na katarynce jakąś zawodzącą i piskliwą melodię, która stanowiła prawdziwą torturę dla ucha, ale kobrze chyba się podobało.

– Ej, ej, popatrz! – Cicerone Fandorina pociągnął go za rękaw. – Zaraz śmiać się będziesz!

I natychmiast sam parsknął śmiechem, trzymając się rękami za grube boki.

W rogu majdanu zebrał się tłum. Dwaj umorusani śmiałkowie, błyskając białymi zębami w uśmiechu, coś z werwą krzyczeli. W rękach trzymali duże miedziane lustro. Trzeci popychał od tyłu barana. Gdy baran ujrzał w lustrze swoje odbicie, cofnął się. A potem z impetem rzucił się do przodu i uderzył łbem w metal. Rozległ się głośny brzęk, zagłuszony wesołym śmiechem widzów.

– Głupi, co? – Hasym szturchnął barana palcem. – Myślał, że to inny baran! Ale głupi!

Erast Pietrowicz nie słuchał go, bo zauważył w tłumie chłopca, który handlował prasą i różnymi piśmiennymi drobiazgami.

Poprosił Hasyma, żeby kupił najświeższe wydania wszystkich gazet, a ponadto ołówki i papier. Wczoraj po raz pierwszy od początku roku nic nie zanotował w *Nikki*. Nie ma takich okoliczności, które mogłyby usprawiedliwić zaniedbanie obowiązku. Tak więc dzisiaj będzie musiał zrobić podwójny wpis.

* * *

Tym właśnie się zajął, gdy tylko Hasym wyruszył na zwiad, posiliwszy się uprzednio tłustym pilawem, którego misa wraz z mnóstwem innego jadła czekała na gospodarza na stole, jakby za sprawą czarodziejskiego zaklęcia „stoliczku,

nakryj się”.

Nieznani petenci sumiennie wykonali obowiązki siostr miłosierdzia przy Masie. Poszeptali o czymś z gospodarzem, pokłonili się i poszli. Podczas gdy Hasym się pożywiał (a trwało to długo), nieustannie zaglądali doń nowi interesanci – Fandorin wciąż słyszał jakieś głosy. Siedział jednak przy swoim biednym nieruchomym przyjacielu i czytał gazety.

Na pierwszych stronach znalazły się wiadomości lokalne. Do strajku przyłączyły się jeszcze cztery tysiące robotników. Ropa znowu podrożała. Do piwnic zwieziono lód z Wołgi po dwadzieścia pięć kopiejek za pud, dla hurtowych nabywców zniżka. No i dobrze.

Więści z Wiednia. Władze austriackie ustaliły, że nici spisku, którego ofiarą padł następca tronu, prowadzą do Belgradu i że z zamachem mieli związek wysocy urzędnicy serbskiej tajnej policji. To chyba mało prawdopodobne. Pewnie kaczka dziennikarska. Jutro albo pojutrze z pewnością pojawi się sprostowanie.

Na to, co Fandorin miał nadzieję znaleźć w prasie, natrafił w „Gazecie Bakijskiej”, dopiero co wydrukowanej, jeszcze pachnącej farbą drukarską. Zaraz na pierwszej stronie.

TRAGEDIA WIELKIEJ AKTORKI

Wczoraj wieczorem w drodze z bankietu zorganizowanego przez wielce szanownego M.K. Artaszewa na cześć niezrównanej Klary Łunnej, małżonek drogocennego gościa naszego miasta pan Fandorin stał się ofiarą bandyckiego napadu. W Czarnym Mieście niedaleko kopalni Mantaszewa znaleziono przewrócony i podziurawiony kulami automobil. Naokoło plamy krwi. Mąż pani Łunnej i jego kamerdyner zniknęli. Nie ma żadnej wątpliwości, że ciała utopiono w jednym z licznych szybów naftowych. „Moje życie straciło sens! – wyznała naszemu korespondentowi nieszczęsna wdowa, zalewając się łzami. – Mam złamane serce. Teraz pozostała mi tylko sztuka”. Pan Fandorin przybył do Baku zaledwie dzień wcześniej. Był emerytowanym urzędnikiem ministerstwa spraw wewnętrznych i jednym z filarów moskiewskiego towarzystwa. Policja zapewnia, że uczyni wszystko, by odnaleźć zwłoki ofiar przerażającego napadu i zapewnić im chrześcijański pochówek.

Była też fotografia: zrozpaczona Klara załamuje ręce. Za jej plecami płaczący Simon i współczujący Leon Art.

We wczesnej młodości Erast Pietrowicz, jak wielu innych, czasami wyobrażał sobie własny pogrzeb: wzruszające przemówienia nad trumną, szlochający tłum i tym podobne. Najbardziej gorzko w tych marzeniach płakała pewna czarująca osoba – narzeczona czy wdowa – i nawet usiłowała przebić się sztyletem. I oto dawne życzenie się spełniło. Wdowa szlochała, w dodatku nad wyraz elegancko. Zapewniała, że jej życie straciło sens. Co prawda w tle majaczył już przyszły pocieszyciel, ale to w zasadzie rzecz naturalna.

No cóż, stabilność nielegalnego położenia została zapewniona. Teraz, kiedy wróg się uspokoił, można należycie przygotować kontruderzenie.

Erast Pietrowicz położył przed sobą kartkę i przygotował się do pisania *Nikki*. Z rozdziałem „Klinga” lepiej było zaczekać na powrót Hasyma. Dojrzał za to pomysł na „Szron”.

霜

Człowiek, którego droga jest pełna niebezpieczeństw, powinien żyć bez miłości. Nie chodzi o to, żeby chronić swoją duszę przed niepotrzebnym cierpieniem – bynajmniej. Ten, kto z tchórzostwa albo z egoizmu nie decyduje się, by kochać, zasługuje na pogardę. Chodzi o co innego. Nie wolno pozwolić, żeby ktoś pokochał ciebie. Albowiem człowieka, którego karmę otaczają burzowe chmury, raczej nie czeka naturalny zgon. Gdy zginie, ta, która oddała mu swoją duszę, zostanie na świecie sama. Jakkolwiek bohaterska byłaby twoja śmierć, i tak okażesz się zdrajcą, przy czym zdradzisz najdroższą istotę na świecie. Wniosek jest oczywisty. Nie wpuszczaj nikogo do swojego serca, a tym bardziej nie wdzieraj się do cudzego. Wówczas, jeśli zginiesz, smutek nikogo nie złamie ani nie okaleczy. Odejdiesz łatwo i beztrąsko, jak obłok znikający za horyzontem.

Słodkawy dym łaskotał nozdrza pogrążonego w zadumie Fandorina. Masa poruszył się na swoim łóżu.

Ocknął się?

Nie. Tylko westchnął. Na ustach pojawił się półuśmiech. Ile będzie trwało to odrętwienie? Przynajmniej nie jęczy. To znaczy, że nie czuje bólu.

Na dworze rozległy się krzyki bawiących się chłopców. Erast Pietrowicz wstał, przymknął okno.

Tak, teraz „Drzewo”. Co by pożytecznego zapisać? Może przynajmniej turkijskie słowa, które słyszał dzisiaj na ulicy i postarał się zapamiętać. Przydadzą się.

木

Salam alejkum, mohterem çanab – uprzejme powitanie.

Allah ruziwi versin! – również coś życziwego.

Allah senden razi olsun – coś w rodzaju „bardzo dziękuję” albo „niech cię Bóg błogosławi”.

Sikdir – sądząc z intonacji, „nie zgadzam się z panem” albo „dziękuję, nie warto”...

Teraz, po ciężkiej ubiegłej nocy i w oczekiwaniu na następną, która też nie zapowiadała się spokojnie, należało się przespać. Sztuki odprężania się i natychmiastowego zapadania w sen Fandorin nauczył się jeszcze we wczesnej młodości. Dwadzieścia minut harmonijnego snu odświeża mózg i ciało skuteczniej niż kilka godzin snu niewłaściwego – na przykład takiego jak wczorajszy.

Erast Pietrowicz położył się na kobiercu koło pościania, żeby nie wdychać

oparów opium. Przyjął pozycję „zabity samuraj na polu pod Sekigaharą”, po czym westchnął cztery razy głęboko i cztery razy bardzo głęboko. Zasnął.

Harmonijny sen mija bez majaków. Jest głęboki, ale przejrzysty, jak krystaliczna toń górskiego potoku. Świadomość niczym srebrzysta rybka ledwie porusza płetwami przy samym dnie i momentalnie się wynurza, gdy poczuje najmniejsze drżenie na powierzchni.

Za każdym razem kiedy ranny wydawał jakiś dźwięk albo po prostu się poruszał, Fandorin unosił się, sprawdzał, czy wszystko w porządku, po czym znowu osuwał się na podłogę i zasypiał.

Trzykrotnie do pokoju zaglądali jacyś ludzie. Erast Pietrowicz siadał, gdy tylko w korytarzu rozlegały się kroki. Byli to sami nieznajomi. Jeden w podartym kozuchu i płaskiej wołkowej czapeczce. Drugi z wyglądu robotnik. Trzeci podobny do zamożnego kupca. Wszyscy, kłaniając się, o coś pytali, przy czym w pytaniu nieodmiennie brzmiało „Kara Hasym-aga”. Erast Pietrowicz w milczeniu kręcił głową i za każdym razem petent ponownie składał ukłon, po czym się oddalał. Interesantów do sławnego goczi przychodziło nie mniej niż do gubernatora.

Kiedy przez okno wpadły ukośne promienie słońca chowającego się za horyzontem, Fandorin obudził się na dobre. Potrenował bezgłośnie chodzenie – udało mu się minąć w ciemnym korytarzu kolejnego interesanta w taki sposób, że ten go nie zauważył. A jednak to dziwne, że Hasym może mieszkać prawie jak na przechodnim podwórzu. Włóczy się tu każdy, komu przyjdzie ochota. Na Wschodzie panują zupełnie inne wyobrażenia na temat prywatności.

Następnie Erast Pietrowicz pokrzepił się resztkami obfitej uczy. Siedział w papasze, jak wypadało, mimo że zachodzące słońce porządnie nagrzało pokój. Choć to paradoksalne, w nakryciu głowy naga czaszka nie czuła gorąca. Widocznie za sprawą termoregulacji.

Kiedy Fandorin nie wiedział już, czym się zająć, i zaczął układać z ziarenek ryżu na półmisku znak „Siła woli”, głośno trzasnęły drzwi, deski w podłodze zaskrzypiały pod ciężkimi krokami i do jadalni wszedł Hasym.

– Uf – sapnął, wycierając rękawem spocone czoło. – Gorąco. Jesz, tak? Też chcę.

Odwrócił się, wrzasnął coś w stronę okna. Usiadł, wachlując się papachą.

– Dowiedziałeś się czegoś? – niecierpliwie zapytał Erast Pietrowicz.

– Wszystko się dowiedział.

– No to m-mów prędzej. Nie dręcz mnie.

Goczi uniósł palec i rzekł:

– Prędzej tylko szejtan biega. Wszystko dobry wolno chodzi.

Do pokoju przydreptała stara kobieta z ciężką tacą, na której dymiło mięso i leżała góra placków. Umieściła ją na stole i od razu zniknęła.

Chwyciwszy jedną ręką czuriek, a drugą kawał baraniny, Hasym wpakował wszystko naraz do ust.

– Wiesz, gdzie jest Jednoręki? Znalazłeś go?

Hasym kiwnął głową, w skupieniu poruszając szczękami.

– Gdzie on jest? D-daleko?

– Niedaleko. W Szubany. Na dawny dacza Ter-Akopow, który dwa milion pudów. Ter-Akopow swój dacza Chaczatur podarował.

– Jak to podarował? – Fandorin się zdziwił. – Anarchiście swoją daczę? Dlaczego?

Musiał zaczekać, aż goczi przeżuje następną porcję mięsa i chleba.

– To bardzo proste. Powiedział: Mieszkaj, drogi Chaczatur. Mój dacza – twój dacza. Ter-Akopow ma w Mardakan duży dacza, a ten jest mały. Ter-Akopow tam po teatr, po kasyno jeździła, woziła... – Hasym bardzo wyraźnie wymówił wulgarne rosyjskie słowo, którym określa się kobiety wątpliwej konduity.

Erast Pietrowicz wciąż nie mógł zrozumieć:

– On i Jednoręki to przyjaciele?

– Czemu przyjaciele? Chaczatur od Ter-Akopow syn wziął. Powiedział: „Chcesz syn z powrotem, podarek dawaj, bo mieszkać nie ma gdzie”. Ter-Akopow na to: „Duży dacza nie bierz, mały weź”. I Chaczatur wziął. Szubany i Baku blisko, to dobrze.

– Z-zaczekaj, bo nie rozumiem. Jeśli wiadomo, że banda anarchistów zagarnęła daczę nafcjarza, dlaczego policja ich nie aresztuje?

Teraz z kolei Hasym nie rozumiał.

– Czemu aresztuje? Ter-Akopow policja nie prosiła, pieniądze nie dawała. Żeby banda Chaczatur łapać, trzeba policja bardzo dużo pieniądze dawać. Policja nie głupi za darmo Chaczatur łapać. Chaczatur i jego ludzie mają mauzery. A na dodatek tam jest jeszcze lew. – Goczi poprawił się. – Lwy. Dwa. Zęby. O, taki.

Hasym szeroko otworzył usta, odsłaniając duże białe zęby.

W tym momencie Fandorin zupełnie się pogubił.

– Co mają do tego lwy? O czym ty mówisz?

– Lwy, który wrrrr. – Hasym bardzo przekonująco zademonstrował ryk dzikiego kota. – Chaczatur dawniej cyrk pracowała. Jak to się mówi, treser, tak? Anarchista później została, bo anarchista żyć weselej i pieniądze więcej. Na dacza w Szubany mur wysoki, w sad nocą lwy spacerują. Kto chce w sad chodzić, ten lwy jedzą. Po co policja tam potrzebna? Policja tam nie pójdzie. A my pójdziemy, my potrzeba. Ja w Szubany był. Mur włąził, ludzi pytał. Ostatnia noc Chaczatur

na dacza nie była. Wróciła świt. Rano trzy trumna zamówiła. Dzisiaj na daczy siedzą, stypa robią. Jeśli noc w domu siedzą, my pójdziemy i zabijając ich będziemy.

– Masz p-plan?

– Co to taki plan?

– Plan, to kiedy człowiek zawczasu ustala, jak będzie działać.

Goczi kiwnął głową:

– Mam plan. Dobry plan. Jeśli Ormianie w domu nocują, ja przez mur włożę. Wszystkich zabijam. Taki plan.

– A co z lwami w sadzie?

– Mnie lwy jeść nie będą. Mnie nigdy zwierz nie rusza. Nie wiem dlaczego. Ubiegły rok z więzienie uciekał, w góry się chował, głodne wilki przybiegły. Popatrzyły, popatrzyły i z powrotem pobiegły.

Fandorina nie zdziwił ten fenomen – zwierzęta świetnie wyczuwają siłę i są bardzo ostrożne z roslymi osobnikami, a Hasym gabarytami przypominał sporego niedźwiedzia.

– Ty siedź na mur, czekaj. Słyszysz w dom strzelanina, skacz, idź. Jak lew do ciebie przyjdzie, zabij. O, tu masz broń. – Gospodarz pokazał na sześciostrzałowy karabinek wiszący na ścianie. – Z pistolet lew zabić trudno. Kiedy zabijesz lwy, też wchodź do dom. Pomożesz.

Erast Pietrowicz nie spierał się o ten „plan”. Najpierw musiał opracować własny.

– Nie wiesz przypadkiem, jak d-dom jest urządzony w środku?

– Dlaczego nie wiem? Wiem. Ter-Akopow na najbliższy dacza jeździł dla dwie rzeczy: pić-jeść i... – Wulgarnie słowo znowu zostało wymówione idealnie. – Dlatego na dacza tylko dwa pokój: jeden dla pić-jeść, drugi...

– Jasne – przerwał Fandorin, który nie lubił wulgaryzmów. – A dokładniej? Możesz narysować albo objaśnić położenie pokojów?

Goczi zsypał słodycze i orzechy z prostokątnej miedzianej tacy.

– Tutaj patrz. To jest dom, tak? – Palec dźwięcznie zastukał w tacę.

W tym momencie na progu pojawił się kolejny petent – obdartus we włochatej czapce nasuniętej na oczy. Zastygł w pozie pełnej szacunku, czekając, aż zostanie dostrzeżony.

– P-posłuchaj. – Erast Pietrowicz nie wytrzymał. – Jak możesz mieszkać w takich warunkach? Ciągłe ktoś wchodzi bez pytania i włóczy się po domu. Znasz tych wszystkich ludzi?

– Oni mnie znają – z godnością odparł Hasym. – Im człowiek ma więcej szacunek, tym więcej wokół ludzie. Odejdź, co? – Machnął w stronę obdartusa. – Nie przeszkadzaj. Plan robimy, Ormianie zabijając będziemy.

Tamten pokornie się pokłonił, wycofał, zniknął.

– To jest dom, tak? To mur, tak? – Hasym położył w poprzek tacy długą gruzińską czurczchele[10]. – Tam jeszcze jest ten, jak to się mówi... korytarz. Tak, mały. Tutaj w sypialnia Chaczatur śpi. – Po lewej stronie tacy znalazła się duża suszona morela. – Tu reszta śpi. – Cztery rodziny trafiły na prawo. – Czemu zmarszczka na czoło? Czemu milczysz?

– M-myślę. Twój plan jest zły. Potrzebujemy innego.

Erast Pietrowicz wyjął kartkę papieru i ołówek. Namalował znak „klinga”. Niżej, małymi literami napisał: „Lwy – dobrze. Czują się bezpieczni. Chaczatur sam po lewej stronie. Jednocześnie. Dwie minuty. Liczyć”.

– Co piszesz? Po co?

– Zapisuję plan.

– Od tego twój plan lepiej będzie? – Goczi się zachnął. – Ja litera nie znam, czytać i pisać nie umiem. Cała zło od nauka. Urzędnik pisze, policja pisze, burżuj pisze – wszystkie złe ludzie piszą. Czytaj, co ty napisał.

Fandorin przeczytał.

– Ja nic nie zrozumiał! Mój plan ganił, a to co?

– Twój plan jest niedobry, bo ja potrzebuję Chaczatura żywego. – Erast Pietrowicz przystąpił do wyjaśnień. – Że po sadzie włączą się lwy, to znakomicie. Widocznie bandyci czują się całkowicie b-bezbezpieczni i nie wystawiają wartowników. Podejdziemy do domu z dwóch stron jednocześnie. Ja z lewej, o stąd. Ty z prawej. Najpierw muszę schwytać Chaczatura. Później przejdę korytarzem i razem zaatakujemy pozostałych: ja z lewej, ty z prawej, przez okno. Po prostu daj mi dwie minuty. Do stu dwudziestu umiesz liczyć?

– Po co liczyć? Zegarek mam. – Hasym wyjął z kieszeni wspaniały chronometr.

– Dwie minuty nie liczyć, ale patrzeć będę. A plan twój zła. Jak ty przez sad pójdiesz? Lwy jeść będą.

– Nie będą. Mnie też zwierzęta nie ruszają. Nieraz się przekonałem.

Hasym zaczął sapać. Coś mu się nie podobało.

– Tobie Chaczatur żywy potrzebny, a mnie martwy – rzekł w końcu. – Kłócić się będziemy.

Przypomniawszy sobie o szybie naftowym, Fandorin powiedział cicho:

– Żywego potrzebuję nie na długo. Żeby zadać parę pytań.

Goczi się uspokoił.

– Jeśli nie zechce odpowiadać, powiedz mi. Ja go troszkę bić będę. A kiedy powie, oddasz mi Chaczatur.

Erast Pietrowicz wsłuchał się w *moralische Gesetz* – czy się nie oburzy? Prawo moralne milczało.

– Z w-wielką przyjemnością.

Fandorin przechodzi z rąk do rąk



Na Półwyspie Apszerońskim koncentruje się 82,6% wydobycia ropy naftowej w Rosji. Koszt wydobycia należy do najtańszych na świecie, ponieważ złoża ropy znajdują się blisko powierzchni – przeciętna głębokość szybów jest pięć razy mniejsza niż w Teksasie. Ogólna liczba wież wiertniczych sięga 4200. Roczny dochód z ropy i produktów ropopochodnych wynosi co najmniej 300 milionów rubli...

Ołówek prędko sunął po kartce. Erast Pietrowicz spłacał dług wobec *Nikki* za wczorajszy dzień. Na zewnątrz zrobiło się ciemno, nad lampą naftową tańczyły meszki.

Kilka godzin wcześniej Hasym oznajmił:

– Idę do Szubany. Przez mur patrzę. Jeśli Chaczatur w domu nocuje, kartka przysyłam: ile ludzie, ile lwy. Ty przychodzisz, czekamy, kiedy wszyscy śpią, później idziemy, wszystkie zabijamy. Taki będzie plan – oświadczył goczy na pożegnanie i pośpiesznie dodał: – Pamiętam, pamiętam. Chaczatur od razu nie zabijamy.

– Jak dostanę twoją k-kartkę? Drogą powietrzną? I jak znajdę te twoje Szubany?

– Chłopak przyniesie, chłopak zaprowadzi.

– Jaki znowu chłopak?

– A bo ja wiem? Jaki bądź.

Hasym podszedł do okna i coś krzyknął. Do pokoju z tupotem wpadła gromada umorusanych wyrostków – tych, co przez cały dzień wydzierali się na dworze.

Hasym wybrał dwóch, resztę przegonił. Zamienił z nimi kilka słów.

– *Teşekkür ederim, aga. Dediğiniz kimi olaçag!* – chórem odpowiedzieli chłopcy, rozpromieniwszy się.

– To Said, syn Chalidy-chanum. – Hasym pokazał na jednego. – Będzie z twój przyjaciel siedzieć, kiedy pójdziesz. A to Ali, syn Mustafy, przyniesie ci kartka i zaprowadzi, dokąd trzeba.

– Ale ty przecież jesteś niepiśmienny! Jak do mnie napiszesz?

Uśmiechnąwszy się pogardliwie, goczy nie raczył odpowiedzieć. Wsypał sobie do olbrzymiej kieszeni garść suszonych owoców i orzechów, sięgnął po kilka placków.

Opuściwszy dom, Hasym szedł nieśpieszным, kołyszącym się krokiem. Chłopiec o spiczastym nosie, Ali, syn Mustafy, dreptał obok, podobny do Panurga przy Pantagruelu, próbując przy tym naśladować chód wielkiego człowieka: tak samo dumnie prostował ramiona, spoglądał przed siebie i do góry, wskutek czego omal się nie potknął.

Wtedy właśnie Fandorin postanowił zająć się dziennikiem – przyszła mu do głowy odpowiednia myśl do „Szronu”.

霜

Niemal każdy człowiek chce się wznieść ponad innych. Junzi, szlachetny mąż, pragnie w tym celu stać się wyższy. Człowiek miałki, xiaoren, próbuje dodać sobie wzrostu, pomniejszając osoby z otoczenia. Kiedy zatem szlachetny mąż staje się władcą (co rzadko zdarzało się w historii), całe społeczeństwo, biorąc zeń przykład, również zaczyna piąć się w górę: poprawie ulegają obyczaje, w modę wchodzi szlachetność, bezinteresowność, odwaga. Kiedy natomiast panowanie obejmuje xiaoren, powszechnym prawem staje się poniżanie poddanych. Xiaoren jest mały. A zatem może wydać się wielki tylko wtedy, gdy wszyscy dokoła padną plackiem. Najgorszym zaś wrogiem dla małego władcy jest ten, kto odmawia pełzania na brzuchu. To sprawia, że w epoce rządów xiaorena do głosu dochodzą pochlebstwo, złodziejstwo i wiarołomstwo...

Podczas gdy Erast Pietrowicz a to spoglądał w zamyśleniu na płomyk lampy, a to pochylał się nad kartką, Masa leżał bez słowa i nie poruszał się. Kiedy jednak, wynotowując z artykułów w gazetach informacje o przemyśle naftowym do rozdziału „Drzewo”, Fandorin dotarł do statystyki wydobywania, Japończyk nagle zaczął się rzucać. Po wymizerowanej bladej twarzy popłynęły łzy, zatrzepotały rzęsy.

– *Moushiwake arimasen!* – wymamrotał ranny i powtórzył tę frazę, oznaczającą „Bardzo przepraszam!”, kilka razy.

Męczył się. Dręczyły go jakieś koszmary. Taki dokuczliwy sen nie mógł przynieść żadnego pożytku.

Po chwili wahania Erast Pietrowicz lekko poklepał przyjaciela po policzku.

Masa otworzył oczy. Zobaczył pochylonego nad nim Fandorina, zamrugał i załkał.

– Miałem straszny sen. Był pan w niebezpieczeństwie, a ja zostałem ranny i nie mogłem panu pomóc!

Chciał się podnieść, ale nie dał rady – tylko jęknął.

– Więc to nie sen... Nie mogę się poruszyć. Opadłem całkiem z sił! – wyszeptał Masa bladymi wargami.

– Kula przebiła ci pierś na wylot. Przez dobę leżałeś nieprzytomny. Nie ruszaj się. Potrzebujesz bezwzględnego spokoju.

Japończyk się zachmurzył.

– Pamiętam, że jechaliśmy drogą. Księżyc. Czarny jeździec. I to wszystko. Co było dalej?

Fandorin streścił mu ostatnie wydarzenia. Masa słuchał, nie przerywając.

– Ogolił się pan z mojego powodu? Na znak smutku? Jestem bardzo wzruszony.

– W oczach Japończyka pokazały się łzy. – Bardzo ładnie. Jest pan podobny do chudego Buddy.

– Rzeczywiście chudy i lichy ze mnie Budda – zażartował Erast Pietrowicz, żeby rozweselić przyjaciela.

Nie pomogło.

– Bardzo przepraszam – wyszeptał Masa. – Nie dość, że nie potrafiłem pana obronić, to jeszcze teraz jestem dla pana ciężarem. Lepiej by było, gdybym umarł.

– Ja ci umrę! – ofuknął go Erast Pietrowicz. – Leż, śpij i nabieraj sił.

– A panu będzie pomagał ten pański Hasymu?! – W wąskich oczkach Japończyka błysnęła złość. – Nawet go nie widziałem. Jak mogę mu pana powierzyć? A nuż to zdrajca, który wbije panu miecz w plecy?

– Niepodobna.

– Jak nie zdrajca, no to głupiec albo niedołęga!

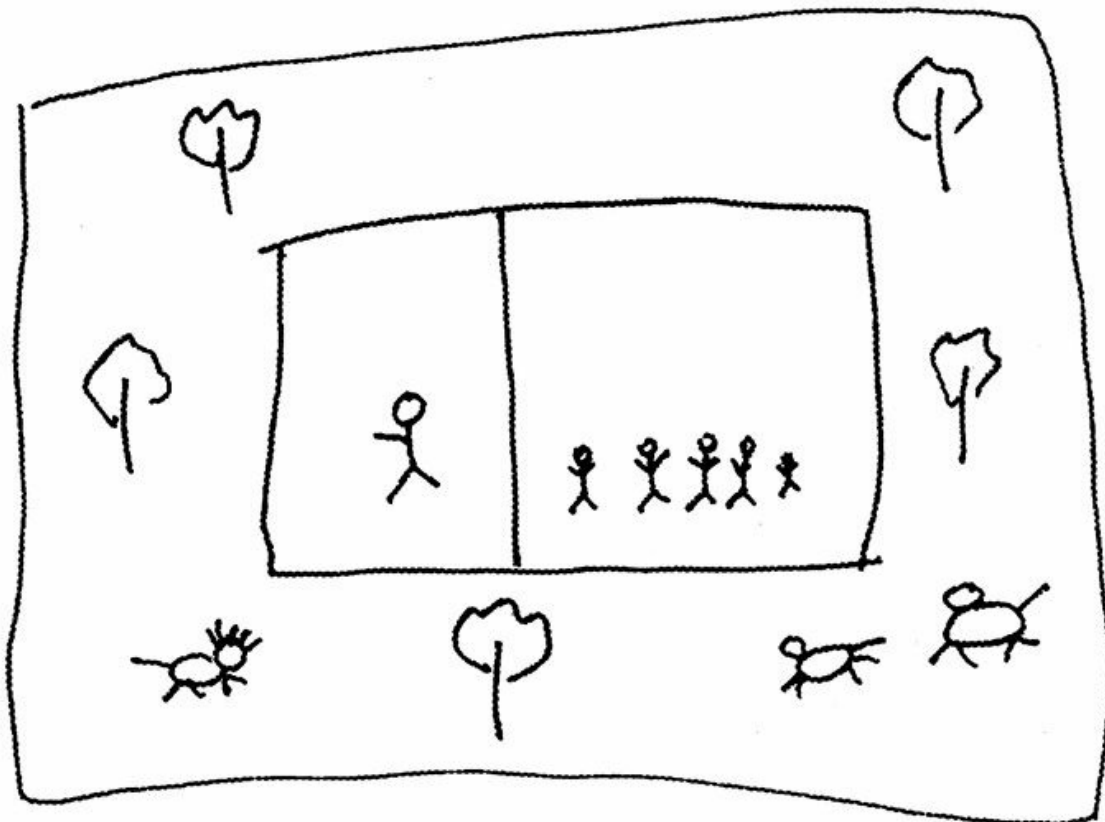
Podmuchawszy na magiczne powróśło, Fandorin podsunął je służącemu pod nos.

– Oddychaj głęboko. Nie wolno ci się denerwować.

Jeszcze przez kilka minut Masa pochlipywał, po czym spojrzenie mu się zamgliło. Usnął.

W samą porę.

W szybę dźwięcznie uderzył kamyczek. Na podwórzu stała mała postać i machała ręką. Erast Pietrowicz prędko zbiegł po schodach. Ali, syn Mustafy, wręczył mu skrawek papieru. Przy świetle zapałki Fandorin obejrzał rysunek.



Wszystko było jasne. Poza jednym. Dlaczego ludzik z prawej strony jest mniejszy niż reszta? Może to przypadek?

Ali pociągnął Fandorina za poję czerkieski: Chodźmy, chodźmy!

– Gdzie jest Said, syn Chalidy-chanum?

Okazało się, że tutaj, pod schodami.

Wyjaśnwszy chłopcu znaczenie palącego się powróśla, Erast Pietrowicz prędko się przygotował. Ech, szkoda, że bagaż został w hotelu. A w nim strój ninja do nocnych eskapad i mnóstwo innych wielce użytecznych rzeczy. Webleya też szkoda. Poręczny rewolwer świetnie sprawdził się w strzelaninie, a teraz trafił w ręce któregoś anarchisty. Może jeszcze się znajdzie.

Jednakże broni w domu było zatrzęsienie. Fandorin bez trudu znalazł wszystko, co mogło się przydać w operacji, w gruncie rzeczy zupełnie nieskomplikowanej.

– Jestem gotów, Ali, idziemy!

* * *

Droga zajęła prawie godzinę. Erast Pietrowicz mógłby pokonać tę odległość

w znacznie krótszym czasie, ale chłopak zasapał się od szybkiego marszu i musieli zwolnić.

Osada Szubany znajdowała się na zboczu niewysokich gór, od zachodu sięgających aż do samego miasta. Miejscowość była pusta, bez domków letniskowych, ale za murem posiadłości, do której zaprowadził Fandorina mały przewodnik, ciemniały szczyty drzew – widocznie posadzono je tutaj specjalnie, by stworzyć cień.

Wszelako cóż za zdumiewająca zuchwałość! Szajka bandytów mieszka sobie, można by rzec, na oczach całego miasta i niczego się nie boi! To znaczy, że są absolutnie pewni swojej bezkarności. Jak tutaj mówią: „To Baku...”.

Ali zatrzymał się tuż przed murem – dosyć sporym, na wysokość półtora człowieka.

– *Salam alejkum, Yumrubaş.* – Z góry, z ciemności, dobiegł lekko sepleniący głos. – Wszakuj tutaj.

Na krawędzi muru, prawie niewidoczny w cieniu gałęzi, siedział Hasym. Seplenił, ponieważ mówił z ustami wypchanymi jedzeniem.

Erast Pietrowicz przysiadł się do niego.

– Powiedz chłopcu, żeby wracał. Naraża się na niebezpieczeństwo, zostając z nami.

– Dlaczego na niebezpieczeństwo? Obiecałem Ali: można słuchać, jak będziemy Ormianie zabijać. Patrzeć nie wolno, ale słuchać można. Taki nagroda.

Fandorin pomyślał z westchnieniem: Co się stanie z tym miastem, w którym jedna połowa mieszkańców tak zawzięcie nienawidzi drugiej?

Jednakże należało się uporać ze znacznie bardziej palącymi problemami.

– Dlaczego na rysunku jedna postać jest mała? Czy to dziecko? To skomplikuje sprawę.

– Ani dziecko, ani mężczyzna. Jeden całkiem młoda, wąs jeszcze nie rośnie. To nie bojowiec. Idziemy, tak?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Hasym zeskoczył do sadu. Huk był taki, jakby runęła kamienna lawina. Erast Pietrowicz dał ogromnego susa i bezgłośnie wylądował kilka metrów dalej. Tak samo bezszelestnie pomknął naprzód. Z tyłu dobiegało sapanie, trzeszczały gałęzie.

Z naprzeciwka z rykiem rzuciły się ku niemu dwa szybkie, przyczajone w trawie cienie. Lwice. Obie zamarły, stuliwszy uszy. Złowieszczo błysnęły żółte ogniki w oczach. Fandorin zrobił kilka kroków, zatrzymał się na odsłoniętym, oświetlonym przez księżyc miejscu i pozwolił, żeby drapieżniki obejrzały go sobie do woli. Palec trzymał na spuście smith-wessona. Za pasem miał jeszcze jeden, taki sam. Również z odwiedzionym kurkiem.

Z lwicami nie ma żartów, są groźniejsze niż samce. Nie ruszę cię, jeśli i ty mnie nie ruszysz – powiedział w myślach Erast Pietrowicz najpierw jednej, później drugiej. Żeby zwierzęta w to uwierzyły, należało z pół minuty hipnotyzować je wzrokiem.

Gdy jednak zachręściły gałęzie pod ciężkimi krokami, ogromne koty od razu odwróciły swoje łyse łby. Na polanę z tupotem wtargnął Hasym.

– Pódziesz! – syknął i lwice cofnęły się, odwróciły i zniknęły.

Fandorin ruszył dalej.

Na łączce przed samym domem znalazł się i samiec. Drzemał, ułożywszy kudłatą głowę na grubych łapach. Sytego lwa (a skoro śpi, to znaczy, że jest syty) nie należy się bać ponad miarę. Jeśli się nie podejdzie i nie szarpnie za grzywę, to nie ruszy.

Obejrzawszy budynek (elegancki pawilon ogrodowy z białych desek, z wysokimi francuskimi oknami; w środku cicho; światło nigdzie się nie pali), Erast Pietrowicz ruchem głowy pokazał w prawo i przypomniał Hasymowi szeptem:

– Równo dwie minuty, jasne?

Hasym zademonstrował zegarek i gwoli oczywistości podniósł dwa palce.

– Dwa. Później okno łamię, wszystkie zabijam. Uważaj, Yumrubas, na mój kula nie wpadnij.

Poruszać się po trawie tak, żeby nie szeleściła, to nie lada sztuka, ale Erast Pietrowicz władał nią po mistrzowsku. Podbiegł do okna sypialni, jakby w ogóle nie dotykał ziemi. Pomasował gałki oczne, żeby uruchomić nocne widzenie. Zajrzał przez parapet. W głowie pracował licznik, odmierzał sekundy. Osiemnaście, dziewiętnaście... No dobrze, co tu mamy? Wnętrze w stylu *art nouveau*. Na toaletce butelki po winie. Z prawej strony buduarowa wnęka, a w niej łóżko z baldachimem, delikatna zasłona lekko porusza się w przeciągu – drzwi na korytarz są uchylone. Nie słychać oddechu śpiącego człowieka, ale to nic nie znaczy. Ludzie prowadzący niebezpieczne życie zwykle śpią bardzo czujnie i, co za tym idzie, cicho.

Fandorin pchnął skrzydło okienne – powoli, żeby nie skrzypnęło. Wspiął się na parapet. Zsunął się do środka.

Trzydzieści jeden, trzydzieści dwa... A nuż Chaczatur nie śpi – coś wyczuł i wstrzymał oddech? Fandorin był gotów rzucić się w bok, żeby umknąć przed kulą. Żadnego dźwięku. Tylko szmer liści w sadzie. No to raz kozie śmierć! Wykonał dwa skoki, szarpnął zasłonę.

Nikogo! Pościel nawet nie jest zmięta. Czyżby Hasym się pomylił i Jednorękiego nie ma w domu?

Czterdzieści cztery, czterdzieści pięć... Za drzwiami powinien być nieduży korytarz prowadzący do pokoju jadalno-gościnnego.

Cicho, drzwi ani skrzypną. A deski podłogowe? Niedobrze, uginają się. Żeby podłoga nie hałasowała, trzeba poruszać się tuż przy listwie. Powoli przesuwając nogi, jakby się ślizgało po lodzie.

Pięćdziesiąt dziewięć, sześćdziesiąt... Następne drzwi też są uchylone – no tak, inaczej nie byłoby przeciągu.

Płynnie, cal po calu, Erast Pietrowicz otworzył je szerzej. Zajrzał do przestronnego pokoju. Pomieszczenie było świetnie widoczne – przez okna po przeciwległej stronie wpadała księżycowa poświata. Stamtąd za niecałą minutę wtargnie Hasym. Niecała minuta to bardzo dużo czasu. Więcej niż potrzeba.

Wnętrze tak samo stylowe jak w sypialni. Delikatne meble o finezyjnych kształtach, wywijane zdobienia z drewna na obrzeżach dużego lustra, na suficie panneau z faunami i nimfami. Marmurowa najada (przez ramię przewieszony karabin i dwie ładownice). Na długim stole brudne naczynia, butelki, resztki. Na krzesłach wisi broń – mauzery, kindżały, kilka karabinków.

Teraz najważniejsze: ludzie.

Wzdłuż ściany na podłodze, rzędem, sześć postaci. Śpią na burkach. Zamiast poduszek papachy. Fandorin odetchnął z ulgą. Sześciu – to znaczy, że wszyscy są tutaj, nie wyłączając Chaczatura. Po prostu nie położył się w sypialni, ale razem z innymi. Utrudnia to nieco zadanie, ale nieszczególnie.

Osiemdziesiąt dwa, osiemdziesiąt trzy... Ustalić, który z nich to Jednoręki. Zbliżyć się, unieszkodliwić. Może uda się w podobny sposób, bez przelewu krwi, załatwić z resztą.

Najbliższy odpada – widać obie ręce skrzyżowane na piersiach...

Dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt jeden... Na parkiecie zakołysał się długi cień, stuknęła rama. W wysokim oknie, niemal całkowicie je zasłaniając, pojawiła się olbrzymia sylwetka.

Hasym. Przerzucił nogi przez parapet, usiadł, przyłożył dłoń do czoła – rozglądał się po pokoju, który w porównaniu z księżycowym sadem musiał mu się wydać bardzo ciemny.

Ki diabeł?! Jeszcze całe pół minuty!

Na podłodze ktoś się poruszył, ktoś się poderwał.

– Hej, Ormianie! Jestem Kara Hasym! – donośnie krzyknął goczi. – Śmierć wasza przyszedł! Ej, gdzie jesteście? Nie widzę.

Mężczyzna leżący najdalej od Fandorina, zerwał się z podłogi niczym atakująca kobra. Miał tylko jedną rękę! Gdy ją wyciągnął, mauzer plunął trującym żółtym płomieniem. Hasym zachwiał się i chwycił za bok.

Nie było wyjścia. Chwila zwłoki i Chaczatur wypali jeszcze raz. Fandorin musiał strzelać. Ciężka kula smith-wessona cisnęła Jednorękiego w róg pokoju.

Teraz już wszyscy byli na nogach. Niektórzy rozglądali się oszołomieni, inni, nie tracąc przytomności umysłu, rzucili się do krzeseł z bronią.

Tego, który był najszybszy, Erast Pietrowicz musiał również uśmiercić.

– Widzę! Wszystkich widzę! – wrzasnął Hasym. Trzymając się ręką za ranny bok, nieśpiesznie wycelował i zastrzelił najbliższego rzezimieszka.

Fandorin był już w pokoju. Po drodze natknął się na szczupłego chłopaczka z wybałuszonymi oczami. Był bezbronny, toteż Erast Pietrowicz po prostu znokautował go sierpowym (w chaotycznej bójce angielski boks jest nie mniej skuteczny niż jakiegokolwiek *jutsu*).

Jasnowłosego mężczyzna w samej bieliźnie pędził prosto na Hasyma, wymachując kindząłem. Z niewzruszonym spokojem goczy wycelował w napastnika, ale zamiast strzału rozległ się suchy trzask.

– O Allachu! – Goczi zdziwił się i wlepił wzrok w uniesioną klingę.

Fandorin powalił jasnowłosego strzałem w tył głowy. I stanął przed prawdziwym dylematem.

Ostatni opierający się jeszcze anarchista zdążył zerwać z krzesła karabinek, odciągnął kurek i skierował lufę na Erasta Pietrowicza, z kąta zaś celował do niego z mauzera ranny Chaczatur, z trudem trzymając ciężki pistolet jedyną ręką. Na Hasyma nie można było liczyć, oglądał zablokowany bębenek swojego kolta.

Zdrowy człowiek jest bardziej niebezpieczny niż ranny. Fandorin oddał zatem strzał do mężczyzny z karabinkiem, a kuli mauzera uniknął, rzucając się ku ścianie.

Jednorękiego należało wziąć żywcem. To dlatego Erast Pietrowicz rzucił się prosto pod mauzer, gwałtownie uskakując ułamek sekundy przed następnym strzałem. Owa technika nosi nazwę *go-go* (pięć do pięciu), ponieważ na niewielkim odcinku szanse uchylenia się przed kulą i spotkania się z nią są równe. Prawdziwy mistrz potrafi zmienić stosunek na dwa do jednego, ale Fandorin nie osiągnął takiej biegłości. Do gry w *go-go* uciekał się jedynie w wyjątkowych wypadkach.

Również i tym razem miał szczęście. Pozostał zaledwie jeden skok. Ale akurat wtedy Hasym szczęknął wreszcie swoim rewolwerem i wycelował.

– Nie strzelaj!

Za późno. Potężny kolt ryknął jak lew. Jednorękiego znowu odrzuciło.

W sędzie, jak gdyby w odpowiedzi, groźnie zaryczał król zwierząt. W końcu się obudził i wyrażał niezadowolenie z powodu hałasu.

Czuć było zapach kopcia, prochu i krwi.

Okazało się, że licznik przez cały czas pracował.

Sto osiem, sto dziewięć, sto dziesięć.

– Żeby cię diabli w-wzięli! – Erast Pietrowicz nachylił się nad Chaczaturem. – Coś ty narobił, Hasym?

– Życie twój ratował.

– Równie dobrze sam go mogłem zastrzelić!

Gdzie tu jest światło?

Fandorin podszedł do drzwi, przekręcił wyłącznik, obejrzał pokój.

Z wyjątkiem znokautowanego chłopaka chyba wszyscy byli martwi.

Hasym wciąż siedział na parapecie. Rozpiął tylko czerkieskę i oglądał dziurkę w boku. Brudząc gęste owłosienie, wypływała stamtąd pulsująca krew.

– Gorący – oznajmił goczi, polizawszy dłoń. – Słony.

– Daj, zobaczę.

– E, nie trzeba.

Siłacz wydarł z papachy kłak wełny i zatkał nim ranę.

– *Aman, aman* – powiedział ze smutkiem. – Ja tak kolt lubił, a ona strzelać nie chciała.

Sądząc z rodzaju żeńskiego, miłość do kolta się skończyła.

Goczi obszedł krzesła, przyglądając się broni. Z ciekawością wziął do rąk webleya, widocznie nigdy przedtem go nie widział.

– Należy do mnie – oznajmił Fandorin. – Oddaj mi go.

Hasym burknął:

– Jak coś dobry, od razu „mój”. Masz, mnie nie żal.

Z obrzydzeniem zważył w dłoni mauzera. Wycelował – i raptem wpakował w ścianę cały magazynek: jedną kulę pośrodku, pozostałe wokół.

– Zwariowałaś?! – zawołał Erast Pietrowicz, zatykając uszy.

– Mój znak. „Tu był Kara Hasym”. Ludzie mówić będą. Yumrubas, jaki masz znak?

– Nie mam żadnego.

Fandorin wciąż nie mógł się uspokoić. Czyżby operacja poniosła fiasko i nic się urwała?

– *Vay*, mnie cudza sława nie trzeba – z wyrzutem rzekł goczi. – Ja tylko dwa Ormianie zabił. Ty cztery. Chociaż jeden może Rosjanin – dodał, pokazując jasnowłosego.

– Nie zabiłem czterech. T-trzech.

Nadzieję można było pokładać tylko w młodziku. Erast Pietrowicz ocucił jeńca, wymierzając mu dwa policzki, po czym posadził go na krzesło.

– Ktoś ty? Skąd?

– Gagik... Z Akny.

Chłopaczek, blady jak płótno, z drżącymi ustami z przerażeniem zerkał na ciała.

Na widok zbliżającego się Hasyma zmrużył oczy.

– Jestem Kara Hasym. Ty słyszała?

Nie otwierając oczu, chłopiec skinął głową.

– Ona mnie zna – z satysfakcją zauważył goczy. – Daleko mieszka, w Karabach, a Kara Hasym zna.

Fandorin chwycił Gagika z Akny za szczupłe ramiona.

– Z-zadam ci pytania, a ty odpowiadaj. Uczciwie. Inaczej oddam cię jemu. Po prostu wyjdę i zostawię cię z nim samego. A jeśli powiesz prawdę, wypuszczę cię. Jestem człowiekiem słowa. Jeśli coś obiecuję, to tak robię.

Ostatnie zdanie było przeznaczone specjalnie dla Hasyma.

Teraz chłopak popatrzył na Erasta Pietrowicza z takim samym przerażeniem jak poprzednio na Hasyma.

– Milcz, Gagik, nic Yumrubas nie mów – poradził Hasym. – Lepiej ja z tobą mówić będę.

Biedak załkał i znowu zmrużył oczy.

– B-będziesz odpowiadać?

Chłopiec kiwnął głową.

Tymczasem Hasym z widoczną przyjemnością obchodził pole bitwy. Każdemu nieboszczykowi zaglądał w twarz, coś przygadywał. Był podobny do ogrodnika napawającego się widokiem wspaniałego klombu.

– Kto wydał rozkaz ubiegłej nocy, żeby urządzić z-zasadzkę w Czarnym Mieście? Czyje zadanie wykonywał Chaczatur?

– Ja pojechałem do Karabachu zawieźć list od Chaczatura! Dopiero wczoraj wróciłem! Nic nie wiem, słowo honoru! Jakie zadanie? Chaczaturowi nikt nie może niczego rozkazać!

Chłopaczek mówił po rosyjsku poprawnie. Możliwe, że uczy się w gimnazjum albo w szkole realnej.

– Nie mogę uwierzyć, że wczoraj nie rozmawiano o zasadzce. Wasza szajka straciła trzy osoby. Co słyszałeś? Co mówili?

– Allah jest wielki! – radośnie wykrzyknął Hasym. – Ten żyje. – Chwycił za kołnierz zakrwawionego mężczyznę, tamten zacharczał. – Znam cię! Ty jesteś Lewan z Surachany!

– Nie zabijaj – wychrypiał ranny. – Zaraz i tak umrę, przysięgam.

Ale goczy nie zostawił go w spokoju – chwycił pod pachy, wywlókł na środek pokoju.

– Ja słyszałem twoje pytania, Yumrubas. Też będę pytać.

Nachylił się, zadudnił coś pógłosem. Zakrwawiony mężczyzna pisnął:

– Oj, wszystko powiem! Puść gardło!

Scenka ta sprawiła, że Gagik począł szcząkać zębami, tylko patrzeć, jak padnie zemdlony. Erast Pietrowicz postanowił podejść go z drugiej strony.

– Słyszałeś coś o Kulawym?

– Ja...kim ku...la...wym?

– Z Czarnego Miasta. To rewolucjonista albo ich sprzymierzeniec.

Ranny głośno zajęczał, Hasym znowu nim potrząsał.

– Jest Sielifanow, zwrotniczy, ma krótszą nogę. Przez niego można załatwić broń – prędko odezwał się młody anarchista. – Jest Hasan, stróż w dawnej fabryce Mursalijewów, Chaczatur go nie lubi, chciał zabić. Raz widziałem też kulawego Zazę, to rachmistrz u Stiepaniana, płaci Chaczaturowi raz w miesiącu, żeby go nie ruszano... Innych kulawych nie znam. Czarne Miasto jest duże...

Hasym wyprostował się, chrząknął.

– E, całkiem zdechła! Ja nic nie robił, tylko trząśł. Yumrubasz, ona jedna rzecz powiedziec zdążyła. Nie wiem, przyda się czy nie?

– Co?

– Przed zasadzką Chaczatur chodziła do duży Rosjanin. Imię dziwaczne – Dziećcioł. Co to za dziećcioł? Ptaszek?

Erast Pietrowicz od razu zapomniał o Gagiku z Akny. Dziećcioł? Gorąco! Oto i ona, słabość do ornitologii!

– Powiedział coś jeszcze? O Dziećciole!?! – Fandorin prędko podszedł do rannego, zbadał mu puls. No tak, martwy.

Goczi ze skrucną wzruszył ramionami.

– Nic. Pytam go: „Gdzie ta Dziećcioł?”. Leciuchno za ramiona trząśł, a z Lewana dusza uszła.

Wróciwszy do chłopca, Fandorin spytał:

– Czy kiedykolwiek mówiono przy tobie o Dziećciole? Chaczatur albo ktoś inny?

Gagik pokręcił głową, oblizał wyschnięte usta. Nie mógł oderwać wzroku od wolno zbliżającego się Hasyma.

– Powiedział p-prawdę, to widać. Uważaj, nie pozwolę go zabić.

– Sam nie zamierzam. – Hasym wzruszył ramionami. – Kiedy z Gagik wyrośnie gajł, wtedy zabiję.

– Kto wyrośnie?

– Gajł. Wilk po ichniemu.

Rannego nie należało jednak wypuszczać. Dziećcioł to najprawdopodobniej ten sam bolszewik, którego policja zwie Odyseuszem. W żadnym razie nie powinien się dowiedzieć, że Fandorin żyje.

– Gagik nikomu nie powie – zapewnił Hasym, jakby czytając w myślach detektywa. – Pójdzie stąd do domu, bardzo szybko. Z nikim rozmawiać nie będzie.

A w domu, w Ağdam, też nie powie.

– Co ma do tego Ağdam? On jest z Akny.

– To po ichniemu Akna, po naszemu Ağdam.

Hasym nachylił się, a gdy chwycił chłopca za ramiona, całe zniknęły w jego łapskach.

– Idź do domu, Gagik. Mów o mnie wszystkim. Dużo mów. O Yumrubas milcz. Mów: Kara Hasym sam wszystkich zabił. Jasne, tak?

– Jasne... – wyszeptał chłopak. Źrenice miał bardzo szerokie, nieruchome.

– Pódziesz!

Przewróciwszy krzesło, chłopiec z rozpędu wyskoczył przez okno i zniknął w sadzie. Nawet lwów się nie przestraszył.

– Skąd masz pewność, że mnie nie w-wyda?

– Ona zna Kara Hasym. Słyszała. Teraz jeszcze widziała. Ja też człowiek słowo. Oszuka, to przyjdę do Ağdam, znajdę ją, zabiję. Ona wie. Lepiej powiedz, co teraz robić będziesz? Twój wróg Chaczatur martwa. Ty zadowolony?

– Nie. To nie był wróg, lecz oręż wroga. Ale teraz, dzięki tobie, w-wiem, jak nazywa się ten, którego szukam. Dziećcioł.

Goczi podszedł do stołu, wziął z półmiska niedojedzoną baranią nogę. Powąchał, odgryzł kawałek.

– Dobrze – powiedział, poruszając szczękami. – Będziemy szukać i zabijać Dziećcioł.

Fandorin się zdziwił:

– Po co się do tego mieszasz? Z Chaczaturem żyłeś na wojennej stopie, ale co masz do Dziećcioła?

– Liczyć będziemy. Ja ciebie ze studnia uratowałem? – Hasym odłożył baranię, wyprostował zatłuszczony palec prawej dłoni. – Ty mnie uratowałeś, kiedy Chaczatur strzelał? – Wyprostował palec lewej dłoni. – Potem ten głupiec z *hançer* chciał mnie posiekać, kiedy kolt nie strzelał. Ty znowu mnie uratowałeś. – Pokazał palec u lewej dłoni. – Ja w Chaczatur strzelałem, myślałem, że teraz po równo. – Wyprostował drugi palec z prawej strony. – Ale ty mówisz, że Chaczatur nie trzeba było strzelać. – Palec prawej dłoni znowu się zgiął. – Sam widzisz, tak?

Pokazał obie dłonie: na lewej dwa palce, na prawej jeden.

– Pomogę tobie Dziećcioł znaleźć, wtedy uczciwie. Mężczyzna nie mówi dziękuję, mężczyzna robi dziękuję.

– Dziękuję. Cieszę się.

Słowa zostały wypowiedziane z głębi serca.

Z pomocą Hasyma o wiele łatwiej będzie znaleźć czarnego kota w ciemnym pokoju – a raczej schwytać dziećcioła w gęstym lesie.

* * *

Koło Masy nie było chłopca. Za to przy rannym siedział wczorajszy *tabip* i poił go czymś z dzbana o wąskiej szyjce.

– On mówi, że teraz dużo spać nie trzeba. – Hasym przetłumaczył słowa starca.
– Teraz jeść trzeba. Będzie dobrze jeść, może żywy będzie. Albo nie będzie, na wszystko wola Allach.

Kiedy medyk sobie poszedł, Fandorin opowiedział Masie o śmierci Jednorękiego i o Dzieciole.

Japończyk słuchał Erasta Pietrowicza, ale patrzył tylko na Hasyma. Nie odrywał odeń wzroku. Ten stał oparty o ścianę, znów coś przeżuwał. Nagle Fandorin zauważył łzę spływającą po twarzy Masy.

– Boli cię? Ż-źle się czujesz?

– Dobrze, panie. – W ślad za pierwszą łzą potoczyła się następna. – Płacę z radości. Widzę, że to prawdziwy człowiek. Szczery, chociaż akunin. Yakuza z gatunku najlepszych. Po oczach i zwyczajach widać, że docenia wagę wierności. Wie pan, że ja się nie mylę w takich sprawach. Ze spokojnym sercem mogę przekazać pana w jego ręce... Nawet jest przystojniejszy ode mnie – żałośnie rzekł Masa. – Duży, gruby, podobny do Saigō Takamori. Tylko marszałek Saigō nie miał takich wąsów. Cieszę się, choć bardzo mi przykro... że w tej trudnej sytuacji to on jest obok pana, a nie ja...

Łzy trysnęły fontanną.

– *Vay*, płacze – powiedział Hasym. – Zupełnie słaby.

Masa zaś poprosił:

– Niech pan mnie posadzi.

– Po co? Nie wolno ci.

– Bardzo proszę. Chciałbym usiąść. Sam nie dam rady.

Fandorin troskliwie uniósł nieco rannego, podłożył mu pod plecy poduszki.

– Hasymu-san... – zawołał Masa.

Goczi podszedł, wycierając usta rękawem.

– Ty usiadł, brawo. Żyć będziesz.

– Barzio prosię, Hasymu-san. Ciebie dobrze trośyś się o pana. Barzio prosię!

Japończyk gwałtownie, ile sił, pokłonił się. I stracił przytomność na skutek nagłego ruchu. Przewrócił się na bok, zwiotczał.

– *Aman, aman*. – Hasym smutno pokręcił głową. – Nie, nie będzie żyć. Umrze. Szkoda, tak?

Doświadczona kobieta z nienaganną reputacją

Saadat wydała dyspozycje w sprawach domowych, pocałowała Turala w czoło i wyprawiła syna z guwernerem do klubu „Pony”, żeby przyswajał sobie szlachetną sztukę trzymania się w siodle, bo chłopiec z dobrego domu bez tego się nie obejdzie. Miała zatem kilka minut na poranny relaks.

Poranny relaks Saadat odbywał się w garderobie, gdzie służba nie miała prawa wstępu bez specjalnego zezwolenia. W niedużym, przytulnym pomieszczeniu, z sukniami na ścianach, butami w pudełkach na podłodze oraz kapeluszami porozkładanymi na wierzchu, zawsze paliły się kadzidła, świetnie tłumiące zapach holenderskiego tytoniu. Pierwszy poranny papieros to jedna z przyjemności życia. I jak większość życiowych przyjemności – zabroniona. Saadat czekał długi, męczący dzień, więc dziesięć minut chyba jej się należało.

Jedwabne suknie, pantofle na obcasach, fantazyjne kapelusze z piórami – wszystko to było sztuką abstrakcyjną. Stateczna muzułmańska wdowa nic podobnego na siebie nie włoży. Chyba że podczas europejskiego tournée. Albo przed lustrem, w samotności. Ale przymierzanie strojów to osobna przyjemność, wieczorna. A do wieczora jeszcze daleko.

Co rano Saadat po prostu paliła papierosa i studiowała swoją twarz w lustrze. Prawdziwej kobiecie to zajęcie nigdy się nie znudzi.

Wiedziała, że nie jest piękną. Nos ma za duży, usta za szerokie, wargi za cienkie. Jedynie brwi są idealne, skóra jedwabista, no i naturalnie oczy: zarówno według kanonu azjatyckiego, jak i europejskiego. Nawet przyzwoite kobiety podmalowują sobie rzęsy, a ona nie musi. Z takimi oczami i brwiami czadra przynosi tylko pożytek. Wielokrotnie dowiedziono, że górna część fizjonomii działa na mężczyzn silniej aniżeli prezentowanie towaru w całości. To był kolejny powód, który niegdyś skłonił Saadat do odgrywania roli ortodoksyjnej muzułmańskiej matrony. Można się oczywiście oburzać, że płci pięknej na Wschodzie nakazuje się ukrywać twarz, jakby była jakąś nieprzyzwoitą częścią ciała, jednakże Saadat podejrzewała, że prawo to wymyśliły w dawnych czasach same kobiety. Mężczyźni by na to nie wpadli.

Jeśli kobieta ma co pokazać, zawsze znajdzie sposobność, żeby to uczynić. Akurat temu mężczyźnie, który ją interesuje. W dniu, kiedy szczególnie dobrze

wygląda. Niech on sobie później rozpamiętuje, przełyka ślinę.

Zresztą to nie był najważniejszy argument. Kiedy się chce mieszkać w Baku i osiągać sukcesy w biznesie naftowym, należy wykorzystywać wrodzone walory. A przynależność do płci pięknej, zwłaszcza na Wschodzie, to ogromny walor. Saadat nie miała co do tego wątpliwości. Gdyby, z jej charakterem, urodziła się garbata, to i wówczas wpadłaby na pomysł, jak tę okoliczność obrócić na swoją korzyść. Pewnie, że życie bakijskiej muzulmanki niesie pewne niewygody. Na przykład jeszcze kilka lat temu wyjście do teatru uważano za nieobyčajne. Teraz jednak w najlepszym miejskim teatrze dla dam w rodzaju Saadat Walidbekowej znajdują się specjalne łoże z zasłonami, które szczelnie skrywają przed nieskromnymi spojrzzeniami. Jeśli kobieta siedzi tam sama, może nawet pociągnąć łyk koniaku z buteleczki. Zazdroście, Europejki.

Obejrawszy najskrupulatniej twarz, Saadat odłożyła papierosa i rozchyliła poły chińskiego szlafroka. Teraz, zgodnie z rytuałem, czas zlustrować figurę. Saadat stanęła bokiem do lustra, uszczypnęła się w brzuch i biodra. Nigdzie nic nie zwisa. Teraz plecami. Wszechpotężny Allachu, cóż to tam widnieje na lewym pośladku?! Czyżby ten sławetny *cellulite*, o którym piszą w kobiecych czasopismach? Co za potworność! Nie, to tylko dołeczek. Uf!

Saadat zaciągnęła się papierosem, z ulgą wydmuchnęła cienką smużkę do góry, w stronę zakratowanego okienka wentylacyjnego.

No cóż, zgodnie z europejskim kanonem figurę ma zgrabną, a nawet modną. Ale bakijscy koneserzy piękności (gdyby oczywiście dostąpili tego widoku) powiedzieliby: „Fuj!”. Szczupła, biust lichey, biodra wąskie. Kiedy Saadat w wieku szesnastu lat wychodziła za mąż, przypominała cienką witekę wierzbową.

Młodą córkę zubożalego beka wydano za mąż korzystnie – nie za wulgarnego nuworysza, jakich w Baku namnożyło się bez liku, ale za równego jej urodzeniem mężczyznę ze starego rodu, a mimo to majątnego, co w przypadku arystokracji stanowiło rzadkość. Miastem rządzą teraz wczorajsi poganiacze wołów, czerpacze i wytwórcy bukłaków-tuługczy, którym starczyło szczęścia, żeby znaleźć ropę, i rozsądku, żeby nie zbzikować ze szczęścia.

Saadat była taką sobie partią. Nie dość, że chuda i bez grosza przy duszy, to jeszcze zepsuta przez wykształcenie. Przez sześć lat uczęszczała do gimnazjum, gdzie nauczono ją mnóstwa zupełnie niepotrzebnych, a nawet szkodliwych dla muzulmanki rzeczy.

Małżeństwo rzeczywiście można było uznać za uśmiech losu. Wprawdzie Saadat, niemądra, zalewała się łzami i w ciągu pierwszych dni omal nie odebrała sobie życia, jako że małżonek był stary, opasły i nieustannie się ślinił. Dziewczyna jednak była bystra, z charakterem i prędko się uczyła. Niebawem zrozumiała, że

to nic strasznego – można się dostosować. W gruncie rzeczy Walid-bek Walidbekow nie był potworem, lecz jedynie starym lubieżnikiem, łasym na wdzięki młodych, szczupłych dziewcząt. Podniecały go ich strach i drzenie. Jeśli strachu i drzenia nie było, Walidbekow tracił zainteresowanie i cały jego zapał się ulatniał. Gdy tylko Saadat dokonała tego odkrycia, życie małżeńskie od razu się ułożyło. Tłuscioch przestał ją odwiedzać w sypialni, swoje śmieszne żądze zaspokajał gdzieś na boku, a w domu zachowywał się cicho i statecznie. W towarzystwie puszył się, że ma taką kulturalną żonę, która zna i rosyjski, i francuski, i niemiecki.

Kiedy obzarstwo i erotyczne ekscesy zaprowadziły beka do grobu, Saadat odzyskała wolność. W wieku dwudziestu trzech lat wiedziała, skąd wieje wiatr. Już nie marzyła o wyjeździe do Paryża czy Londynu, gdzie kobieta może mieszkać sama, chodzić do opery, pojawiać się w towarzystwie z kochankiem. Żadna sztuka pojechać do Europy, ale co to za życie bez prawdziwego bogactwa?

Po mężu odziedziczyła piękną roponośną działkę. Była to ziemia rodowa Walidbeków. Mąż nie kiwnął palcem, żeby prowadzić eksploatację złóż w kopalniach, oddał je w dzierżawę za sześćdziesiąt tysięcy rocznie i był bardzo zadowolony. Ale dwudziestotrzyletnia Saadat doskonale rozumiała, że sześćdziesiąt tysięcy to nie pieniądź. Dzierżawcy podziękowała, sama zabrała się do pracy i już po dwóch latach miała trzykrotnie więcej. Co jednak znaczy „sama”? W Baku kobieta nie może zajmować się ropą. To niekobiece miasto i niekobiece interes. Nie wypada prowadzić negocjacji, zawierać transakcji, ubiegać się o kredyt. Każdą przeszkodę jednak, jeśli odpowiednio do niej podejść, można wykorzystać jako piedestał albo trampolinę. Szefem swego przedsiębiorstwa Saadat mianowała Guram-beka spokrewnionego z jej zmarłym mężem. Był człowiekiem bezużytecznym, ale reprezentacyjnym i bardzo łatwym w obejściu. Za tysiąc rubli miesięcznie skakał na tylnych łapkach jak tresowany pudel. I na zebraniu Rady Przedsiębiorców Naftowych posiedzi (przeczyta z kartki, co trzeba), i do teatru odprowadzi (by później cicho zniknąć), i w podróży się przyda (sama kobieta nie może podróżować, to *haram*).

Dopóki żył mąż, Saadat ubierała się po europejsku, jednakże owdowiawszy, z westchnieniem schowała suknie oraz kapelusiki do garderoby i stała się wschodnią wdową, czym zyskała powszechną aprobatę. Muzułmańscy magnaci naftowi to w większości gbury i dzikusy, daleko im do dżentelmenów, ale kobiety przestrzegające zasad przywykli traktować z szacunkiem. Mają to we krwi. Ważne jest również i to, że baba to dla nich istota głupia i niegroźna. A to oznacza, że kobiecie ujdą na sucho rzeczy, których nigdy nie darowaliby mężczyźnie. Nie wolno się tylko wychylać.

Przez sześć lat samodzielnego życia Saadat osiągnęła bardzo dużo. Jeśli chodzi o wielkość wydobycia, to jej przedsiębiorstwo nie mieściło się ani w pierwszej, ani nawet w drugiej dziesiątce największych firm naftowych, za to pod względem rentowności chyba nie miało sobie równych. Prawdziwy zysk Saadat ukrywała, podwójnie go zaniżając. Milczała też na temat działek rezerwowych, kupionych przez podstawione osoby. Tam, we wnętrzu szczodrej apszerońskiej ziemi, czekały na swoją godzinę miliony pudów słodkiego, czarnego, pachnącego narkotyku, bez którego planeta nie może żyć, jak narkoman nie może żyć bez opium.

Gdy syn podrośnie i przejmie przedsiębiorstwo, wtedy spółka Walidbekow-nafta (Ropa Walidbekowa) ruszy pełną parą. Dopiero wszyscy osłupieją.

Główny powód, dla którego Saadat zrezygnowała z europejskiej wolności, nazywał się Tural. Nie sześćdziesiąt, ale sześćset tysięcy, nie – sześć milionów rocznie zostawi Saadat synowi, żeby z tak wysokiego szczytu mógł podbić cały świat. Bo prawdziwy mężczyzna koniecznie chce podbić świat, a Saadat zamierzała uczynić ze swojego chłopca najlepszego mężczyznę na świecie.

Bogate bakijskie rodziny bezwstydnie rozpieszczają swoje latorośle, więc dzieci wyrastają leniwe i kapryśne. Dlatego też wiele zbitych w krótkim czasie majątków tak prędko, już w drugim lub trzecim pokoleniu, topnieje. Lecz Saadat wychowywała syna rozsądnie i surowo. Wiedziała, że rzeczą najważniejszą jest hartowanie charakteru od małego, reszta sama się ułoży. Kiedy szła z Turalem ulicą i chłopiec zaczynał dokazywać, mówiła słabym głosem: „Ach, Tural, w głowie mi się kręci. Weź mamę za rękę, bo inaczej upadnie” – i malec od razu czuł się mężczyzną i obrońcą. No i przestawał rozrabiać.

Dla chłopca ważne jest również, żeby nauczył się pokonywać strach, ale nie nabrał przy tym upodobania do ryzyka. Obie skrajności są w życiu niebezpieczne, a dla biznesu zgubne. Rozsądnej odwagi, jak wszystkiego na świecie, można się nauczyć. Żeby przezwyciężyć lęk, trzeba się poruszać małutkimi kroczkami, odnosić drobne zwycięstwa. Weźmy wzmiankowaną jazdę konną. Pewnego dnia Saadat zauważyła, że Tural boi się koni (prawdą jest, że zaprzęg miała nazbyt rozhukany, z narowistych turkmeńskich kłusaków). Najpierw kupiła karłowatego pony, niewiele wyższego niż taboret. Bać się takiego konika nie sposób, więc Tural jeździł na nim z przyjemnością. A teraz oddała syna do klubu „Pony”, gdzie koniki są już większe. Z czasem, za trzy, cztery lata, chłopiec będzie jeździł na kłusakach. Cała sztuka polega na stopniowaniu trudności.

Saadat martwiła się, że chłopiec dorasta bez ojca. To znaczy bez mężczyzny (zmarłego Walid-beka trudno było zaliczyć do tej kategorii). Zapewne z powodu tych obaw przesadzała z rygiorem. Bała się wychować maminsynka, powstrzymywała się od czułości, choć czasami serce jej krwawiło, taką miała

ochotę objąć go i przytulić. Nie wolno. Z tej samej przyczyny – żeby syna nie rozpieszczano – od trzech lat nie pozwalała zbliżyć się doń niańkom, a służące karała za pobłażliwość. Wreszcie wymyśliła, jak rozwiązać problem – przydzieliła Turalowi właściwego mężczyznę, guwenera. Teraz od czasu do czasu pozwalała sobie na zbytek: całowała syna w czoło. Tylko raz, krótko.

Tytoniu w papierosie pozostało jeszcze tyle, żeby się trzy albo cztery razy zaciągnąć, ale myśli Saadat krążyły już wokół trosk rozpoczynającego się dnia.

Wieczorem czekało ją trudne zadanie: negocjacje z komitetem strajkowym.

W przedsiębiorstwie Walidbekow-nafta nigdy długo nie strajkowano, właścicielka umiała podtrzymywać dobre stosunki z robotnikami. Dwa razy do roku w towarzystwie Guram-beka jechała do Persji werbować robotników amszari, ponieważ nie są wymagający i czują respekt wobec właścicieli. Każdego wybierała osobiście, po rozmowie. Żeby był cichy, wielodzietny, bez niepokojącego błysku w oczach. Saadat płaciła zawsze w terminie i odrobinę więcej niż sąsiedzi. Najgorliwszych nagradzała premiami. Jeśli zdarzyło się jakieś nieporozumienie albo konflikt, winą obarczała Guram-beka i występowała jako rozjemczyni.

Jednakże strajk, który rozpoczął się miesiąc temu i stopniowo rozprzestrzenił na cały Półwysep Apszeroński, dotarł w końcu i do kopalni Walidbekowej. Cztery dni temu członkowie komitetu strajkowego przekazali listę żądań. Saadat udała, że jest zrozpaczona i nawet się rozplakała, poskarżyła na wdowi los. Poprosiła o pięć dni do namysłu.

Targować się umiała świetnie, mało kto mógł się z nią równać w tej szlachetnej sztuce. Zbijanie ceny stanowiło rozkosz tak samo słodką jak zmysłowe uniesienia. Płacąc rewolucjonistom i drapieżnym goczy comiesięczny haracz, żeby w szybach naftowych nie wybuchały pożary, Saadat za każdym razem urządzała prawdziwe przedstawienie. Arcygroźni mężczyźni wychodzili od niej wyczerpani i spoceni, ale z pełnym przekonaniem, że wycisnęli wdówkę jak cytrynę. Ona natomiast traktowała ten wydatek nie jak stratę, lecz jak pozycję w księdze rachunkowej. Dzięki dobrym układom z bandytami (zarówno ideowymi, jak i bezideowymi) mogła nie utrzymywać armii strażników. Wychodziło taniej i kosztowało mniej nerwów.

Najważniejsze, że nie musiała otaczać Turala zgrają ochroniarzy, jak robią inni przemysłowcy, chroniąc dzieci przed porywaczami. Co dobrego wyrośnie z dziecka, nad którym od rana do wieczora sprawują opiekę uzbrojone po zęby osiłki?

Turalowi towarzyszył tylko jeden mężczyzna, który pełnił funkcję i guwenera,

i obrońcy. Franz Kaunitz, były lejtnant cesarsko-królewskiej armii austriackiej, uprawiał z chłopcem gimnastykę, uczył go języka niemieckiego, dobrych manier, a także rzeczy najważniejszej: jak być mężczyzną. Na wypadek nieprzewidzianych okoliczności (Baku to Baku) w kieszeni emerytowanego dragona spoczywał pistolet, którym Kaunitz umiał się świetnie posługiwać.

Saadat wiedziała, że poszczęściło jej się z wychowawcą. Z powodu sztywnego kolana, pamiętki po nieudanych wyścigach konnych, Austriak porzucił służbę i udał się na poszukiwanie szczęścia do dalekiego przemysłowego miasta, gdzie zainwestował wszystkie swoje oszczędności w skrawek ziemi. Wielu grało w tę loterię. Niektórym się udawało – na działce znajdowano ropę. Ale Kaunitz wyciągnął pusty los. Został wówczas guwernerem, żeby uskładać pieniądze i znowu spróbować szczęścia. Saadat nie miała jednak zwyczaju pozbywać się pożytecznych osób. Austriak żył u niej jak pączek w maśle, otrzymywał generalską pensję, o ropie nie wspominał.

Przez pewien czas Saadat zastanawiała się, czy nie wziąć sobie kochanka – postawnego, małomównego, piekielnie przystojnego blondyna. W końcu się nie zdecydowała. Na kochanków nadają się dwie kategorie mężczyzn: albo bardzo prości, albo bardzo skomplikowani. Z pierwszymi dobrze jest namiętnie i beztrosko pobaraskować w łóżku, z drugimi zapewne prowadzić ciekawe rozmowy (zapewne, bo tak naprawdę mężczyzn drugiej kategorii Saadat jak na razie nie spotkała). Kaunitz nie był ani jednym, ani drugim. Na małą, niezobowiązującą przygodę nazbyt wykształcony, do zbudowania złożonej relacji mimo wszystko nie dość skomplikowany. Jednym słowem, kawalerzysta. No i co potem? Mieszkać pod jednym dachem z kochankiem nie wypada, w domu jest przecież dziecko. A znaleźć kandydata na pocieszyciela w łóżku jest o wiele prościej niż dobrego guwenera. Kiedy Kaunitz przekaze chłopcu całą swoją wiedzę, trzeba będzie przed rozstaniem zrobić Austriakowi i sobie prezent. Podjąwszy taką decyzję, Saadat spoglądała na byłego lejtnanta z przyjemnym oczekiwaniem – jak na apetyczne jabłko, które dojrzewa na gałęzi i pewnego dnia niechybnie zostanie zjedzone.

Swoje kobiece szczęście Saadat zorganizowała mądrze i sprytnie – jeszcze w tamtym okresie, kiedy mąż zostawił ją w spokoju i bez pozwolenia nawet nie ośmielał się zjawić w kobiecej połowie domu. Jeśli Walidbekow miał słabość do subtelnych i bojaźliwych gąsek, to Saadat wolała wysokich, milczących i opanowanych elegantów. W żadnym razie mądrych. Miłosne zabawy przygotowywała ze smakiem i pozwalała sobie na nie rzadko – raz w miesiącu. Urok polegał na tym, żeby poczekać, aż nagromadzi się żądza cielesna. Pielęgnowanie miłosnego niepokoju jest o wiele przyjemniejsze niż oddawanie się namiętności. Człowiek stopniowo nabrzmiewa wewnątrz sokiem, napełnia się

blaskiem i aromatem. I kiedy zaczyna się wydawać, że lada chwila pęknie z pożądania, najwyższy czas, by udać się na polowanie.

Dawniej Saadat rzeczywiście wsiadała do lekkiego powozu i wolno objeżdżała nabrzeże, wypatrując interesujących mężczyzn. Twarz cnotliwie zasłonięta, oczy lustrują postawnych przechodniów – jakby strzelały do kaczek w locie. Prawie wszyscy, na których zatrzymywała wzrok, obracali się. Z miejscowymi mężczyznami Saadat nigdy się nie wiązała, ponieważ Baku to małe miasto. Wyłącznie z przyjezdnymi. Mógł to być oddelegowany oficer, inżynier, komiwojażer.

Jeśli mężczyzna wydawał się obiecujący, Saadat lekko trącała Zafara parasolką w plecy. Rozumieli się bez słów. Służący zeskakiwał z kozła i podążał za kandydatem, żeby się dowiedzieć, kim jest i gdzie mieszka, a Saadat chwyciła lejce i zawracała do domu.

Powiernika swoich potajemnych uciech Saadat przywiozła z Persji. Był eunuchem, w przeszłości gońcem przy starszej żonie jego wysokości *şehzade*, to znaczy przedstawicielem wysoko cenionej na dworze profesji. Z pałacu wygnano go za krnąbrny charakter, więc kosztował Saadat bardzo tanio. W stosunku do niej Zafar był potulny jak baranek. Nieoceniony pomocnik, niezawodny powiernik, wierny przyjaciel! Bez niego jej życie byłoby jałowe.

Zafar utrzymywał w idealnym porządku niepozorny na zewnątrz, ale wytwornie urządzony domek w cichym zaułku Starego Miasta, niedaleko Bramy Szemachińskiej. Sąsiedzi byli przekonani, że gospodarz jest niemową, ponieważ Zafar komunikował się z nimi tylko na migi. Tak naprawdę eunuch gardził ludźmi, nie widział potrzeby, żeby marnować na nich słowa – gesty wystarczą. Na całym bożym świecie kochał tylko swoją panią, to z nią rozmawiał, choć rzadko i krótko.

Gdy obudziwszy się rankiem, Saadat nagle czuła: „Już czas, dzisiaj wybiorę się na przejażdżkę”, oznajmiała zatrudnionemu na stałe stangretowi, że dzisiaj zastąpi go Zafar. I niemy Pers zjawiał się jakby wiedziony przecuciem. Służący nie mogli się nadziwić, jak odgaduje życzenie pani, i odnosili się do eunucha z mistycznym lękiem. A wszystko było proste. Z dachu miłosnego gniazdka widać było górne piętro domu Walidbekowów na ulicy Zawiedzińskiej. Jeśli w oknie sypialni purpurowa zasłona była zasunięta do połowy, Zafar wiedział, że tego dnia odbędzie się przejażdżka.

Po sprawdzeniu upatrzonego mężczyzny i stwierdzeniu, że jest odpowiedni, zaczynało się właściwe polowanie.

Wybraniec Saadat trafiał do baśni z tysiąca i jednej nocy. Tajemniczy nieznajomy o śniadej cerze i w egzotycznej szacie z pokłonem wręczał mu wyperfumowaną karteczkę. „Piękna dama Wschodu o wysokiej pozycji

towarzyskiej zwróciła na Pana uwagę i pragnie zawrzeć bliższą znajomość, jednakże tylko pod warunkiem, że jest Pan osobą subtelną i umie dochować tajemnicy” – informował napisany po francusku list, ozdobiony wymyślnymi zawijasami.

To zabawne, jak działa na Europejczyków orientalny koloryt w połączeniu z zapachem tajemnicy. Dosłownie baranieją. Wszyscy czytali w dzieciństwie historyjki o arabskich haremach i o „ślepych” rendez-vous młodego hugenota z Dianą de Turgis. Zaintrygowani, zżerani ciekawością mężczyźni posłusznie podporządkowywali się milczącym poleceniom eunucha. Najpierw Zafar wiódł ich do hammanu, gdzie relaksował i orzeźwiał za pomocą masażu, a jednocześnie sprawdzał doświadczonego wzrokiem, czy nie zdradzają oznak choroby wenerycznej. Później, pod osłoną nocy, długo kluczył uliczkami Iczeri-Szeher. Przed wejściem do domu przewiązywał im oczy opaską. Niektórzy spryciarze ściągali ją później, ale to nic nie dawało – Saadat nigdy nie zapalała światła w buduarze. Przed świtem podawała zmęczonemu kochankowi herbatę z dodatkiem opium i Zafar wyprowadzał oszołomioną ofiarę pożądania.

Twarzy tajemniczej piękności mężczyzna nie widział, imienia nie znał, znaleźć drogi do domu nie potrafił. Nazajutrz, wypawszy się, szczęściarz zaczął powątpiewać, czy cudowna noc mu się nie przywidziała, czy to wszystko nie było niesamowitą diabelską sztuczką. Muzułmańskie kobiety są tak cnotliwe i nieprzystępne! (To prawda, panowie. W całym Baku jest tylko jedna taka Saadat – i to ona wam się przyśniła).

Później przez cały miesiąc rozkoszowała się wspomnieniem przeżytej przygody – i przygotowywała do następnej. Jednej zasady trzymała się niewzruszenie. Nawet jeśli kochanek okazał się nad podziw dobry, drugi raz nie wolno go zapraszać.

Tural nie był oczywiście synem opasłego Walid-beka. Też coś! Zamorski gość o kobiecym imieniu Mario, piękny włoski tenor, który przyjechał do bogatego miasta na występy gościnne, spędził niezapomnianą noc z tajemniczą odaliską i zostawił jej na pamiątkę cenny prezent – chłopca z takimi samymi zielonymi oczami jak jego i skórą w delikatnym oliwkowym odcieniu.

Kiedy Saadat oznajmiła mężowi, że Allah zamierza pobłogosławić ich związek potomkiem, Walid-bek oczywiście się zdziwił, ale nie zgłosił pretensji – już od dawna chodził jak na sznurku – zapanowało między nimi wzajemne zrozumienie. Saadat nawet płakała na jego pogrzebie, i to dosyć szczerze.

Stopniowo zasady polowania na mężczyzn podlegały doskonaleniu. Wraz z doświadczeniem krystalizował się gust. Drogą empiryczną Saadat ustaliła, że kochanek nie powinien być zbyt młody. Młodzi są krewcy, ale niezręczni i natarczywi. Z dojrzałym mężczyzną jest ciekawiej i bezpieczniej. „Połów

na błysk” (tak Saadat nazywała swoje przejażdżki) z czasem odszedł w przeszłość. Gra w ślepy przypadek jest niepewna i mało produktywna. Ileż to razy bywało, że ktoś jej się spodobał, a później Zafar wracał i oznajmiał, że kandydat z tych czy innych powodów się nie nadaje. O wiele lepiej wybierać ofiarę wcześniej, z rozmysłem. Na rautach albo w teatralnym foyer, drepcząc za Guram-bekiem i udając cichą wschodnią myszkę z zasłoniętym pyszczkiem, Saadat wypatrywała zdobyczy. Potem dowiadywała się, czy mężczyzna jest odpowiedni. Zawczasu zaczynała go osaczać pachnącymi liścikami, pobudzając jego apetyt. Sama oczywiście też odczuwała coraz większy pociąg.

W całej historii polowań kłopoty pojawiły się zaledwie czterokrotnie. Trzech mężczyzn w ostatniej chwili zrezygnowało z nocnej wędrówki do Starego Miasta – przestraszyli się bandyckiej zasadzki. Tych ani trochę nie żałowała, ponieważ tchórze są beznadziejnymi kochankami. Jeden zaś osobnik okazał się wiernym mężem. Do takiego fenomenu Saadat odniosła się z szacunkiem, ale również bez żalu: komu potrzebny w łóżku luminarz cnoty?

Zagorzali myśliwi ozdabiają bawialnię trofeami: porożami jeleni i orężami dzików, wypchanymi niedźwiedziami czy wyjątkowo dużymi egzemplarzami dzikiej zwierzyny. Saadat miała sekretny albumik w rodzaju księgi honorowej. Ogółem osiemdziesiąt siedem eksponatów. Były tam tylko numery, daty i zasuszone kwiatki.

Na przykład: „Nr 48, 19 VIII 1909” – i jaskier.

Obok niezapomnianego numeru dwudziestego dziewiątego (oooch!) – niezapominajka.

Ale nawet z dwudziestym dziewiątym (oooch!), najlepszym ze wszystkich, Saadat nie pozwoliła sobie na drugi raz. Przyjemność przyjemnością, ale bezpieczeństwo i reputacja są cenniejsze.

* * *

Przypomniawszy sobie numer dwudziesty dziewiąty (oooch, 6 września 1905 roku!), Saadat jak zwykle uśmiechnęła się z rozmarzeniem. Poranny relaks dobiegł końca. Niedopałek i popiół do kartki, kartka do kieszeni.

Takie życie trudno oczywiście uważać za normalne: ukrywanie we własnym domu przed własną służbą najniewinniejszych przyjemności. Ale *East is East*. Tu z każdego głupstwa robi się tajemnice. Może właśnie na tym polega nieodparty urok Wschodu.

Przebierając się w codzienny czarny wdowi strój, Saadat już się nie uśmiechała, myślała o strajkujących. Najważniejsze, żeby wieże wiertnicze dalej pracowały.

Teraz, w obliczu zmniejszenia wydobycia ropy, przynosi to ogromne zyski. W porównaniu z nimi podwyżki pensji to drobiazg. Ale nie można płacić za dużo, bo rozzłoszcą się Artaszew, Szamsijew i inni liderzy Związku Przedsiębiorców Naftowych. I tak już zrządzą, że Walidbekow-nafta podbija stawki na rynku pracy.

Za oknem niecierpliwie zabuczał klakson. Cóż to, czyżby jeszcze nie wyjechali?

Saadat wyjrzała. Franz siedział za kierownicą odkrytego beżowego delauunaya, sam. Austriak świetnie prowadził i proponował, że nauczy Saadat, ale to niestety nie wchodziło w rachubę. Wszyscy świętej pamięci imamowie i walidowie Baku przewróciliby się w grobach.

– *Was ist los?* – zawołała Saadat, wychylając się. – *Wo ist Tural?*^[11]

Guwerner nie zdążył odpowiedzieć. Po stopniach zbiegł chłopiec w dżokejskim ubranku i angielskiej czapeczce z daszkiem.

– *Noch nich aber schon bald! Jetzt gehen wir!*^[12] – oznajmił Kaunitzowi.

Saadat domyśliła się, o co chodzi. Tural pobiegł na tylne podwórze, żeby zobaczyć krowę Betty, która lada chwila będzie się cielić. Na tyłach domu – starego, ale niedawno zmodernizowanego (wodociąg, elektryczność) pozostała obora, Saadat jej nie zlikwidowała. Dziecko należy odżywiać produktami, których pochodzenie da się kontrolować. Piekarnię też miała własną. Dzisiejszym mleczarom, rzeźnikom i piekarzom nie można ufać. Wszyscy są zepsuci i zdemoralizowani łatwym zarobkiem oraz małymi wymaganiami hałustry, która zjechała do Baku.

Z przyzwyczajenia Saadat wymamrotała w ślad za Turalem modlitwę o ochronę przed złem: *Wasalla llahu ta'ala 'ala hayry halkyhy muhhamadin wa 'ala alihi wa ashabihi ajma'iin.* – „O Allachu, o Najszczodrośliwszy, strzeż nas przed złymi wypadkami i chorobami”. W Boga niespecjalnie wierzyła, ale dlaczego nie miałyby się ubezpieczyć? Zdaniem współczesnych uczonych magiczne zaklęcia mogą posiadać pewną energię, której natura nie została jeszcze przez naukę zbadana.

Imię Tural też było zaklęciem, oznaczało „Nieśmiertelny”. Życie każdego człowieka, oprócz codziennych trosk, uciech i smutków, powinno mieć wyższy sens. Wielu mężczyzn popełnia głupstwa, a nawet przestępstwa, wymyślając sobie ów sens. Kobiecie, jeśli jest matką, żyje się łatwiej. Oto i on, sens jej życia: siedzi obok kierowcy, wymachuje rękami, o czymś opowiada. Saadat wiedziała, że jeśli imię syna zawiedzie i Tural (niech Allah broni) okaże się śmiertelny – wtedy i ona nie będzie chciała żyć. Bo i po co?

Syn był jedynakiem, drugi nie przyjdzie na świat. Owdowiawszy, Saadat sama poprosiła Zafara, żeby pomógł jej nigdy więcej nie zejść w ciążę. Nieślubny syn nie jest jej potrzebny, a znowu wychodzić za męż – co to, to nie!

Nie potrzebuje jeszcze jednego dziecka. Nie wiadomo, jak kobiety, które mają dużo dzieci albo nawet dwoje, dzielą to, czego nie da się podzielić – miłość. No bo czy to możliwe: kochać całą duszą i męża, i dziecko? Przecież któregoś z nich kocha się jednak bardziej? Właściwie to wielka zagadka, jak można pokochać mężczyznę. Nie w sensie fizycznym, ale prawdziwie. Kochać można tylko tego, kto zawsze był i będzie twój, cokolwiek by się działo. A mężczyźni... Są jak ogień, przy którym można się ogrzać i na którym można ugotować jedzenie, ale przez nieostrożność można się łatwo oparzyć albo nawet spalić. Czyż ogień można kochać? To byłby już chyba jakiś kult.

Franz przypiął chłopca pasami, ponieważ droga była wyboista. Zdjął mu czapkę i włożył skórzany kask; Tural sam sobie tego zażyczył. Zobaczył kiedyś uczestnika wyścigów samochodowych w kaszkiecie i zażądał takiego samego.

Słońce było dzisiaj ostre, oślepiające. Kurz wisiał w powietrzu, połyskiwał jak złoty piasek. Nieliczni przechodnie snuli się leniwie. Niektórzy zatrzymywali się, żeby odpocząć w cieniu. W Baku mężczyźni często po prostu stoją grupkami i prawie nie rozmawiają. Zamienią dwa słowa i milkną na dłuższą chwilę. Kobiet nigdy się nie zastanie przy tym czczym zajęciu. Jeśli gawędzą, to w domu albo na podwórzu, wykonując jakąś pracę.

Nagle coś się zmieniło. Na sennej, omdlewającej w upale ulicy zaczął się ruch. Trzej próżniacy w czarnych papachach gapiący się na auto puścili się ku niemu biegiem. Dwaj przechodnie wlokący się po drugiej stronie ulicy wyskoczyli na jezdnię i również pobiegli w stronę samochodu.

Krzyk uwiązał Saadat w gardle.

Kaunitz odwrócił się, słysząc tupot, i zaczął się podnosić, ale jeden z mężczyzn wskoczył na stopień i uderzył go pięścią w głowę. Widocznie miał w dłoni coś ciężkiego – kastet albo kawałek ołowiu, bo Franz zsunął się z siedzenia.

Cała piątka wskoczyła do samochodu: dwaj z przodu, trzej z tyłu.

– *Anaaa!* – zawołał Tural, odwracając się w stronę domu – wiedział, że mama patrzy przez okno.

Na głowę wciągnięto chłopcu worek i krzyk ucichł.

Jeden z porywaczy ujął kierownicę, drugi trzymał dziecko. Trzej z tyłu wystawili gotowe do strzału karabiny, w razie gdyby ktoś się wtrącił. Twarze mieli zasłonięte maskami. Saadat nie zauważyła, kiedy je włożyli.

Delaunay prychnął, plunął czarnym dymem z rury wydechowej i podskakując, pomknął po bruku. Podniósł się kurz. Wielbłąd o cienkich nogach z ogromną belą na grzbiecie szarpnął się niespokojnie. Zadzwończyły dzwoneczki na jego włochatej szyi, poganiacz klasnął w dłonie. Tymczasem samochód zniknął za rogiem.

Saadat zastygła z otwartymi ustami. Chciała krzyknąć, ale nie mogła.

* * *

Pewnie by zwariowała albo pękłoby jej serce, gdyby kwadrans później nie zadzwonił telefon. Usłyszano go nie od razu, ponieważ wszyscy byli na ulicy. Zawodzili, machali rękami, szlochali, miotali się. W końcu starszy służący usłyszał terkot i podniósł słuchawkę.

Saadat w tym czasie leżała na bruku – w tym samym miejscu, z którego bandyci uprowadzili jej syna – i nie przestawała lamentować, tłukąc pięściami w ziemię. Wokół niej zebrali się ludzie i głośno wyrażali współczucie.

– Proszę pani – powiedział zasapany Farid. – Telefon. To oni, bandyci. Chcą, żeby pani...

W tejże sekundzie Saadat przestała szlochać. Podniosła się i otrzepała z kurzu. W głowie jej się nie kręciło, serce nie zamierało. Teraz nie miała prawa się rozklejać.

Po drodze do telefonu powiedziała sobie: zadzwonili, to znaczy, że zażądają okupu. W Baku dzieci często się kradnie, to biznes. Pomyliła się, kiedy myślała, że zapewniła synowi bezpieczeństwo, regularnie płacąc haracz. Widocznie pojawiła się jakaś nowa szajka. To nic. Kiedy w grę wchodzi pieniądze, wszystko da się rozwiązać. Trzeba rozmawiać z szantażystą spokojnie, żeby nie zażądał zbyt dużo.

– Walidbekowa – krótko i oschle odezwała się do słuchawki.

– Pani syn jest u nas.

Rosjanin. To jeszcze nic nie znaczy. Ormianie i muzułmanie, jak również inni, w takich sprawach często biorą Rosjan na pośredników, żeby nie naprowadzać na swój ślad.

– U nas, czyli u kogo? – zapytała.

Na tamtym końcu rozległ się gniewny pomruk.

– Chyba nieszczególnie się pani niepokoi? Szkoda.

Wysławia się poprawnie. Więc raczej nie przestępcy, tylko rewolucjoniści.

– Przejdźmy do konkretów. Ile?

Za syna Abylgazijewów eserzy wzięli trzysta tysięcy. Ale tam nie chodziło o jedynaka. Za to przedsiębiorstwo Abylgazijewów jest prawie dwa razy większe. Trzeba spróbować zbić cenę do stu pięćdziesięciu.

– Weźcie tylko pod uwagę – wciąż tak samo spokojnie ciągnęła Saadat – że u mnie teraz krucho z pieniędzmi. Właśnie kupiłam nowe maszyny. Możecie sprawdzić.

Mówiła prawdę. W maju zainwestowała osiemset tysięcy w modernizację –

w wieżach wiertniczych zainstalowała silniki Diesla, które pompują ropę półtora raza szybciej. Wolnych środków nigdy nie miała, więc musiała zaciągnąć sporą krótkoterminową pożyczkę. Liczyła, że prędko ją zwróci – w powietrzu czuło się już zapach powszechnego strajku, a swoich robotników Saadat była pewna.

– Po co sprawdzać? I tak wiemy – odparł mężczyzna. – Nie chcemy pieniędzy. Niech pani odmówi komitetowi strajkowemu. Żadnych ustępstw. To wszystko, czego oczekujemy.

Tego się zupełnie nie spodziewała.

– Nie chcecie pieniędzy?!

Głos jej drgnął. Strategia negocjacyjna poniosła fiasko.

Nie pójść na ustępstwa?! To na zawsze popsuje stosunki z robotnikami. Saadat zamierzała poczęstować delegację herbatą i słodyczami. Chciała popłakać, ponarzekać na wdowi los. W końcu podniosłaby stawki o dziesięć, maksymalnie dwanaście procent i wszyscy byliby zadowoleni.

Ale jest coś jeszcze gorszego. Jeśli pompy staną, nie będzie czym spłacać pożyczki. A to oznacza bankructwo i krach.

– Milczy pani, madame Walidbekowa? Niech pani decyduje, co jest dla pani cenniejsze: pieniądze czy syn. I to zaraz, bo odpowiedź muszę przekazać niezwłocznie.

– Tak, tak, tak! – rzekła, ciężko oddychając. – Odmówię strajkującym. Tylko oddajcie Turala!

Serce tłukło się w panice, ale umysł wciąż pracował. Syna można odesłać do Tebrizu, do krewnych męża. A później dogadać się ze strajkującymi...

– Chłopiec zostanie u nas do końca strajku – oświadczył nieznajomy. – Potem go pani oddamy, no bo po co on nam?

Połączenie zostało przerwane.

Nie zwracając uwagi na stłoczonych przy wejściu służących, Saadat osunęła się na podłogę i złapała rękami za głowę.

To koniec. Do ośmiuset tysięcy, które należy zwrócić bankowi do końca lipca, dochodzą jeszcze spłaty odsetek ubiegłorocznego kredytu. Saadat zawsze była zdania, że jeśli w kieszeni spoczywa rubel, trzeba pożyczyć jeszcze dziewięć i zainwestować wszystko w przyszłość. Przez ostatnie kilka lat owa strategia pozwoliła zwiększyć obrót czterokrotnie, ale sprawdzała się tylko przy stałym dopływie nowych środków. Jeśli wydobywanie ropy zostanie przerwane, chwiejna konstrukcja runie. Wierzyciele zlecą się jak sępy. Konkurenci, gdy wyczują łatwą zdobycz, zmówią się i nie pozwolą sprzedać działek ani maszyn po cenie rynkowej.

Najbardziej poruszył Saadat obojętny stosunek herszta porywaczy (albo

pośrednika) do pieniędzy. Niegodziwcy zaangażowani ideowo są najstraszniejsi. W imię świetlanej przyszłości proletariatu bez wahania zabiją siedmioletniego chłopca. Dostojewski ze swoją łzą dziecka nie jest dla nich autorytetem.

Ach, to nie pieniędzy było jej żal, nie szybów, nie zapasów ropy! Nieznośna wydawała się myśl, że Turala czeka ubóstwo. O nędzy oczywiście nie ma mowy. W końcu jakieś tam okruszki zawsze można ukryć przed wierzycielami. Ale wspaniałej przyszłości o nieograniczonych możliwościach chłopiec już nie doświadczy.

Saadat oddawała się rozpaczycy jakieś pięć minut. Może dziesięć. Później wzięła się w garść.

Po pierwsze lepsza skromna przyszłość niż żadna, powiedziała sobie.

Po drugie nie wolno poddawać się przed czasem.

Szczerze mówiąc, poddawać się nie umiała ani przed czasem, ani po czasie.

Do wieczora jeszcze daleko.

Co można zrobić?

W innym kraju albo przynajmniej w innym mieście Cesarstwa Rosyjskiego Saadat zwróciłaby się do policji. Ale nie w Baku. Muzułmanka straciłaby przez to twarz. Składać skargę do rosyjskiej policji to jeszcze gorszy wstyd, niż procesować się w rosyjskim sądzie. Nawet w razie zabójstwa krewnego bakijczyk nie poprosi władzy o pomoc. Musi sam szukać zemsty na wrogach, a jeśli to ponad siły, niech pozostawi odwet Allahowi. Boże, zresztą co tam utrata twarzy! Tyle że policja umie tylko brać bakszysz. Nikogo nie znajdą, bez względu na wysokość sumy, jaką się im przyobieca. Nie na tym te szakale żerują.

A zatem trzeba spróbować tradycyjnego sposobu, którego w tej sytuacji chwyciłaby się każda muzulmańska matka nieposiadająca obrońcy, ale dysponująca kapitałem.

Nie ma ani chwili do stracenia.

* * *

Już godzinę później, po rozmowach telefonicznych z kilkoma doświadczonymi osobami, Saadat wiedziała, do kogo należy się zwrócić i jak tego człowieka znaleźć.

Sławny goczi, niejaki Kara Hasym, cieszy się bardzo dobrą reputacją. Już od tygodnia całe miasto o nim mówi, ponieważ niedawno w Szubanach w pojedynkę wystrzelał całą bandę ormiańskich anarchistów. Osoba dobrze poinformowana powiedziała: „Jeśli Kara Hasym się podejmie – nie wycofa się. A jeśli się nie podejmie, to znaczy, że nikt nie pomoże”.

Nie minęło pół godziny, a Saadat owinięta w stary hidżab młodszej służącej śpieszyła uliczkami Starego Miasta.

Pośrednik, którego przysłała zorientowana osoba, wskazał dłonią podwórze:

– To tutaj, proszę pani. Po schodkach na górę. Ja dalej nie pójde, niech Allah panią wspiera.

Z bijącym sercem, ale krokiem twardym i stanowczym Saadat weszła do pokoju, gdzie na kobiercach wisiało mnóstwo broni, a przy stole zwalisty olbrzym z bujnymi wąsami jadł suszone owoce, nabierając je garściami.

Mężczyzna w milczeniu wysłuchał bolesnej opowieści, po czym od razu oświadczył:

– Nie, nie podejmę się. Odejdź, kobieto.

– Tutaj jest piętnaście tysięcy. – Saadat rozwinęła i pokazała pieniądze. – To wszystko, co miałam w domu. Ale będzie jeszcze więcej.

Kolos nawet nie zerknął na pieniądze. Saadat miała dzisiaj szczęście do bezinteresownych dziwaków.

– Czarny Hasym uczciwy człowiek. Jeśli nie mogę zrobić, to tak mówię. Mam teraz, kobieto, ważniejsze sprawy. Jestem zajęty. Ja słowo dał. Pogódź się z losem. Jeśli syn jest ci drogi, zamień na niego swoje bogactwo.

O prawdziwych goczi wiadomo, że ich słowo jest niczym kamień. Jeśli coś powiedzieli, to się ich nie przekona, nie wzbudzi litości. Błaganie na nic się nie zda.

Oślepią łzami, które napłynęły jej do oczu, Saadat podniosła się i powlokła przed siebie. Jakies drzwi. Przejście albo korytarz. Ściana.

Zdaje się, że wyszła nie tam, skąd przyszła.

Otarła łzy, spróbowała się zorientować.

Korytarz. Drzwi. Pchnęła najbliższe.

W dość sporym pokoju na niskiej kanapie ktoś spał, przykryty kocem. Przy stoliku siedział ze skrzyżowanymi nogami Dagestańczyk w papasze, z twarzą pokrytą parodniowym czarnym zarostem, i prędko coś pisał. Dziwne. Saadat nigdy nie widziała, żeby górale przesuwali ołówkiem po papierze.

„Uczony” mężczyzna uniósł głowę. Saadat, która już chciała przymknąć drzwi, zamarła.

Gdzieś już widziała te niebieskie uważne oczy, cienki nos, sterczące brwi. Pamięć wzrokową miała znakomitą.

Niemożliwe!

To on, we własnej osobie! Mąż aktorki Łunnej, ulubienicy bakijskiej prasy!

Ale przecież biedaka zabili bandyci zaraz po raucie u Artaszewa, gdzie Saadat po raz pierwszy zobaczyła tego wymuskanego moskiewskiego dandysa. Nazwisko

miął jakieś nierosyjskie. Von... nie, Fandorin. Gdy przeczytała w gazecie o jego śmierci, westchnęła. Tam, w jaskini, coś w nim dostrzegła. Chyba nawet pomyślała, czy by go sobie nie zapamiętać. Przystojny, postawny, niemłody. Tylko oczy nazbyt mądre.

– Czego chcesz, kobieto? – zapytała zjawa po rosyjsku, nie najgorzej naśladowując awarski akcent. – Dlaczego mi się przyglądasz?

Zagadka niepojętego zmartwychwstania męża aktorki nie na długo zajęła uwagę nieszczęsnej matki. Niech cała ludzkość sobie ginie, zmartwychwstaje, a później znowu ginie – co ją to obchodzi, skoro Tural jest w rękach fanatyków? Jednakże ten mężczyzna tu mieszka. Może szepnie słówko groźnemu goczi?

Zamiast odpowiedzieć, Saadat odsłoniła czadrę. Pokazała twarz mokrą od łez.

Fałszywy Awar się nachmurzył.

– Proszę z-zaczekać – powiedział już bez akcentu, za to lekko się zacinając. – My przecież... Nie pamiętam nazwiska... Spotkaliśmy się w Mardakanie.

Saadat runęła na kolana i wybuchnęła płaczem. Chciała błagać o litość, ale nie mogła przestać płakać.

– Co się s-stało?

Nie od razu, na raty, dławiąc się łzami, Saadat opowiedziała o swoim nieszczęściu. Bez ładu i składu. Niektóre rzeczy powtórzyła trzykrotnie, a inne, ważne, ominęła.

Fandorin cierpliwie słuchał. Saadat odniosła wrażenie, że początkowo bez zainteresowania, ale później zauważyła błysk w niebieskich oczach.

Pytanie zadał tylko jedno i na dodatek dziwne:

– P-powiedziała pani, że Austriak utyka?

– Owszem. Jego kolano... Dlatego nie zdążył prędko wstać i wyciągnąć broni. Chociaż to i tak nic by nie zmieniło. Tamtych było pięciu...

– Proszę tutaj zaczekać, pani... Walidbekowa, tak? Zaraz wrócę.

I wyszedł.

Zaczekać? Jeszcze czego!

Zdjąwszy pantofle, Saadat przekradła się na palcach korytarzem.

– ...I pieniędzy nie żądają! Potrzebny im strajk, a nie okup, rozumiesz? – Słysząc było głos Fandorina. – Bardzo możliwe, że to nasz kulawy!

Goczi zadudnił z niezadowolaniem:

– E, teraz za każdym kulawym biegać będziemy?

Pauza. Potem Rosjanin rzekł oschle:

– Jak chcesz. W takim razie sam to zrobię.

Głośne westchnienie.

– W porządku, Yumrubas. Gdzie ty, tam i ja. Ja twój Japoniec słowo dał.

Dziwne towarzystwo

Mimo podjętych starań sprawa nie posuwała się do przodu. Już cały tydzień, od rana do wieczora, Fandorin zajmował się poszukiwaniem rewolucjonisty o przydomku Dziecioł – na próżno. Taki ptak nie zamieszkiwał bakijskich zarośli. Chyba że umiał się bardzo dobrze ukrywać.

Jak na złość wszelakiego skrzydlatego diabelstwa było w mieście w bród: ormiański bandyta Czarny Jastrząb, lezgiński bandyta Biały Sokół, rosyjski rabuś po prostu Sokół, turkijski zbój Leşiyen, czyli Sęp. Natomiast na temat Dziecioła nie udało się dowiedzieć niczego, choć Hasym wypytywał najprzeróżniejsze osoby (a kontakty miał wszędzie). Razem odwiedzili wszystkie dzielnice rozciągniętego wzdłuż morza miasta, obeszlili jego okolice. Hasym zadawał pytania. Erast Pietrowicz udawał srogiego górala ochroniarza i milczał.

Z kulawym było na odwrót. Po Baku krążyło mnóstwo chromych rewolucjonistów i opryszków, przy czym pierwsi, reprezentujący całą gamę politycznych odcieni, niewiele różnili się od drugich.

Oprócz bezowocnych poszukiwań Fandorin miał jeszcze dwa zajęcia: doglądał Masy, którego stan znowu był bardzo ciężki, i prowadził dziennik.

Rozdział „Drzewo” z dnia na dzień wzbogacał się o informacje dotyczące organizacji rewolucyjnych: bolszewików, mieńszewików, anarchistów, eserów, musawatystów, dasznaków, panislamistów.

Rozdział „Klinga” wyglądał coraz bardziej ponuro i mizantropijnie. Jedno po drugim płynęły wyrzekania na ubóstwo umysłowe rodzaju ludzkiego, rozchwianie ładu moralnego i upadek technokratycznej cywilizacji. Zgryźliwość Erasta Pietrowicza osiągnęła punkt krytyczny w zapisie następującej treści:

Człowiek nigdy nie powinien mówić o sobie, że jest łajnem. Jeśli okazało się, że jest bezużyteczny albo popełnił jakiś wstrętny czyn, powinien raczej powiedzieć, że znalazł się w łajnie. Bo nawet jeśli wpadł w łajno z własnej winy, może się jeszcze wydostać i oczyścić. Ale jeśli uznał się za łajno, to znaczy, że przystał na wieczną egzystencję w szambie.

Najgorsze było to, że rozdział „Klinga”, w którym należało zapisywać konstruktywne myśli, ział przygnębiającą pustką. Nie było czym jej wypełnić.

Taka sytuacja trwała aż do chwili, gdy w pokoju, w którym Fandorin pośpiesznie spełniał obowiązek wobec *Nikki-dō*, pojawiła się płacząca, ubrana na czarno

kobieta. Przysłała ją bez wątpienia Fortuna, która ulitowała się nad swoim częściowo odsuniętym od łask ulubieńcem.

Erast Pietrowicz od razu zestawiał dwa fakty: uprowadzenie dziecka nie dla okupu, ale w celu rozszerzenia strajku (motyw wyraźnie rewolucyjny, a nie bandycki), plus chromy guwerner, który jak na oficera dragonów jakoś bardzo łatwo dał się unieszkodliwić, po czym zniknął bez śladu.

Śledztwo, ma się rozumieć, należało rozpocząć od przejrzenia rzeczy Herr Kaunitza.

Pani Walidbekowa prędko wymyśliła, jak to urządzić.

– Jako wdowa nie powinnam wpuszczać do domu obcego mężczyzny. Ale porwano mi syna. Jestem kobietą, przestraszyłam się. Jak w Baku postępuje przestraszona kobieta?

Fandorin wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia.

Odpowiedzi udzielił Hasym, który przyglądał się Walidbekowej z nieskrywaną wrogością. Ogromnie nie podobał mu się obrót wydarzeń.

– Kiedy kobieta się boi, ona bierze ochroniarz.

– I najczęściej spośród górali z Północy – dodała Walidbekowa. – Dlatego że są źli i wierni.

– Doskonale – przytaknął Erast Pietrowicz. – Będę z-ły i wierny. Chodźmy.

Na ulicy Saadat znowu owinęła się w swoje czarne chusty, przygarbiła i zaczęła stawiać małe kroczki. Owa dama posiadała niepospolite zdolności aktorskie. Dwaj ochroniarze – goczy i Awar – szli tuż za nią. Spotykani po drodze przechodnie spoglądali na trójkę z szacunkiem, ale bez zdziwienia.

– Co mam powiedzieć strajkującym? – rozległo się spod czadry.

– Kiedy się ich p-pani spodziewa?

– Za cztery i pół godziny.

– Odpowiem, kiedy obejrzę pokój guwenera.

* * *

Dom pani Walidbekowej był dosyć dziwny. Urządzony we wschodnim stylu: wszędzie kanapy i kobierce, rzeźbione perskie meble, na ścianach jakieś arabskie maksymy, natomiast w gabinecie biurko zawałone prognozami i wykresami giełdowymi, aż trzy telefony, telegraf kompaktowy, a nawet – nowość nad nowościami – aparat symilograficzny.

– P-po co t-to pani?

– Zdarza się, że muszę wysłać podpisany dokument albo rysunek – krótko odparła właścicielka.

W domu zdjęła czadkę i zaczęła zachowywać się inaczej. Oczy spoglądały czujnie i surowo, ruchy stały się energiczne, wypowiedzi powściągliwe. Aż trudno było uwierzyć, że owa dama potrafi płakać czy o coś błagać. Erast Pietrowicz widywał w swoim życiu różne kobiety, ale takiej chyba jeszcze nie spotkał. Interesujący okaz. Jakim człowiekiem był jej zmarły mąż? Czyżby to on został uwieczniony na portrecie – puciołowaty wieprz w fezie, z fircykowatymi wąsami?

Hasym został w bawialni, żeby napić się herbaty i zjeść trochę słodczy, a Fandorin z Walidbekową udali się na górę, gdzie w malutkim mieszkanku (przedpokój, węzeł sanitarny, pokój) gospodarował chromy guwerner.

Na schodach Erast Pietrowicz zerknął do lustra. Nie ośmielił się zdjąć papacy, żeby nie błyskać łysą czaszką, bo w połączeniu z czarną od zarostu twarzą widok był po prostu koszmarny.

Herr Kaunitz żył porządnie, jak przystało na Niemca i wojskowego.

Dyplom za celne strzelanie. Puchar za jazdę konną. Żeton nagrodowy za wycinkę łoży. Zbiorowe zdjęcie rodziny. Wszyscy naburmuszeni, wystrojeni, z wytrzeszczonymi oczami. *Vater, Mutter*, czterech synów (bez wyjątku w mundurach), trzy *Mädchen*.

– K-który to?

– O ten. Tylko tutaj jest całkiem młody. Niepodobny do siebie. Był wysoki, silny, spokojny. Biedaczek... – Walidbekowa westchnęła, ale raczej beznamiętnie. Wiadomo: jest matką, więc myśli tylko o synu. Na obcego człowieka nie starcza już emocji. – Franz na pewno nie żyje. Osoby towarzyszące zawsze są zabijane. Żeby zademonstrować rodzicom powagę zamiarów.

Erast Pietrowicz nie zareagował. Nie zamierzał dzielić się podejrzeniami z panią Walidbekową.

Szperał w szufladach biurka, szukał jakiegoś dokumentu ze zdjęciem.

O, jest. Herr Kaunitz był członkiem *Bakinische Deutsch-Österreichische Verein*[\[13\]](#) – ale nie szeregowym, lecz *Ordentliches Vorstandsmitglied*[\[14\]](#). Z małego zdjęcia spoglądał mężczyzna lekko po trzydziestce, z energicznym podbródkiem i surowym wejrzeniem. Z pewnością był dobrym wychowawcą dla chłopca. Jeśli rola Kaunitza tylko do tego się ograniczała...

– Czy wspominał coś o swojej działalności w niemieckim ziomkostwie?

– Nie. Niewiele o sobie opowiadał. Właściwie nie pytałam... Jeśli rozmawialiśmy, to wyłącznie o Turalu.

– A co w ogóle pani w-wie o tej organizacji?

Walidbekowa obojętnie spojrzała na legitymację członkowską, po czym wzruszyła ramionami.

– W Baku jest kilka tysięcy Niemców. Pruskich i austriackich poddanych,

przybyszów z krajów bałtyckich. Prowadzą swoje życie.

Fandorin przeszedł do półek z książkami. Czytanie nie było panu Kaunitzowi obce. Powieści nie miał, było za to sporo literatury z dziedziny wojskowości i sportu. A to? Co to takiego? *Manifest Partii Komunistycznej*? Ale jest i Lassalle, Clausewitz, Nietzsche. Szeroki krąg zainteresowań.

– Jakie miał przekonania p-polityczne?

– Nie mam pojęcia. – Kobieta była zdziwiona. – Sądzę, że z nikim i nigdy w życiu nie rozmawiałam o polityce. Nawet z eserami, którym płacę co miesiąc dwa tysiące, żeby nie przeszkadzali w pracy.

Innych rzeczy, których można by się uchwycić, Erast Pietrowicz nie znalazł w pokoju. Franz Kaunitz albo nie miał nic wspólnego z porwaniem, albo zatroszczył się przed akcją, żeby usunąć wszystko, co wydawałoby się podejrzane. Na korzyść wersji o niewinności przemawiało to, że pieniądze, pięćset rubli z okładem, zostawił na miejscu. Ale i to mógł zrobić specjalnie – żeby zagmatwać trop.

– Proszę jak n-najdokładniej streścić rozmowę telefoniczną. Niech pani spróbuje przypomnieć sobie każde słowo.

Okazało się, że Walidbekowa miała doskonałą pamięć. To nawet dziwne, zważywszy wstrząs, którego doznała.

– A więc jest pani przekonana, że telefonował Rosjanin? – upewnił się Fandorin.

– Albo ktoś, kto bardzo dobrze zna język. Ale nawet jeśli porywacze wzięli rosyjskiego pośrednika, to bez znaczenia. I tak wiadomo, kto porwał Turala.

– Doprawdy? – Erast Pietrowicz się zdumiał. – Więc kto, pani zdaniem?

– Jak to kto? – Wdowa również była zdumiona. – Naturalnie Ormianie.

– Proszę posłuchać... – Fandorin się skrzywił. – Jest pani przecież mądrą osobą. Czy może pani też uważa, że winni wszystkich przestępstw na świecie są wyłącznie Ormianie?

– Oczywiście, że nie. W każdym narodzie znajdzie się wielu łajdaków. Ale taka jest bakijska specyfika. Wśród naszych bandytów, nawet tych, którzy nazywają siebie rewolucjonistami, istnieje podział: ormiańskie dzieci porywają Turkijczycy, a turkijskie Ormianie. To pomaga uniknąć komplikacji związanych z rodzinnymi koligacjami.

Ona ma rację. W bandzie Chaczatura byli Ormianie. I w ogóle Ormianie uczestniczą w ruchu rewolucyjnym o wiele aktywniej niż muzułmanie. Poza tym turkijskie szajki nie przyjmują tubylców, a rewolucjoniści popierają międzynarodówkę. Austriak raczej nie zostałby współnikiem bakijskich goczy, a z ormiańskimi „mauzerowcami” jest mu po drodze.

– Co mam powiedzieć komitetowi strajkowemu? – znowu zapytała

Walidbekowa.

Było jasne, że to pytanie najbardziej ją teraz nurtuje.

– Po prostu niech pani powie p-prawdę. O porwaniu już pewnie słyszeli, ale nie wiedzą o żądaniu przestępców. Jestem przekonany, że robotnicy odniosą się do pani ze współczuciem i zgodzą się poczekać.

Taka rozumna kobieta, a nie może pojąć takiej prostej rzeczy!

W jej odpowiedzi zabrzmiało rozdrażnienie:

– Robi pan wrażenie rozumnego człowieka, a mówi same głupstwa! Porywaczy guzik obchodzi, czego żądają ode mnie strajkujący! Zależy im, żeby moje szyby naftowe stały! Chcą rozszerzenia strajku! Wzbudzić w robotnikach litość mogę z łatwością! Ale jeśli przedsiębiorstwo nie będzie strajkować, zabiją mi syna! A jeśli zastrajkuje, zbankrutuję! Czy to tak trudno zrozumieć?

– W takim razie wszystko jest całkiem p-proste. Co lepsze: martwy syn bogatej matki czy żywy syn zrujnowanej matki?

Saadat opuściła głowę.

– Czyli, że odmawiam, i to grubiańsko. Oświadczam, że wszyscy przewodnicy zostaną zwolnieni. To gwarantowany strajk. Jutro zaś, jak tylko się rozejdzie, że Saadat Walidbekowa przestała wydobywać ropę, zwałą się wierzyciele. Pierwsza wypłata jest za dwa dni, pierwszego lipca...

Fandorin nie słuchał. Myślał: znaleźć delaunaya, to raz; dowiedzieć się, skąd dzwonił Rosjanin, to dwa...

– Panie Fandorin! – Saadat chwyciła go za łokieć. Mocno. – Jeśli zwróci mi pan syna przed pierwszym, hojnie się panu odwdzięczę. Podaruję panu mój najlepszy szyb naftowy w Surachanach. Daje sto tysięcy pudów „białej” ropy!

– Jakiej? – zapytał Erast Pietrowicz z roztargnieniem. – Niechże mi pani nie przeszkadza myśleć! Wezmę kartkę p-papieru, dobrze? – Usiadł przy biurku i przysunął kałamarz. – A pani niech nie stoi mi nad głową, tylko przyprowadzi tu Hasyma. Nie od razu. Potrzebuję dziesięciu minut spokoju!

Rozpryskując fioletowe krople, stalówka grubo wykaligrafowała długo oczekiwany ideogram „Klinga”.

Fandorin nie zauważył powrotu Saadat Walidbekowej i Hasyma. Był pochłonięty pisaniem. Oderwał się od kartki, dopiero gdy Hasym głośno odpowiedział właścicielce na zadane szeptem pytanie:

– Zawsze tak jest. Głową myśleć nie umie, musi kartka pisać. Kartka nie ma, głowa zły, w ogóle nie pracuje.

Przeczytawszy to, co napisał, Erast Pietrowicz sam sobie skinął głową. Zgniół kartkę i wrzucił do kosza na śmieci – nie była już potrzebna.

– Działać będziemy tak. Po pierwsze zmartwychwstanę. Już czas. Będę

potrzebował pomocy podpułkownika Szubina. Na wszystkich głównych skrzyżowaniach stoją p-policjanci. Beżowy delauay to charakterystyczny samochód. Trzeba spróbować odtworzyć trasę, którą przebył. Po drugie Szubin zasięgnie informacji w centrali telefonicznej i dowiemy się, skąd dzwonił pośrednik. Po trzecie...

– Ej, ej, ej! – ryknął Hasym głębokim basem, zrywając papachę i ciskając nią o podłogę. – Ja z policja niczego robić nie będę! Zabij, a nie będę!

– Ja też, ja też! – Saadat zamachała rękami. – To na zawsze zniszczy mi reputację w interesie. To przecież Baku! Tutaj poważni ludzie nie rozwiązują swoich problemów przy pomocy policji.

Fandorin słuchał i nie wierzył. Hasym – no dobrze, to dzikus. Ale pani Walidbekowa powinna była rozumieć. Zaapelował zatem do jej rozsądku:

– W porwaniu uczestniczyło pięć osób. Nie była to cała banda. Ktoś obserwował z boku i dał znać p-pośrednikowi, że operacja przebiegła pomyślnie. Pośrednik zatelefonował do pani. Powiedział, że musi natychmiast przekazać odpowiedź. Czyli że jest jeszcze ktoś, komu melduje. To cała organizacja. I pani chce, żebyśmy we dwóch z Hasymem sobie z nią poradzili?

– We czwórkę – powiedziała Walidbekowa. – Ja do was dołączę. I Zafar. To eunuch, bardzo mi oddany.

– Vay, kobieta i eunuch! – Hasym, który właśnie podniósł papachę, znowu rzucił ją na podłogę. – Yumrubas, powiedz jej po rosyjsku, co myślisz! W nasz język takie słowa nie ma!

Jednakże Erast Pietrowicz nic nie powiedział – ani Walidbekowej, ani swojemu porywczemu towarzyszowi. Przypuszczeniami, które przysły mu do głowy, nie warto było się dzielić z tym audytorium.

* * *

– Hm. Za nic bym pana nie poznał. To zdumiewające, jak zmienia powierzchowność dziesięciodniowy zarost i, jak by to powiedzieć... styl ubioru – rzekł Szubin i sam się roześmiał ze swoich słów. – Rozumiem, że w ustach żandarma brzmi to naiwnie. Ale właściwie nigdy nie zajmowałem się pracą operacyjną. Moją mocną stroną jest zbieranie informacji. A zwłaszcza ich wykorzystanie. – Podpułkownik chytrze się uśmiechnął.

– D-dlatego się do pana zwróciłem.

Nie było sensu wyjaśniać zastępcy gubernatora, że ani zarost, ani styl ubioru nie są najważniejsze. Kiedy się zakłada maskę, zmienia się wszystko: mimikę, gestykulację, chód, nawet częstotliwość tętna. W emerytowanego radcę stanu

wcielił się czasowo mieszkaniem dzikich gór. Fandorin wymyślił mu los, po czym się z nim oswoił. Ten surowy mężczyzna opuścił rodzinne strony, uciekając przed zemstą. Wie, że wrogowie są na jego tropie i mogą zaatakować gdziekolwiek, nawet w Baku. Dlatego Awar jest w ciągłym napięciu, jak cięciwa gotowa do strzału.

Erast Pietrowicz zadzwonił do podpułkownika prosto z domu Walidbekowej, wykorzystując chwilę, kiedy nikogo nie było w pobliżu. Szubin – cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności – znajdował się w pracy. W pierwszej chwili, kiedy Fandorin się przedstawił, krzyknął ze zdumienia, ale prędko się opanował.

Pół godziny później Erast Pietrowicz już wchodził do jego gabinetu. Na dole nikt dzikiego górala nie zatrzymał. „Ja iść do Szubin” – gardłowym głosem oznajmił Fandorin, a dyżurny o nic go nie zapytał. Widocznie Timofieja Timofiejewicza nieraz odwiedzali egzotyczni interesanci.

Krótko, bez zbędnych szczegółów, Erast Pietrowicz wyjaśnił, co się wydarzyło nocą po bankiecie w Mardakanie i dlaczego uznał za konieczne działać w przebraniu. O Hasymie naturalnie ani słowa.

Trudno powiedzieć, czy podpułkownik się domyślił, że usłyszał niecałą prawdę. Małe, podpuchnięte oczka spoglądały czujnie, z ciekawością.

– Kiedy zawiadomiłem korpus o pańskiej śmierci, okropnie się tam zdziwiono. Nawet odebrałem telefon. Od samego Żukowskiego. Proszę sobie wyobrazić, że pierwszy raz w życiu dostąpiłem zaszczytu rozmowy z komendantem żandarmerii, zastępcą ministra spraw wewnętrznych. – Na ruchliwej twarzy Timofieja Timofiejewicza pokazał się wyraz uwielbienia. – Jego ekscelencja rzekł: „A więc nie znaleźliście ciała Fandorina? W takim razie jeszcze na dwoje babka wróżyła”, i odwiesił słuchawkę. Szczerze mówiąc, uznałem to za dziwactwo szefa. A tu się okazuje, że miał rację. Chyba dobrze pana zna?

– Czy wiadomo panu coś na temat rewolucjonisty o przydomku Dziecioł? – niegrzecznie odpowiedział Erast Pietrowicz pytaniem na pytanie. Uznał, że pora przystąpić do sprawy. – Mimo wszelkich starań nie udało mi się wpaść na trop tego jegomościa.

– I nie wpadnie pan. – Zmięte powieki na sekundę się przymknęły, jakby Szubin pragnął ukryć przed rozmówcą wyraz oczu. A kiedy znów je podniósł, wzrok miał rzeczowy i poważny. – To osobnik znany tylko w wąskim kręgu. Nikt go nie wyda.

– Tak, tak, proszę mówić! – Fandorin pochylił się do przodu.

Już zaczął myśleć, że Hasym się przesłyszał albo coś niewłaściwie zrozumiał. A jednak okazuje się, że Dziecioł istnieje!

– Główny finansista partii bolszewickiej. Czasami podrzuca pieniądze innym rewolucyjnym ugrupowaniom, w zamian za wszelkiego rodzaju usługi. Ostrożny

jak sam diabeł. Prawdziwy dzięcioł: słycać stuk, ale on sam pozostaje niewidoczny. Ani razu go nie aresztowaliśmy. Agentom również nie rzucił się w oczy. Nawet nie mamy portretu pamięciowego.

– Może niezbyt usilnie szukaliście? – zasugerował Fandorin, mając już pewne wyobrażenie o zasadach pracy bakijskich przedstawicieli prawa.

Twarz Timofieja Timofiejewicza rozświetlił chytry uśmieszek.

– Bardzo możliwe. Wywiad polityczny to nie moja działka. O Dzięciole naturalnie słycałem, ale nigdy nie zajmowałem się nim na poważnie. Nie miałem prawdziwej motywacji. Teraz chyba się zajmę. Skoro sam Fandorin zainteresował się tym ptaszkiem... A czemu akurat Dzięcioł tak się panu spodobał? Nie jest najbardziej drapieżnym i na pewno nie najgłośniejszym mieszkańcem bakijskiej ptaszarni.

Erast Pietrowicz nie zamierzał odpowiadać temu chytrusowi na żadne dodatkowe pytania.

– Dzięcioł i Odyseusz występujący w materiałach wydziału Ochrony to jedna i ta sama osoba?

– Niewykluczone – ostrożnie rzekł podpułkownik.

– Dlaczego nie ma tej informacji w d-dossier?

– Nie mam pojęcia. Powtórzę raz jeszcze: nie pracuję w wydziale Ochrony. I w ogóle...

Nie dokończył, ale Fandorin domyślił się, co chciał powiedzieć szara eminencja bakijskiego urzędu gubernatora: „Mało to jest rzeczy, o których wiem, ale nie powiadamiam zwierzchnictwa? Każdy martwi się sam o siebie”.

– Dobrze. Proszę mi opowiedzieć o strajku. Czy t-ten ruch ma jakieś centrum organizacyjne?

– Trudno powiedzieć... – Szubin znowu się zaciął. Tym razem chyba niczego nie ukrywał, ale rzeczywiście nie wiedział. – Sądząc po pewnych oznakach, można przypuszczać, że strajkiem kieruje jakiś sztab. W Baku jest tyle wrogich nurtów rewolucyjnych. Wiele znajduje się w stanie nieustannej wojny. Nie wyobrażam sobie, żeby potrafili się dogadać.

– A pan sam przedsięwziął jakieś środki, żeby powstrzymać strajk? Czy to znowu nie pańska działka?

Podpułkownik wzniosł oczy i przyłożył do serca mięsistą dłoń.

– Bóg widzi, że bez przerwy bombarduję namiestnictwo depeszami o zagrożeniu strajkiem powszechnym! Osiągnąłem tyle, że kazano mi przejąć część spraw Kleontjewa, kolegi z urzędu żandarmerii. Żeby pan pułkownik miał wolne ręce w podejmowaniu działań przeciw rewolucjonistom. A mnie kazano zająć się zagranicznymi knowaniami. No cóż, rozkaz to rozkaz.

– Zagranicznymi knowaniami? – zainteresował się Fandorin. – A cóż to takiego? Szpiegostwo?

– Gorzej. Szpiegdy pracujący dla obcego państwa wygrzebują tajemnice, ale nie przynoszą bezpośredniej szkody, chyba że podczas wojny. A w świecie ropy wojna trwa na okrągło. I to ta najprawdziwsza, z dywersją, sabotażem, zabójstwami. Najniebezpieczniejsi wrogowie bakijskich kopalni to Anglicy z Royal Dutch Shell i Amerykanie ze Standard Oil. I jedni, i drudzy nie przebierają w środkach.

– Ale to jedynie prywatne korporacje. – Erast Pietrowicz wzruszył ramionami.

– Jedynie? – Szubin się uśmiechnął. – Są bardziej niebezpieczni i agresywni niż jakikolwiek wywiad wojskowy. Po prostu w gazetach się o tym nie pisze, żeby nie wywoływać konfliktów dyplomatycznych. Opowiem panu parę epizodów z historii wojny światowej o ropę, żeby mógł pan nabrać wyobrażenia o skali i natężeniu działań bojowych. Pewnego dnia Rockefeller zafrachtował statki wszystkich światowych spółek przewożących ropę. Trzymał je puste, ponosząc straty. Transportował tylko swoją ropę, której ceny podskoczyły rzecz jasna zawrotnie. A konkurencję zniszczył. Po tym incydencie wszystkie duże korporacje zaopatrzyły się we własne flotylle do przewozu ropy. Jeszcze większą pomysłowością wykazała się angielsko-perska spółka naftowa. Przeprowadziła poszukiwania złóż w irańskim Chuzestanie, ale żadnym sposobem nie udawało jej się ich zagarnąć. Miejscowa ludność uprawiała tam bawełnę i z tępym wschodnim uporem nie chciała słyszeć o zmianie stylu życia. Nie pomagało ani przekupstwo, ani naciski na rząd szacha. W tej sytuacji angielscy agenci potajemnie przewieźli z Indii śmiertelnie jadowite węże, które w krótkim czasie rozmnożyły się na polach bawełny. Tubylcy nie wiedzieli, jak walczyć z tą epidemią. Anglicy wspaniałomyślnie zaproponowali pomoc: wytępią gady przy użyciu preparatów chemicznych. I rzeczywiście, wszystkie węże zdechły. Tyle że jednocześnie przestała rosnać bawełna. Później spółka wykupiła ziemię za bezcen.

Timofiej Timofiejewicz opowiadał o knowaniach nafciarzy niby to z potępieniem, ale w jego głosie pobrzmiwał podziw.

– Jeszcze bardziej aktywną działalność prowadzą Niemcy oraz Austriacy. Nie mają swojej ropy, toteż problemami paliwa nie zajmują się szpiegdy przemysłowi, lecz organy wywiadu. Tam również się nie patyczkują. Z pewnością słyszał pan o silniku opracowanym przez inżyniera Diesla?

– Owszem, wiele osób nazywa dzieło Rudolfa Diesla wynalazkiem wieku. Szkoda, że ten geniusz zmarł tak wcześnie.

– Ha, zmarł! – Podpułkownik uśmiechnął się szyderczo. – Diesla przekupili Anglicy. We wrześniu ubiegłego roku wsiadł na parostatek płynący do Londynu. I w zagadkowy sposób wypadł za burtę. Niemcy nie mogli dopuścić, żeby

tajemnice Diesła wpadły w ręce konkurencji. A co się zaczęło teraz, kiedy po zabójstwie arcyksięcia zapachniało nową wojną bałkańską! Otrzymałem doniesienie, że Niemcy, a zwłaszcza Austriacy utrzymują aktywny kontakt z działaczami podziemia. Paraliż rosyjskiego wydobycia ropy naftowej ucieszyłyby i obu cesarzy, i wodza bolszewików Lenina. Chyba pan wie, że Lenin ukrywa się na terytorium austriackim?

Nie, Fandorin o tym nie wiedział. Podpułkownik był skarbnicą pożytecznej wiedzy.

– A zatem posiada pan informacje, że strajkiem kieruje właśnie Dziecioł? – zapytał Szubin bez żadnej przerwy, świdrując wzrokiem twarz rozmówcy.

Po raz kolejny Fandorin nie pozwolił, żeby rozmowa przyjęła nieprzewidziany przezeń obrót. Zamiast udzielić odpowiedzi, opowiedział o porwaniu syna właścicielki szybów naftowych, Walidbekowej.

– No proszę! Nie chcą okupu? – ze zrozumieniem zauważył Timofiej Timofiejewicz. – Bardzo ciekawe. – Zabębnił palcami po stole, coś rozważając. – Dlaczego podejrzewa pan towarzysza Dziecioła o udział w porwaniu, nie chce pan powiedzieć. Nie ośmielę się dopytywać. Ale pomoc pomogę. Czego konkretnie pan ode mnie oczekuje?

Erast Pietrowicz wyjaśnił.

– Niech pan wpadnie do mnie za trzy godziny – lakonicznie rzekł Szubin.

Mieć do czynienia z tym Kotofiejem Kotofiejewiczem to sama przyjemność, pomyślał Fandorin. Kocur jest oczywiście nie w ciemną bitą, ale umie łapać myszy.

– Jeszcze dwie p-prośby. Proszę zatelefonować do hotelu „National” i powiedzieć, że żyję. Niech odniosą do pokoju moje rzeczy, jeśli je skonfiskowano. To raz. I druga sprawa. Mój pomocnik jest ciężko ranny. Potrzebuje najlepszego szpitala i najlepszych lekarzy.

* * *

Na to, żeby ożyć i jakoś się urządzić w świecie żywych, Erast Pietrowicz potrzebował właśnie dokładnie trzech godzin. Przede wszystkim przetransportował Masę karetą medyczną do lecznicy Huijsmansa, zakładu o wielkiej renomie, z którym chyba nie równał się żaden w Moskwie. Prawdziwy profesor zbadał rannego i postawił długą, naszpikowaną łacińskimi terminami diagnozę, której sedno sprowadzało się do tego, że stan jest ciężki i wszystko będzie zależało od zapewnienia właściwych warunków oraz od stanu psychicznego pacjenta – innymi słowy, w zupełności potwierdził prognozę miejscowego tabipa. „Niech pan nie zaprzęta sobie mną głowy – powiedział Japończyk na pożegnanie. – Niech pan

myśli tylko o wrogu. To bardzo niebezpieczny wróg. Jeśli nie będzie pan myślał przez cały czas o wrogu, to go pan nie pokona. A ja będę myślał o panu i o Hasymu-san, co doda mi sił”.

W hotelu Fandorin długo się męczył nad odzyskaniem cywilizowanego wyglądu: mył się, golił i temu podobne. W połączeniu z europejskim strojem ogolona głowa wyglądała głupio. Erast Pietrowicz uznał, że jest podobny do białego pionka szachowego. Musi niezwłocznie kupić panamę. To idiotyczne nakrycie głowy zupełnie nie pasuje do angielskiej marynarki, ale przynajmniej przykryje naga czaszkę.

Chwyciwszy torbę z rzeczami, które mogły się przydać w zdecydowanych działaniach, Fandorin kwadrans przed umówionym czasem zszedł na dół.

– Wasza wielmożność – zawołał do niego portier. – Telefonowano do pana z „Nowej Europy”. Bardzo zdenerwowany dżentelmen, niejaki Simon. Pytał, czy na pewno pan wrócił, i oświadczył, że lada chwila tu będzie. Nie zechce pan poczekać?

– Nie zechcę. Zawołał pan dorożkę?

– Tak jest. Czeka. – Portier z aprobatą spojrział na lśniąca głowę gościa. – Wspaniale pan wygląda. O wiele młodziej.

– D-dziękuję – oschle odrzekł Erast Pietrowicz.

Wyszedł na ulicę, zmrużył oczy pod wpływem ostrego słońca. Ależ zbrzydł mu już upał!

Jak było do przewidzenia, Timofiej Timofiejewicz okazał się świetnym łowcą myszy. Raport był zwięzły i dokładny.

– Objechałem policjantów kierujących ruchem na wszystkich skrzyżowaniach w okolicy, gdzie pokazał się samochód z porywaczami. Niektórzy stójkowi zdążyli się zmienić, ale wezwałem ich do siebie. Zresztą nie będę pana zanudzał szczegółami. – Skinieniem ręki Szubin przywołał Fandorina do rozłożonego na biurku planu miasta. – Beżowy delaunay to charakterystyczny automobil, toteż udało się częściowo ustalić trasę. Z Kolubakinskiej przestępcy skręcili w kierunku Nikołajewskiej, później na prawo w Krasnokriestowską, gdzie omal nie przejechali przechodnia, posterunkowy za nimi gwizdał. Następnie delaunay na pewien czas zniknął, jednakże na skrzyżowaniu na skraju miasta, o tutaj, policjant znowu go zauważył. Auto z dużą prędkością pruko szosą w kierunku południowo-zachodnim.

– A tam co się znajduje? – zapytał Erast Pietrowicz, ponieważ palec podpułkownika zatrzymał się na krawędzi planu.

– Bibi Ejbat, dzielnica naftowa. Dalej Puta, a jeszcze dalej Lenkoran.

– A także Persja, Indie i Afryka. – Fandorin się skrzywił. – Niezbyt pocieszające. Podpułkownik chytrze się uśmiechnął.

– Proszę zaczekać. Na razie złożyłem panu raport dotyczący samochodu. Ale udałem się również do rozmównicy telefonicznej. O dziewiątej siedemnaście był telefon pod numer pani Walidbekowej z urzędu pocztowo-telegraficznego przy ulicy Wrangielskiej. To dwa kroki od miejsca porwania. Pośrednik przekonał się osobiście, że porwanie przebiegło pomyślnie, i od razu udał się do publicznego telefonu.

– Czy któryś z pracowników może opisać osobę, która dz-dzwoniła?

– Niestety. To bardzo ruchliwe miejsce, zwłaszcza rano.

– Do diabła!

– Niech pan nie wzywa go za wcześnie. – Szubin roześmiał się, sam teraz podobny do czarta. – O dziewiątej trzynaście, to znaczy cztery minuty przed telefonem do Walidbekowej, z tej samej budki wywołano abonenta 874. Opłatę za oba połączenia wniosła ta sama osoba.

– Czyli że obserwator najpierw kogoś zawiadomił, że wzięto zakładnika, a dopiero potem z-zatelefonował do matki! Co to za numer 874?

– Klub kutrowy w Szychowej. Wie pan, gdzie to jest? – Słodko się oblizawszy, co sprawiło, że stał się całkiem podobny do sytego kota, podpułkownik wymruczał:
– Niedaleko Bibi Ejbatu.

– Wszystko byłoby aż takie p-proste? – Fandorin się zdziwił. – Zadzwonili, powiadomili, wywieźli? Nie zatroszczyli się, żeby lepiej zatrzeć ślady?

– A po co komplikować? Przestępcy byli pewni, że Walidbekowa nie zwróci się do policji. Skąd mogli wiedzieć, że sprawą zainteresuje się taka poważna osoba jak pan?

Erast Pietrowicz nie zareagował na komplement.

– Co to takiego ten klub kutrowy?

– Nowomodna zabawa dla miłośników ostrych wrażeń. Bogata młodzież lubi ścigać się kutrami po zatoce Bibi Ejbat.

– Ale w takim ludnym miejscu nie sposób ukryć z-zakładnika.

– Klub kutrowy jest popularny zimą. Latem bakijski *beau monde* woli klub jachtowy.

– Dlaczego?

– Dlatego że latem są krótkie noce – zagadkowo odparł Timofiej Timofiejewicz. Zrobił intrygującą pauzę, po czym wyjaśnił: – Na dnie zatoki Bibi Ejbat znajdują się źródła ropy. Całą powierzchnię wody pokrywają plamy oleju. Sportowcy podpalają je i ścigają się z ogromną prędkością po płonącym morzu. Mówi się, że nocą to bardzo efektowne widowisko.

Erast Pietrowicz zdjął płócienną panamę kupioną po drodze do gubernatora i wytarł chustką głowę. Jednakże upał już nie drażnił mieszkańca Północy. Opowiadanie podpułkownika wprowadziło Fandorina w dobry nastrój.

Nawet jeśli nie uda się wytropić przez porywaczy sztabu strajkowego i Dziecioła-Odyseusza, zwrócić przynajmniej dziecko nieszczęsnej matce, pomyślał.

– No cóż, wpadnę do klubu kutrowego. Jeszcze dzisiaj. Czy to daleko od miasta?

– Pół godziny samochodem. Niech się pan nie martwi. Transport panu zapewnię.

Swoim bogactwem garaż gubernatora wprowadził w zdumienie Erasta Pietrowicza, znawcę i miłośnika wszelkich środków transportu z wyjątkiem konnego.

– Takiej różnorodności aut nie widywałem nawet w stajniach Carskiego Sioła, których połowę przeznaczono teraz na park samochodowy. Po co wam tyle samochodów, w dodatku najdroższych marek?

– Dostajemy w prezencie – odparł Szubin ze śmiechem. – Byle jakie święto, nieważne czy chrześcijańskie, czy muzułmańskie, albo jakiś jubileusz, a wdzięczni mieszkańcy rozpieszczają ukochaną władzę. Tego na przykład elegancika Rada Zjazdu Przedsiębiorców Naftowych sprezentowała mojej skromnej osobie na czterdziestopięciolecie. – Nie zatrzymując się, pogłodził czekoladowy bok russo-balta. – Miał być rolls-royce, ale zabroniłem. Niestosownie do rangi. No i, he, he, niepatriotycznie.

– Jednakże ten russo-balt, model deluxe z silnikiem o podwójnej mocy, jest o wiele droższy niż ostatni rolls-royce – nie bez zazdrości zauważył Erast Pietrowicz, który miał słabość do dobrych samochodów.

– Nie znam się na takich rzeczach – skromnie rzekł podpułkownik. – Proszę sobie wybrać dowolny środek transportu. Pan gubernator nie dowierza technice, jeździ tylko końmi, więc garaż jest do mojej wyłącznej dyspozycji.

– A czy droga do Bibi Ejbatu jest tak samo wyboista jak do Mardakanu?

Fandorin dotarł do końca długiej szopy i zawrócił.

– Znacznie gorsza. Poza tym pnie się w górę.

– W takim razie, jeśli pan pozwoli, wezmę o, to.

W ciemnym kącie Erast Pietrowicz odkrył motocykl marki Indian. Wyglądało na to, że bakijscy stróże prawa nigdy nie używali sportowego wehikułu. Wcześniej Fandorin widział ten model tylko w czasopiśmie „Automoto”.

– Ale tutaj zmieszczą się zaledwie trzy osoby. – Szubin się zdziwił. – Nie zamierza pan chyba szturmować klubu tylko z dwoma pomocnikami?

Wyjaśnić, że najprawdopodobniej pomocnik będzie jeden, Fandorin nie miał ochoty. Pytanie na razie pozostawało otwarte. Hasym zarzekał się, że z kobietą

i eunuchem niczego się nie podejmie. Pani Walidbekowa w podobnie stanowczy sposób wyraziła bezkompromisową chęć uczestniczenia w uwolnieniu syna. Spór się przeciągnął, zaczęły przeskakiwać iskry. Zwłaszcza goci gorączkował się z powodu eunucha. W końcu Erast Pietrowicz zaproponował salomonowe rozwiązanie. Hasym obejrzy Zafara i sam postanowi, czy eunuch nadaje się na towarzysza broni.

– Nic nie szkodzi, p-poradzimy sobie – krótko odparł Erast Pietrowicz podpułkownikowi.

Timofiej Timofiejewicz wyglądał na zmieszanego.

– Niezręcznie jest mi to mówić, ale nie mam ani jednego pracownika, którego byłbym pewien na sto procent. Każdy bakijski policjant robi swoje małe geszefty. Boję się, żeby nie doszło do przecieku. Jeden diabeł wie, kto u kogo siedzi w kieszeni. – Rozłożył ręce. – Co pan chce? To Baku.

– Tak, tak. – Fandorin kiwnął głową, z przyjemnością kołysząc się na sprężystym siedzeniu. – Wiem.

* * *

Motocykl okazał się wspaniały – lekki, zwrotny, o dużej mocy. Miał tylko jeden feler: silnik pracował tak hałaśliwie, jakby pluton strzelców prowadził ostrą kanonadę. Nie można było nawet marzyć, żeby podjechać pod klub kutrowy niezauważenie. Indiana będzie słyszeć z odległości wiorsty.

Oto o czym rozmyślał Erast Pietrowicz, kiedy wchodził do bawialni Walidbekowej.

Panowało tam głucho milczenie.

Hasym stał przy oknie z wyniośle skrzyżowanymi na piersiach rękami i udawał, że jest w pokoju sam. Saadat siedziała przy stole, smętnie trzymając się za głowę. Za jej fotelem zastygł człowiek we wschodnim stroju. Jego twarz bez zarostu, w nieokreślonym wieku nie wyrażała żadnych uczuć. Erast Pietrowicz pomyślał, że tak pewnie będą wyglądali ludzie w dalekiej, szczęśliwej przyszłości, kiedy dokona się konwergencja płci męskiej i żeńskiej, rasy się połączą, a starość ustąpi wiecznej dojrzałości.

Walidbekowa zerwała się na widok Fandorina.

– No i co, co? Rozmowy z komitetem strajkowym wypadły bardzo dobrze. To znaczy okropnie. Nakrzyczałam na nich i wyrzuciłam za drzwi. Wyszli, gotując się z wściekłości. Jutro zacznie się strajk. Za dwa dni będę zrujnowana. Ale to nieważne, byleby tylko uratować Turala! Nie wytrzyma długo w zamknięciu, wśród bandytów! Ciągle sobie wyobrażam, jak się boi! To nikkzemnicy, pewnie

go dręczą albo...

– Niech pani zamilknie! – krzyknął na biedną matkę Erast Pietrowicz. Histerię należy powstrzymać na samym początku. – Uwolnimy pani syna jeszcze dzisiaj.

I opowiedział o klubie kutrowym.

– Skąd się dowiedział? – podejrzliwie zapytał Hasym. – Ja nie wiem, a ty się dowiedział. Skąd? I trzynogi osioł skąd wziął? – Goczi pokazał palcem za okno, najwyraźniej mając na myśli motocykl.

– Skąd trzeba – krótko odpowiedział Fandorin na oba pytania jednocześnie.

Hasym chyba nie znał tego zwrotu. Zamyślił się, po czym spytał rzeczowo:

– Plan na kartka już pisał?

– Nie miałem czasu. Będziemy działać w niewyszukany sposób. Przyjedziemy, udając hulaków. Sezon czy nie – m-mamy to w nosie. Chcemy się nocą p-pościgać kutrem. Ciebie i mnie porywacze nigdy nie widzieli, więc nie będą niczego podejrzewali. A dalej stosownie do sytuacji.

– Dobry plan – pochwalił Hasym. – Krótki.

– A właśnie że zły – wypaliła Saadat. – Nocne przejażdżki bez kobiet? To na pewno wyda się podejrzan. Bandyci mają się na baczości. Pojadę z wami.

– Ale oni przecież panią z-znają – przypomniał Fandorin. – Widzieli.

Walidbekowej drgnął kącik ust.

– Widzieli moją czadrę, a nie mnie. I Zafar też nam się przyda.

– Ha! – Goczi nie wytrzymał. – Niby jak się przyda?! Po co się przyda?! Łysa morda, ty pistolet strzelać umiesz?

Eunuch pokręcił głową. Wyraz twarzy mu się nie zmienił.

– A co umiesz?

Zafar w milczeniu rozchylił chałat. Szczupłą, bezwłosą klatkę piersiową przecinał szeroki pas, na którym były zamocowane malutkie noże wielkości cala.

– Nie w meble i tapety! – poprosiła Saadat.

Eunuch gestem pokazał Hasymowi, żeby podrzucił w górę papachę. Ten, pogardliwie się skrzywiwszy, cisnął swoje brajtszwance aż pod żyrandol. Zafar wykonał trzy szybkie, niemal zlewające się ze sobą ruchy. Czapka trzykrotnie zmieniła trajektorię spadania i osunęła się na dywan, przebita trzema wąskimi ostrzami.

– Vay, dobry eunuch. – Hasym wsunął palec w otwór, pocmokał. – Bierzemy eunuch. Nie będę więcej „łysa morda” mówić. Nauczysz nożyk rzucać?

Zafar beznamiętnie wzruszył ramionami, co mogło oznaczać „jeszcze zobaczymy” albo „taki nieruchawy niedźwiedź nie ma szans”, albo coś zupełnie innego. Licho wie, o czym tak naprawdę myśli człowiek nienależący ani do męskiej, ani do żeńskiej płci, pomyślał Fandorin.

– Wszystko to p-pięknie, ale motocykl jest tylko na trzy osoby.

Eunuch znowu wzruszył ramionami. Tym razem był to całkiem oczywisty znak lekceważenia. „Też coś” albo „nie twoja parszywa sprawa” – oto co oznaczał gest.

Silne wrażenia

Było dwadzieścia po dziesiątej, kiedy parszając dymem, na drogę do Bibi Ejbatu wyjechał z miasta trójkołowy motocykl. W wątłym środkiem transportu zasiadało towarzystwo, które w każdym innym miejscu wydałoby się osobliwe. Wehikułem kierował pstrokato ubrany jegomość (kusa marynarka w kratkę, gwiazdzista kamizelka, kanotier z czerwoną wstążką), z tyłu przytulała się doń damulka w czymś różowo-purpurowym z cekinami, a w bocznym wózku trząsał się niedźwiedziowaty olbrzym w papasze i czerkiesce. Ledwie się tam mieścił. Jednakże każdy bakijczyk rozwiązałby tę szaradę bez trudu. Zamożny mężczyzna jedzie się przewietrzyć w towarzystwie gryzетки. Chcą urządzić piknik przy świetle księżycy albo po prostu przejechać się za miasto. A ponieważ to Baku, wzięli ze sobą ochroniarza.

Strój birbanta i zawodowej kokoty nabyto na Olginskiej w sklepie „À bon marché”, otwartym do późna. Zakupy odbyły się tak: z przodu szedł Fandorin, za nim drobiła muzulmanka w czadrze, która co pewien czas szeptała: „O, tę suknię... O, ten okropny kapelusik... Teraz skręcamy do działu pończoszniczego...”. W ten sposób Erast Pietrowicz najpierw wyekwipował swoją towarzyszkę, a później tyleż samo wulgarnego paskudztwa (po akcji natychmiast na śmietnik!) nakupił dla siebie.

– Sto sześćdziesiąt pięć – powiedziała Walidbekowa, kiedy obchód sklepu dobiegł końca.

– W jakim s-sensie?

– Wydał pan sto sześćdziesiąt pięć rubli. Wszystko zwrócę. – Głos jej drgnął. – Jeśli wrócimy żywi...

Owo zdanie, wypowiedziane bardzo cicho – przeznaczone nie dla rozmówcy, ale dla samej siebie – wciąż nie dawało Fandorinowi spokoju.

– Proszę posłuchać – powiedział, zatrzymawszy się przy wyjeździe z miasta. – Wspaniale poradzimy sobie również bez pani. Zostawimy motocykl wiorstę przed k-klubem i pójdziemy pieszo, po cichu. Będzie lepiej, jeśli weźmiemy ze sobą miotacza noży, a pani zaczeka przy m-maszynie.

Eunuch biegł za motocyklem od samego domu długim, miarowym krokiem – jakby odmierzał ziemię cyrklem. Nie zostawał w tyle, nie gubił rytmu.

Minął ich, nie zmieniając tempa. Ubrany w coś szarego i bezkształtnego, Zafar był ledwie widoczny w wyblakłym świetle letniego zmierzchu.

– Nie – krótko odpowiedziała Walidbekowa. – To mój syn.

– Ale Zafar przyda nam się bardziej niż pani. Na otwartej drodze dodam gazu, więc zostanie w tyle. Trzeba się śpieszyć, dopóki całkiem się nie ściemniło.

– On nie zostanie w tyle. A jeśli nawet, to nas dogoni.

Wzruszywszy ramionami, Fandorin dodał gazu i minutę później eunuch został daleko za nimi. Potężna maszyna bez trudu osiągnęła czterdzieści pięć. Mogłaby więcej, ale paskudną drogą, w dodatku przy marnej widoczności, nie dało się jechać szybciej.

– Bach, bach! – pokrzykiwał Hasym. Podobała mu się taka jazda.

Saadat tylko mocniej objęła kierowcę w pasie. Fandorin poczuł zapach korzennych perfum. Dłonie miała małe, ale silne, ciało sprężyste, biust twardy. Erast Pietrowicz zmusił się, żeby uważać na drogę. Zresztą nie uchodzi zwracać uwagi na podobne rzeczy. Nieszczęsna matka nie myśli teraz o przyzwoitości i dlatego przytula się tak mocno. Doprawdy powinien się wstydzić!

Trakt zaczął się wznosić, więc trzeba było zwolnić. Niesamowity Pers znowu dogonił motocykl. Nie był spocony, oddech miał regularny. Erast Pietrowicz pomyślał, że mogą się od niego uczyć nawet japońscy „niewidzialni”, mistrzowie długiego dystansu. Ninja utrzymują prędkość stałą rzędu dziesięciu, dwunastu kilometrów na godzinę, Zafar zaś poruszał się co najmniej dwukrotnie szybciej.

– To zdumiewające. Jak mu się to udaje? Bieg maratoński przy takiej prędkości p-przewyższa ludzkie możliwości! – krzyknął Erast Pietrowicz, obracając się do Walidbekowej.

– Perskim biegaczom w dzieciństwie wycina się śledzionę – odparła tamta i szturchnęła Fandorina piąstką. – Proszę przyspieszyć! Jeszcze dwadzieścia minut i zrobi się zupełnie ciemno!

– No i d-dobrze! Żebym tylko obejrzał miejsce, a później niech się ściemnia.

Eunuch skrył się za zakrętem i więcej go nie widzieli. Choć wjechali na płaskowyż, z powodu dziur i wybojów nie mogli jechać szybko.

– To Bibi Ejbat. Mam tutaj trzy szyby naftowe – krzyknęła Saadat do ucha Fandorina.

Za wzgórzami opadała w stronę morza niewielka równina, cała naszpikowana wąskimi stożkami wież wiertniczych. Pejzaż był podobny do tego w Czarnym Mieście, tylko bez zabudowań fabrycznych i na mniejszą skalę. Wzdłuż pasa brzegowego czerniły się olbrzymie zwały ziemi i kamieni.

– A t-to po co?

– Co? Zасыpują morze. Na dnie zatoki znajduje się ropa... Klub kutrowy jest

tam! – Szczupła dłoń, wyciągnięta nad ramieniem Fandorina, pokazała lekko w bok, gdzie za wsią z krzywawym minaretem niewyraźnie majaczył nikiący w szarej mgłę cypel. Dzieliło ich od niego około trzech kilometrów.

Dziesięć minut później byli już całkiem blisko. Erast Pietrowicz zdążył się jednak rozejrzeć – pochwycił ostatni odblask gasnącego wieczoru. Kalkulacja czasu i prędkości okazała się idealna.

Na pochyłym brzegu, odcinając się od topornych, przysadzistych zabudowań magazynowych, stał drewniany dom o kokieteryjnym wyglądzie – obity białymi deskami i okolony lekkim tarasem, zwieńczony wieżyczką z jakąś flagą. Nad wodą wyciągało się długie ramię pomostu. W oddali, po drugiej stronie przystani, kołysały się na falach ze dwie dziesiątki dziwnie spłaszczonych łodzi bez masztów.

Fandorin nie zdążył dotrzeć do połowy cypla, kiedy światło zgasło, jakby ktoś pstryknął wyłącznik. Ziemię i morze przygniótł ciężki, lepki mrok. W tej samej chwili na pomoście zapaliła się girlanda lampek. Erast Pietrowicz pomyślał, że to jak ścieżka *hanamiti* w japońskim teatrze, rozcinająca ciemną salę.

Tymczasem w oknach klubu się nie świeciło. W żadnym. Możliwe, że nikogo tam nie było, a zatem informacje podpułkownika Szubina są błędne albo nieaktualne. Ale poczucie niebezpieczeństwa, na którym Fandorin zwykł polegać w krytycznych sytuacjach, ostrzegło go: „Miej się na baczności. Obserwuj”.

– Turala tutaj nie ma! – powiedziała Saadat, ciężko oddychając. – Poczulałbym...

Kobieta trzęsała się jak w febrze. Niedobrze. Było jednak za późno, żeby odsyłać ją z powrotem. A zatem trzeba koniecznie podnieść ją na duchu.

Erast Pietrowicz zachwiał się – udał, że z trudem utrzymuje równowagę. Z nonszalancką galanterią zawołał:

– Żannoczka, *s'il vous plaît!* – Objął damę w talii, lekko zdjął z siedzenia i postawił obok. Szepnął: – Niech się pani opanuje. Obserwują nas. Życie syna jest w pani rękach. Proszę odegrać swoją rolę przekonująco...

Walidbekowa momentalnie przestała się trząść. Wyciągnęła nóżkę, wykonała nią figlarny *grand batman* i dźwięcznie się roześmiała.

– Chodźmy, kotku! Obiecałeś mnie przewieźć!

Fandorin z wahaniem spojrział na nieoświetlony klub, rozłożył ręce.

– Diabli ich wiedzą... Śpią czy co? To nic, obudzimy. Mówiono mi, że stróż jest zawsze na miejscu.

Objął wpół swoją towarzyszkę, a ona położyła mu głowę na ramieniu. Chwiejnym krokiem ruszyli w stronę domu.

– Proszę mnie pocałować – cicho polecił Erast Pietrowicz. – Muszę obejrzyć teren...

Kobieta objęła go za szyję, przycisnęła do jego warg suche, zimne usta, ale

Fandorin nie poczuł dotyku.

Tak. Z lewej poodwracane łodzie... Naprzeciw wejścia do klubu sztapel desek... A co tam czernieje w mroku? Szopa albo jakaś budka.

– A jednak nie minęliśmy Zafara. Został z tyłu albo się zgubił po drodze – wyszeptał. – Nieważne. Proszę uważać. Gdy zakaszlę, niech pani padnie na ziemię. Natychmiast. Jasne?

– Tak...

Jej oczy znajdowały się całkiem blisko, w źrenicach odbijały się światełka pomostu, który został za plecami Erasta Pietrowicza.

– Podejdźmy do drzwi. Na schodach się rozdzielimy. Będę potrzebował przestrzeni do m-manewru.

– Chcę kuter, kotku! – kapryśnie zawołała Saadat. – Obiecałeś mi!

– Moje słowo jest niczym gład. – Fandorin machnął pięścią. – Jak trzeba, to wyważę drzwi. Do ataku!

Ze śmiechem pobiegli w stronę domu. Z tyłu kroczył ponury Hasym, trzymając rękę na kaburze i podejrzliwie popatrując na boki. Wszystko w porządku. Tak właśnie powinien się zachowywać gorliwy ochroniarz.

Klub bielił się wesoło w ciemności. Jedyne żarówka, która paliła się nad wejściem, oświetlała drewnianą werandę z balustradą i dzwon okrętowy przy drzwiach. Na werandzie, jak było umówione, Saadat puściła łokieć kawalera i lekko się odsunęła.

– Ej tam! – wrzasnął Erast Pietrowicz. – Stróż czy kto inny! Otwieraj, bakszysz przyszedł!

Niecierpliwie pociągnął za dzwon. Przycisnął twarz do szyby, za którą niczego nie można było dojrzeć. Fandorin jednak nie polegał teraz na wzroku – z oświetlonego tarasu otaczający świat wydawał się czarny. Na słuch również nie liczył – szum fal zagłuszał pozostałe dźwięki.

Wszystko zależało w tej chwili od instynktu, który ninja nazywają *hikan* (dosłownie „czuć skórą”). Owo szczególne doznanie można w sobie wykształcić i wyostrzyć za pomocą treningu. Odkryte fragmenty skóry rzeczywiście stają się niesłychanie wrażliwe, jakby zamieniały się w światłoczuły papier fotograficzny. Tyle że reagują nie na ultrafiolet, lecz na zagrożenie.

Po karku i szyi Fandorina przebiegły mrówki. Wyćwiczona skóra zareagowała na nieuchronne niebezpieczeństwo.

Detektyw zakaszlał. Saadat nie zrozumiała albo nie usłyszała. Wówczas Erast Pietrowicz niezbyt silnym, lecz gwałtownym uderzeniem zbił ją z nóg. Odwróciwszy się, zepchnął słoniowatego Hasyma ze schodów mocnym kopniakiem, a sam rzucił się na ziemię. Wszystkie trzy ruchy nie trwały ani

sekundy. Dźwięku własnego upadku Erast Pietrowicz nie usłyszał, ponieważ noc eksplodowała z hukiem i trzaskiem.

Z ciemności, zza sztapła desek naprzeciwko wejścia do klubu, wypalono z kilku luf. Ze ścian i poręczy poleciały drzazgi. Pękła szyba w oknie. Posypały się iskry z klamki przy drzwiach. Zakołysał się i brzdęknął trącony kulą dzwon.

Przetaczając się po podłodze werandy, Fandorin stwierdził, że sprawa wygląda kiepsko. Walidbekowa leżała plackiem i nie ruszała się – chyba jednak źle obliczył siłę uderzenia. Jeszcze gorzej było z Hasymem. Zamiast zostać pod werandą, w zbawiennym cieniu, goczi stanął na nogi i znowu próbował się na nią wdrapać.

– Z powrotem! – ryknął Erast Pietrowicz. – Padnij!

Hasym zachwiał się i zawołał:

– Aj!

Jął obracać się w stronę strzałów, wyciągając z kabury broń.

Co za osioł!

Fandorin uniósł się i pochylony, rzucił się w odwrotnym kierunku. Skoczył, zbił Hasyma z nóg i runął wraz z nim w ciemność.

– Strzelaj i obracaj się! Nie leż w jednym miejscu!

Sam Erast Pietrowicz tak właśnie robił. Oddał dwa strzały w stronę desek (na razie nie mierząc, a tylko na postrach, żeby przeciwnikom było trudniej celować), dwa razy się przetoczył. Goczi również zagrzmiął swoją bronią kalibru czterdzieści pięć.

Sytuacja zaczynała się poprawiać.

Z tarasu, ledwie słyszalne wśród huku strzałów, dobiegły głuchoe kłaśnięcia – jakby gniewnie ujadał piesek pokojowy. Fandorin uniósł się, żeby zajrzeć przez balustradę.

Saadat Walidbekowa wciąż leżała na ziemi, ale przekręciła się na brzuch i oparta na łokciu, strzelała w ciemność z miniaturowego damskiego pistoleciku.

– Niech się pani odczołga! Za róg! – krzyknął Erast Pietrowicz.

Jednak kobieta nie posłuchała. Przeciwnie, podczołgała się bliżej krawędzi, nie przestając strzelać.

Zza rogu domu, z gęstej ciemności, rzucił się w stronę Walidbekowej prędko, rozmyty cień. Erast Pietrowicz poderwał do góry webleya, ale na szczęście zdążył rozpoznać eunucha. Ten bezceremonialnie chwycił Saadat za nogi, przyciągnął do siebie, podniósł i przerzucił sobie przez ramię. Tak samo błyskawicznie, jak się pojawił, zniknął z powrotem.

Teraz można się było w końcu skoncentrować na przeciwniku.

Pod podłogą tarasu znajdowała się pusta przestrzeń, a wspornik mógł posłużyć za niezłą osłonę. Zająwszy korzystne stanowisko, Fandorin policzył siły

przeciwnika. Zza sztapła ogień prowadziło osiem osób. Sporo, ale w granicach możliwości.

– Allah nam sprzyja! Jedna trafił! – rozległ się triumfujący okrzyk Hasyma.

Rzeczywiście strzelanina z prawej strony nieco osłabła. Erast Pietrowicz wymierzył w strzelca z lewego skraju. Od razu po jego wystrzale posłał kulę. Więcej z tamtego punktu nie strzelano.

Pozostało sześciu.

– Hasym, jesteś ranny?

– Plecy – płaczliwie zawołał goczi. – Aj, Allah, co za wstyd!

– Ciężko?

– Czemu ciężko? Zwyczajnie. A masz! Znowu trafił!

Pięciu.

Erast Pietrowicz przeczołgał się pod werandą, opierając się na łokciach. Zrównawszy się z Hasymem, powiedział:

– Wal w nich, nie pozwalaj celować! Ja obejdę z flanki. Tylko zmieniaj pozycję po każdym strzale!

– Tata swój uczy – burknął goczi, wyjmując drugi rewolwer.

W ziemię z sykiem wbiła się kula. Druga rozszczepiła osłonę – w czoło Hasyma wbił się kawałek drewna. Mamrocząc coś o szejtanie, goczi wyszarpnął drzazgę i wytarł rękawem krew.

Fandorin wytoczył się spod tarasu. Nachylił się i pobiegł, wykonując manewr okrążający. W biegu dwukrotnie strzelił, nie celując.

Po tamtej stronie ktoś niewyraźnie krzyknął. Widocznie wydał rozkaz.

Ostrzał się skończył. W ciemności rozległ się tupot nóg. Kilka sekund później pięciu mężczyzn wyskoczyło kolejno na oświetlony pomost i pobiegło na sam koniec. Postaci wyraźnie się odcinały od tła, ale strzelanie z krótkolufowego webleya z takiej odległości równało się marnowaniu kul.

Chcą uciec kutrem przez morze. Nic nie szkodzi, zanim wsiądą, zanim odpalą silnik...

– Hasym! Nie strzelaj! Za mną!

Erast Pietrowicz rzucił się do przodu. Patrzył nie na światła, lecz pod nogi, żeby nie zakłócać nocnego widzenia.

– Proszę! Proszę! – rozległ się z tyłu głos kobiety. – Turala z nimi nie ma! Gdzie jest mój chłopiec?

Ona ma rację. Dziecko może być tylko w domu.

– Hasym, z powrotem! Wyważ drzwi!

Odprowadziwszy wzrokiem umykających bandytów, Fandorin pobiegł z powrotem do klubu. Hasym był już na tarasie. Z rozbiegu, uderzeniem ramienia,

wyrwał oba skrzydła.

Erast Pietrowicz wpadł do domu ostatni, w ślad za Walidbekową i Zafarem.

– Tural! Tural! – wołała Saadat.

Nikt jej nie odpowiedział.

Nie tracąc czasu na poszukiwania włącznika, Erast Pietrowicz wyciągnął elektryczną latarkę. Poświecił dokoła, przebiegł przez pokoje.

– Chłopca tu nie ma i nie było – powiedziała, wróciwszy do pozostałych.

– Więc gdzie jest?! – żałośnie zawołała Saadat.

– Żeby się tego dowiedzieć, musimy dogonić naszych nieśmiałych p-przyjaciół.

W dali zawarczał silnik.

– Prędzej!

Fandorin pomknął ku przystani ogromnymi susami i rychło oderwał się od pozostałych. Deski załomotały pod nogami. Z przodu, na drugim końcu mola w kształcie litery T, pojawił się biały pas – ślad z piany wzbudzonej przez silnik na rufie.

Kilka sekund później Erast Pietrowicz znalazł się obok przycumowanych łodzi – metalowych, w kształcie rekina, najnowszych modeli.

– Ej, czemu stoisz? Uciekną!

Goczi z rozbiegu wskoczył do największego kutra, który zakołysał się na wodzie.

– Włącz maszyna! Umiesz?

Fandorin zakończył przegląd.

– Nie do tego!

Wybrał daimlera o mocy dwieście pięćdziesiąt. Był to lekki, zwrotny kuter, na którym w ubiegłym roku w Hamburgu ustanowiono światowy rekord prędkości – osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. W czasach, kiedy Erast Pietrowicz fascynował się nawodnymi i podwodnymi jednostkami, takie szybkobieżne łodzie motorowe jeszcze nie istniały. Teraz nadarzyła się okazja, by jedną wypróbować...

Żeby uruchomić silnik bez klucza, Fandorin potrzebował około pół minuty. Pozostali akurat zdążyli wejść na pokład. Hasym sapał jak parowóz; oddech kobiety był szybki i przerywany, Zafar wyglądał na wpół uśpionego.

Łódź ruszyła. Na skutek gwałtownego przyśpieszenia dziób daimlera podskoczył pod kątem czterdziestu pięciu stopni i Hasym grzmotnął na dno jak długi. Walidbekowa zwała się na niego całym ciałem. Tylko eunuch utrzymał się na nogach. Przysiadł lekko i chwycił się burty.

Od ryku silnika i świstu wiatru Erast Pietrowicz momentalnie ogłuchł i przestał słyszeć odgłos umykającej morzem motorówki.

Gdzie ona jest? Jaki trzymać kurs?

Saadat, uczepliwszy się ramienia Fandorina, wpatrywała się w ciemność.

– To oni! Coś tam bieleje!

Zdumiewające! Oczy jak u kota. Mimo wprawy w nocnym widzeniu Erast Pietrowicz niczego nie dostrzegł.

– Nie uciekną! – uspokoił Walidbekową. – Mają takiego samego daimlera, ale jest ich pięciu. Większe obciążenie. Gdybyś ty, Hasym, wyskoczył za burzę, dogonilibyśmy ich w ciągu pięciu minut.

– Sam skacz! – krzyknął w odpowiedzi goczi.

Przeszedł do przodu na długi, wąski dziób. Nie było to łatwe, bo łodzią huštało na wszystkie strony. Hasym wsunął papachę za pas, po czym się położył. Szeroko rozstawionymi nogami zaparł się o przednią szybę.

Noc jak na złość okazała się bezksiężycowa, ale Fandorinowi udało się wyłowić wzrokiem białą plamę. Odległość powoli, bardzo powoli – może dwa, trzy metry na minutę – malała.

Już nawet Hasym zauważył wroga.

– Ej, widzę, widzę! – wrzasnął. – Tam płyn!

Otworzył ogień, zdaniem Fandorina, zupełnie niepotrzebnie z takiej odległości, w dodatku przy niemożności dokładnego wycelowania.

O dziwo przyniosło to jednak korzyść. Przeciwnikowi puściły nerwy. Najpierw po prostu oddawał strzały, a później łódź się zachybotała i zaczęła płynąć zygzakiem. Teraz odległość zmniejszała się prędko.

– Strzelaj, strzelaj! – zawołał Erast Pietrowicz. – Dużo masz naboju?

Pytanie musiał powtórzyć, niełatwo było przekrzyczeć hałas.

– Ja mam naboje zawsze dużo! – rozległo się wreszcie w odpowiedzi.

– Doganiamy, doganiamy, doganiamy! – jak nakręcona powtarzała Saadat i chyba nie zauważyła, że okłada pięścią ramię Fandorina.

Nagle na rufie wrogiego daimlera buchnął płomień. W pierwszej chwili Fandorin pomyślał, że Hasym trafił w zbiornik benzyny. Ale później zdarzyło się coś ze wszech miar dziwnego. Część płomienia oderwała się od kutra, wpadła do morza i nad wodą uniósł się błękitnawy blask. Rozrósł się i zamienił w całą wysepkę tańczących ogników. Wiatr rozrzucił iskry po powierzchni i malutkie ogniska zapaliły się w dziesięciu różnych miejscach.

– Ki diabeł?! – zawołał Erast Pietrowicz, ale przypomniał sobie, że Szubin opowiadał mu o płonącym morzu Bibi Ejbatu.

Widok był niewiarygodny, z niczym nieporównywalny, straszny i porywający zarazem. Ogniki rozlatywały się jak niebieskie motylki we wszystkie strony – i wszędzie natychmiast rozkwitały klomby i łączki podobnych błękitnych kwiatów.

To nie jest halucynacja. Z dna wydobywa się węglowodór. Mimo naukowego

wyjaśnienia widok nie stał się przez to mniej fantastyczny.

– Boże, jakie to p-piękne – wymamrotał Fandorin.

– To okropne! – jęknęła Saadat. – Oni podpalili morze! Teraz ich nie dogonimy.

Hasym rozpląwał się w zachwycie i kręcił ogoloną głową. Ze zdumienia nawet przestał strzelać. Zafar nadal zachowywał się beznamiętnie. Na ciemnej twarzy oczy pobłyskiwały nieziemskim światłem.

Fandorin zerknął z ukosa na Saadat. Z jej twarzą efekt płonącego morza zrobił jeszcze bardziej zadziwiającą sztuczkę. Pani Walidbekowa zamieniła się w Carewnę Łabędzia ze znanego płótna Wrubla. Zapatrzwszy się, Erast Pietrowicz omal nie wpadł w samo piekło, ledwie zdążył wymanewrować sterem.

Szarpięcie łodzi rzuciło kobietę na Fandorina.

Saadat pochlipywała:

– Uciekną, uciekną...

– Nie sądzę – powiedział Erast Pietrowicz, pomagając jej stanąć. – Teraz stracimy, ale później odrobimy.

Nie miał głowy do wyjaśnień. Musiał lawirować pomiędzy polanami ognia. Ryzyko oczywiście było duże. Wystarczy, że wiatr ciśnie na silnik snop iskiei, a pożar murowany. Ale czyż można rezygnować z obranego celu z powodu zagrożenia? Tak to chyba żyć nie warto.

Wreszcie płonące plamy zostały z tyłu. Z przodu rozpościerała się czarna nieprzenikniona przestrzeń, w której niewyraźnie jaśniał pienisty ogon za rufą umykającego kutra. Więcej stamtąd nie strzelano. Widocznie zużyli naboje, mądrale. Odległość zwiększyła się i wynosiła teraz około dwustu pięćdziesięciu, trzystu metrów.

– Hasym! Napędź im strachu. Strzelaj! Śpisz czy co?

– Nie śpię. Tak leżę – odparł goczi. – Kula dwa sztuka został. Szkoda.

– A chwaliłeś się, że k-kul masz dużo!

No cóż. To znaczy, że pościg będzie długi. Nic nie szkodzi, dogonimy.

Po lewej stronie ciągnął się odświętny rząd świateł Baku. Erast Pietrowicz myślał, że bandyci skręcają w kierunku lądu, ale kuter sunął równolegle do nabrzeża, utrzymując kurs nord.

Dystans powoli, ale stale się kurczył. Na co oni liczą?

Światła się przeredziły, a później w ogóle zniknęły. Zajaśniały pochodnie Czarnego Miasta, po czym również odpłynęły w dal. Ogarniająca ich z obu stron ciemność, jednostajny huk silnika i miarowe kołysanie spowodowały, że czas jak gdyby się zatrzymał. Kiedy Erast Pietrowicz spojrział na świecące wskazówki zegarka, było już w pół do pierwszej. Pogoń trwała ponad godzinę.

Teraz do umykającego kutra pozostało ze sto metrów.

Jeszcze jakieś trzydzieści, czterdzieści minut i się zrównamy.

Nagle łódź z przodu weszła w ostry zakręt, biorąc ni z tego, ni z owego kurs west.

Postanowili wylądować? Za późno! Teraz nawet ciemność im nie pomoże.

Jednakże mijały minuty, a brzeg wciąż się nie pokazywał. Przed nimi nadal czerniało morze, tylko wiatr się ochłodził i zaczął chłostać policzki zimnymi strugami wody. Erast Pietrowicz domyślił się, że przestępcy ominęli skraj Półwyspu Apszerońskiego i nadal poruszają się równolegle do linii brzegowej, tylko teraz na zachód.

Cóż to za głupi upór? Czyżby nie rozumieli, że nie uciekną?

Zarówno łódź, jak i stłoczeni na niej ludzie byli już dobrze widoczni. Bandyci oglądali się, machali rękami. Nie próbowali się ostrzeliwać, widocznie nie mieli amunicji. Wpatrując się w postacie, Fandorin nie zauważył, że Hasym znowu wyciągnął rewolwer z długą lufą. Rozległ się głośny strzał. Mężczyzna na rufie rozłożył ręce, zachwiał się i runął za burtę.

– Trafiony! – krzyknął Hasym. I wystrzelił jeszcze raz. – Znowu! *Aman, aman*, kula więcej nie ma!

Drugi postrzelony mężczyzna zwałił się na dno łodzi. Inni bandyci go podnieśli i wrzucili do wody.

– Coś ty narobił?! – jęknął Erast Pietrowicz. – Teraz na pewno uciekną...

Wrogi kuter, do którego pozostawało jakieś trzydzieści metrów, przestał się zbliżać – przeciwnie, zaczął się stopniowo oddalać. Z mniejszym obciążeniem poruszał się znacznie szybciej.

Hasym przywłókł się z dziobu i ciężko opadł na ławkę.

– *Vay*, niedobrze mi – powiedział.

Nawet w ciemności było widać, że twarz ma białą jak płótno.

– Jest ranny w p-plecy. Trzeba zatamować krew. Czy łaskawa pani może mu zrobić opatrunek?

Saadat kiwnęła głową i nachyliła się nad goczi. Ten ją odepchnął.

– Nie ruszaj mnie, kobieto! Ja mam dużo krew! Morze mi się nie podoba! Dopóki miał zajęcie, nic. A teraz niedobrze całkiem.

Zemdliło go, domyślił się Fandorin. Dopóki leżał, nic mu nie było, a gdy tylko usiadł, poczuł nudności.

Przypuszczenie niebawem się potwierdziło. Hasym podniósł się i przypadł do burty. Wydał z siebie głuchy odgłos. Wymiotował.

Wykorzystawszy niedyspozycję goczi, Zafar wyjął nożyk i zręcznie rozciął jego czerkieskę. Ukazały się potężne plecy, całe we krwi. Eunuch prędko zakleił ranę.

– Skąd on ma p-plaster?

– Biegacze zawsze noszą przy sobie plaster – odparła Saadat. – Niechże pan coś zrobi! Zostajemy w tyle!

Miała rację. Odległość wciąż się powiększała.

– Proszę przytrzymać s-ster. Mocno.

Płaski dziób kutra pruł fale z zawrotną prędkością, chyba większą niż automobil pędzący dobrą szosą. Erast Pietrowicz położył się, wyciągnął i nakazał ciału zlać się w jedno z kadłubem łodzi. Musiał trafić w nieduży przedmiot z pięćdziesięciu metrów z broni nieprzystosowanej do strzelania na odległość. Zadanie o potrójnej trudności: i cel, i podłoże, na którym znajdował się strzelec, prędko się poruszały, a na dodatek mocno trzęsło. Ale jedyne, co pozostało, to przestrzelenie silnika. Jeszcze minuta albo dwie i bandyci znajdą się poza zasięgiem ognia.

Jestem częścią kutra, powiedział sobie Fandorin i zamienił się w mknący ponad falami, prawie nieważki statek – w metalowego głodnego rekina. Piersią rozciął wodę, która burzyła się, rozpryskując na dwie strony.

Już czas!

Pierwszy strzał nie był dostatecznie celny. Sądząc z ognistych języków, kula trafiła w metalową osłonę silnika.

Jeszcze raz.

Znowu to samo!

Źle, bardzo źle!

Jednakże mężczyźni siedzący w pierwszym daimlerze potraktowali strzały poważnie. Widocznie postanowili nie kusić losu (a może mieli jakiś inny powód), bo kuter, wykręciwszy w lewo, zaczął płynąć w stronę brzegu.

Erast Pietrowicz nie marnował więcej nabojów, tym bardziej że pozostały tylko trzy. Po co? Przeciwnik już nie próbuje się od nich oderwać, chce wylądować. Na brzegu bandytom trudno będzie umknąć przed Fandorinem.

Brzeg prędko się zbliżał. Był wysoki, stromy.

– Co to za okolica?! – krzyknął Erast Pietrowicz.

– Nie wiem! – odpowiedziała pani Walidbekowa. – Ominęliśmy przylądek Shoulan, czyli niedaleko jest Mardakan.

– Niech się pani m-mocniej chwyci. Zaczyna się płycizna.

Pierwszy daimler już ugrzązł w piasku, nakreśliwszy w nim z rozpędu czarną linię. Trzy postacie biegły pasem przypływu. Teraz wrogów można było łatwo postrzelić – akurat wystarczyłoby nabojów. Ale po co? Jeśli półgłówki nie rozbiegną się w różne strony, dogonić ich i wziąć żywcem to łatwizna.

Łódź zgrzytnęła po dnie. Zatrzymali się niezbyt gwałtownie, Erast Pietrowicz zawczasu zredukował prędkość.

– Hasym, dasz radę b-biec?

Goczi podniósł się, zachwiał i znowu usiadł.

– Noga zły! Nie stoi! – jęknął płaczącym głosem. – Wstyd jaka! Jaka wstyd! Przed baba kiszki na zewnątrz! Teraz głowa się kręci!

Nie było czasu go pocieszać. Zafar już wskoczył do wody, chwycił na ręce Walidbekową i przeniósł ją na suche miejsce.

– Widzę ich! Tam są!

Saadat pokazywała przed siebie.

Wspaniale, wszyscy trzej trzymali się razem. I biegli wprost ku pionowej skale. Chcą się wdrapać po stromiznie? No, no.

Fandorin dogonił eunucha i damę. Po długim pościgu na falach wydawało mu się, że ziemia się huśta.

Sprawa zbliżała się do końca.

Z tyłu rozległ się tupot. Erast Pietrowicz obejrzał się i zobaczył pędzącego co sił w nogach Hasyma. Znaczący, doszedł do siebie. W samą porę. Saadat potknęła się i upadła. Zafar pomógł jej się podnieść. Nie potłukła się? Chyba nie.

Fandorin stracił bandytów z pola widzenia zaledwie na kilka sekund, a kiedy znowu spojrzął przed siebie, nie mógł uwierzyć oczom. Zniknęli!

Brzeg był pusty. Po stromym zboczku nikt się nie wspinał. Na szarym tle skały nie miałyby się gdzie ukryć.

Jakieś czary?

– Przepadli! – Saadat załamała ręce. – Gdzie oni są?

Hasym, ciężko sapiąc, zatrzymał się, podrapał pod papachą. Zagrzmiął:

– *Vay, szejtan...*

Nawet Erast Pietrowicz się stropił. Trzej przestępcy to nie anioły, nie ulecieli w niebiańskie przestworza.

Jedynie Zafar nie zdradził żadnych uczuć – ani zdziwienia, ani rozpacz. Podbiegł do podnóża urwiska, pokręcił się to w lewo, to w prawo, odwrócił się do nich i pokazał ręką: tutaj, prędzej!

Między dwoma głazami, prawie niewidoczne w mroku, szarzały drzwi. Nie miały zamka, jedynie klamkę. Fandorin szarpnął – zamknięte. Widocznie od środka była zasuwa.

Wygląda na to, że porywacze nie przypadkiem przybili do brzegu właśnie w tym miejscu.

– Hasym!

Goczi chwycił olbrzymi kamień, uniósł go nad głową i cisnął w drzwi. Padły z hukiem.

Erast Pietrowicz spodziewał się zobaczyć ziejącą ciemną dziurę, więc bardzo się zdziwił. Przez otwór wykuty w kamieniu sączyło się słabe elektryczne światło.

– Za mną!

Po kilku metrach przejście stało się wyższe i szersze. Gdzieś z przodu, niezbyt daleko, odbijały się echem pośpieszne kroki kilku osób.

Do najbliższego zakrętu Fandorin dobiegł pierwszy, ale na rogu dogonił go eunuch. Poruszał się nadal bezszelestnie, tyle że jeszcze prędzej.

Galeria, pod której kamiennym sufitem paliły się płaskie lampy, zrobiła następny zygzak i Erast Pietrowicz dostrzegł z przodu plecy trzech mężczyzn. Zafar już prawie się z nimi zrównał. W podniesionej dłoni Persa coś błysnęło.

– Nie zabijaj! – krzyknął Fandorin.

Eunuch machnął ręką i jeden z biegnących zwał się z krzykiem, a dwóch pozostałych puściło się jeszcze prędzej. Erast Pietrowicz również przyśpieszył.

Nie zatrzymując się, Zafar przeskoczył przez leżącego. Mężczyzna żył, z prawego uda sterczała rękojeść noża, ranny chwycił ją dłonią, wyjąc z bólu.

Ach, ten eunuch! Nie zwalniając, Fandorin uderzył leżącego kantem dłoni w kark. Jęk się urwał.

– Hasym, zabierz go!

Zafar znowu machnął ręką. Krzyk. Odgłos upadku. Na ziemi znowu leżał mężczyzna, tyle że ten trzymał się nie za prawe, ale za lewe udo.

Erast Pietrowicz nie miał dużo pracy: przybiec na gotowe i walnąć w kręgi szyjne.

– Hasym, tego też!

Ostatniego Pers nie poharatał, lecz ogłuszył – wymierzył cios rękojeścią w głowę. Wyczuwało się styl prawdziwego artysty, który nie chce się powtarzać.

Kiedy Fandorin się zbliżył, eunuch już siedział okrakiem na jeńcu i krępował mu ręce rzemieniem.

– Brawo, Zafar! W-wspaniała robota!

Pers się obejrzał. Nic nie powiedział, smagła twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Może jest niemy. Zdaje się, że w haremach szczególnie wysoko ceni się eunuchów z uciętymi językami. Biedak!

Przybiegła zdyszana Saadat. Z tyłu sapał Hasym, wlokąc za sobą po ziemi dwa bezwładne ciała.

– Patrzcie! – zawołała pani Walidbekowa, zaglądając za róg.

I gdzieś popędziła.

– Stać! Ani kroku beze mnie!

Erast Pietrowicz rzucił się za nią.

Z przodu połyskiwała metalowa krata, za którą panowała ciemność. Saadat wyrwała z włosów spinkę i pochyliła się nad zamkiem.

Miejsce wydało się Fandorinowi znajome. Skrzypnęły zawiasy. Odsunąwszy

kobietę, Erast Pietrowicz wszedł pierwszy. Światło prawie nie przedostawało się do ciasnej komórki, ale ściana z przodu była dziwna – jakby się lekko kołysała.

Fandorin wyciągnął rękę.

Aksamit. To zasłona!

Odsunął ją i – nie zobaczył (było ciemno) – wyczuł rozległą pustą przestrzeń. Gdzieś niedaleko jednostajnie szemrała woda. W ogóle było tutaj sporo wody – z ciemności ciągnęło wilgocią i chłodem.

– Jesteśmy u Artaszewa – szepnęła Saadat. – To jego podziemny staw.

Otóż właśnie! A zatem galeria, gdzie Erast Pietrowicz poznał wesołą wdówkę (wtedy jeszcze była wesoła) prowadziła nad brzeg morza.

– Wyrwę mu serce – nienaturalnie zdławionym głosem powiedziała Walidbekowa. – I rzucę świniom na pożarcie. Podła, nikczemna, ohydna kreatura! Teraz rozumiem!

Wzdrygnąwszy się, Fandorin się obrócił. Nawet w mroku było widać, że oczy kobiety pałają wściekłością.

– Pani rozumie, a ja jeszcze nie. – Erast Pietrowicz westchnął. – Pora porozmawiać z porywaczami.

Wrócił do oświetlonego korytarza. Trzej pojmani bandyci leżeli obok siebie starannie związani. Nad nimi groźnie wznosił się Hasym. Kiedy Fandorin oznajmił, że to willa Artaszewa, goczi nagle wpadł we wściekłość, przy czym wyładował ją nie wiadomo dlaczego tylko na jednym z jeńców – tym, który nie był ranny, lecz ogłuszony. Chłopak o bandyckim wyglądzie, nieogolony, z obwisłymi wąsami, w niskiej barankowej czapce tylko pojękiwał.

Wykrzykując jakieś gniewne groźby, Hasym wlepił mu dwa policzki, aż biedakowi spadła papacha i wydawało się, że w ślad za nią zaraz spadnie i głowa.

– Przestań! Coś ty? – Fandorin odciągnął współnika. – Z-znasz go?

– Nie znam! Skąd znam?

– Więc po co bijesz?

– Tamten i tamten to Ormianie. Ale ten jest nasz, muzułmanin. Goczi, jak ja! Jak może goczi służyć psubrat Artaszew?

Wystraszony bandyta wykrzywił zaczerwienioną od uderzeń fizjonomię i wyjęczał po rosyjsku:

– Nie słuszę Artaszewowi! Tylko Hadzi-aga-muallimowi!

– Hadzi-aga to Szamsijew? Ten stary, czcigodny przemysłowiec? – zapytał Fandorin.

Odpowiedzi udzieliła Walidbekowa.

– Wszyscy są czcigodni. Do czasu.

Erast Pietrowicz nachylił się nad wciśniętym w ścianę jeńcem:

– A tych pięciu, których zastrzeliliśmy? Dla kogo pracowali?

– Jeden dla Dżabarowa, jeden dla Manukiana, jeden dla Rasułowa, jeden dla Artaszewa – pośpiesznie wyliczył szamsijewski gości. – Ci też są od Artaszewa. – Pokazał ręką rannych.

Obaj kiwnęli głowami.

– Dżabarowa widziałem. To młody przedsiębiorca, milion p-pudów. – Fandorin odwrócił się w stronę kobiety. – A reszta?

– Wszyscy są członkami zarządu Rady Przedsiębiorców Naftowych. A więc rewolucjoniści nie mają tu nic do rzeczy. Artaszew uprzedzał mnie, żeby nie szła na ustępstwa wobec moich robotników...

Saadat wyjęła zza stanika swój pistolecik i przystawiła lufę wąsaczowi do czoła. Głosem, który przypominał syk atakującej żmii, coś powiedziała.

Hasym przetłumaczył, z dezaprobatą kręcąc głową:

– Chce wiedzieć, gdzie jest syn. Powiedziała: „Będziesz milczeć – tamci dwaj powiedzą. Ale ty już nie usłyszysz”. Aj, kobieta nie wolno tak z mężczyzną rozmawiać, nawet jeśli mężczyzna całkiem młoda. Nie wolno odpowiadać, lepiej umierać.

Jednakże jeniec miał inne zdanie w tym względzie. Zacisnąwszy oczy, coś wychrypiał i Saadat schowała broń. Teraz ona przetłumaczyła jego słowa:

– Tural jest tutaj. Gdzie dokładnie, on i jego wspólnicy nie wiedzą. W ciągu dnia po Turala do klubu przypląnął jacht Artaszewa i gdzieś go zabrał. A ci zostali, żeby czekać na dalsze wskazówki. Boże, co oni zrobili z moim chłopcem? Gdzie go szukać?! Jak?!

Saadat wybuchnęła płaczem.

– To bardzo p-proste. – Fandorin wzruszył ramionami i podszedł do ormiańskich jeńców. – A więc służycie Artaszewowi? Często bywacie w willi?

Obu bandytów przysłonił szeroki cień. Obok Erasta Pietrowicza stanął Hasym.

– Lepiej prawda mów – poradził.

* * *

Do sypialni pana Artaszewa najłatwiej było się dostać przez okno. Fandorin musiał się wspiąć na drugie piętro po rurze wodociągowej, a następnie przejść jeszcze z dziesięć metrów po wąziutkim, pięciocalowym gzymsie. W przeciwnym razie należałoby sprzątnąć tuzin ochroniarzy trzymających straż na dole.

Za to w pobliżu sypialni, jak zapewniali jeńcy, nocą nie było żywej duszy. Milioner zasypiał z trudem i budził go najmniejszy szmer. Wchodzenie po schodach było surowo zabronione i zakaz dotyczył wszystkich.

Erast Pietrowicz bardzo ostrożnie przełożył nogę przez parapet. Nie miał zamiaru zakłócać czujnego snu gospodarza przed czasem.

Miękkie światło lampki nocnej różowym blaskiem oświetlało wspiane łoże. W pokoju rozlegały się dźwięczne trele słowików – nie prawdziwych, lecz z płyty gramofonowej. Płyta była gigantycznych rozmiarów, jak zresztą sam gramofon. Fandorin nigdy nie widział czegoś podobnego. Z pewnością urządzenie wykonano na specjalne zamówienie, żeby nagranie starczyło na całą noc.

Artaszew spał smacznie, z podłożonymi pod policzek dłońmi, jak dziecko. Głowę przykrywała jedwabna szlafmyca z pomponikiem.

Pod poduszką, jak twierdzili jeńcy, znajdował się awaryjny przycisk wzywający ochronę. Erast Pietrowicz przeciął przewód i dopiero wtedy przerwał słodkie marzenia senne opoki przemysłu naftowego.

Zatkał Miesropowi Karapietowiczowi dłońią usta. Przystawił do nasady nosa lufę webleya. W razie potrzeby mógł załatwić Artaszewa jednym palcem, ale broń ma szczególną siłę przekonywania.

Księżę naftowy zakwilił. Otworzył oczy. Źrenice natychmiast pobiegły ku nasadzie nosa, jakby zahipnotyzowane blaskiem oksydowanej stali. Niezbyt prędko, jakieś dziesięć sekund później, wzrok przemysłowca przeniósł się na Erasta Pietrowicza. Oczy kilkakrotnie mrugnęły. Najpierw ze zdumieniem, później z niedowierzaniem. Fandorin mocniej przycisnął lufę. Wówczas wzrok przemysłowca nabrał właściwego wyrazu – przerażenia.

– P-piśniesz choć słowo, a zabiję. Jasne?

Powieki dwukrotnie opadły. Z człowiekiem wystraszonym na śmierć trzeba rozmawiać krótkimi, precyzyjnymi, absolutnie zrozumiałymi zdaniami.

– Zaraz podniesie pan słuchawkę. Powie pan komendantowi ochrony, żeby wszyscy się wynieśli do diabła. Przeszkadzają spać. Jasne?

Teraz Erast Pietrowicz zabrał dłoń i odsunął pistolet, ale nadal celował w nasadę nosa.

Artaszew usiadł na łóżku. Krople potu wystąpiły mu na czoło. Przełknął ślinę.

– Wo...

– Co?

– Wody...

Zadzwoił zębami o szklankę. Odkaszał.

– Jeśli ochrona zacznie coś podejrzewać, zabiję.

W dobrej groźbie, jak w piosence, ważną rolę odgrywa refren. Tu można się nie obawiać powtórzeń. Toteż Erast Pietrowicz jeszcze raz przypomniał:

– Zabiję. Jasne?

– Chwileczkę... Zaraz – wyszeptał Miesrop Karapietowicz. – Muszę pana

uprzedzić... – Przepraszającym gestem przyłożył dłoń do piersi. – Rozmawiam ze strażnikami po ormiańsku. Inaczej wyda im się to podejrzane.

– Nie szkodzi, znam ormiański – niedbale rzucił Fandorin.

Artaszew nie był teraz w stanie przyłapać wroga na blefie.

Nie zaryzykuje. Nazbyt jest przestraszony.

Przemysłowiec podniósł słuchawkę, przycisnął widelki. Rozdrażnionym głosem powiedział kilka zdań. Rozłączył się. Nie chowając pistoletu, Erast Pietrowicz podszedł do okna i wyjrzał zza zasłony. Uzbrojeni mężczyźni opuścili dom na palcach i podreptali gęsiego aleją. Fandorin zaczekał, aż ochroniarze rozpląną się w mroku, po czym dał umowny sygnał: zamrugał latarką.

– Niech pan włoży chałat i usiądzie w fotelu – powiedział, stając ponownie przy łóżku. – Czekam pana rozmowa z damą.

Z damą? – Głos Artaszewy zadrżał złością. – Jeśli doszedł pan do wniosku, że pomagałem Lewonczikowi zalecać się do pańskiej małżonki, to się pan myli! Wręcz przeciwnie! Gdy tylko pana poznałem, powiedziałem mu: „Lewonczik-dżan, to bardzo poważny człowiek. Zostaw panią Łunę w spokoju. To się dobrze nie sko...”.

Na schodach rozległy się kroki. Miesrop Karapietowicz odwrócił się ku drzwiom i zamilkł w pół słowa.

Erast Pietrowicz specjalnie nie wyprowadzał milionera z błędu. Pojawienie się matki porwanego dziecka powinno być dla Artaszewy niespodzianką.

Niespodzianka się udała. Stanąwszy na progu i zobaczywszy skulonego w fotelu gospodarza, pani Walidbekowa z drapieżnym krzykiem przypadła doń, wbiła paznokcie w twarz człowieka interesu i podrapała ją do krwi. Potem szarpnięciem ściągnęła grubasa na podłogę i jęła mu wymierzać kopniaki.

– Nie wrzeszczę. Zabiję! – Fandorin uprzedził ofiarę, nie śpiesząc się, by przerwać egzekucję.

Miesrop Karapietowicz nie krzyczał. Jedynie zasłaniał się przed uderzeniami i jęczał. Saadat również milczała. Wykrzywiona twarz damy z towarzystwa wyglądała strasznie.

Tygrysica, pomyślał Erast Pietrowicz.

Zbliżył się Hasym.

– Yumrubuş, powiedz jej: kobieta bić mężczyznę nie wolno!

– Sam powiedz, jeśli się o-odważysz...

Jednakże każda zabawa kiedyś się kończy. Fandorin odezwał się nie bez żalu:

– Dostyc, łaskawa pani. Pan Artaszew jeszcze nam nie powiedział, gdzie ukrywa pani syna.

Ale tygrysica ani myślała go słuchać. Nachyliła się, chwyciła magnata za głowę

i jęła nią tłuc o parkiet.

– Pani syn żyje, żyje! – popiskiwał Miesrop Karapietowicz. – Przysięgam, że traktuję go jak księcia!

Fandorin spróbował złapać rozwścieczoną matkę za ramiona – otrzymał dotkliwe uderzenie łokciem w splot słoneczny.

Co za temperament! Pozostał tylko jeden sposób, żeby powstrzymać panią Walidbekową, zanim spowoduje wstrząśnienie mózgu u Artaszesa. Erast Pietrowicz bardzo ostrożnie chwycił damę z tyłu za gardło. Delikatnie i łagodnie, żeby nie pozostał siniak, nacisnął punkt *suimin*. Ciało Saadat od razu zwiotczało. Fandorin ułożył je na podłodze obok jęczącego gospodarza.

W tym momencie ocknął się Zafar, który do tego czasu beznamiętnie się przyglądał, jak jego pani okłada wroga. Z gardłowym okrzykiem wyszarpnął zza pasa nóż.

– Nic jej nie jest! – prędko odezwał się Fandorin. – Niech poleży i pośpi.

Eunuch pokręcił głową. Ręka groźnie wzniosła się do ciosu.

– No dobrze. – Erast Pietrowicz westchnął. – Zaraz ją ocucę.

– A ja tymczasem będę rozmawiać z psubrat. – Hasym z łatwością podniósł Artaszesa z podłogi, zataszczył w kąt, rzucił na fotel. – Będę wyjaśniać, że trzeba prawda mówić.

– Tylko b-bez hałasu, dobrze?

Goczi wyszeptał coś nieprzyjemnego, zawisnąwszy nad Miesropem Karapietowiczem, który wycierał rękawem podrapaną twarz, a Fandorin przycisnął na szyi Walidbekowej punkt *mezame*.

Kobieta od razu otworzyła oczy. Spojrzenie, w pierwszej chwili zamglone, rozjaśniło się.

– Gdzie Tural?

– Zaraz się dowiemy. Hasym! Jeniec zrozumiał cię w kwestii prawdomówności?

– Dlaczego nie zrozumiał? Wszystko powie.

Hasym zamachnął się na milionera. Ten uniósł dłonie.

– Oczywiście, że powiem. Saadat-chanum, nastąpiło przykre nieporozumienie. Nie wiedziałem, że ma pani takich opiekunów! Przyznaję, że ja, że my wszyscy... to znaczy przede wszystkim ja – zatrajkotał Artaszesa, widząc, że Walidbekowa rusza w stronę fotela – jestem winien! Po stokroć! I gotów jestem za to zapłacić. Zrekompensuję pani stratę moralną, materialną i emocjonalną!

– A zatem porwanie zorganizował pan wraz ze swoimi partnerami – skonstatował Fandorin. – Po co?

– Jak to po co? Ta głu... – Miesrop Karapietowicz zatkał sobie dłonią usta. – Ta godna szacunku kobieta naruszyła kapitalistyczną solidarność. Jej ustępliwość

w rozmowach z robotnikami przyniosła nam wszystkim olbrzymie straty! Pojawił się więc pomysł, żeby... uczynić ją bardziej uległą.

– Guwerner Kaunitz był z wami w zмовie? Gdzie on jest?

Artaszew zatrzepotał rżęsami, ze strachem zerknął na Hasyma. Ten w zamyśleniu podrapał się po wielkiej pięści.

– Nie wiem! Jak Boga kocham! Nie wchodzę w takie szczegóły. Wiem tylko, że podczas porwania nasi ludzie nieco się unieśli...

– To znaczy, że Austriak nie żyje?

Gospodarz wzruszył ramionami. Zupełnie go to nie interesowało.

Fandorin się zachmurzył. Czyżby Kaunitz nie był w to zamieszany? A zatem wszystko na nic. To nie on jest tamtym kulawym, nic nie zaprowadzi ich do Odyseusza-Dzięcioła.

Nie, nie wszystko jeszcze stracone, poprawił się w myślach Erast Pietrowicz, zerknąwszy na Walidbekową. Spoglądała na Artaszewą groźnie, ale już bez rozpacz w oczach. Jedynie z wściekłością. Boże, ona znowu wyciągnęła swój pistolecik!

– Za Franza też zapłacisz!

Zdążywszy chwycić Saadat za szczupły nadgarstek, Fandorin odsunął broń od twarzy magnata.

Ten wznosił dłonie w pojednawczym geście:

– Oczywiście, że zapłacę. Ogólny bilans poniesionych strat wynosi sto pięćdziesiąt tysięcy. Zadowolona pani?

– Ha! – pogardliwie prychnęła Walidbekowa.

Erast Pietrowicz na wszelki wypadek nie puszczał jej dłoni. Urażone macierzyńskie uczucia to łatwopalny materiał, a idiota Artaszew swoim cynizmem jeszcze dolewał oliwy do ognia.

– Sto siedemdziesiąt pięć – rzucił Miesrop Karapietowicz.

Wdowa wyprowadziła Fandorina w pole – przełożyła pistolet do lewej ręki.

– Nie! Muszę mieć dostęp do pańskiej rafinerii.

– Dobrze. – Przemysłowiec wbił wzrok w czarny wylot lufy. – Może wystarczy? Proszę zabrać ten przedmiocik.

– Nieograniczony, bez względu na objętość! I poza wszelką kolejnością!

– Dobrze, dobrze! Zgoda!

Saadat schowała broń.

– Teraz chcę zobaczyć syna.

– Ufff – odetchnął Artaszew. – Jeden telefon i zaraz go pani dostarczą.

– Nie, wolę, żeby mnie do niego zaprowadzono.

– Jak pani sobie życzy. – Miesrop Karapietowicz podszedł do aparatu

i powiedział po rosyjsku: – To ty, Surien? Jak tam nasz drogi gość? Jak to jaki? Syn szanownej Saadat-chanum. – Zerknął na Walidbekową. – Nie, niech śpi. Mama do niego przyjechała. Sama go zbudzi... Tak, dogadaliśmy się. Znowu przyjaźń. Wpadnij tu. Przywitasz się, zaprowadzisz...

Zostawiwszy magnata pod strażą Hasyma, Erast Pietrowicz zszedł z panią Walidbekową na dół. Zafar podążał pięć kroków za nimi.

– Nie rozumiem. Tak łatwo zgodziła się pani mu w-wybaczyć. W zamian za jakiś przerób ropy...

– Jakiś? – Walidbekowa się zdziwiła. – Rzeczywiście niczego pan nie rozumie. Fabryka Artaszewa jest bezpośrednio połączona z rafinerią. A ona należy do państwa, jest ściśle strzeżona i nie ma tam mowy o strajku. Jeśli będę miała ropę plus nieograniczony dostęp do rafinerii i rurociągu, zostanę królową rynku paliw!

– Z pewnością tak się stanie. Wykazuje pani wszelkie niezbędne ku temu cechy – rzekł Fandorin z ukłonem. – To po panią. – Alejką prowadzącą do domu ktoś truchtał. – Wracam do Artaszewa. Będę czekał na telefon od pani, czy wszystko w porządku.

Saadat, podkasawszy suknię, rzuciła się ku przewodnikowi. Pers pobiegł za nią, zachowując ciągle ten sam pełen szacunku dystans.

– Z panią Walidbekową rozwiązał pan p-problem. Zobaczymy, czy uda się panu tak łatwo zadowolić mnie...

Erast Pietrowicz siedział na krześle naprzeciwko Artaszewa, założywszy nogę na nogę.

– Ile? – z niepokojem zapytał Miesrop Karapietowicz. – Niech pan poda sumę, to ją przedyskutujemy.

– Nie „ile”, lecz „co”. Absolutnie prawdziwe odpowiedzi, oto czego od pana potrzebuję.

– Wyjaśniłem ci, tak? – zagrział Hasym stojący za fotelem Artaszewa.

– Jeśli będzie pan odpowiadał całkiem szczerze, zostawię pana w s-spokoju. Pan mnie nie interesuje.

– Dobrze się składa, bo wcale nie chcę, żeby się pan mną interesował. – Magnat nieco się rozluźnił. – Niech pan pyta.

– Pytanie pierwsze. Zamachy na mnie to pańskie dzieło?

Miesrop Karapietowicz zupełnie nie miał ochoty odpowiadać. Gdy jednak Hasym położył mu rękę na ramieniu, milioner aż się skulił.

– Przepraszam. Padłem ofiarą rodzinnych uczuć. Lewonczik jest jak kwiatek. Staram się go chronić. Kiedy zakochał się w pańskiej żonie, zasięgnąłem języka. Zawsze zasięgam języka, z ostrożności. Związek z zamężną kobietą to zawsze

ryzyko. Zwłaszcza jeśli mąż jest niebezpieczną osobą. A pan jest bardzo niebezpieczny, mówiono mi... Mam filię w Moskwie. Śledzono pana. A kiedy niespodziewanie udał się pan do Baku, ogromnie się przestraszyłem... Wynająłem Chaczatura Jednorękiego... To była okropna pomyłka! – pośpiesznie dodał Artaszew. – Jestem gotów za nią zapłacić. Tylko proszę powiedzieć ile.

Gorzkie rozczarowanie – oto uczucie, którego doznał teraz Fandorin. Wszystko na próżno? Żadnego śladu nie ma i nie było? Ale przecież śmiertelnie ranny anarchista mówił, że jednoręki przywódca szajki spotykał się z mężczyzną o przydomku Dziecioł!

– Czy zna pan rewolucjonistę o przydomku Dziecioł?

– Owszem, słyszałem. – Miesrop Karapietowicz kiwnął głową potakująco, okazując gotowość do współpracy. – To bolszewik. Ale ja nie prowadzę interesów z rewolucjonistami. Nigdy im nie płaciłem i nie zamierzam tego robić. Rewolucjonistów opłacają drobni i średni przedsiębiorcy, a ja z moją ochroną nie mam się czego bać... Chyba że takiego lwa jak pan. – Artaszew przyłożył dłoń do serca. – Ale Fandorin, dzięki Bogu, jest tylko jeden na świecie. – W oczach Artaszewa zapłonęła iskierka strachu. Czy aby rozmówca się nie obraził?

Erast Pietrowicz niecierpliwie potrząsnął głową: Niech pan kontynuuje.

– Ani ja, ani Mantaszew, ani Hadzi-aga Szamsijew, żadna osoba na naszym szczeblu nie płaci rewolucjonistom. A oni nas nie zaczepiają, żywią się mniejszymi rybkami. W swoim czasie, z dziesięć lat temu, Czeceńcy pana Muhtarowa dali nauczki przywódcy bolszewików Kobie. Nie zabili go, ale spuścili mu niezłe lanie. Żeby pokazać, że takiego robaka nawet nie warto zabijać. Bolszewicy zapamiętali lekcję. To mądra partia. Nigdy nie rzucają się na zdobycz, która przerasta ich siły.

Wszystko od nowa, od zera, pomyślał Erast Pietrowicz i zgrzytnął zębami.

Rozmowa z diabłem

Jedna rzecz dawała mu się we znaki – przymusowy bezruch. Co dwa, trzy dni na wszelki wypadek zmieniał lokal, ale znalazłszy się w nowym miejscu, starał się go nie opuszczać. Zbyt wiele położono na szali. Każde zbędne ryzyko jest niewybaczalne.

Wychodzić nie mógł również dlatego, że razem z nim z jednego do drugiego punktu przenosił się sztab koordynacyjny. Łącznicy (każdy po stokroć sprawdzony i wypróbowany) dostarczali meldunki i otrzymywali instrukcje. Wszystko wokół wrzało i falowało, chmury nabierały liliowej mocy, pierwsze porywy nadciągającego huraganu gięły drzewa i zrywały dachy, ale tam, gdzie on przebywał, było cicho i bezwietrznie, jak w oku cyklonu.

Nocą mężczyzna nie spał. Leżał, spoglądając w sufit. Majaczył na nim cień, który odbijała lampa przykryta płócienną serwetką. Cień przypominał głowę z różkami.

Diabeł był dzisiaj ożywiony, w dość frywolnym nastroju.

– No co, mała ptaszyno, czyżbyś chciała zadziobać słońca? To dopiero będzie wyczyn. – Urojony rozmówca stroił sobie żarty.

Dzięcioł się uśmiechał. Ale serce biło mu szybciej niż zwykle. Z powodu szczytnych myśli.

Przygotowanie do polowania szło pełną parą. Małe i większe trudności sprawiały, że życie stawało się tylko ciekawsze. Słoń skubał trawę, wachlował się uszami, nie podejrzewając, że jego koniec jest bliski.

Szczytne myśli zmuszające serce do większego wysiłku były następującej treści: Jasny gwint! To, o czym marzyły tysiące bohaterów, którzy oddali życie w imię wydumanego, odległego celu, nastąpi już niebawem. I machinę obalą nie Stiepan Razin czy Pugaczow, nie Rylejew z Piestielem, nie Żelabow ani Plechanow. Ty to zrobisz. Nie sam, oczywiście. Ale pomysł jest twój. I jego realizacja również.

– Najważniejsze jest ostatnie pociągnięcie pędzlem – powiedział Dzięcioł, kierując słowa do sufitu. – Właśnie z niego jestem naprawdę dumny. *A touch of genius*, jak mówią Anglicy.

– Fe, cóż za brak skromności – odparł czart. – Ale nie będę się spierał. Sprytnie obmyślane. Zastanawiałem się tylko, jak rozwiążesz tę kwestię.

– Takie rzeczy często się zdarzają. – Dzięcioł chętnie podtrzymał rozmowę na przyjemny temat. – Gdy rodzi się wyjątkowo trudny problem, najważniejsze, żeby spojrzeć nań pod odpowiednim kątem. Czy nie jest on czasem kluczem do rozwiązania jeszcze trudniejszego problemu. Wiesz, jak się leczy choroby trucizną?

– No cóż, trucizny nie stanowią dla mnie żadnej tajemnicy. – Cień się uśmiechnął. – Dobra, mądralo, śpij. I pamiętaj, że życie jest pełne niespodzianek. Również nieprzyjemnych.

– Idź do licha ze swoimi truizmami – mruknął Dzięcioł, po czym zgasił lampę i przewrócił się na bok.

Wolny! Wolny!

Chłopiec był cały i zdrowy, tylko blady i z temperaturą wywołaną wstrząsem nerwowym. Przetrzymywano go jako zakładnika niecałą dobę, ale Saadat nie wątpiła, że okropne przeżycia jeszcze dadzą o sobie znać. Czas jednak leczy rany, a dziecięca psychika, wbrew opinii wiedeńskich luminarzy, jest bardzo elastyczna. Najważniejsze teraz to wywieźć dziecko jak najdalej z Baku. Artaszew nie jest w Radzie sam, a kiedy chodzi o zysk, albo co gorsza o straty finansowe, ludzie interesu stają się groźniejsi od dzikich zwierząt. W świecie ropy naftowej jest jak na wojnie. Jeśli ceny idą gwałtownie w górę i ktoś bankrutuje, podczas gdy ty w tym samym czasie prędko się bogacisz, musisz się mieć na baczności. Ryglować bramę, szykować broń, odesłać dzieci na tyły.

Bladym świtem, zalewając się łzami, Saadat wyprawiła syna w daleką podróż. Dla bezpieczeństwa Guram-bek odwoził Turala do krewnych w Tebrizie. Czterej konni abrekowie Ingusze, wszyscy ze znakomitymi referencjami, eskortowali powóz.

Serce Saadat krwawiło. Obowiązek macierzyński i miłość matki mówiły „nie”, wołały: „Za nim, za nim! Jesteś mu teraz potrzebna jak nigdy!”. Ale głos kobiety interesu był silniejszy. Po pierwsze chodziło o uratowanie przedsiębiorstwa. Po drugie o awans na znacznie wyższy szczebel.

Wczesnym rankiem Saadat zaprosiła do siebie cały komitet strajkowy. Rozpłakała się, wyjaśniła, jak i dlaczego porwano jej malca (nie podała tylko nazwisk, bo to i tak nic by nie dało), obiecała spełnić wszystkie żądania, jeśli wieże wiertnicze rozpoczną pracę jeszcze dzisiaj. Obie strony rozstały się wzajemnie z siebie zadowolone.

A zatem pierwsze zadanie zostało wykonane. Bankructwo zażegnane.

Drugie również można uważać za zagwarantowane. Wolny dostęp do mocy przerobowych Artaszewo oznaczał, że cała ropa Walidbekowej zamieni się w cenną naftę, popłynie rurami do Batumi, a stamtąd do Noworosyjska, Odessy, Konstantynopola, Livorno i Marsylii. Strumień powrotny przyniesie falę przekazów pieniężnych. Oby strajk potrwał jak najdłużej!

Rozwiązawszy pilne i palące problemy, Walidbekowa zabrała się do spraw przyjemnych, ale również dużej wagi.

Każdy dobry przedsiębiorca zna regułę wzajemności. Jeśli chcesz, żeby ludzie

chętnie ci pomagali, musisz umieć okazać im wdzięczność. Na czym jak na czym, ale na sztuce obdarowywania i rewanżowania się Saadat znała się jak mało kto. W tych sprawach nie ma uniwersalnej metody. Ludzie są różni, do każdego trzeba podejść indywidualnie. Jeśli właściwie kogoś nagrodzisz, zyskasz wiernego sojusznika.

Najłatwiej było z Zafarem. Saadat wręczyła mu paczkę sturubłówek. Eunuch uśmiechnął się (robił to tylko na widok pieniędzy), skłonił, schował banknoty za koszulę. Łatwo i miło jest mieć do czynienia z człowiekiem, który najbardziej na świecie kocha gotówkę. Za swoją służbę Pers otrzymywał godziwe wynagrodzenie, oddzielną kwotę dostawał na codzienne wydatki, a przed każdym kochankiem – na nadzwyczajne. Przynajmniej połowę kradł (w tych rzeczach Saadat doskonale się orientowała), ale nikt mu tego nie wypominał. Takiemu cennemu pomocnikowi można wybaczyć małe słabości: zachłanność i skąpstwo. Zafar nosił ubranie, dopóki doszczętnie się nie porwało. Odżywiał się skąpo, a zimą ogrzewał dom tylko dla Saadat. Ale czyż można potępiać biednego kastrata za to, że całą niewydatkowaną namiętność obracał w chciwość? Najważniejsze, że był bardzo, ale to bardzo przydatny i służył z oddaniem. Poza tym Zafar był jedynym człowiekiem na świecie, który znał Saadat od podszewki i akceptował taką, jaka była. Kiedy jest przy tobie ktoś, przed kim nie musisz udawać innej osoby, masz wielkie szczęście.

W stosunku do Czarnego Hasyma pieniężna gratyfikacja chyba nie wchodziła w grę. To prawdziwy goczy, najlepszy w swoim fachu. Tacy gardzą pieniędzmi, szastają nimi na lewo i prawo, rozdają obdartusom. Trzeba mu sprezentować rzecz, która przypadnie bohaterowi do serca i będzie przypominała o ofiarodawczyni. Ta znajomość jeszcze się przyda.

Saadat kupiła kindżał z damasceńskiej stali w srebrnej, ozdabianej złotem pochwie, dwa rewolwery z rękojeściami inkrustowanymi masą perłową i wysadzonym drobnymi perłami emblematem Czarnego Hasyma: kółkiem z kropką w środku. Wyszło niedrogo – trzy i pół tysiąca (gdyby w ramach wdzięczności wręczyła pieniądze, musiałaby dać co najmniej dziesięć), a goczy był bardzo zadowolony. Powiedział: „Ja nigdy nie spotkał kobiety podobnej do ciebie, chanum. I mam nadzieję, że nie spotkam”. Chyba należało to uznać za komplement.

Do aktu głównego podziękowania Saadat przygotowała się ze szczególną starannością, bez pośpiechu. Zaprosiła Fandorina do siebie na kolację. Przedtem się wyspała, doprowadziła do porządku, przygotowała odpowiedni *entourage*.

W kącie pokoju siedziały na poduszkach dwie staruszki rezydentki, które zostały Saadat w spadku po zmarłym mężu. Bez nich nie wypadało przyjmować

mężczyzny – wybuchłby skandal. Ciotki były ułożone, nieszkodliwe, nie rozumiały ani słowa po rosyjsku. Po prostu siedziały sobie i jadły miękką chałwę, popijając słodką korzenną herbatą.

Kolację podano lekką, z francuskiej restauracji. Wytworne zimne przystawki i owoce, bez dań na gorąco, żeby można się było obejść bez służby. Zresztą Fandorin nie wyglądał na żarłoka. Sama Walidbekowa po siódmej wieczorem nigdy niczego nie jadła – z uwagi na cerę.

Gość wysłuchał poruszającej przemowy na temat dozgonnej wdzięczności bez zainteresowania, ale popatrywał wyczekująco. Niby że słowa słowami, ale łaskawa pani jest mi coś winna.

Saadat westchnęła. W porywie desperacji, pod wpływem emocji, obiecała za uratowanie syna swój najlepszy szyb naftowy w Surachanach, który przynosi sto tysięcy pudów białej ropy rocznie. Nie wypada się wycofać. W Surachanach do spółki Walidbekow-nafta należą jednak dwa szyby. Drugi jest raczej kiepski. Można się go pozbyć bez żalu. Fandorin nie zna się na takich rzeczach. Choć to oczywiście wstyd. Ale przecież chodzi o sto tysięcy białej ropy!

– Obiecałam pana wynagrodzić – powiedziała Saadat z przejęciem. – I dotrzymam słowa. Już jutro przepiszę na pańskie nazwisko najbardziej obiecującą wieżę wiertniczą. Na razie złoża nie są do końca eksploatowane, ale według oceny specjalistów na dole znajduje się morze pierwszorzędnej ropy. Cała ta ropa będzie pańska.

– Niechże pani da spokój. – Gość się zdziwił. – Po co mi ta b-brudna maź? Od pewnego czasu nie mogę patrzeć na ropę.

I wzdrygnął się.

Niemądry, pomyślała Walidbekowa, uśmiechnąwszy się z ulgą wobec takiego obrotu sprawy. W dodatku przystojny, odważny i w odpowiednim wieku. Wszystkie parametry idealne. Wie wprawdzie, jak się nazywam, ale to szczególny przypadek. Chyba mogę zrobić wyjątek...

Skromnie spuściwszy oczy, udała, że jest zmieszana. Zaszczebiotała po kobiecemu: ach, jakże się czuje niezręcznie, ach, bo tak rzadko spotyka się naprawdę wielkodusznego człowieka, ach, jej macierzyńskie serce i temu podobne. A tymczasem szacowała, jak i kiedy będzie mogła zorganizować spotkanie. Serce biło jej w piersi zupełnie nie po macierzyńsku, a wewnętrzne słodkie drzenie było tożsame z tym, które rodziło się, gdy nadciągało cielesne pożądanie.

Odwdzięczę ci się tak, że będziesz zadowolony, obiecała Saadat w myślach ponętnemu mężczyźnie. I sama też nie pożałuję... Ramiona ma tak szerokie jak numer dwudziesty dziewiąty. Oooch, dwudziesty dziewiąty!

Na głos zaś powiedziała:

– Mam wrażenie, że coś pana trapi. A może po prostu jest pan zmęczony?

* * *

Powód do zmartwienia był, i to poważny. Cały dzień Erast Pietrowicz spędził w szpitalu. Podczas rozmowy z lekarzem nie usłyszał niczego pocieszającego. Później długo siedział w sali, wpatrywał się w bladą twarz przyjaciela pozostającego w królestwie Morfeusza (a ściślej mówiąc morfiny). Od czasu przyjazdu do supernowoczesnej lecznicy ranny nie poczuł się lepiej. Przekłeta południowa duchota była zgubna dla przestrelonego płuca. Gdyby tylko można było zabrać Masę na północ. Ale lekarz powiedział, że pacjent nie przetrzyma podróży.

Wzdychając z przygnębieniem, Fandorin zapisywał w *Nikki* niewesołe myśli:

刀

Wygląda na to, że prawie przez dwa tygodnie uganiałem się za zjawą. Wszystkie trzy zamachy – na dworcu, na planie filmowym i w Czarnym Mieście – zostały zorganizowane przez jednorękiego Chaczatura, który działał na zlecenie Artaszewa. Myślałem, że wpadłem na trop, a zamiast tego trafiłem do trywialnego melodramatu o orientalnym kolorycie. Jedyne, czego mogę się uchwycić, to związek Chaczatura z bolszewickim przywódcą o przydomku Dziecioł. Jeśli to jednak nie Odyseusz, ale jakiś inny ptaszek? Mimo to będę musiał Dziecioła odszukać. I tak nie mam nic innego do roboty.

Cóż za żalosna „Klinga”! Jakby nie ze stali, lecz z rozmięklej tektury.

„Szron” też wyszedł smętny, współgrający z nastrojem:

霜

Adekwatnie mogą się oceniać jedynie osoby o przeciętnej moralności. Dobry człowiek nie uważa się za dobrego, bo jest dla siebie surowy i nigdy nie bywa z siebie zadowolony. Zły człowiek również nie wie, że jest zły, albowiem jego punkt odniesienia mieści się w jego własnym pępku: co dla niego samego jest dobre, jest wspaniałe, a zatem wszystkie jego czyny są nienaganne, jako że zły człowiek zawsze kieruje się egoistycznym interesem i żadnej szkody sobie nie wyrządzi.

Fandorin chciał napisać coś pocieszającego, żeby wyzbyć się cierpiętniczego stanu ducha, a zamiast tego wyszło moralizatorstwo z narcystycznym odchyleniem. Wszyscy są źli, ja jeden dobry, tylko nazbyt w stosunku do siebie biednego surowy. Erast Pietrowicz zmiął kartkę, po czym ją wyrzucił.

Może to właśnie jest starość? Podkraśla się tak nieoczekiwanie. Nie fizyczny uwiąd ani upadek intelektualny, ale po prostu wyczerpanie energii życiowej. Gdy człowiek trafia na przeszkodę, nie rodzi się w nim jak uprzednio pragnienie, żeby

skoczyć wyżej, pokonać barierę. Ma ochotę usiąść, opuścić ręce i zasmucić się niesprawiedliwością świata.

O tym właśnie – o perfidii starości – rozmyślał Erast Pietrowicz, siedząc naprzeciwko piekielnie interesującej damy, która spoglądała nań przyjaźnie i z wdzięcznością, ale bez jakiegokolwiek kobiecej ciekawości. Nie poprawiło mu to humoru. Mógł wymyślić litościwe wytłumaczenie, żeby jego miłość własna nie ucierpiała. Wschodnie wdowy wyrzekają się zmysłowości. W Indiach potrafią nawet rzucić się na stos pogrzebowy w ślad za zmarłym małżonkiem. Ale pani Walidbekowa jakoś nie przypominała nieśmiałej gazeli.

Po prostu się starzeję. Piękne kobiety już nie patrzą na mnie jak dawniej...

Ukradkiem zerknął w wiszące na ścianie lustro.

Otóż to. Podstarzały elegancik z idiotycznie ogoloną głową, która z powodu odrastającej szczeciny wygląda, jakby była pokryta szronem. Jeszcze goździk wetknął do butonierki, bałwan.

Niby w roztargnieniu Fandorin wyciągnął kwiatek i upuścił go na serwetę.

Do diabła, co to za ogniki w jej oczach? Zauważyła, jak spojrzałem w lustro?

– Bardzo p-przepraszam. – Lekko odsunął talerz z nietkniętym pasztetem. – Rozumiem, że chce pani wypełnić obowiązek w-wdzięczności. Uznajmy, że rytuał się odbył. Na mnie pora. Wzywają mnie pilne sprawy.

* * *

Powróciwszy do życia, Erast Pietrowicz zdążył wpaść do pokoju hotelowego zaledwie dwukrotnie, za każdym razem na krótko. Portier i szwajcarzy spoglądali na zmartwychwstałego Fandorina z ciekawością, ale nie próbowali wdawać się w rozmowę. Jednakże tym razem, kiedy Fandorin po smutnej kolacji z piękną damą wrócił do hotelu, jego pojawienie się wywołało w recepcji lekkie poruszenie.

Portier wybiegł mu naprzeciw i wręczył z pokłonem dwie koperty. Po czym – wyraźnie nie bez powodu – rzucił się z powrotem, sięgnął po telefon i jął z kimś rozmawiać, zakrywając usta dłonią.

Pierwszy list Fandorin przeczytał na schodach.

„Eraście Pietrowiczu! Zdażyła się zecz straszna! Musimy porozmawiać!”.

Z ortografią Simon radził sobie kiepsko, w swoim czasie nie opanował jej jak należy.

Jakaś kolejna katastrofa na planie filmowym. Bzdura.

Druga koperta była z habsburskim orłem, a w środku, na ładnym kartoniku, bardzo uprzejme zaproszenie od konsula Lüsta na niecierpiącą zwłoki rozmowę.

Zapewne chce ustalić los austriackiego poddanego Kaunitza. Ciekawe, dlaczego Lüst myśli, że coś mi na ten temat wiadomo.

Rebus wymagał rozwiązania, ale nie starczyło na to czasu. Dziesięć minut po tym, jak Fandorin wszedł do pokoju i zmienił surdut na aksamitną domową bonzurkę, drzwi bez pukania się otworzyły.

Na progu stała Klara. Błada, z włosami w nieładzie i z kapeluszem w dłoni.

– Powiedziano mi, że pan wrócił! – zawołała i natychmiast się rozpląkała. – Przychodziłam tu trzykrotnie, ale ani razu pana nie zastałam.

Oto do kogo telefonował portier. To raz. Kapelusik w dłoni oznacza, że Klara zdjęła go za drzwiami, a włosy potargała umyślnie. To dwa. O Boże, zaraz rzuci mi się na szyję i nie będę mógł tego uniknąć...

Żona zrobiła jednak dwa kroczki i zamarła.

– Żyje pan, co za szczęście! – Chlipnęła.

– Żyję, owszem – powiedział kwaśno. – Szczęście...

– Ale ja myślałam, że pan zginął! – wykrzyknęła Klara, załamując rękę. – Niedługo nosiłam żałobę, to prawda. Dlatego jestem winna. Tak, tak, jestem bezgranicznie winna. Może mnie pan ukarać, oskarżyć i pogardzać mną! Mój pośpiech jest odrażający! Zachowałam się jak Gertruda! „Słabości, twe imię kobieta! Nim jeszcze zdarła trzewiki...”. Jestem potworem z piekła rodem! Ma pan prawo mną pogardzać i żywić do mnie nienawiść! Odczuwam ból i wstyd! I wyobrażam sobie, jakie to wszystko musi być dla pana bolesne!

Zdarzyła się rzecz straszna? Przypomniawszy sobie liścik Simona, Erast Pietrowicz drgnął, ale jeszcze się bał uwierzyć swojemu szczęściu.

– Pani mnie... zdradziła? – spytał ostrożnie.

– A pan się uśmiecha? – wykrztusiła Klara.

Erast Pietrowicz prędko zmarszczył brwi, przywołał na twarz stosowny do sytuacji wyraz powściąganego żalu. W oczach żony błysnęły iskierki niekłamane zainteresowania.

– Jakie to... wspaniałe! Mimowolny uśmiech w tragicznej chwili!

Teraz wykorzysta ten chwyt w filmie. Widzowie będą wstrząśnięci.

– Niech się pani uspokoi i przestanie płakać – powiedział. – Nie jest pani niczemu winna. Niegdyś obiecaliśmy sobie wzajemną uczciwość i wywiązała się pani z przyrzeczenia. Nie mam powodu zarzucać pani niewierności. Wdowa t-to nie żona. Właściwie... cieszę się, że pani kocha i jest kochana.

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane całkiem szczerze.

– Nawet pan nie pyta, kim on jest?

Klara była najwyraźniej dotknięta. Nastawiła się na rozdzierającą scenę, a wszystko potoczyło się tak gładko.

– Monsieur Leon Art, ma się rozumieć. – Fandorin wzruszył ramionami.
Ale aktorka pragnęła dramatu.

– Boże, ogolił pan głowę... – Jej głos zadrżał. – Serce mi pęka. Zawsze tak dbał pan o fryzurę, a teraz jest panu wszystko jedno... Jakże mi przykro, że tak się to wszystko między nami kończy! To niczyja wina, że nie udało nam się stworzyć pary. Nazbyt się różnimy. Jak lód i ogień! A z nim... – Twarz jej się rozjaśniła, co chyba nie było grą. – Rozmawiamy ze sobą jednym językiem. Nawet słów nie potrzebujemy... Ach, po co ja to mówię? To okrutne, wbijam panu nóż w serce!

– Nie szkodzi, wytrzymam – niedelikatnie zapewnił Erast Pietrowicz.

Klara otarła łzy.

– Ma pan stalowe nerwy, zawsze to wiedziałam. Ale w głębi duszy pan cierpi, to widać po oczach...

– Łatwiej pogodzę się z ciosem z dala od pani. Rozstaniemy się w tejże chwili. Dzięki Bogu nie musimy załatwiać formalności rozwodowych. Proszę podać adres, a ja wydam polecenie, żeby przesłano pani rzeczy z zaułka Swierczkowa... Albo sam się stamtąd wyprowadzę. Jak pani zadysponuje.

– Ma pan serce zimne jak lód – odezwała się Klara z goryczą. – To dlatego nasze małżeństwo się nie udało.

Nagle zrobiło mu się jej żal. Teraz, kiedy spadły okowy, Fandorin zobaczył tę kobietę taką, jaką była w istocie. Nie przez złocistą mgiełkę zadurzenia ani przez ciemne okulary niechęci, lecz bezstronnie i niemal beznamiętnie.

Aktorka, do szpiku kości. A więc swego rodzaju inwalidka, nieumiejąca odróżnić gry od życia, uczuć fikcyjnych od prawdziwych. Niech jej się poszczęści z długonosym geniuszem kinematografu. Przynajmniej mają ze sobą coś wspólnego – miłość do sztuki.

Na stoliku zadzwonił telefon. W samą porę. Należało położyć kres przykrej scenie.

– Hallo? – powiedział Erast Pietrowicz do słuchawki rzeczowym tonem.

Nieważne, kto dzwoni. Można wykorzystać telefon jako pretekst do natychmiastowego wyjścia – niby w pilnej sprawie.

Nie udało się. Najcięższa próba chyba dopiero go czekała.

– Panie Fandorin! – histerycznie zawołała słuchawka. – Tu portier Katieczkin! Idzie do pana monsieur Art. Jest wytrącony z równowagi. Niech pan zamknie drzwi! Zbiorę wszystkich szwajcarów i pośpieszę panu z pomocą!

– Niepotrzebnie się pan n-niepokoi...

Erast Pietrowicz odwrócił się ku drzwiom, które dosłownie sekundę później otworzyły się, pchnięte wściekłym uderzeniem.

Widocznie teraz wszyscy będą się do mnie wdzierać bez pukania, z rezygnacją

pomyślał Fandorin – i wyprężył się. Reżyser trzymał w dłoni browninga.

– To tylko moja wina! – zawołał młody mężczyzna. – Jego długie czarne włosy rozsypały się na ramionach, oczy błyszczały, czoło było blade. – Od dawna kocham Klarę! Wykorzystałem jej chwilową słabość! Może pan mnie zabić, ale ją niech pan zostawi w spokoju!

Leon Art wyciągnął pistolet rękojeścią do przodu.

Przystojny młodzieniec. I zachowuje się wspaniale.

Erast Pietrowicz nie zdążył powiedzieć, że wszystko jest w porządku i nie ma powodu do zdenerwowania. Klara go uprzedziła.

– Nie! Lepiej zabij mnie!

W ekstatycznym zachwycie zasłoniła ukochanego ciałem. Klara nigdy nie zwracała się do męża per ty, ale tak brzmiało szlachetniej. Wiedziała, że nikt nie zamierza nikogo zabijać, ale czyż aktorka potrafi powstrzymać się od udziału w tak dramatycznej scenie? Tylko po co było padać na kolana? To już przesada. W teatrze Klara nie pozwoliłaby sobie na coś takiego. Kinematograf ma zgubny wpływ na smak artystyczny.

– Niech się pani przed nim nie poniża! – Leon rzucił się, żeby ją podnieść. – Pani jest boginią, my wszyscy jesteśmy przy pani niczym!

– Nie jestem boginią. Jestem grzesznicą! Przynoszę wszystkim tylko nieszczęście!

Chyba jestem tutaj zbędny, pomyślał Fandorin.

Korzystając z chwili, gdy kochankowie ze szlochem padli sobie w objęcia, prędko prześliznął się ku drzwiom, chwyciwszy z wieszaka swoją idiotyczną panamę.

Na schodach spotkał odsiecz: portiera Katieczkina i czterech odzianych w liberie pokojowych. Wyglądali na przestraszonych i jednocześnie podekscytowanych wizją Prawdziwego Wielkiego Skandalu.

– Idę się p-przejąć – oświadczył im Erast Pietrowicz. – Niech nikt nie wchodzi do mojego pokoju.

Na ulicy wystawił twarz ku cudownie zimnemu światłu księżyca. Uśmiechnął się promiennie.

Wolny! Nareszcie wolny!

Polowanie skończone

Noc Fandorin spędził w szpitalu. Spał czujnie, ale Masa i tak się nie ocknął.

Do sali raz po raz zaglądał pielęgniarz, dwukrotnie zjawiał się lekarz dyżurny. Należało przyznać, że opieka w lecznicy była sumienna – właśnie to Erast Pietrowicz pragnął sprawdzić.

Rano wrócił do hotelu, żeby się ogolić, wziąć prysznic i zmienić ubranie. Ale głównie po to, żeby przeprowadzić seans medytacji – zaciągnąć zasłony, usiąść w pozycji *zazen*, zespolić się z rytmem i oddechem Wszechświata. O niczym nie myśleć, nic nie czuć, odciąć się od otaczającego chaosu, przyłgnąć do źródła wewnętrznej harmonii. Albo zaczerpnąć nieco harmonii kosmicznej – zależy, jak się uda.

Gdy racjonalność wyczerpała swoje zasoby, należy nastroić receptory na znalezienie *satori*. Oświecenie na pewno spłynie, to rzecz wielokrotnie sprawdzona. Sytuacja, która wydaje się bez wyjścia, ukaze się w nowym świetle.

A jeśli nie spłynie? Jeśli się nie ukaze? Wówczas po prostu posiedzę na podłodze w pozycji sprzyjającej cyrkulacji krwi. A później znowu wysilę szare komórki.

Przy wejściu do hotelu „National” ktoś przykucnął – nie w *zazen*, ale również w pozycji całkowitej izolacji. Widać było opuszczoną głowę w szarym turbanie oraz splecione kościste dłonie. Widocznie żebrak; w Baku spotyka się ich na każdym kroku. Dziwne tylko, że szwajcar nie przepędził nieszczęśnika sprzed wejścia.

Fandorin wyjął portfel. Zawsze dawał jałmużnę żebrakom, którzy go nie zaczepiali i nie napastowali. Ale siedzący mężczyzna lekko się podniósł i okazał się niemym służącym Saadat Walidbekowej.

– Zafar?

Pers milczał. Nie patrzył na Erasta Pietrowicza, lecz na schodzącego z tarasu szwajcara.

– Czeka na wielmożnego pana od wieczora. Uparty, aż strach!

Moneta przypadła szwajcarowi, a eunucha Fandorin odprowadził na bok.

– Pan z polecenia pani Walidbekowej? Czy coś się stało?

Z jakiegoś powodu ścisnęło mu się serce, Erast Pietrowicz sam się zdziwił. Nagle, nie wiadomo dlaczego, przypomniał sobie nocny sen. Był krótki i męczący, jak to bywa ze snem, który się śni w niewygodnym fotelu.

Fandorinowi przyśniło się, że jest martwy i leży w trumnie. Pachną kwiaty, cerkiewny chór śpiewa uroczystą pieśń. Trwa msza żałobna.

Oto czym jest śmierć, myślał śpiący i dziwił się, że nie rozumiał tak prostej i oczywistej rzeczy za życia. Śmierć pozbawia ciało ruchu. Nie możesz się poruszyć, a tymczasem wszyscy są pewni, że jesteś kawałkiem materii bez czucia, którą można pokroić, wyjąć z niej wnętrzości, podmalować twarz pędzelkiem, wystawić na pokaz. Można wygadywać na temat „drogiego zmarłego” różne banały i głupstwa – on i tak nie usłyszy. A później zakopią cię w ziemi i będziesz tam leżał w nieskończoność, oglądał wieko trumny. Zmartwychwstania nie będzie.

Świeżo upieczony nieboszczyk najbardziej bał się jednak nie wiecznego mroku, ale kobiety ubranej na czarno. Stała u wezglowia. Zaraz urządzi przedstawienie, niepokoił się Erast Pietrowicz. Będzie malowniczo załamywała ręce, jęczała, plotła bzdury. Już lepiej niech go jak najprędzej zakopią.

I oto kobieta nachyliła się nad nim. Odsunęła z twarzy czarną woalkę.

Co za ulga! To nie Klara, lecz Saadat.

Oczy miała suche, spojrzenie uważne, tajemnicze. Szczupłymi palcami przesunęła po twarzy zmarłego – i jak gdyby zdjęła niewidzialną błonę. Skóra jęła oddychać, udało się poruszyć powiekami. Dotknęła dłonią piersi – i powrócił oddech.

Jeszcze, jeszcze! – błagał w myślach Fandorin. Jego ciało pożądało nowych czarodziejskich dotknięć, żeby się obudzić i wypełnić życiem.

Ale w tym momencie Masa jęknął i sen się urwał.

Erast Pietrowicz potrząsnął głową i odpędził wspomnienie nocnego przywidzenia.

– Z panią Walidbekową wszystko w porządku? Może pan przecież kiwnąć albo pokręcić głową.

Eunuch z pokłonem wręczył mu list.

A jednak nie uda się panu uniknąć mojej wdzięczności. Wiedząc, że jest pan człowiekiem szlachetnym, nie wątpię, że tajemnica pozostanie między nami. Zafar przyprowadzi pana tam, gdzie nikt nam nie przeszkodzi.

Bez podpisu. Nie był zresztą potrzebny. Fandorin poczuł lekki zapach znajomych korzennych perfum.

Patrzcie państwo, jaka ofiara w imię macierzyńskiej miłości! A cóż za ton!

Wyjął srebrny ołówek i prędko napisał na odwrocie:

Jestem pod wrażeniem Pani hojności, jednakże nie przywykłem przyjmować od kobiety tego rodzaju prezentów w ramach wdzięczności.

Pers wziął liścik, ale nie schował za koszulę, lecz podniósł do oczu.

Czyżby umiał czytać po rosyjsku?

Twarz eunucha, zawsze nieruchoma i beznamiętna, poruszyła się: brwi podjechały do góry, oczy się rozszerzyły, usta rozchyliły.

– Nie podoba się panu Saadat-chanum? – zapytał, jakby to było coś absolutnie nieprawdopodobnego. Głos miał drżący, z ostrym akcentem.

Umie czytać i mówić. Nie jest niemową, tylko osobą małomówną.

Fandorin spojrzał na niezwyklego mężczyznę jakby na nowo, bardzo uważnie. Kastraci wzbudzają bojaźliwy wstręt. Jak gdyby pozbawienie fizjologicznej męskości czyniło człowieka kimś gorszym. Jednakże kilka lat temu Erast Pietrowicz w trakcie pewnego śledztwa miał okazję poznać bliżej życie sekty skopców. I przekonał się, że w gruncie rzeczy owi ludzie są lepsi. W ogóle są inni.

– Pani Walidbekowa mi się podoba – odparł Fandorin, wahając się przez sekundę. – Nawet bardzo. Ale wiąże się z kobietą tylko wówczas, gdy zrodzi się wzajemny p-pociąg. W dodatku silny.

Wypowiedziawszy te słowa, zaczął mieć wątpliwości. Może wyraził się zbyt zawile?

Zafar również milczał.

– Jak Ziemia i Księżyc? – zapytał w końcu.

A jednak zrozumiał! Interesujący osobnik.

– Tak. Albo jak Ziemia i Słońce. Ponieważ istnieją dwa rodzaje przyciągania pomiędzy mężczyzną i kobietą: księżycowe i słoneczne.

Pers pokiwał głową w zamyśleniu, jak gdyby na znak zgody. Nie trzeba było niczego tłumaczyć.

– Zapamiętam to... – Pierwszy raz spojrzał Fandorinowi prosto w oczy. – W podziękowaniu za naukę coś panu powiem. Od kobiet, to wiadomo, a od eunuchów przyjmuje pan podziękowanie?

Ironizuje? A jak poprawnie się wyraża! Dziwny człowiek. Bardzo dziwny.

* * *

Do diabła z medytacją. To, co wyjawiał Zafar, radykalnie zmieniało obraz sytuacji. Okazała się ona na tyle niepokojąca, że Fandorin niezwłocznie skierował do ministerstwa depezę następującej treści:

„Sytuacja bardzo poważna. Konieczny natychmiastowy kontakt pominięciem zwykłych kanałów. Zatrzymałem się bakijskim hotelu National”.

Adresatem depezy był znajomy urzędnik do specjalnych poruczeń, który

doskonale wiedział, że jeśli Fandorin uważa sytuację za poważną, a nawet „bardzo poważną”, bez wątpienia dzieje się coś niezwykłego. „Z pominięciem zwykłych kanałów” dla pojętnego odbiorcy oznaczało, że nie można działać za pośrednictwem lokalnej policji, żandarmerii i Ochrony.

Znalezienie sposobu kontaktowania się to zmartwienie Petersburga. Nasza sprawa to nie tracić czasu.

Przy okazji Erastowi Pietrowiczowi wpadł do głowy ciekawy pomysł. Z tego samego telegrafu uzyskał międzynarodowe połączenie z jeszcze jednym znajomym, kancelistą w Korpusie Żandarmerii. Musiał zająć linię telefoniczną na ponad godzinę, co według zwariowanej bakijskiej taryfy słono kosztowało, jednak warto było wydać pieniądze. Jeszcze jeden fragment łamigłówek wskoczył na swoje miejsce.

Teraz Fandorin mógł przystąpić do działania, nawet nie czekając na odpowiedź z ministerstwa.

* * *

– Vay, Yumrubas! – Hasym się ucieszył. – Dobrze przyszedł! Siadaj. Akurat pilaw jem.

– Kiedykolwiek się do ciebie przyjdzie...

Erast Pietrowicz usiadł, wachlując się panamą. Sprawa była ważna i pilna, ale wschodnia etykieta nie dopuszczała pośpiechu. Uprzejmość nakazywała przynajmniej wypić filiżankę herbaty.

– Patrz. – Goczi z dumą pokazał połyskujący kindżał, który wisiał mu u pasa. – Ładnie, tak? Kiedy się najemy, rewolwery pokażę. Nikt takie nie ma. A co chanum podarowała tobie?

Demonstrowanie dobrych manier trwało już minutę, herbatę Fandorin podniósł do ust, a nawet skosztował. Więc chyba już można.

– Milcz i słuchaj – powiedział, nachylając się. – Nie wydało ci się dziwne, że kiedy podjechaliśmy pod klub, w środku nikogo nie było? Że cała szajka ukrywała się za deskami? I że otworzyli ogień bez uprzedzenia, jakby wiedzieli, kim jesteśmy?

Hasym rozłożył ręce:

– Trójnogi osioł głośno hałasował. Daleko słyhać. Na wszelki wypadek zrobili zasadzka. Ja też bym tak zrobił. A że strzelali bez pytania, też mi coś. W Baku zawsze najpierw strzelają, a dopiero później pytają.

– Ja też tak m-myślałem. Ale Zafar dotarł na miejsce przed nami. Cicho, niepostrzeżenie. Obszedł dom z tyłu. Podkradł się, zajrzał przez okna. Nikogo tam

nie było. Oni już siedzieli w zasadzce. Czekali na nas. Rozumiesz, co to znaczy?

– Nie. Nie rozumiem. – Goczi zmarszczył czoło. – Skąd wiedzieli?

– Od podpułkownika Szubina. Od kogóż by innego? Tylko on się orientował, że jedziemy do klubu, i to motocyklem. To dlatego porywacze otworzyli ogień bez uprzedzenia. Zaczekali, aż znajdziemy się w oświetlonym miejscu, pod żarówką, i zaczęli strzelać.

– Szubin?! – wykrzyknął oburzony Hasym. – Ty rozmawiał z psubrat Szubin?! Od niego o Bibi Ejbat się dowiedział, tak?

– Tak.

Nastąpiła sycząco-skrzeczająca tyrada – niewątpliwie jakieś tubylcze przekleństwo.

– Dlaczego mnie nie słuchał, Yumrubas? Z policja nie wolno robić układ! Szejtan ten twój Szubin! A ty nie jesteś Okrągły Głowa, ale Głupi Głowa, Uparty Głowa!

– Powiedziałem przecież: milcz i słuchaj. – Fandorin zrobił niecierpliwy gest. – Owszem, Szubin wysłał nas w pułapkę, na pewną ś-śmierć. Ale nie zginęliśmy. I teraz znowu mamy ślad. To zupełnie oczywiste, że nie tylko grupie chciwych nafciarzy zależy na rozszerzeniu strajku. Wszystko jest o wiele poważniejsze. Najbardziej wpływowy miejscowy naczelnik, właściwie włodarz miasta, który powinien dbać o porządek, robi coś odwrotnego: podsyca płomień. Z tego powodu nie waha się nawet popełnić przestępstwa. Jestem pewien, że Miesrop Artaszew nas okłamał. Osłaniał Szubina. Nie wierzę, że magnat, niepokojąc się o b-bratanka, wynajął szajkę anarchistów. Po co, kiedy ma pełno swoich zbirów? Poza tym nikt mnie nie śledził ani w Moskwie, ani później w podróży. Czułbym, gdyby mnie obserwowano. A mimo to Jednoręki wiedział, którym pociągiem przyjadę i w którym będę wagonie. Nie ma co się zastanawiać. Zdradzić tę informację mógł tylko oficer żandarmerii, który zamawiał bilety. Kogo mógł powiadomić? Swojego kolegę z żandarmerii, podpułkownika Szubina. To starzy znajomi...

Nasepione brwi Hasyma wskazywały, że goczi nie nadążał za biegiem myśli, możliwe też, że nie wszystko rozumiał, ponieważ Erast Pietrowicz mówił bardzo prędko. Ale swój wywód Fandorin przedstawiał głównie dla siebie. Była to „Klinga” w ustnym wykonaniu.

– Dlaczego Artaszew nie wspomniał o Szubinie, to w-wiadomo. Nie chce psuć relacji, boi się. Znacznie ciekawsze jest to, po co zastępcy gubernatora powszechny strajk? Nasuwa się tylko jedno racjonalne wytłumaczenie. Podpułkownik pozostaje w komitywie z rewolucjonistami. I to właśnie z Dzieciołem. Wtedy wszystko logicznie się układa. – Zakończywszy dedukcję, Fandorin przeszedł do rzeczy najważniejszej. Tej, z której powodu wysłał do Petersburga pilną depezę: –

Przywódca konspiratorów i najbardziej wpływowa osoba bakijskiej administracji działają ramię w ramię. To grozi katastrofalnymi następstwami. Jeśli wydobycie ropy zostanie całkowicie wstrzymane, może dojść do ogólnorosyjskiego kryzysu. Kraj nie przetrwa tylko na ropie z państwowego rurociągu.

Hasym zaczekał, aż Fandorin doda coś jeszcze. Po czym skonstatował jak zwykle:

– Jasne. Trzeba psubrat Szubin zabijać.

– Nie. Dowody mam poszlakowe, więc się wyprze. Trzeba go przycisnąć, żeby zaczął mówić. Muszę się d-dowiedzieć, co to za intryga się tu szykuje. Należy ujawnić brudne machinacje Szubina.

– Brud w Baku dużo. A jak psubrat Szubin przycisnąć, myśleć trzeba. – Oblizawszy tłusty od pilawu palec, Hasym z powagą przyłożył go do czoła. – Sam będę myśleć.

Po to właśnie do ciebie przyszedłem. Erast Pietrowicz wyczekująco spoglądał na wojowniczego towarzysza.

– D-długo będziesz myślał? Czas ucieka.

– Będę o Szubin ludzi pytać. Ludzie wszystko powiedzą.

– Dobrze. Znajdziesz mnie w szpitalu.

* * *

Tym razem Masa był przytomny. Na wpół siedział, na wpół leżał, obłożony poduszkami. Piersiasta siostra miłosierdzia troskliwie karmiła go bulionem. W pierwszej chwili Erast Pietrowicz zadrżał z radości. Później dostrzegł, że Japończyk z trudem otwiera usta, a na obfity biust, kołyszący się tuż przed jego nosem, nawet nie patrzy. Ta druga okoliczność wydała się Fandorinowi szczególnie niepokojąca.

– Siostra p-pozwoli. Sam go nakarmię.

Gdy tylko kobieta wyszła, Masa wypluł bulion z powrotem na talerz i zażądał:

– Niech pan opowiada! Ze wszystkimi szczegółami! Cały czas spałem i w snach byłem z panem. Później się budziłem i widziałem, że pana nie ma, więc płakałem i znowu zasypiałem.

Początkowo Erast Pietrowicz krótko przedstawił tylko najważniejsze wydarzenia. Ale podczas relacji w Masę zaczęło wstępować życie. Oczy mu rozblęły, policzki się zaróżowiły. Wówczas Fandorin zadbał o kolorystykę. Opisał płonące morze Bibi Ejbatu, wyścig po falach z osiemdziesięciokilometrową prędkością, potyczkę w podziemnej galerii.

– Umrę – smutno oznajmił Japończyk, wysłuchawszy opowieści.

– B-bzdura! Lekarz powiedział, że twój stan się poprawia!

– Nie umrę z powodu rany. Pęknie mi serce, bo tego wszystkiego nie widziałem...

Masa złożył ręce na piersiach jak nieboszczyk, zamknął oczy, a jego twarz przybrała taki woskowożółty odcień, że Fandorin przestraszył się i pobiegł po lekarza.

Ale w drzwiach zderzył się z Hasymem.

– Wszystko wiem – powiedział Hasym. – Gdzie teraz psubrat Szubin znaleźć wiem. Jedziemy, Yumrubas. Będziemy ją przyciskać.

Erast Pietrowicz go odepchnął.

– Nie teraz! Potrzebny lekarz! Masa umiera!

– Skoro umiera, to po co oczy wytrzeszcza? – zdziwił się goczi.

Masa rzeczywiście odwrócił głowę i ponuro spoglądał na Fandorina. Hasyma jakby nie zauważał, widocznie nie chciał patrzeć na szczęśliwego rywala.

– Chodźmy, Yumrubas. Po droga opowiem.

O nie, wtedy Masa na pewno umrze.

– Mów tutaj. Gdzie jest Szubin?

– Wieczór do Letnia Kasyno pojedzie. Ludzie mówią, co środa wieczór tam jeździ. Gra ruletka.

– Co środę? No cóż, pojedziemy i my. Dawno już nie grałem w koło fortuny – w zamyśleniu rzekł Erast Pietrowicz. – Sądząc z użycia rodzaju żeńskiego, k-kasyno nie budzi twojej sympatii?

– Szejtan twoja kasyno! Wszystkie pieniądze mi odebrała, kindzał odebrała, gazyry były czyste srebro, też odebrała! Tfu!

– W takim razie ty nie będziesz grał.

Hasym podejrzliwie zmrużył oczy.

– A co będę robić?

Fandorin krótko wyjaśnił. Plan został opracowany z łatwością, bez żadnego *Nikki*.

– Ja nie bardzo zrozumiał, tak? – Hasym zmarszczył kosmate brwi.

– Szczegóły wyjaśnię na miejscu, kiedy się rozejrzę. – Erast Pietrowicz go uspokoił i odwrócił się do rannego. – Odpoczywaj, Masa. Nabieraj sił. Muszę się p-przygotować do dzisiejszego wieczoru.

Japończyk mrugnął, strąsając z rzes łzę.

– Nigdy nikomu nie zazdrościłem, zawsze byłem zadowolony ze swojej karmy. Ale temu tępakowi bardzo zazdroścę. Zmuszam się do powiedzenia mu czegoś miłego i nie mogę. Niech pan idzie i nie martwi się o mnie. Nie umrę, dopóki pan nie wróci. Inaczej jak się dowiem, czym się wszystko skończyło?

* * *

W hotelu portier Katieczkin oznajmił:

– Był do pana telefon z Petersburga. Od niejakiego Iłariona Konstantinowicza, nazwiska nie podał. Prosił, żeby się pan z nim skontaktował, o, na ten numer.

Był to ów wzmiankowany urzędnik do specjalnych poruczeń. Karteczkę z numerem Erast Pietrowicz wsunął do kieszeni. Nigdzie oczywiście nie zamierzał dzwonić. Różni osobnicy podsłuchują międzynarodowe rozmowy w bakijskiej centrali telefonicznej. Szubin niedawno pokazał, w jak zażyłych stosunkach jest z miejscowymi telefonistami.

Katieczkin zniżył głos:

– I jeszcze ten jegomość, bardzo solidny, poprosił mnie, żebym mu natychmiast przekazał, gdy tylko pan się pokaże...

– Tego akurat nie warto robić. – Na ladzie zjawił się czerwony banknot. – I w ogóle, ktokolwiek by dz-dzwonił, niech pan wszystkim mówi, że mnie nie ma.

Żadnych rozmów telefonicznych. Niech wymyślą coś lepszego. Szczerze mówiąc, Fandorin nie za bardzo chciał się teraz wdawać w wyjaśnienia z Petersburgiem. Po rozmowie z Szubinem zdobędzie większą pewność, na razie ma same podejrzenia.

Erast Pietrowicz zachował wszelkie środki ostrożności. Gdy znalazł się w pokoju, nie rozsunął zasłon, tylko je nieco uchylił i popatrzył przez szparę.

A to ciekawe! Na dachu domu naprzeciwko coś błysnęło. Gdy szedł ulicą, nikt go nie śledził, a teraz jakiś osobnik spogląda przez lornetkę. Albo może przez celownik optyczny. Zauważył go?

Fandorin płynnie odsunął się od okna.

Kto zlecił obserwację? Szubin? Dziękuję!

Tak czy inaczej polowanie na myśliwego ruszyło na nowo.

Zabrzącał telefon.

Sprawdza, czy jestem u siebie? Czy jednak mnie dostrzegł? Dlaczego portier połączył, miał przecież odsyłać wszystkich z kwitkiem?

Zawahawszy się jedną czy dwie sekundy, Erast Pietrowicz podniósł słuchawkę. Jeśli ten, kto go obserwował, zauważył w pokoju ruch, nie może nie reagować.

– Pokojówka Fiedotowa – zapiszczał wstrętym głosikiem. Dawno nie miał okazji udawać kobiety.

Mężczyzna z lekkim akcentem spytał:

– Zastałem pana Fandorina?

– Niestety nie. Ja tutaj sprzątam.

To nie jest kaukaski akcent.

– Dziwne. Poszedł do siebie na górę.

Niemiecki albo nadbałtycki. Wśród bolszewików jest dużo Łotyszów.

– Nie wiem. Widocznie jego wielmożność zatrzymali się na kołytarzu, zaraz przyjdą. Co im przekazać?

– ...Nie. Zadzwonię znowu.

Wygląda na to, że niepotrzebnie dałem Katieczkinowi dziesięć rubli. Ktoś płaci więcej. Albo stymuluje innymi środkami...

Erast Pietrowicz przebrał się w strój wieczorowy – wbrew swoim przyzwyczajeniom – bardzo prędko. Na ulicę wyszedł tylnym wyjściem.

To nic. Do wieczora posiedzę w jakiejś kawiarni. A gdy tylko dopadnę pana podpułkownika, życie od razu stanie się mniej tajemnicze.

* * *

W wesołym mieście Baku oprócz głównego kasyna, mieszczącego się w przepięknym pałacu wzniesionym na wzór monakijskiego, było jeszcze kasyno letnie, równie wspaniałe. Naprzeciwko bulwaru Nadmorskiego stał na słupach, zwrócony ku morzu, cudowny drewniany pałacyk z wieżyczkami – miejskie kąpielisko. W dzień wykorzystywano go jako kąpielisko dla „czystych” mieszkańców, natomiast wieczorami w głównej sali gromadzili się miłośnicy hazardu. Tutaj, nad wodą, nie czuło się upalnego oddechu południowego wiatru zwanego gilawarem, przez otwarte okna dmuchała świeża bryza, a dźwięki skrzypiec i waltorni zlewały się z pluskiem fal.

Erast Pietrowicz długo przechadzał się nabrzeżem, przyglądając się czarodziejskiemu zamkowi podobnemu do mirażu – tak leciuchno szybował, błyskając światłami, groźny i ponętny, między ciemnoniebieskim niebem i czarnym mieniącym się morzem.

Czekoladowy russo-bałt Szubina stał zaparkowany pośród innych samochodów i powozów. Szofera nie było. A zatem podpułkownik prowadzi samochód sam – to znakomicie.

Z parkingu Fandorin zajrzał jeszcze na przystań dla łodzi, wypalił tam cygaro. I dopiero potem leniwym krokiem bogatego próżniaka ruszył długim drewnianym pomostem w stronę wejścia do jaskini hazardu. W kasie, gdzie wymieniano żetony, nieodwołalnie wcielając się w rolę, gwizdnął:

– A jednak!

Na drobne się tu nie rozmieniano. Najtańszy żeton, czerwony, był pięciorublowy, niebieski kosztował dziesięć rubli, a żółty dwadzieścia pięć. Goście

przeważnie brali niebieskie i żółte. Fandorin miał przy sobie trzy setki, pieniądze nie do pogardzenia, ale dwaj mężczyźni przed nim wymienili jeden pięć tysięcy, drugi piętnaście.

– Ja dzisiaj skromnie – wyjaśnił zakłopotany Erast Pietrowicz (a raczej grana przezeń postać) kasjerowi.

– Zapraszam do szatni – niezbyt uprzejmie odparł tamten.

Z prawej strony ustawiała się nieduża kolejka do okienka z wywieszką „Szatnia”, co ze względu na letnią porę było dziwne. Wzruszywszy ramionami, Fandorin chciał minąć tłumek, ale w tej samej chwili zaczepił go niewysoki człowieczek o zmiętej twarzy, na której chorobliwym blaskiem płonęły przekrwione czarne oczy.

– Nigdy tu pana nie widywałem – powiedział nieznajomy, zdejmując kapelusz i przy pochlebnie się uśmiechając. – Pierwszy raz raczył pan do nas zawitać?

– Owszem.

– Mogę pana oprowadzić. Podpowiedzieć, przestrzec, wyjaśnić.

Znajomy typ. Kręcą się tacy przy domach gry na całym świecie. Są alkoholicy, są opiumiści i kokainiści, a to przykład innej choroby, zwanej hazardem.

– Proszę łaskawego pana o czerwony żetonik, to mi w zupełności wystarczy.

Cicerone nie powinien raczej przeszkadzać.

– Jeśli będę zadowolony, dostanie pan żółty – przyobiegał Fandorin, a mężczyzna się rozpromienił.

– Nie rozczaruję pana!

– Jak się pan nazywa?

– Proszę mi mówić Juszka.

Erast Pietrowicz się skrzywił.

– Niechże się pan przedstawi jakoś poważniej.

– Bywały czasy, kiedy nazywano mnie Jusufem Abdurrahmanowiczem, a nawet Jusuf-agą. Jeśli koło fortuny się odwróci, zażądam, żeby znowu zwracano się do mnie z należyty szacunkiem, a na razie Juszka i na ty, na więcej nie zasługuję.

Natręt złożył unizony ukłon. Nie ośmielił się spytać o nazwisko dobroczyńcy.

– No cóż, więc niech pan mnie prowadzi do jaskini zła.

Juszka delikatnie, dwoma palcami, przytrzymał go za rękaw.

– Muszę uprzedzić, że jeśli ma pan przy sobie broń, trzeba ją zdać. Inaczej przy wejściu pana zawrócą. Ochroniarze są tu otrzaskani, specjalnie wyszkoleni.

Dopiero teraz Fandorin zauważył, że szatniarz odbiera od gości nie laski czy kapelusze, ale kindżały, pistolety i rewolwery.

– To Baku. – Przewodnik powtórzył wyświechtane lokalne powiedzonko. – Ludzie są porywczy. Może dojść do zabójstwa. W tej sali już niejeden palnął sobie

w łeb.

Przed pretensjonalnym wejściem dwaj zręczni młodzieńcy wyczyniali dłońmi jakieś wygibasy, jakby zdejmowali miarę brzuchatemu jegomościowi w miejscowym stroju. Po ruchach widać, że to mistrzowie rewizji. Chyba trzeba będzie oddać webleya. Niewielkiego derringera przymocowanego z tyłu do pasa również. Ci spece znajdują.

Może i dobrze. Ułatwi to zadanie.

– Od razu poznać solidnego człowieka. – Juszka pochwalił derringera. – Dwa pistolety to zawsze lepiej niż jeden. Nie miałyby pan ochoty najpierw się trochę przejść?

– Miałbym.

Erast Pietrowicz wolno ruszył przez przestronną salę, gdzie grano chyba we wszystkie istniejące gry hazardowe od nardów do pokera, ale większość stołów była przeznaczona do ruletki. Papierosowy dym unosił się ku żyrandolom, na podeście rzewnie śpiewały skrzypce, kelnerzy roznosili wino i przystawki. Było tu nie mniej niż sto osób.

Wszystko to pięknie, ale gdzie się podziewa nasz niebieski mundur?

Przewodnik przesuwiał się bokiem przed siebie, nie milknąc ani na chwilę.

– Proszę zwrócić uwagę. – Pokazał ręką szczupłego osobnika sterczącego za plecami graczy. – Tutejsza osobliwość. W spadku po ojcu dostał miliony i wszystko przepuścił. Zamierzał ze sobą skończyć. Za ostatnie ruble urządził bankiet pożegnalny. Tam podszedł doń przyjaciel zmarłego ojca i przekazał mu zapieczętowaną kopertę. Młodzieniec otwiera – w środku list od rodzica. Tak i tak, pisze tatuś, wiem, łotrze, że po mojej śmierci cały majątek przeputasz. Pał cię diabli, mnie wszystko jedno. Ale masz się podporządkować ojcowskiej woli. Nie waż się do siebie strzelać. Powieś się na żyrandolu w moim gabinecie, gdzie harując jak wół, zarobiłem miliony, które ty roztrwonileś. Syn tak właśnie postąpił. Zarzucił sznur, zeskoczył z krzesła, a żyrandol bach, i się urwał. Po czym spod sztukaterii wylatuje worek z czerwonoćmi! Ojczulek chciał dać synowi nauczki z tamtego świata, żeby się opamiętał i nie robił głupstw.

– I co dalej? – z ciekawością zapytał Fandorin.

– Nie pomogło. Czerwonońce też przegrał. Teraz tak jak ja. Chodzi po prośbie.

Płynność narracji dowodziła, że cicerone nie po raz pierwszy snuje opowieść i pewnie trochę zmyśla. Chociaż nieuleczalnym hazardzistom przytrafiają się nie takie rzeczy.

– A niech no pan spojrzy na tego – tchnął Fandorinowi w samo ucho Juszka, machnąwszy dłonią w kierunku sennego jegomości, który przesunął po stole stos żółtych żetonów ze słowami „wszystko na zero” i ziewnął. – Martirosian,

największy stawiacz słupów^[15]!

– Kto?

– Stawiacz słupów to też swego rodzaju gracz. Tyle że nie obstawia numerów w grze, ale ziemię. Kupuje za bezcen działki i czeka. A nuż obok znajdą ropę? Martirosian był nikim, pracował na poczcie. Pewnego dnia wygrał na loterii pięćset rubli i kupił jedną dziesięcinę nieurodzajnej, położonej z dala od kopalni pustyni. Nagle ktoś się pojawia i proponuje tysiąc. Martirosian już chciał się zgodzić, ale coś mu się w nabywcy nie spodobało. Kazał mu przyjść nazajutrz. A sam pobiegł na zwiady. Okazało się, że niedaleko zaczynają wiercić. To powoduje, że cena wzrasta co najmniej dziesięciokrotnie. Ale Martirosian nie sprzedał nawet za pięć tysięcy. U sąsiadów trysnęła ropa. Za dziesięcinę od razu zaczęto dawać sto dwadzieścia tysięcy. A on znowu odmówił! – Juszka spoglądał na ospałego gracza z zachwytem. – Oto co znaczy mieć nosa! Martirosian sprzedał dopiero wtedy, kiedy na samej granicy jego działki wybiła fontanna. Za półtora miliona! Połowę przeznaczył na kupno tysiąca nowych działek i czeka na klientów, a drugą połowę wydaje dla przyjemności...

– Ciekawe – przyznał Erast Pietrowicz, myśląc, że i on mógłby chyba zagrać w taką grę. Ale sama myśl o ropie przyprawiła go o zawrót głowy, a w ustach poczuł wstrętny smak oleju.

– Stary pajak Rafałow. – Przewodnik pokazał szacownego staruszka drzemiącego w fotelu przy ścianie. – Słyszał pan kiedyś o hazardowych sępach? Ten jest największym drapieźnikiem. Nigdy nie gra, po prostu sobie siedzi. Jeśli ktoś zgra się do suchej nitki, a nie chce wyjść, bo oszalał na punkcie hazardu, Rafałow proponuje pożyczkę na zawrotny procent albo pod zastaw nieruchomości. W bufecie zawsze dyżuruje jego notariusz...

Przy jednym ze stołów zapanował zgiełk. Ktoś tam głośno żądał szampana, ktoś wołał: „Nie! Boże, nie!”.

Szacowny starzec natychmiast otworzył jedno oko, żółte i okrągłe jak u sowy.

Ale przewodnik prowadził Fandorina dalej.

– Spójrzmy w lewo. Widzi pan pod palmą jegomością z zapadniętym nosem? Bardzo zajmująca postać, niejaki Szuntikow. Zaskłynął z tego, że...

Ale z czego zaskłynął niejaki Szuntikow, Erast Pietrowicz się nie dowiedział. W najdalszym kącie sali, na obwiedzionym balustradą podwyższeniu połyskiwała znajoma malinowa łysina. Szubin był dzisiaj ubrany po cywilnemu, toteż Fandorin nie zauważył go z daleka.

– Dziękuję panu. Wystarczy. Ma pan tu złoty... – Przy najbliższym stoliku akurat skończyło się obstawianie. – A zresztą, sam za pana postawię.

Nie patrząc, Fandorin rzucił dwudziestopięciorublowy żeton na pole gry i ruszył w kierunku Szubina.

– Za pozwoleniem, ja zawsze stawiam na czarne! – wrzasnął z tyłu Juszka. – Krupier, żądam zmiany!

– Jak pan sobie życzy. Przesuwam z 23 na czarne. *Les jeux sont faits!*^[16]

Erast Pietrowicz dłużej nie zaprzętał sobie głowy dawnym Jusufem Abdurrahmanowiczem. Stał przy balustradzie, zamierzając zaczekać, aż Szubin sam go zauważy, i zobaczyć, jak zareaguje, zanim zdąży zapanować nad mimiką.

Podpułkownik zaciągał się papierosem i wodził palcem po brzegu kielicha z koniakiem. Dziwne, ale przy stole nie było innych graczy.

– Gdzie pan sobie życzy? – zapytał krupier.

Szubin pchnął paznokciem stosik sześciu żółtych żetonów.

– Sam nie wiem. Na osiemnastkę?

W tym momencie krupier wykonał nie całkiem zrozumiałą manipulację. Jeden żeton starannie odsunął z powrotem.

– Raczył pan się pomylić, Timofieju Timofiejewiczu.

– Naprawdę? – Na grubym policzku pojawiła się fałdka. Zastępca gubernatora się uśmiechnął.

Koło ruszyło. Kulka wpadła do przegródki z numerem 18.

Erast Pietrowicz poruszył brwiami, a krupier powiedział:

– Gratuluję. Miał pan szczęście. Na dziś chyba już wystarczy?

Pytanie w ustach pracownika kasyna brzmiało dziwnie.

Nagle Szubinowi drgnęła powieka. Dyniowata głowa się zakołysała. Mężczyzna zauważył Fandorina.

Reakcja była taka, jak należało się spodziewać. Skurcz mięśni wokół oczu, odruchowe zaciśnięcie dłoni. Zgodnie z zasadami psychofizjologii oznaczało to nieprzyjemną niespodziankę, sygnał niebezpieczeństwa.

Kot wie, czyje zjadł mięso. Jest winien, nie ulega kwestii!

Jowialny uśmiech rozjaśnił pulchną twarz Timofieja Timofiejewicza.

– Cóż za cudowna niespodzianka! Przyznaję, że się o pana martwiłem. Policja znalazła rano koło klubu kutrowego motocykl należący do urzędu gubernatora i trzy martwe ciała z ranami postrzałowymi. Wszyscy zachodzą w głowę, co się tam mogło wydarzyć.

Nie przykłada się do swojej historyjki. Wie, że nie uda mu się wyprzeć.

Erast Pietrowicz usiadł i wysypał na zielone sukno swoje żetony.

– Zagramy?

Oczy podpułkownika zwęziły się. Już się nie uśmiechał.

– Z przyjemnością. Stawiam... na drugą tercję. – Wymowne spojrzenie na krupiera. Tamten kiwnął głową z rezygnacją. Zniżywszy głos Szubin zapytał: – Czym zakończyła się pańska nocna wyprawa?

Fandorin nie patrzył na koło fortuny, ale ręka sama sięgnęła do drugiego rzędu cyfr. Poczł stamtąd przyciąganie. Trzy żetony znalazły się na siódemce, trzy na ósemce i trzy na dziewiątce. Dokładniej Erast Pietrowicz się nie określił, jako że całą uwagę skoncentrował na rozmówcy.

– Koniec obstawiania! – oznajmił krupier i zakręcił kołem.

– Z-znakomicie. A teraz niech pan odejdzie od stołu. Musimy porozmawiać.

– Ale... Rozkaz.

Nie wytrzymał spojrzenia Fandorina, krupier się cofnął. Wzruszył przy tym ramionami z przepraszącą miną. Gest adresowany był do Szubina, ale tamten spoglądał na Erasta Pietrowicza.

– Przecież pan i tak wie, czym zakończyła się moja w-wyprawa.

W oczach podpułkownika zamigotały szydercze iskierki.

– Tak pan sądzi? Ciekawe. A zatem spotkanie jest nieprzypadkowe. Domyślam się, że nasza rozmowa nie będzie łatwa?

Jest przekonany, że nie ma się czego obawiać. Albo lubi ostre spięcia. Skoro tak, trzeba zachować wzmożoną ostrożność.

Serce Erasta Pietrowicza zaczęło bić nieco szybciej. On też miał słabość do ryzykownych sytuacji.

– Siedem! – zakomunikował krupier. – Łaskawy pan wygrał.

Odliczył i przesunął łopatką spory stos żetonów, a sztony Szubina zabrał.

– Gdzie pan teraz sobie życzy?

Fandorin się podniósł.

– Proszę oddać wygraną o, tamtemu panu. Jestem mu d-dłużny.

Wskazał kanapę, na której, z głową objętą dłońmi, siedział nieszczęsny Jusza.

Nie powiesiłby się z tego powodu, że zabrał żeton z dwudziestki trójki. Ale ja będę się czuł winny, pomyślał Fandorin.

– Chodźmy na świeże powietrze, porozmawiamy – zaproponował Erast Pietrowicz podpułkownikowi. – Zdaje się, że jest tutaj wspaniała odkryta weranda.

Tamten również się podniósł.

– Z przyjemnością.

Nawet nie kłamię. Naprawdę idzie z przyjemnością. A zatem trzeba nie tylko podwoić, ale potroić ostrożność.

Na odkrytym podeście, zwróconym w stronę słabo widocznego w ciemności morskiego horyzontu, nie było żywej duszy. Fale szemrały i kędzierzawiły się białymi kosmykami, a chłodny, słony wiaterek owiewał twarz.

– M-może, o tutaj...

Fandorin stanął tyłem do Szubina, oparł się łokciami o poręcz. Zamknął oczy, żeby go wzrok nie rozpraszał i nie odwracał uwagi od ruchów przeciwnika.

– Tutejszy k-krupier nieźle operuje nogą. – Pstryknął zapałką, zapalił cygaro. – Czyżby miał tam pedał?

– Licho go wie – mruknął Timofiej Timofiejewicz. – Nigdy się nie interesowałem. Ale wiem, że szczęście dopisuje mi w kasynie tylko w środy. Wyłącznie przy tym stole. I w granicach określonej kwoty. To Baku.

Trochę się rozluźnił. Myśli, że zamierzam rozmawiać o korupcji. Czas na atak!

– Ze Spiridonowem, zmarłym komendantem cesarskiej ochrony, pracował pan w warszawskim urzędzie żandarmerii w d-dziewięćset siódmym. – Erast Pietrowicz strząsnął z cygara czerwoną iskierkę. – A później nagle odsunięto pana od obowiązków i zesłano do Baku, na peryferie imperium. Powinienem był wcześniej porównać pańską kartę przebiegu służby z kartą Spiridonowa. Coś was poróżniło? Zapałaliście do siebie nienawiścią?

Znowu się sprężył, ale nie zanadto. Nie rozumie, do czego zmierzam? A może jest pewien, że trzyma w ręku wszystkie asy?

– Na Spiridonowa wielu ostrzyło sobie zęby. Był skończonym łotrem. Niech się smaży w piekle. A właściwie dlaczego pan pyta?

Natarcie!

– W gruncie rzeczy z-zapytałem o to, bo Dziecioł sprzątnął Spiridonowa na pańską prośbę. Może nawet na pański rozkaz? Kto dla kogo pracuje: Dziecioł dla pana czy pan dla niego? Zasadzka w klubie kutrowym czyim była pomysłem?

Obleśny chichot.

Cóż to za nagła wesołość? Dziwne.

– Zabawny z pana człowiek, Fandorin.

– Naprawdę? Czym pana tak rozśmieszyłem?

– Odwrócił się pan plecami. Myśli pan, że zaraz zacznę pana dusić albo, co byłoby jeszcze bardziej dramatyczne, spychać do wody? Ale ja pańską biografią też się zainteresowałem, tak jak pan moją. Wiem, że jest pan mistrzem podstępnej japońskiej walki. Nie będę się narażał na cięgi.

Nie wyszło. Nazbyt rozgarnięty. Erast Pietrowicz otworzył oczy i odwrócił się przodem.

Timofiej Timofiejewicz szczyrzył zęby. Ręce złożył na piersi. Zgodnie ze sztuką gestykulacji to wyzywająca poza.

Im dalej, tym ciekawiej.

– Sądząc z pańskich słów, nie zamierza się pan w-wypierać?

– Z tak przenikliwym człowiekiem nie ma sensu. Kiedy idioci w klubie

kutrowym nie poradzili sobie z prostą sprawą, zrozumiałem, że między panem a mną dojdzie do wyjaśnień. Z przyjemnością porozmawiam bez ogródek. Raz na sto lat! Bo ciągle prowadzę monolog z samym sobą, wokół sami kretyni. Niedługo zwariuję. A kim będę, gdy stracę rozum? Zwyczajnym grubasem z chorą wątrobą i poranną zgagą.

– Rozumu panu nie brakuje, to pewne – rzekł Fandorin, z ciekawością przyglądając się oponentowi.

– I zawsze tak było, od najmłodszych lat. – Szubin udał, że nie zauważył ironii.

To rodzaj gry w kotka i myszkę. Każdy jest pewien, że to on jest kotem. Mrucz sobie, kotku, mrucz.

– Tak, zawsze byłem bystry. Ale prawdziwego rozumu nabrałem dzięki ropie. Nauczyłem się prostej prawdy: nie trzeba bać się brudu i smrodu. Soki ziemi są czarne, tłuste i cuchnące, ale na kogo trysną fontanną, wysmarują od stóp do głów, ten jest pomazańcem bożym. Kiedy zesłano mnie tu z europejskiej Rosji, myślałem, że to koniec, po marzeniach. Że zginę w tym błocie. Jednakże Baku to nie błoto, ale rosyjskie eldorado. Najlepsze miejsce w całym imperium! Po pierwsze krążą tu ogromne pieniądze; nigdzie indziej takich nie ma. Po drugie wschodnie tradycje są bardzo użyteczne dla mądrego człowieka sprawującego władzę. Po trzecie w tym tyglu rozmaitych organizacji rewolucyjnych ścierających się ze sobą otwierają się znakomite możliwości kariery... – Timofiej Timofiejewicz słodko się uśmiechnął i zapytał: – Która godzina? Mój zegarek stanął.

Kłamie. Po co? Aha, nie chce wyjmować dłoni spod pachy. Trzyma w niej pistolet. To dlatego jest taki spokojny. Wie, że nie wpuściliby mnie tu z bronią, a pana podpułkownika nikt oczywiście nie ośmielił się zrewidować. Ale dlaczego nie strzela? Po co zagaduje? To jest mi na rękę, ale na co on czeka?

– Jedenasta pięćdziesiąt sześć... Proszę powiedzieć, do czego panu potrzebny powszechny s-strajk? Kiedy kopalnie ostatecznie staną, z Petersburga polecą gromy. Będzie pan potrzebował kozłów ofiarnych.

– Ma się rozumieć, że będzie głośno! Polecą nie tylko gromy, ale i błyskawice! – Timofiej Timofiejewicz mówił coraz prędzej, jakby się bał, że nie zdąży wszystkiego powiedzieć. – Ale trafią nie we mnie. Kim ja jestem? Zwykłą płotką. Zdejmą gubernatora. A kogo mianują na zwolnione miejsce? Pańskiego pokornego sługę, kogóż by innego. Nowa miotła nie wiadomo kiedy tu zjedzie i wątpię, czy się połapie w tutejszych sprawach. W stolicy na pewno zdadzą sobie z tego sprawę. A ja, proszę. Meldowałem, sygnalizowałem, dostarczałem raporty. – Podpułkownik roześmiał się, ale jego oczy pozostały nieruchome. – Artaszew i inne grube ryby mają mnie za popychadło. No cóż, niech się bogacą. Dzięki ich łasce i mnie coś skapnie. Ale prawdę mówiąc, ile człowiekowi potrzeba pieniędzy? – W głosie

Szubina zabrzmiała nutka poruszenia.

Najwyższa gotowość! Zaraz będzie strzelał!

– Na starość, mój drogi, i tak się zabezpieczyłem. Pora pomyśleć o wzniosłych sprawach. Nie o duszę mi chodzi. – Podpułkownik się skrzywił. – Żadnej duszy nie ma. Mówię o wzlocie myśli. Jeśli robić karierę, to dużą, z olbrzymim rozmachem. Kto potrafił wzniecić ten strajk, ten również potrafi go przerwać. Już dawno przygotowałem raport dla Jego Wysokości, jak sprawić, żeby burzliwe Zakaukazie stało się ciche i spokojne. Tyle że teraz nie ma sensu go składać. Myślałby kto, jakiś Szubin-Paltiszkin-Kacawiejkin. Upchną do szuflady. Ale gdy uratuję ojczyznę, zwrócę imperium ropę, wtedy co innego. Wygląda na to, że wybuchnie wielka wojna. Od ropy, nafty, benzyny, oleju smarowego bardzo wiele będzie zależało. Kto zapewni porządek na Kaukazie? No, namiestnikiem raczej mnie nie zrobią. Ale powierzą sferę policyjną, to całkiem realne. Niech stary hrabia Woroncowa służy za parawan. Prawdziwym gospodarzem Kaukazu będę ja!

W kasynie zagrzmiała brawurowa muzyka. Grano *Odę do radości*.

– Zbliża się północ. – Szubin obliznął się jak kot. – Dziękuję, że pan mnie wysłuchał. Po raz pierwszy głośno się wypowiedziałem. To wielka przyjemność. Co pan sądzi o moim marzeniu?

– Wspaniale – przyznał Fandorin.

Zaraz strzeli. Dlaczego zwlekał do północy?

Prawa ręka podpułkownika lekko się poruszyła. Ale niespodziewanie gruchnęły strzały w sali. Cała salwa, donośna i potężna. Jakby kompania żołnierzy otworzyła ogień.

Erast Pietrowicz odruchowo odwrócił się w tamtą stronę. A gdy znowu spojrział na Szubina, w jego dłoni – nie w prawej, lecz w lewej – matowo połyskiwał rewolwer.

– Oddaję salwę szampanem. Tradycja! – zawołał wśród huku Timofiej Timofiejewicz, pękając ze śmiechu. – Adieu!

Z kanonadą korków złał się jeszcze jeden trzask – w środku nie sposób go było usłyszeć.

Podpułkownik wrzasnął, chwytając się za przestrelony nadgarstek, i zgiął się wpół.

– Huraaa!!! – zakrzyknęło kasyno.

Ale minęła północ, butelki więcej nie strzelały, krzyki ucichły, a Szubin wciąż wrzeszczał.

– Niech pan tak nie h-hałasuje. Zaraz dam panu znieczulenie.

Podszedłszy, Fandorin wymierzył krótkie uderzenie od dołu, w nasadę nosa. Zastępca gubernatora runął ciężko, niczym ogłuszony byk.

– Ej, gdzie się podziałeś? – zawołał Erast Pietrowicz.

Balustrada zatrzeszczała. Wynurzywszy się z ciemności, Hasym z sapaniem forsował poręcz. Schował dymiący jeszcze rewolwer.

– Vay, długo rozmawiali. Ja zmarzł na kość.

– Dlaczego jesteś mokry? Dotarłeś wpław? Przecież powiedziałem: łódką.

– Jest łódka. Tam. – Goczi pokazał w dół. – Tutaj po słup włąził. Spadł. Prawie czapka utopił. Słuchaj, zimno, kiedy mokry na wiatr siedzieć! Czemu psubrat Szubin wcześniej nie strzelała? Gadatliwa jak baba!

Fandorin ścisnął przestrzeloną dłoń Szubina opaską, żeby ranny się nie wykrwawił.

– Teraz trzeba go opuścić na dół. Niech to d-diabli, ależ ciężki. Chwyćmy z dwóch stron.

Hasym odsunął Erasta Pietrowicza.

– Ech, ja ładowacz był, dziesięć pud biegiem nosił.

Dźwignął olbrzymią tuszę, zaniósł nad samą krawędź i – Fandorin krzyknął – przerzucił przez poręcz. Z dołu dobiegł donośny plusk.

– Zwariowałeś?! Jest mi potrzebny żywy!

– Tłusta nie tonie. Góra płynie. Zabiorę, w łódka kładę. Tam będę. – Hasym pokazał w stronę przystani dla łodzi.

Szybkim krokiem, niepokojąc się o zdobycz, Erast Pietrowicz podążył przez salę. Kelnerzy tłoczyli się wokół jakiegoś mężczyzny, który wykonywał dziwne, gwałtowne ruchy. W chwili gdy wybuchnął śmiechem, nad głowami trysnęła fontanna szampana.

– Wykąpię wszystkich! Chodźcie się odświeżyć!

– Jusuf-aga, może zamówi pan Dom Pérignon? Jusufie Abdurrahmanowiczu, niech pan pozwoli, wyczyszczę panu trzewik, bo się zabrudził! – Jeden przez drugiego krzyczeli pracownicy kasyna.

Fandorin zabrał broń z szatni i minął kasę.

– To nic, łaskawy panie. Następnym razem się poszczęści – życzliwie odezwał się wymieniacz pieniędzy.

– Z pewnością.

* * *

Łódka łagodnie kołysała się pod pomostem. W czarnej wodzie migotały refleksy świateł. Z kasyna dobiegała przytłumiona muzyka, z nabrzeża głosy spacerowiczów, którzy wałęsali się po esplanadzie i rozkoszowali nocnym chłodem.

Erast Pietrowicz siedział na przystani, zwiesiwszy nogi nad wodą. Z przyjemnością palił cygaro. Był w znakomitym nastroju. Druga część rozmowy z Szubinem układała się jeszcze ciekawiej niż pierwsza.

Mokry podpułkownik tkwił na dole, na dnie łódki, ściśnięty pomiędzy nogami Hasyma. Zastępca gubernatora już się nie mądrzył, nie przechwalał. Spoglądał z dołu smętnie, jak przemoczony kot. Gładko odpowiadał na pytania. Jeśli się zająknął, otrzymywał orzeźwiający uderzenie ręką po łysinie.

– Pytanie pierwsze. Jednoręki Chaczatur wykonywał pańskie rozkazy?

– Tak.

– O moim przyjeździe dowiedział się pan od pułkownika Piestruchina?

– Od niego.

– Ale on nie uczestniczy w pańskich... projektach?

– Nie. Po co miałbym się dzielić?

– Dlaczego postanowił pan mnie zabić? Z powodu Spiridonowa?

Pauza. Pacnięcie. Krzyk.

– Tak. Bałem się, że znajdzie pan Dziećcioła – prędko wyjaśnił Szubin. – A on powie, że Spiridonowa zabito na moje polecenie.

Erast Pietrowicz z satysfakcją kiwnął głową. Dedukcja okazała się słuszna.

– Na razie to jeszcze nie były pytania. Jak pan widzi, odpowiedzi znałem i bez pana. A teraz zadam prawdziwe pytanie: Gdzie znaleźć Dziećcioła?

Podpułkownik milczał. Oberwał po głowie, stęknął, ale i tak nie śpieszył się z odpowiedzią.

– Niech pan nie próbuje się t-targować – uprzedził Fandorin, domyślając się przyczyny milczenia. – Żadnych warunków. Albo zaprowadzi nas pan do Dziećcioła, albo...

Erast Pietrowicz nie dokończył. Niech sam pomyśli, niech użyje siły wyobraźni.

Z wyobraźnią Timofiej Timofiejewicz raczej nie miał problemów.

– Wiem, gdzie jest Dziećcioł. Można go schwytać choćby zaraz.

– Więc gdzie?

– W Czarnym Mieście. Ale beze mnie go nie znajdziecie. Pokażę drogę.

Zbyt szybko się poddał. Coś knuje. Albo to pułapka, albo odkłada negocjacje na potem. Tak czy inaczej, niech pokazuje.

– Niech pan nie sądzi, że kombinuję – powiedział Szubin, jakby podsłuchiwał. – Nie przysporzę panu więcej problemów. Doskonale zrozumiałem, z kim mam do czynienia. Wszystko będzie tak, jak pan chce. Zaprowadzę pana do Dziećcioła, schwyta go pan, a później porozmawiamy i może się dogadamy.

Spróbuj mnie kupić. Osobnicy jego pokroju twardo wierzą, że na świecie nie ma ludzi nieprzekupnych, że wszystko jest kwestią ceny.

Erast Pietrowicz odpowiedział, jednak bez nadmiernej kategoryczności, żeby nie pozbawiać informatora nadziei:

– Niech pan na to specjalnie nie liczy.

* * *

W drogę udali się russo-baltem. Za kierownicą Erast Pietrowicz, obok właściciel, z tyłu Hasym, który od czasu do czasu poszturchiwał podpułkownika w plecy koniuszkiem swojego wspaniałego kindżału. Zresztą Szubin zachowywał się jak grzeczne dziecko. Sumiennie informował, gdzie skręcić, popatrywał przymilnie. Coś tu nie pasowało. Z doświadczenia Fandorin wiedział, że tego rodzaju osobnicy nie kapitulują bezwarunkowo.

No cóż, zobaczymy...

W Czarnym Mieście, na głuchej uliczce zabudowanej barakami, automobil przejechał przez tłum nietrzeźwych robotników. Ktoś kopnął oponę, potem rozległ się gwizd, w kierunku auta poleciał kij.

– Strajkują. – Szubin się obejrzał. – Mają za co wypić. Towarzysze rewolucjoniści zapewniają proletariacką solidarność. Ciężko będzie zagonić tę hołotę z powrotem do szybów i hal.

A więc na to liczy. Na indulgencję grzechów w zamian za przerwanie strajku. No to niech się w tej sprawie dogaduje z Petersburgiem. Komendanta pałacowej policji mu nie wybaczą. Chociaż dowodów nie ma. Chyba że Dzięcioł złoży zeznania. Sądząc z tego, co o nim wiadomo, to mało prawdopodobne.

– Jest pan absolutnie pewien, że on jest tam sam? – już po raz któryś z rzędu zapytał Fandorin.

– Absolutnie. Nikomu nie ufa.

– Więc skąd pan wie, g-gdzie się ukrywa?

Podpułkownik odpowiedział, robiąc zboląłą minę i układając wygodniej ranną rękę:

– Wiem o wszystkim, co dzieje się w mieście... Teraz w lewo. Nie, lepiej zatrzymać się tutaj. Odgłos silnika wzbudzi czujność Dzięcioła. Nocą samochód osobowy nie ma czego szukać w tej okolicy.

Rada była słuszna. Erast Pietrowicz wyłączył silnik.

– Hasym, weź go za łokieć. Przytrzymaj mocno.

Za zakrętem ciągnęła się nad podziw czysta ulica z jednakowymi schludnymi domkami. Żadnego dźwięku ani światła.

– Spółka Branobel zbudowała wzorcową dzielnicę dla wykwalifikowanych robotników. Gdy zaczął się strajk, wszystkich przepędzono na cztery wiatry,

dlatego Dziecioł właśnie tu się ukrywa. O tam, na samym końcu.

Rzeczywiście, jeśli się przyjrzeć, można było zobaczyć w oknie jednego z domków słabe światło.

Na wszelki wypadek Fandorin postanowił udzielić podpułkownikowi ostatniej rady.

– Nie ukrywam, że mam chęć pana zabić. I to sporą. Przy najmniejszej prowokacji z pańskiej strony, przy każdym podejrzanym ruchu...

– Niech pan nie traci niepotrzebnie czasu. – Szubin się skrzywił. – Miałbym ryzykować życie z powodu jakiegoś ptaka? Bodajby go licho wzięło! Byłoby oczywiście niezłe, gdyby stawiał opór, a pan by go ukatrupił... – Żandarm westchnął marzycielsko. – To by mi odpowiadało. Ale proszę się nie martwić, do niczego nie będę się wtrącał. Niech pan jak najprędzej załatwi sprawę i jedziemy do szpitala. Ręka okropnie mnie boli.

Na pustej ulicy było cicho, ale w okolicy już nie. Jakieś ochryple głosy wywrzaskiwały bezładną pieśń. Gdzieś dalej powietrze rozdarły wściekłe krzyki i coś załomotało – chyba wszczęto jakąś bójkę. Od czasu do czasu to tu, to tam rozlegały się strzały.

– Czarne Miasto, ziemia obiecana. – Szubin pokręcił głową. – Nigdy nie byłem tu nocą. I mam nadzieję, że więcej nie będę musiał.

Zostawiwszy jeńca pod opieką goczi, Erast Pietrowicz bezgłośnie przekradł się pod okno.

Przez szczelinę między zasłonkami widać było skromnie umeblowany pokój.

Na łóżku, zarzuciwszy ręce pod głowę, leżał mężczyzna. Palił papierosa. Jego twarz tonęła w cieniu. Na szafce nocnej paliła się przykryta serwetką lampa.

A cóż to tam jest pod gazetą? Jasne... A co to za skrzynia z podniesionym wiekiem w kącie?

– Na szafce leży nagan, ale to drobiazg – szeptem relacjonował Fandorin minutę później. – Pod ścianą stoi skrzynia z g-granatami. To gorsza sprawa. Ty, Hasym, masz odciąć Dziecioła od skrzyni. Ja spróbuję dopaść go jeszcze na łóżku, ale jeśli nie zdążę, może wystrzelić w kierunku granatów. Tego bym bardzo nie chciał.

– W granaty nie wolno. Ja stanę, we mnie trafi – obiecał Hasym. – Kula to nic. Granaty, *aman*.

Erast Pietrowicz odwrócił się w stronę Szubina.

– Nie zostawię tu pana samego. Wbiega pan zaraz za nami. I nie wtrąca się. Jeśli zostanie pan z tyłu albo spróbuje się ukryć... Hasym!

– Zastrzelę psubrat – krótko odrzekł goczi.

Szubin westchnął i nic nie powiedział.

– Hasym, na trzy wyłamuj drzwi i od razu do skrzyni – szepnął Fandorin. –

Zapamiętaj: Dzieciół jest mój.

– Wszystko najlepszy sobie bierze – warknął gocchi. – Dobra, mów „trzy”.

– Raz, dwa, TRZY!

Potężne uderzenie.

Drzwi wpadły do środka.

Wyprzedziwszy Hasyma, Erast Pietrowicz rzucił się do łóżka.

Szubin, jak grzeczne dziecko, wbiegł za nimi i stanął.

Leżący mężczyzna szarpnął się, ale Fandorin zdążył strącić nagan razem z gazetą na podłogę.

Szczupła twarz wykrzywiona złością. Wyszczzerzone zęby, szalone oczy. Żadnego podobieństwa do starej fotografii z dossier, chyba tylko włosy jasnoblonde. Tak, życie mocno zmieniło dawnego miłującego wolność studenta.

Dzieciół zachował się nietypowo. Nie schylił się po broń, nie spróbował uderzyć napastnika. Przewrócił szafkę na Fandorina. Rzucił się ku ścianie, po drodze odpychając nieruchawego Hasyma, wyszarpnął ze skrzyni granat i chwycił zawleczkę.

– Hasym! – zawołał Erast Pietrowicz, widząc, że nie zdąży.

Błysnął kindżał – raz za razem.

Ochrypły krzyk. Na podłogę upadła dłoń jednej, a zaraz potem drugiej ręki. Trysnęły dwa strumienie krwi. Granat z niewyciągniętą zawleczką potoczył się po podłodze.

Fandorin przywykł do różnych rzeczy, a mimo to zdrętwiał. Ruchy Hasyma były niezgrabne. Strzelał celnie, choć nie należał do szybkich. Ale kindżałem operował tak, że pozazdrościłby mu mistrz *kenjutsu*.

Mężczyzna bez dłoni, przyciskając do piersi kikuty i rżąc okropnie, runął w najdalszy kąt pokoju – widocznie z bólu i przerażenia nie wiedział, co robi.

A jednak wiedział!

W rogu, prawie niewidoczne w półmroku, znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Dzieciół pchnął je ramieniem i zniknął za nimi.

W tym momencie wydarzyła się jeszcze jedna niespodzianka – teraz w ogóle wszystko szło na opak.

– Tak się nie umawialiśmy! – zawołał ustępliwy aż do tej chwili Szubin.

Nachylił się, zdrową ręką podniósł nagan, który zupełnie nie w porę upadł mu pod nogi, i dwukrotnie strzelił: do Fandorina i do Hasyma.

Zbawienna umiejętność wyczuwania niebezpieczeństwa skórą zmusiła Erasta Pietrowicza do pochylecia się w chwili strzału. Kula bzyknęła mu koło ucha. Ale gocchi, który stał bokiem do podpułkownika, jęknął, zachwiał się i chwycił za brzuch.

Nie było wyjścia. Fandorin wyciągnął webleya, nie przestając „kręcić karuzeli”, to znaczy wykonywać gwałtownych, nieuporządkowanych ruchów, które utrudniały przeciwnikowi celowanie.

Szubin postanowił jednak nie kusić losu. Z wprawą zdumiewającą przy tak pokaźnej masie ciała odwrócił się i wyskoczył przez okno, wybijając szybę razem z ramą.

– Hasym, gdzie dostałeś? W brzuch?

Goczi oglądał zakrwawioną dłoń.

– Przez sadło przeszła jak rozeń. Dziurka w ścianie zrobiła. Ej, gdzie psubrat Szubin? Zabijać chcę! – Twarz goczi pociemniała z gniewu.

Rana była styczna. Niegroźna.

– Ty swój Dziecioł doganiaj. Ja psubrat Szubin chcę!

Odepchnąwszy Erasta Pietrowicza, Hasym pognał z łoskotem przez pokój.

– Postaraj się żywcem! – krzyknął Fandorin i pobiegł ku drzwiom, w których piętnaście sekund wcześniej zniknął Dziecioł.

Ciemny korytarz.

W prawo?

Nie, tam jest kuchnia.

W lewo?

Tak, tutaj.

Wyjście na podwórze. Furtka.

Za nią jeszcze jedna ulica, taka sama.

Ale księżyc skrył się za niewielką chmurą, światło przygasło.

Erast Pietrowicz zaklął, po czym zacisnął powieki i jął masować gałki oczne. Na gwałt potrzebował nocnego widzenia. Człowiek z takimi ranami daleko nie ucieknie, ale należy go jak najprędzej znaleźć i założyć opaski, zanim się wykrwawi. Nieboszczycy nie odpowiadają na pytania.

Na sąsiedniej ulicy rozległy się strzały: nagan, smith-wesson Hasyma, znowu nagan, znowu smith-wesson. Strzelanina stopniowo się oddalała.

Wreszcie pół minuty niezbędnej do adaptacji wzroku minęło. Doliczywszy do trzydziestu, Fandorin otworzył oczy i zaklął po raz kolejny. Okazuje się, że podczas gdy on tracił czas, znowu wyjrzał księżyc. Na ziemi wyraźnie widniały plamy krwi. Erast Pietrowicz puścił się biegiem, patrząc pod nogi.

Po jakichś stu metrach ślady zniknęły. Fandorin nie od razu to zauważył. Grunt był tu zupełnie ciemny, przesiąknięty ropą i mazutem. Musiał zawrócić przy świetle latarki.

Okazało się, że krople skręciły w bok, w przesmyk pomiędzy dwoma ogrodzeniami. Tam właśnie, przy przewróconym dziurawym korycie leżał twarzą

do ziemi męczyzna z rozrzuconymi, pozbawionymi dłońmi rękami. Był nieprzytomny. Erast Pietrowicz zbadał mu puls i pojął, że nic się nie da zrobić. Serce lada chwila stanie. Mimo wszystko spróbował. Przewiązał kikuty, nacisnął punkt u podstawy nosa, później wymierzył punktowe uderzenie w mostek, żeby zmusić serce do pracy. Na próżno. Oddech ustał.

– Yumrubas! Ej, Yumrubas! – nawoływał gdzieś niedaleko potężny głos.

– Jestem tutaj! – Fandorin wyprostował się, wycierając dłonie chustką.

– Dogoniłeś Szubina?

– Nie dogoniłem, psubrat prędko biegała.

– Pozwoliłeś mu uciec?!

– Czemu pozwolił? Kula dogonił. Ja żywcem chciałem, słowo honoru. – Hasym się poprawił. – Nie, kłamać nie będę. Nie chciałem żywcem. Ale bardzo się starałem. Nie wyszło.

– U mnie też nie lepiej – ponuro rzekł Erast Pietrowicz, świecąc latarką w dół. – N-naciesz się. No cóż... Przyprawdę samochód, załadujemy ciała. I zabierzemy dłonie.

– Dłonie po co? – Hasym się zdziwił.

– Do daktyloskopii. Porównam odciski palców.

Ale w tym samym momencie Erast Pietrowicz przypomniał sobie, że nie ma z czym porównywać. Odcięte dłonie nic nie dadzą, ponieważ dossier Odyseusza-Dzięcioła nie zawiera odcisków palców. Podczas jedyne go, dawnego aresztowania w policji nie było jeszcze wydziału daktyloskopii.

Jak zwykle po zwycięstwie nad szczególnie trudnym wrogiem opadły go zmęczenie i poczucie pustki.

Fandorin zapalił cygaro.

Stało się. Polowanie na Odyseusza skończone.

Rozmowa z diabłem

Męczyzna, którego Fandorin uważał za martwego i nawet zasmucił się jego śmiercią, znajdował się w tym czasie niedaleko osiedla robotniczego towarzystwa Branobel.

Kartkował księgę buchalteryjną gęsto zapisaną cyframi.

U góry strony kupiecką ozdobną cyrylicą wydrukowano „2 (15) lipca, środa”. Później ciągnęła się zwyczajna tabela rachunkowa składająca się z trzech kolumn. W lewej, gdzie zapisuje się nazwę operacji finansowej, symbol towaru i temu podobne, znajdował się długi wykaz przedsiębiorstw naftowych, oznaczonych nazwiskiem właściciela albo dyrektora. W środkowej, gdzie zwykle wpisuje się debet, widniały cyfry – liczba robotników. W prawej, kredytowej, również były cyfry – liczba strajkujących. Jeśli wskaźniki środkowej

i prawej kolumny mniej więcej się zgadzały, mężczyzna stawiał plus, jeśli pojawiała się znaczna różnica – minus. W kilku miejscach z prawej strony pyszniło się zero w towarzystwie grubego wykrzyknika.

Wyglądało to tak:

...
Branobel	10.450	9200 +
Rothschild	7650	4300 -
Mantaszew	3100	3100 +
Tagijew	2550	2550 +
Artaszew	4100	4100 +
Asadułajew	2800	2800 +
Walidbekowa	90	0 !
Putiłow	3730	2200 -
...

Skończywszy dzienny bilans, rachmistrz zerknął na zegarek. Kilka dni temu dostał dzięki protekcji posadę, której nie zamieniłby na żadną inną na świecie. Dzisiaj po raz pierwszy miał iść na nocną zmianę, jednak zostało jeszcze trochę czasu.

Mężczyzna w zamyśleniu zmrużył oczy, spoglądając w kąt ciasnego pokoiku. Na wieszaku wisiał tam płaszcz przeciwdeszczowy. Lekko się zakołysał w przeciagu, jakby wzruszał ramionami.

– Jak leci? – zapytał diabeł. – Po staremu?

– Sprawa dobiega końca. – Mężczyzna bezgłośnie poruszył ustami. Uśmiechnął się. – A ty miałeś wątpliwości.

– Jestem pod wrażeniem i nawet zdjąłbym kapelusz, gdyby nie wisiał na osobnym haczyku. Co, brachu, już niebawem?

– Pozostało dogadać się z eserami w kwestii flotylli i z Gruzinami w sprawie kolei. Wtedy nie będzie miało znaczenia, czy wszystkie szyby staną.

Diabeł zainteresował się niby to z szacunkiem, ale w pytaniu pobrzmiwała nutka złośliwości:

– Czyli że wszystko przewidziałeś i wszystko masz pod kontrolą? Główna sztuczka nie zawiedzie? A jeśli polowanie nie wypali?

– Wypali. Czasu jest dość.

– A nie nazbyt dość? – zadał pytanie rozmówca, pod względem gramatycznym nie całkiem poprawne, ale gdzie jest powiedziane, że diabły mają obowiązek doskonale znać język rosyjski?

– Jasny gwint... – Mężczyzna zmierzwił sobie włosy, zmarszczył brwi i jął bębnić palcami po stole. I nagle zwymyślał diabła, który niczemu nie był winien: – A żeby cię pokreć! Słusznie! Może zrobić pa, pa! Teraz będzie miał w nosie! Ach, ty koźle rogaty! Nie przewidziałeś!

– No i masz diabie kaftan, jeszcze to moja wina! – dobiegło z kąta utyskiwanie, ale mężczyzna tylko machnął dłonią. Gorączkowo się zastanawiał.

Zresztą diabeł nie był obraźliwy.

– Potrzebny jest *divertissement* – wyszeptał. – Coś miłego, pomysłowego, ale stuprocentowego.

– Masz rację. – Mężczyzna się uśmiechnął, a nawet roześmiał (również bezgłośnie). I powiedział, rymując: – Nudzić się nie damy. Dopiero się rozkręcimy...

Fandorin się zatrzymuje

Oprócz diabła i jego gburowatego rozmówcy, a także Erasta Pietrowicza, w tej samej chwili rozmyślaniom na tematy myśliwskie oddawała się jeszcze jedna osoba.

Saadat siedziała zasepiona na miękkich skórzanych poduszkach powozu i z każdą minutą była coraz bardziej poirytowana. Łowy zanadto się przeciągały. Żeby tylko nie trzeba było wracać z pustymi rękami.

Początkowo noc wydawała się przyjemnie chłodna. Później Saadat w swoim lekkim stroju zaczęła marznąć. Dobrze, że zapobiegliwy Zafar przechowywał pod siedzeniem pled. Teraz Saadat się weń owinęła.

Była wstrząśnięta i urażona, kiedy obdarzony jej względami Fandorin zupełnie niespodziewanie odmówił przyjęcia po odbiór podziękowania. Przy czym zdumienie było silniejsze niż obraza.

Jakieś czary czy co?

Moskwianin z pewnością nie należy do tchórzy, to rzecz sprawdzona. KobiECE wdzięki nie są mu obojętne, bo kiedy jedli kolację, zlustrował ją od stóp do głów spojrzeniem, które nie było bezczelne, ale było całkiem niedwuznaczne. Z żoną się rozstał i sądząc z zebranych informacji, ani trochę za nią nie tęskni, wprost przeciwnie. Więc o co tu może chodzić?

Zafar przekazał jej jakieś bzdury na temat braku wzajemnego przyciągania. Ale Saadat Walidbekowa dobrze się uczyła w gimnazjum, a najlepsze wyniki miała z nauk przyrodniczych. Ciała niebieskie nie przyciągają się z jednakową siłą. To Słońce ciągnie do siebie Ziemię, a Ziemia Księżyc. Zawsze ktoś ciągnie, a inny się opiera. Ktoś jest myśliwym, a ktoś zwierzyną.

Zachodnie kobiety lubią być zwierzyną. Rozkładają skrzydła i wydają krzyk, ale prawie nigdy nie przechodzą do ataku. Jeśli zdarza im się polować na mężczyzn, to na wzór drapieżnego tropikalnego kwiatu, który rozchyła płatki, roztacza nęcącą woń, a kiedy pszczołka albo motylek usiądzie – chaps!

Na Wschodzie jest inaczej. Do Saadat nikt nigdy się nie zalecał, nikt nie domagał się wzajemności. We wczesnej młodości dziewczyny czujnie strzeżono, za życia małżonka oznaki uwagi ze strony obcych mężczyzn były nie do pomyślenia, a w stanie wdowieńskim Saadat zachowywała się tak powściągliwie, że nikomu nie przyszłoby do głowy oblegać tę nieprzystępną

twierdzą.

Niech szejtan porwie męskie umizgi! Lubiła polować sama, wybierać zdobycz według własnego upodobania. Osiemdziesiąt siedem trofeów wisiało na ścianach wyimaginowanego pokoju myśliwskiego na najbardziej widocznym miejscu, niczym jelenie poroże o dwunastu odnogach. Numer dwadzieścia dziewięć (oooch!). I nagle masz ci los: zwierz numer osiemdziesiąt osiem ani myśli wejść do zagrody. Musi być chyba jakiś powód.

Wczoraj portier hotelu „National” uprzejmie przeczytał jej dwa telegramy, które przysłano na nazwisko Fandorina, ale jeszcze nie zostały mu doręczone (uprzejmość kosztowała niedrogo, dwadzieścia pięć rubli). Saadat się zaniepokoiła.

Oba telegramy nadeszły z Sankt Petersburga.

„Pilnie przyjeżdżaj. Emma”. „Niezwłocznie telegrafuj o wyjeździe. Czekam. Emma”.

Oto i on – powód. Nazywa się Emma.

Kim jest owa rywalka, skoro przyćmiła samą Klarę Łunną? Pewnie Niemką. Złotowłosą, o obfitych kształtach, mleczonej cerze, z dołeczkami w policzkach, dręczyła się Saadat, wyobrażając sobie swoje całkowite przeciwieństwo. Wszelako poważna konkurencja tylko dopinguje prawdziwego przedsiębiorcę, Emma miała zaś jedną poważną wadę. Tkwiła na dalekiej północy, a Saadat była na miejscu, tuż obok.

Portier zdradził jeszcze, że do gościa urywają się telefony z austriackiego konsulatu. I ciągle pytają o niego jacyś ludzie. A pan Fandorin wpadł w ciągu dnia na minutkę i od tej pory się nie pojawił.

Ogólnie rzecz biorąc, sytuacja się wyjaśniła. Mężczyzna ma mnóstwo spraw plus tęskniącą Emmę z jej niemiecką miłością. To oczywiste, że nie w głowie mu teraz Saadat Walidbekowa i jej wdzięczność.

Ale kobieta taka jak Saadat nie może się pogodzić z tym, że nie jest potrzebna mężczyźnie, którego ona potrzebuje. Jak postąpiłby dzygit zakochany w niedostępnej pannie? Przerzuciłby ją przez siodło i zabrał w góry. Tak właśnie postanowiła zrobić Saadat. To dlatego którąś z rzędu godzinę marzła koło obmierzłego hotelu „National”. Niebawem noc się skończy, a Fandorina wciąż nie ma! Gdzie go dziny noszą?

Artaszew zwrócił uprowadzonego delaunaya-belleville’a jeszcze wczoraj, ale Saadat powiedziała sobie, że nie jest w stanie nim jeździć. Wspomnienie krzyku Turala było przerażające, poza tym w aucie zabito biednego Franza. Dopóki nie miała nowego samochodu, korzystała z powozu.

Dwa białe turkmeńskie wałachy (para kosztowała piętnaście tysięcy, drożej niż jakikolwiek delaunay) drzemały na stojąco, poruszając zgrabnymi uszami.

Na koźle w nasuniętym na twarz cylindrze posapywał Zafar. Był w stroju stangreta.

Nagle eunuch uniósł głowę. Kilka sekund później Saadat usłyszała stuk obcasów na bruku. Ktoś nieśpiesznie zbliżał się od strony Starego Miasta. Rozpoznała kroki, zsunęła się niżej, żeby nie było jej widać zza skórzanego fartucha powozu.

– Dżib, dżib, dżib – wyszeptała, co znaczyło „cip, cip, cip”.

Gdy spóźniony hulaka zrównał się z powozem, Saadat powiedziała półgłosem:

– Jak pan mógł? – Zamarł. Obrócił się. – Jak pan mógł tak mnie poniżyć? – Głos jej zadrżał. – Miał pan czelność wyobrazać sobie, że moja wdzięczność oznacza... to, co pan pomyślał?!

Mężczyzna zdjął panamę. Wcisnął ją z powrotem na głowę. Odkaslnął.

Zmieszał się, to dobrze. Saadat roześmiała się w duchu, ale w oczach posłusznie pokazały się cudowne duże łzy – oczy zabłysły jak u rusalki. Koniec, ptaszek wpadł. Stój, nie wydostaniesz się z sideł. Nie wypuszczę cię za nic na świecie.

– Przepraszam... – Zdobycz zabeczwała jak koza. – Ale co miałem p-pomyśleć?

– Widocznie przywykł pan mieć do czynienia z bezwstydnicami, z pożądliwymi rozpustnicami Zachodu! Boże, jakże pan mnie obraził! – Saadat zakryła twarz dłońmi, demonstrując kształtne nadgarstki i obnażone łokcie. – Czyżbym kiedykolwiek swoim zachowaniem albo choć jednym spojrzeniem dała panu powód?

Fandorin całkiem się spłoszył.

– Nie! Oczywiście, że nie... Ale list... K-kiedy w Europie kobieta pisze t-taki list... Proszę wybaczyć, na miłość b-boską! Co mam zrobić, żeby mi pani w-wybaczyła?

– Niech pan wsiada. – Saadat majestatycznym gestem wskazała siedzenie obok siebie.

Wsiadł potulnie jak baranek. Nie śmiał się opierać po tym, jak wyrządził taki okropny afront dumnej kobiecie Wschodu.

Nie czekając na polecenie, Zafar poruszył lejcami. Wyszkolone wałachy ocknęły się, powóz potoczył się płynnie. Przerzucony przez siodło i uwożony w niewiadomym kierunku elegant nawet nie pisnął.

Do miłosnego gniazdka było niedaleko. Fandorin usiłował się tłumaczyć, zadawał pytania, ale Saadat milczała jak zaklęta i nie odwracała głowy. Niech się napawa profilem i wdycha zapach ambry, który pobudza nawet bezsilnych starców.

Posłusznie niczym baranek ofiarny, już o nic nie pytając, uprowadzony mężczyzna wszedł do domu.

W sypialni Zafar poczynił wszystkie rutynowe przygotowania. Umiejętne połączenie półmroku i sprytnie zainstalowanego dolnego oświetlenia, intensywny zapach róż, szczelnie zaciągnięte zasłony w oknach (wschodu słońca na razie nie

potrzebujemy).

Przed niszą zasłaniającą łożę Saadat się zatrzymała. Dłonie złożyła na piersiach w niezłomnym geście, brwi zmarszczyła surowo. Na ramionach nadal miała pled zwisający do podłogi.

Fandorin zastygł przed nią w nieszczęśliwej, skruszonej pozie.

– Powtarzam pytanie – dźwięcznym głosem odezwała się Saadat. – Uważa pan nas, kobiety Wschodu, za takie same pożądliwe rozpustnice jak te wasze Europejki?

– Nie, ależ skąd!

– I słusznie – rzekła groźnie. – Europejskie kobiety nie dorastają nam do pięt.

Pled upadł na kobierzec. Pod nim Saadat miała narzutkę z delikatnego, mieniącego się jedwabiu. Gdy pociągnęła za tasiemkę, narzutka się ześlizgnęła. Przy świetle dwóch lamp sączącym się z dołu (sprawdzone) figura prezentowała się najbardziej korzystnie, a ciało wydawało się wyrzeźbione z alabastru.

W tym samym czasie Zafar przesunął niewielką dzwignię w sąsiednim pokoju i za plecami Saadat wolno rozsunęła się zasłona. Ukazało się łożo całe obsypane płatkami róż.

Zdobycz zachwiała się, przeszyta strzałą. Sama weszła do rąk.

W pierwszej chwili Saadat jak zwykle próbowała stwierdzić, czy nowy numer dorównuje niezapomnianemu dwudziestemu dziewiątemu (ooch!).

Dystans prędko się kurczył, później w ogóle znikł. W przerwie pomiędzy namiętnymi objęciami, ciężko dysząc, Saadat powiedziała sobie: „To pewne, że osiemdziesiąty ósmy nie ustępuje dwudziestemu dziewiątemu. Trudno porównywać, ponieważ jest zupełnie inaczej – ale nie, w żadnym razie nie ustępuje”.

Później wszystko zaczęło się od początku i już nie wspominała, nie porównywała, nie myślała. Zdolność rozumowania, która chyba po raz pierwszy w życiu ulotniła się na pewien czas, powróciła nieprędko.

Osiemdziesiąty ósmy zdążył do tego czasu zasnąć. Saadat, przeciwnie, jakby się obudziła ze snu. Gładziła ukochanego (jego głowa leżała na jej piersi) po odrastających włosach, które łaskotały ją w palce, i przekonywała samą siebie, że w danym wypadku niekoniecznie należy przestrzegać żelaznej zasady jednego jedyne spotkania. Przecież tu od początku wszystko przebiegało niezgodnie z zasadami. Nie musiała długo się przekonywać.

Zafar czuwał na swoim posterunku: podpatrywał, podsłuchiwał. Na znak pani (palec opisał w powietrzu wstępującą spiralę) rozsunął zasłony w oknach i do sypialni wpłynął różowy brzask.

„Ma...” – wymamrotał śpiący mężczyzna, niespokojnie się poruszając.

Czy przypadkiem nie chodzi o Emmę?

Błogi spokój prysnął. Saadat surowo potarła nos kochanka.

Otworzyły się oczy, niebieskie. Bez włosów Fandorin wyglądał lepiej. Odmłodził i stał się podobny do księcia Gosztaspa z *Szahname* – w dzieciństwie Saadat miała książkę ze wspaniałymi miniaturami. W jakim on jednak może być wieku? Czterdzieści, czterdzieści pięć lat? Zupełnie nic o nim nie wiem, pomyślała i okropnie się zdziwiła. Nie dlatego, że nic nie wie o kochanku nr 88, ale dlatego, że chce wiedzieć o nim wszystko.

– Ile miałeś kobiet? – zapytała. – Jasne, że dużo. Ale ile?

– W jakim s-sensie? – Niebieskie oczy zamrugwały. – Nie liczyłem.

– Tak dużo, że straciłeś rachubę?!

Fandorin uniósł się, zmrużył oczy przed ostrymi ukośnymi promieniami. Powiódł dłonią po twarzy.

– Wszyscy mężczyźni prowadzą rachubę swoich podbojów. To żadna tajemnica – naciskała Saadat. – Więc mnie nie oszukuj. Ile?

– Nie prowadziłem księgowości. Ważne są tylko kobiety, po których w duszy zostaje ślad. Takich było niewiele.

Ciepłej, pomyślała Saadat. Zaraz cię, kochanie, zdemaskuję.

– Dobrze. Jak się nazywały te, które zostawiły w twojej duszy ślad? Możesz nie wyliczać wszystkich. Wymień przynajmniej ostatnią.

– P-po co? – Fandorin się nachmurzył.

– Sama zgadnę. My, kobiety Wschodu, posiadamy dar jasnowidzenia. – Podniosła oczy do sufitu, przymykając powieki. – Słyszę literę „E”... Imię zaczyna się na „E”.

Fandorin wzruszył ramionami. Nie zrobiło to na nim wrażenia.

– No tak, moja b-była żona dawniej nie nazywała się Klara, ale Eliza. Wszyscy o tym wiedzą.

– Nie, nie chodzi o Elizę. To inne imię. – Kilka mistycznych wywijasów dłonią w powietrzu. – Emma! Kobieta ma na imię Emma!

Saadat wbiła w Erasta Pietrowicza wzrok.

Ach! Twarz mu się zmieniła. Przebiegł po niej cień. Nie była to skrucha, lecz raczej niepokój. Z takim wyrazem twarzy nie wspomina się tej, którą się namiętnie kocha.

Saadat roześmiała się i odchyliła na poduszki.

– Chce mi się spać! – powiedziała. – O Allachu, ależ jestem zmęczona.

* * *

Emma! Oto kto powinien był skontaktować się ze mną po depeszy. Dziwne, że to nie nastąpiło. Telefony do hotelu od urzędnika do specjalnych poruczeń to niepoważne zachowanie.

Pod delikatnym kobiecym imieniem w tajnej korespondencji zaszyfrowany był Emmanuel Karłowicz de Saint-Estèphe, dyrektor departamentu policji. Pilny telegram od Fandorina w pierwszej kolejności bez wątpienia trafił do niego i zanim nadano mu dalszy bieg, pan dyrektor powinien był wyjaśnić, co się stało. Jednakże z jakiegoś powodu tego nie zrobił.

Oczarowany zdumiewającą kobietą (podobnej nigdy wcześniej nie spotkał i nie podejrzewał, że takie bywają), Erast Pietrowicz na kilka godzin zapomniał i o uciętych dłoniach, i o zagrożeniu dla państwa, zagrożeniu, które wraz ze śmiercią Odyseusza bynajmniej nie zniknęło. Strajk trwa, a miejsce wyeliminowanego organizatora z pewnością zajmie ktoś inny.

Imię Emmy przypomniało Fandorinowi o ważnych sprawach. Najwyraźniej będzie musiał jeszcze raz skontaktować się z Petersburgiem. Im prędzej, tym lepiej.

– G-głupiec ze mnie, że poprzednio odmówiłem takiego daru wdzięczności – powiedział Fandorin, całując damę w rękę. – Bardzo żałuję, że nasze rachunki są teraz wyrównane i nie wypada mi liczyć na ciąg dalszy...

Wypowiedź można było interpretować zarówno jako twierdzenie, jak i pytanie. Intonacja dopuszczała oba wytłumaczenia. Decyzja należała do pani Walidbekowej.

– Teraz masz u mnie dług, i to baaardzo duży – odrzekła, podstawiając do pocałunku nadgarstek, łokieć, ramię. – Nigdy żadnemu mężczyźnie nie oddawałam jeszcze tak wiele. – Saadat leniwie się przeciągnęła, podobna do lwicy, która właśnie spałaszowała bawołu albo nawet całą żyrafę. – Ale widzę, że wzywają cię pilne sprawy. Idź, a ja się prześpię. Wieczorem wpadnij znowu. Zastanowimy się, jak spłacisz dług.

* * *

Sprawy państwowe są ważne, ale nie ważniejsze od obowiązku przyjaźni. Dlatego Erast Pietrowicz najpierw zajrzał do szpitala, żeby opowiedzieć Masie o zakończeniu polowania.

– Zniewaga została zmyta krwią, a pański honor przywrócony – uroczyście podsumował Japończyk. – Teraz mogę spokojnie umrzeć.

Jednakże dzisiaj wyglądał lepiej. Lekarz oznajmił, że za jakiś tydzień, jeśli nie

nastąpi pogorszenie, będzie można przewieźć pacjenta do Moskwy. Bakijski upał nie służy gojeniu ran w płucach.

Fandorin nie przejął się przymusową zwłoką. Po pierwsze nie może wyjechać, dopóki bezpieczeństwo państwa jest zagrożone. A po drugie...

Hm. Te myśli lepiej odłożyć do wieczora, inaczej nie dam rady skoncentrować się na pracy.

W drodze do hotelu, w lekko kołyszącym się na resorach wolancie, Erast Pietrowicz przejrzał nagłówki gazet. W ciągu minionej doby do strajku przyłączyło się jeszcze osiem tysięcy osób. Wydobycie ropy w czerwcu wyniosło jedną czwartą eksploatacji majowej. Kryzys bałkański przybiera coraz bardziej niepokojący obrót. Wiarygodne źródła informują, że Wiedeń przygotowuje dla Serbii jakieś ultimatum. Berlin i Petersburg wymieniają się telegramami, zapewniając się wzajemnie o pokojowych zamiarach. To niedobry znak. Na giełdach światowych panuje panika.

Mimo wszystko muszę się spotkać z konsulem austriackim, pomyślał Fandorin. Poinformować o losie Franza Kaunitza, a zarazem wysondować nastrój agenta. Jeśli otrzymał od rządu jakieś nadzwyczajne instrukcje, będą o tym świadczyły setki różnych oznak. Na bezpośrednie pytania pan Lüst nie udzieli oczywiście odpowiedzi, ale istnieje cała nauka pozwalająca rozszyfrować intonację, mimikę, mowę ciała. Szef siatki wywiadowczej, któremu nakazano zastosować procedury obowiązujące w przededniu wojny, będzie się zachowywał zupełnie inaczej niż szpieg w czasach pokoju.

W recepcji czekały aż dwa telegramy od „Emmy”, które przyszły jeszcze wczoraj, w dwugodzinnym odstępie czasu.

Dobrze. Nie ma jednak sensu pędzić do Petersburga. To tylko strata czasu.

Erast Pietrowicz kazał niezwłocznie, przez telefon, wysłać odpowiedź telegraficzną: „Niech pan sam przyjedzie, i to jak najprędzej. Proszę się zatrzymać w «Nationalu». Znajdę pana”.

Sam Fandorin nie zamierzał pozostać w hotelu. Jeśli wczoraj konspiratorzy tylko go obserwowali, to dzisiaj, po śmierci swojego przywódcy, zechcą się zemścić. Trzeba zejść do podziemia, przeprowadzić się do Hasyma.

Już przyjazd do hotelu był ryzykowny. No ale jak tu zostawić rzeczy? Oprócz ubrania (którego też szkoda, bo garderoba i tak jest uboga) Erast Pietrowicz miał tam torbę podróżną ze specjalnym ekwipunkiem.

Tak jak poprzednio Fandorin wszedł do pokoju, zachowując wszelkie środki ostrożności. Nie zbliżał się do okna. Mimo to kwadrans później zabrzączał telefon.

Sprawdzają? Czy Saint-Estèphe już otrzymał telegram i chce wyjaśnień? Może

Herr Lüst? Portier wspominał, że znowu ktoś od niego dzwonił.

Tak czy inaczej nie warto podnosić słuchawki. Niech panów rewolucjonistów dręczą wątpliwości. Dyrektor departamentu powinien mu zaufać: skoro mu się mówi, żeby przyjechał, to niech przyjeżdża. No a do konsula Erast Pietrowicz zamierzał wstąpić, jak tylko skończy przygotowania.

Bez Masy pakowanie nie szło. Próbuje człowiek starannie złożyć marynarki, a one nie chcą. Z koszul wystają rękawy. Kołnierzyki nie składają się na pół, a rozłożone nie mieszczą się w przeznaczonych dla nich kieszonkach. W gruncie rzeczy życie ze służącym ma na dorosłego mężczyznę zgubny wpływ – nie sposób obyć się bez pomocy w najzwyklejszych sprawach. Kiedyś, w czasach ubogiej młodości, Erast Pietrowicz umiał i pracować, i prasować, a teraz nawet wieka walizki nie potrafi zamknąć.

Za plecami przykucniętego Fandorina z trzaskiem otworzyły się drzwi. Nie odwracając się i nie zastanawiając, Erast Pietrowicz przekoziółkował w bok. Jeszcze się nie podniósł, a w dłoni już trzymał webleya z odciągniętym bezpiecznikiem.

Na progu stał Leon Art. Niepodobny do siebie: brudny, podrapany, ze zlepionymi, szarymi od kurzu włosami. Salto wykonane przez mieszkańca pokoju chyba zrobiło na reżyserze wrażenie. Wytrzeszczył na Fandorina oczy, usta się poruszały, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

Zirytowany utratą opanowania, Erast Pietrowicz wstał. Czasami błyskawiczna reakcja ratuje człowiekowi życie, bywa też jednak, że stawia go w głupim położeniu.

Dobrze, że nie zastrzeliłem kretyna! Co to za zwyczaj, żeby za każdym razem wpadać, jakby się paliło!

– Czego pan jeszcze chce?! – wrzasnął Fandorin. – Niech pan się odczepi ode mnie razem z pańską K-Klarą i niech was oboje diabli wezmą!

Nagle zamilkł. Po usmarowanej twarzy Leona ciurkiem płynęły łzy.

– Okropne nieszczęście... – ledwie dosłyszalnie wychrypiał reżyser. – Uprowadzono nas!

Zapach jaśminu

Głos był ochryply, opowieść bezładna i do tego wiele razy przerywana a to jękami, a to szlochami. Minęło sporo czasu, zanim Erast Pietrowicz pojął, co się stało.

Okazuje się, że poprzedniego dnia cała ekipa filmu *Miłość kalifa* pojechała za miasto, żeby nakręcić epizod „Zdobycie Jerozolimy przez krzyżowców” (jaki to mogło mieć związek z Harun ar-Raszidem żyjącym trzy wieki wcześniej, nie wiadomo). Parę kilometrów za Baku zawczasu wzniesiono mur z dykty i zmontowano wieżę oblężniczą. Ale w szczytowym momencie przygotowań do zdjęć „lokację” otoczyli uzbrojeni jeźdźcy, których Art nazwał Azerami.

– Kto otoczył? – zapytał Fandorin. Gdzieś już spotkał się z tym słowem, ale zapomniał, co ono znaczy.

– Tak czasem nazywani są miejscowi muzułmanie.

– Skąd pan wie, że to byli Azerowie?

– Z tysiąca rzeczy! Twarze mieli zasłonięte, ale oczy, brwi, końska uprząż... Może mi pan wierzyć, jestem bakijczykiem, w takich sprawach się nie mylę.

– Ilu ich było?

– Ze dwudziestu... Wiedzieli, że jesteśmy bez ochrony, i dlatego nas zaatakowali.

– A dlaczego nie mieliście ochrony? Nawet podczas zdjęć w Starym Mieście ochraniali was ludzie pańskiego stryja.

– Dlatego że stryj pilnie gdzieś wyjechał! Jeszcze przedwczoraj.

No tak. Po naszej małej rozmowie ostrożny pan Artaszew doszedł do wniosku, że bakijski klimat mu szkodzi. Widocznie uznał, że dobiore się do Szubina i nie wiadomo, czym się to skończy.

– I dlatego zjawił się pan u mnie, a nie u Miesropa Karapietowicza?

– Tak. Wiem, kim pan jest. Klara mi opowiadała. Niech pan ją ratuje! I mój zespół!

Tylko tego mi jeszcze brakowało.

– Proszę się zwrócić do p-policji.

Leon się zdumiał.

– Na miłość boską, jestem bakijczykiem! Jaka policja? I co ona może? Przysiągłem Klarze, że pana znajdę. Chyba nie pozwoli pan, żeby zginęła? Nie będzie się pan mścił za to, że pana porzuciła!

– Nie, za to nie będę – zapewnił młodego człowieka Erast Pietrowicz.

– Powiedziała mi: „Niech pan się śpieszy, mój rycerzu! Niech pan ucieka do Fandorina. On będzie wiedział, co trzeba zrobić! On nas uratuje!”. Więc uciekłem.

A więc ja mam ją ratować, ale to Leon jest rycerzem? Do diabła, ależ to wszystko niedorzeczne.

– No cóż. – Erast Pietrowicz westchnął. – Zróbmy tak. Ja zadaję pytania, a pan odpowiada. Co się zdarzyło po tym, jak was napadnięto?

– Wsadzili nas wszystkich, czterdzieści cztery osoby, na jakieś okropne furmanki... Długo jechaliśmy na zachód, w kierunku Szemachy... Podróżowaliśmy cały dzień i całą noc, robiąc krótkie postoje. Dostawaliśmy tylko placki i wodę... Niektóre aktorki ze strachu i upału mdlały. O, jak dzielnie zachowywała się Klara! Wszystkim dodawała otuchy, śpiewała *Courage, courage, mes bons Français!*^[17]. – Reżyser zakrył twarz dłońmi i zaszlochał, a Erast Pietrowicz pomyślał, że Klara wcieliła się w rolę Joanny z *Dziewicy Orleańskiej* sprzed dwóch lat.

– Dokąd was w końcu p-przywieziono?

– Nie mam pojęcia! Moim zdaniem znaleźliśmy się u stóp Çuval Dağ. W życiu nie byłem w takiej głuszy. Jest tam jakaś na wpół zburzona twierdza. Oto gdzie by można nakręcić szturm Jerozolimy!

– A więc ekipa jest przetrzymywana w t-twierdzy? Niech pan ją jak najdokładniej opisz.

Art rozłożył ręce:

– Mury z żółtego kamienia. Wieże... Chyba sucha fosa.

– A w środku?

– Nie wiem. Uciekłem wcześniej. Zatrzymaliśmy się, jeden z bandytów pogalopował do przodu, w stronę zamku. Wszyscy spoglądali w tamtym kierunku, więc wykorzystałem ten moment. Pocałowałem Klarę w rękę i schowałem się pod wozem. Popęzłem w krzaki. Nikt nie zauważył... Widziałem, jak furmanki wjechały przez bramę. Na wieży jest tam wartownik, a krzaki są rzadkie, więc się czołgałem... Widzi pan, jak wyglądają marynarka i spodnie?

– Dobrze, przeczłogał się pan. Co było dalej?

– Pobiegłem do wsi. Patrzą, a ona jest azerska. Ormianinowi nie pomogą... Ukradłem konia. Pogalopowałem. Boże, jak ja pędziłem! Wieziono nas tam cały dzień i całą noc, a ja dotarłem do Baku w ciągu czterech godzin!... Koń się przewrócił, cały w pianie... Biegłem i też się przewracałem... Na przedmieściach wziąłem dorożkę. Niech pan sobie wyobrazi, że oni nawet nie zabrali pieniędzy!

To nie są zwyczajni rabusie! Ach, Klara, Klara!

Zaczekawszy, aż ustanie kolejny atak szlochów Leona, Fandorin zapytał:

– I nawet nie podejrzewa pan, kto to może być?

– Każdy! Mało to bandytów!

Poranne gazety milczą na temat zniknięcia ekipy filmowej. Jeśli to porwanie dla okupu, po co uprowadzać czterdzieści cztery osoby? Jedynie za Arta można dostać grubszą sumę. Ale jego akurat wypuszczono. Dziwna historia. Trzeba zapytać Hasyma, co o tym myśli.

– Niech pan posłucha – powiedział Erast Pietrowicz. – Jest pan zmęczony, ale nie ma czasu na odpoczynek. Zaraz udamy się w pewne miejsce. Niech pan o nic nie pyta, po prostu robi to, co k-każę.

Reżyser chętnie przysiągł bezwzględne posłuszeństwo. Czarne oczy płonęły rozpaczą i nadzieją.

– S-spakuję jakieś rzeczy. To zajmie pięć minut. Niech pan tymczasem coś zje. Będą panu potrzebne siły.

Na stole znajdował się półmisek z owocami i słodyczami – *compliment* od hotelu, ale Leon się wzdrygnął.

– Nie mogę ani jeść, ani pić. Nawet siedzieć nie mogę. Niech pan ratuje Klarę! I moją ekipę!

Walizki trzeba zostawić. Tylko torba podróżna z najniezbędniejszymi rzeczami. I koniecznie *Nikki*... We dwóch ze służą muz trudniej będzie wydostać się z hotelu. No właśnie, a co tam u nas za oknem?

Na ukos od wejścia, w cieniu drzewa, stał automobil z zaciągniętymi zasłonkami. Z rury wydechowej snuła się smużka dymu – silnik pracował. Kiedy nie dalej niż pół godziny temu Fandorin wchodził do „Nationalu”, samochodu nie było.

Może to przypadek. Ale nie warto ryzykować.

Wyjrzał przez uchylone drzwi. Korytarz był pusty.

– Za mną. Odległość pięć k-kroków.

Na ciemne schody Erast Pietrowicz wyszedł sam, bezszelestnie. Zamarł.

Na parterze ktoś przestępował z nogi na nogę.

Wróciwszy na korytarz, Fandorin polecił:

– Niech pan idzie pierwszy. Na dole stoi mężczyzna. Proszę go zająć rozmową. Byłoby dobrze, gdyby się odwrócił plecami do schodów.

– Co mam mu powiedzieć?

– Nie wiem. Niech pan wymyśli scenę, jest pan przecież reżyserem.

Leon skinął głową. Potarł czoło. Odrzucił z twarzy włosy.

– Jestem gotowy. Wcieliłem się w rolę.

Z zadaniem poradził sobie wyśmienicie.

Bezgłośnie schodząc po stopniach, Erast Pietrowicz słyszał głos Artę:

– *Merci*. Będę panu bardzo zobowiązany. No bo sam pan wie, co jest wart pałac bez zapalek. – I parsknął śmiechem. Oto co znaczy prawdziwie artystyczna natura.

Mężczyzna w jasnym garniturze, stojąc do Fandorina plecami, podawał reżyserowi ogień. Błyszczały jasne, pokryte brylantyną włosy z idealnym przedziałkiem. Blondyn nie przypominał konspiratora, raczej jakiegoś fircykowego fryzjera. I pachniał odpowiednio – tanią jaśminową wodą kolońską.

Erast Pietrowicz nawet się zawahał. Ale nie, lepiej się ubezpieczyć. Chwycił pachnącego jegomościa z tyłu za szyję, kilka sekund przytrzymał, po czym troskliwie ułożył pod schodami, koło wiader i szczotek.

– To ich człowiek? – ze złością zapytał Art. – Łajdak.

I kopnął leżącego.

– Nie wiem, kto to jest. Niech pan nie p-przeszkadza.

Szybki przegląd kieszeni nic interesującego nie przyniósł. Parabellum? Pistolet dla mieszkańca Baku to przedmiot codziennego użytku, w rodzaju grzebienia. Wizytówki. „Fridrich Iwanowicz Weismüller. Shabo i Partnerzy. Towarzystwo ubezpieczeniowe”. Nie fryzjer. Agent ubezpieczeniowy albo komiwojażer – zwyczajna przykrywka dla spiskowca. Ale podobnie jak parabellum, nie stanowi dowodu.

Erast Pietrowicz był wrażliwy na zapach jaśminu. Nie mógł go znieść. Jak można naperfumować się takim paskudztwem?

– W porządku, niech się prześpi. Chodźmy.

* * *

– Po co Ormianin przyprowadził? – To były pierwsze słowa Hasyma, który nawet nie odpowiedział na powitanie.

Erast Pietrowicz wyjaśnił.

– Dlaczego nie powiedział, że masz żona? – zdziwił się goczi. – Żona oczywiście trzeba ratować. – Coś musiał dojrzeć w twarzy Fandorina. Przez chwilę się zastanawiał, po czym zapytał: – Ładna żona?

– Bardzo! – zawołał Leon.

– Owszem, ładna. C-co za różnica?

– Ej, bardzo duży różnica! Jeśli żona nieładna i nie bardzo potrzebna, można zaczekać, aż bandyci ją zgwałcą, a ratować potem. Wtedy zabijasz bandyci i zabijasz żona. Nie ustrzegła cnoty, zabił. Bardzo wygodne.

– Cóż za azerska logika! – krzyknął Art.

Miał szczęście, że Hasym chyba nie znał słowa „logika”. A może umyślnie ignorował Ormianina.

– Skoro żona bardzo ładna i minęło tyle czasu, to i tak już ją zgwałcili. – Hasym podjął rozważania. – Jeśli żal żona zabić, można po prostu bić.

– Nie, nie! – wyjęczał Leon, chwytając się za skronie. – Oni jej nie ruszą! Nie ośmielą się! Ja... ja nie mogę o tym myśleć!

Runął na kolana, zgiął się wpół i załkał.

Hasym spoglądał nań z szacunkiem.

– Vay, Ormianin, a dobry człowiek. Jak z powodu cudza żona martwi się.

– Przejdźmy do konkretów. – Erast Pietrowicz się rozżłościł. – Kim są ci bandyci, twoim zdaniem? Czego chcą? Dlaczego nie żądają okupu?

– Bo ja wiem? – Goczi wzruszył ramionami. – Jechać patrzeć trzeba. Może ktoś znajomy. Wtedy źle. Jeśli nieznajomy, dobrze. Zabijemy, żona z powrotem zabierzemy. Ej! – Trącił reżysera nogą. – Miejsce zapamiętał gdzie?

Nie przestając pochlipywać, Art kiwnął głową.

Hasym jął liczyć na palcach:

– Sześć koń potrzebny. Jeden człowiek – dwa koń. Jeszcze wałach potrzebny.

– A wałach po co?

– Jak to po co? Jeść trzeba. Woda trzeba. Będziemy odpoczywać, wojłok ścielić trzeba. Lubię miękko siedzieć.

– Odpoczywać?! – Leon się poderwał. – Zwariowaliście! Ona tam... A wy – odpoczywać?! Prędzej, panowie, prędzej!

Niestety bardzo prędko się nie udało. Ekspedycja w góry, kilkadziesiąt kilometrów za miasto, wymagała przygotowania. W tej kwestii należało zdać się na Hasyma, a goczi nie lubił się śpieszyć. Najpierw się zastanawiał i dopijał herbatę. Później poszedł zdobywać „sześć koń i jeden wałach”.

Żeby znaleźć się jak najdalej od Leona – roztrzęsionego, wzburzonego, szlochającego – Erast Pietrowicz udał się do swojego poprzedniego pokoju i zajął się tym, co wymagało pełnej koncentracji: zasiadł do pisania *Nikki*.

Przez drzwi bez przerwy zaglądali jacyś ludzie. U Hasyma nigdy nie wysychał potok żebraków albo petentów, osób pragnących złożyć czcigodnemu rozbójnikowi wyrazy szacunku. W lepkiem powietrzu brzęczały leniwe muchy, po spoconej twarzy ściekały strużki potu, Art wykrzykiwał na korytarzu tragicznym głosem: „Nie, ja tego nie zniosę!”.

Wszystko to nie przeszkadzało w medytacji.

Fandorin dawno doszedł do wniosku, że pracy umysłowej najbardziej sprzyjają dwa stany: albo pełen spokój, albo skrajny chaos. Owo odkrycie należało

do Konfucjusza, który dwa i pół tysiąclecia temu rzekł: „Pomiędzy stojącymi biegnij, a pomiędzy biegnącymi zatrzymaj się”.

Najpierw Erast Pietrowicz siłą woli pozbył się rozdrażnienia wywołanego przez męczącego Leona i natarczywych tubylców.

Złapał się na myśli całkowicie niegodnej szlachetnego męża. Dlaczego Ormianie na siłę robią z siebie cierpiętników w każdej sytuacji? Dlaczego Azerowie (zapamiętał to słowo) są doszczętnie pozbawieni wyobrażenia prywatności? Po czym się zawstydził. Nie ma nic głupszego i bardziej trywialnego, niż przenosić cechy jednostki albo nawet grupy ludzi na cały naród. Nawet jeśli takie uogólnienie jest poniekąd uzasadnione, nie wolno przykładać do niego zbyt dużej wagi – pamiętaj, że twój własny naród też pewnie ma wady, które rzucają się w oczy innym nacjom.

Za karę Erast Pietrowicz pod znakiem „Szron” umieścił komentarz samokrytycznej treści.

霜

Mój naród posługuje się dwoma idiomami, których nienawidzę, ponieważ odzwierciedlają najgorsze cechy rosyjskiego charakteru narodowego. To w nich tkwi przyczyna wszelkich naszych nieszczęść i dopóki jako naród nie pozbędziemy się tych powiedzonek, nie będziemy mogli mówić o godnym istnieniu.

Pierwsze odrażające zdanie, tak często u nas używane i nieposiadające dokładnego odpowiednika w żadnym ze znanych mi języków, brzmi: „Jakoś ujdzie”. Posługuje się nim chłop, kiedy podpira kijem przechylony płot, mówi je kobieta, robiąc w domu porządki, wypowiada je generał, przygotowując wojsko do wojny, kieruje się nim deputowany, usiłujący w pośpiechu uchwalić nieprzemyślane prawo. To dlatego wszystko jest u nas ciach mach, na hura i na żywioł, jak gdybyśmy zamieszkiwali nasz kraj tymczasowo i nie musieli myśleć o tych, którzy przyjdą po nas.

Drugie powiedzonko, od którego odrzuca mnie całym sercem, również niełatwo poddaje się przekładowi. „Zaakceptujcie moje ciemne strony, a jasne polubi każdy”, lubi powtarzać Rosjanin, znajdując w tej maksymie usprawiedliwienie i ślamazarność, i etycznej nieuczciwości, i chamstwa, i złodziejstwa. Według powszechnej opinii udawanie człowieka uczciwego to większy wstyd niż szczerza demonstracja wrodzonej nikczemności. Dobry Rosjanin koniecznie rżnie prawdę w oczy, bez problemu przechodzi na ty, miłego rozmówcę ściska w objęciach, aż mu trzeszczą kości, i trzykrotnie całuje, a niemilego leje po mordzie. Zły Rosjanin mówi: „Wszyscy jesteśmy ludźmi”, „Wszyscy musimy jeść”, „Wszyscy chodzimy po ziemi” albo syczy: „Chcesz być czyściutki?”. A przecież na dobrą sprawę cała cywilizacja opiera się na tym, że ludzkość chce być nieskazitelnie czysta, stopniowo uczy się tłumić w sobie ciemne strony i demonstrować światu jasne. Powinniśmy rzadziej spoglądać na siebie oczami Dostojewskiego czy Riazanowa, a częściej oczami Czechowa.

Gdzie człowiek coś takiego napisze? Tylko we własnym *Nikki*, którego nikt, dzięki Bogu, nie przeczyta. W przeciwnym razie autor tych słów zasłynąłby jako rusofob i wszyscy prawdziwi Rosjanie obraziliby się, odwrócili i w dodatku powiedzieli, że taką niegodziwość mogła wymyślić jedynie osoba o nierosyjskim

nazwisku Fandorin.

Po „Szronie”, który w zbawienny sposób ostudził emocje, Fandorin z łatwością poradził sobie z „Klingą”.

Powszechny strajk w Baku może wywołać kryzys na skalę ogólnonarodową o trudnych do przewidzenia konsekwencjach. Na razie produkty naftowe po prostu drożeją, ponieważ dostawy się kurczą, ale nie wstrzymano ich całkowicie. Rurociąg pompuje ropę, do Astrachania kursują tankowce, a do Gruzji cysterny kolejowe. Jeśli jednak transport stanie, wówczas kraj zostanie bez paliwa, mazutu i oleju maszynowego, włącznie z naftą. Niezbędne jest podjęcie zdecydowanych kroków. Stołeczny naczelnik wysokiej rangi, przynajmniej dyrektor departamentu policji, musi natychmiast przybyć osobiście do Baku i przemówić do rozumu nafciarzom, których zaślepia chciwość. Nie ma już ani Szubina, ani Dziecioła, a gazety piszą, że strajk wciąż się rozszerza. Saint-Estèphe powinien zagrozić każdemu przedsiębiorcy, który uchyla się od rozmów ze strajkującymi, odebraniem licencji. Ale najważniejsza rzecz to środki ostrożności w transporcie. Z rurociągiem naftowym, na szczęście, nic się nie stanie – jest państwowy i ochrania go cały batalion żandarmów. Jednakże do wszystkich dużych tankowców należy skierować rezerwowe załogi marynarzy; trzeba pilnie przerzucić do Baku bataliony kolejowe, żeby w razie strajku można było wymienić obsługę parowozów.

Oto i on, gotowy plan działania. Erast Pietrowicz odłożył dziennik, wyraźnie z siebie zadowolony. Sprawa pozostawała w gestii stołecznego naczelnika wysokiej rangi. Emma, żeby cię diabli wzięli, gdzie jesteś?

* * *

Wyruszyli po południu. Jechali niby to we trzech, ale tak naprawdę każdy osobno. Leon Art nieustannie wyrywał się do przodu, popędzając konia. Hasym zaś, na odwrót, ciągle zostawał z tyłu. Kołysał się w siodle, przerzuciwszy jedną nogę przez łęk, i bez przerwy coś przeżuwał. Owa opieszałość wyprowadzała z równowagi krewkiego Ormianina. Nie decydując się wyartykułować pretensji wprost do groźnego goczi, reżyser zamęczał Erasta Pietrowicza. W końcu Fandorin miał tego dosyć.

– Co się tak wleciesz? – zapytał wreszcie Hasyma. – W ten sposób nie dotrzemy tam do jutra.

– Wcześniej przyjedziemy, źle – flegmatycznie odparł tamten. – Nocą trzeba. Kiedy jest ciemno.

– Nie, musimy przyjechać za widna, żeby obejrzyć okolicę. Dość już chrupania orzechów. Przyśpiesz trochę.

Goczi nie przestał pogryzać orzechów, ale wyprostował się w siodle i spiął konia ostrogą.

Przez dziewięć godzin posuwali się bez postojów, jeśli nie liczyć przesiadania

się na zapasowe konie, i pod koniec długiego letniego dnia wreszcie przybyli na miejsce.

Ruiny średniowiecznego zamku wieńczyły jedno z szarych wzgórz. Wokół sterczały takie same niewysokie wzniesienia. Okrągłe, o nagich szczytach otoczonych pokrytymi kurzem krzakami, przypominały łyse głowy z wianuszkiem posiwiąłych włosów.

Wychyliwszy się zza głazu, Erast Pietowicz długo oglądał ruiny przez lornetkę. Co najmniej przez minutę patrzył na wartownika we włoskiej czapce, tkwiącego na wieży. Po czym wymamrotał: „B-błazeństwo” i nie ukrywając się dłużej, wyszedł na odsłonięte miejsce.

– Na koń! Jedziemy!

– Zwariował pan?! – zawołał Leon. – Musimy poczekać do zmroku! On nas zauważy, uderzy na alarm!

– Nie on, lecz ona. Na wieży stoi nie s-strażnik, lecz kukła. W środku też nie ma wartowników.

– Skąd wiesz? – nieufnie zapytał Hasym.

Fandorin nie odpowiedział, tylko burknął:

– Jacyś dziwni ci p-porywacze... Dobrze, zaraz wszystkiego się dowiemy.

Zjechał galopem po zboczu i popędził wyboistą drogą w stronę bramy, która z zewnątrz była podparta grubym konarem. Zobaczywszy ją przez lornetkę, Erast Pietrowicz pojął, że w twierdzy nie ma żadnej ochrony.

Zsiadłszy z konia i otworzywszy skrzydła bramy, Erast Pietrowicz na wszelki wypadek wyciągnął pistolet. Uniósł palec i kazał towarzyszom trzymać się z tyłu. Szeroki dziedziniec tonący w gęstym wieczornym mroku był pusty, ale z za występu wieży do uszu Fandorina dobiegły dziwne dźwięki. Uznał, że się przesłyszał – ale gdzie tam, to nie było zawrodozenie wiatru. Przyjemny tenor żałośnie wyśpiewywał:

Smutne me życie bez ukochanej.

Nie stanę z nią na ślubnym kobiercu.

Chór, w którym wodziły rej kobiece głosy, tęsknie podchwycił:

Grób przeznaczeniem mojej wybranej,

Pozostawiła mnie z raną w sercu.

Erast Pietrowicz przyśpieszył kroku.

Obok na wpuł zburzonego donzonu stał duży namiot. Od środka rozjaśniało go łagodne, ciepłe światło. Śpiew dobiegał stamtąd.

Przeciąg załopotał zasłoną, która się odchyliła. Przy długim stole zastawionym butelkami i różnym jadłem siedziała cała ekipa filmowa. Stał tylko jeden mężczyzna – dyrygował chórem. Był to główny asasyn – ten, który na pamiętnym bankiecie wylał wino na biały smoking Fandorina.

Żadnych uzbrojonych osobników ani w namiocie, ani w pobliżu nie było.

– Proszę państwa, co się t-tutaj dzieje?

Pieśń się urwała. Wszyscy wbili wzrok w Erasta Pietrowicza, a główny asasyn czknał i przetarł oczy.

– Mówiłem, że Fandorin nas uratuje! – zawołał, podrywając się, Simon.

Z drugiej strony, za plecami Erasta Pietrowicza, rozległ się jeszcze jeden krzyk:

– Gdzie ona jest? Gdzie Klara?!

Leon Art nie wytrzymał i przybiegł, łamiąc zakaz Fandorina.

A później wszyscy jęli krzyczeć i mówić jednocześnie. Aktorzy, aktorki, operatorzy, oświetleniowcy i charakteryzatorki rzucili się do reżysera i Fandorina. Jedni zadawali pytania, inni głośno się cieszyli, niektórzy – nie tylko kobiety – szlochali. Burza emocji była nieopisana, ponieważ artyści to artyści, poza tym sporo wypili, jeśli sądzić z liczby pustych butelek.

Leon nie odpowiadał jednak na żadne pytania, tylko powtarzał: „Gdzie ona jest? Gdzie?”. Erast Pietrowicz również nie udzielał żadnych wyjaśnień. Mocno ścisnął za łokieć Simona, który był najprzytomniejszy w tym wariatkowie, i odciągnął go na bok.

– Gdzie są b-bandyci?

– Odjechali. Zostawili jednego na wieży. Zabronili zbliżyć się do bramy. On powiedział, że wartownik będzie strzelał bez uprzedzenia... Mą die, wiedziałem, wiedziałem, że pan nas nie porzuci! Jest pan naszym zbawcą! Medam, dziękujcie! Obejmujcie, całujcie!

Fandorin zasłonił się rękoma przed pannami, które rzuciły się nań ze wszystkich stron. Nie lubił poufałości, zwłaszcza jeśli nie pozwalały zorientować się w sytuacji.

– Kim jest „on”? Kto powiedział o wartowniku?

Rozpaczliwy jęk zagłuszył odpowiedź Simona.

– Jak to wywieźli?! I wy nie przeszkodziliście? Ooo!

Widocznie Leon w końcu otrzymał odpowiedź na pytanie, gdzie się podziała Klara.

– Straciłem ją, straciłem!

Reżyser się zachwiał. Erast Pietrowicz po raz pierwszy widział, żeby człowiek

rwał sobie włosy z głowy. Okazuje się, że takie rzeczy zdarzają się nie tylko w powieściach. Włosy pana Arta były gęste, trzymały się mocno. Wokół męczennika zrobiło się zamieszanie. Wówczas Fandorin chwycił producenta filmowego już nie za łokieć, ale za kołnierz i powłókł w najdalszy kąt dziedzińca.

– Sienia, wytłumacz krótko i jasno, kto był p-przywódcą bandytów. Co się tutaj w ogóle stało?

– Szef-pręsipal był w masce. Po rosyjsku mówił poprawnie. „Siadajcie i jedzcie, powiedział, panowie kinematografiści, a panią Łunną zabieram ze sobą...”.

– Tak właśnie powiedział: k-kinematografiści?

– Owszem. Miał na sobie wschodni strój, jak reszta, ale czerkieska była z cienkiego sukna, papacha z perłowych brajtszwanców, kindżał wysadzany złotem. Ale też bandyta. Kiedy krzyknęliśmy, że nie oddamy Klary, wyszarpnął wielki pistolet i bach, bach! No więc wszyscy umilkli, a Klara się rozpląkała. Wtedy powiedział, żeby nie płakała, tylko się cieszyła, ponieważ pewien wielki człowiek bardzo ją pokochał i chce się z nią ożenić. A my wszyscy żebyśmy się nie bali i ucztowali do woli. Kiedy wielki człowiek ożeni się z Klarą, zaprosi nas na wesele. Do tego czasu nikomu nie wolno się stąd oddalać. Jeśli ktoś spróbuje, wartownik będzie strzelał. Klara jak nie krzyknie: „Kocham innego! Jestem zajęta! I w ogóle mam ślubnego męża!”. Na to ten w masce rzekł: „Ze ślubnym mężem wszystko już załatwione, reszta nie ma znaczenia”. Złapał ją i wywiózł. Nasi się trochę pooburzali, ale wszyscy byli głodni, a tu stół nakryty... Przez cały dzień piliśmy, śpiewaliśmy, czekaliśmy, aż ktoś nas uratuje. No i doczekaliśmy się.

Jasne, rzekł w duchu Erast Pietrowicz. Któryś z magnatów naftowych postanowił postąpić ze ślicznotką na wschodnią modłę – porwać siłą. O ślubnym mężu porywacz zdobył informację, że za godziwą sumkę można się z tym panem dogadać w każdej sprawie. Ekipę filmową wywieziono daleko w góry, żeby nie narobiła hałasu i nie pokrzyżowała matrymonialnych planów. Leonowi specjalnie pozwolono uciec. Po pierwsze żeby nie narażać się rodzinie Artaszewów, a po drugie, żeby rywal nie plątał się pod nogami.

Przeprowadziwszy nieskomplikowaną dedukcję, Erast Pietrowicz zirytował się, że cały dzień stracił na głupstwa, pojechał za siódmą górę po ziarno maku.

O Klarę można się nie martwić. Potrafi obłaskawić każdego zalotnika, więc poradzi sobie również z zakaukaskim Romeem. W każdym razie jej życiu nic nie zagraża, a poza tym, czy to nie wszystko jedno, któremu z adoratorów przypadnie gwiazda srebrnego ekranu? Ta karta jest zamknięta, niech ją czytają (nawet do upadłego) inni.

W Baku czekały sprawy wagi państwowej, a tutaj to zwykła bufonada z miejscowym kolorytem.

Fandorin poprosił Hasyma, żeby zdobył w sąsiedniej wsi wozy i towarzyszył aktorskiemu taborowi do miasta. Na wypadek gdyby w drodze miały im się przytrafić jakieś nowe nieprzyjemności.

– Nie martw się, Yumrubas – odparł Hasym. – Aktorzy do Baku przywiozę. I twój żona też znajdzie.

O to cię akurat nie prosiłem, pomyślał Fandorin.

*

Przez pół nocy, co pół godziny zmieniając zmęczone konie, Erast Pietrowicz pędził z powrotem. Tuż przed świtem, kiedy księżyc już zaszedł, ale jeszcze nie zaczęło dnieć, niewyspany i wykończony stanął pod „Nationalem”. Konie zostawił jednak za rogiem, przywiązane do kamiennego słupka. Do hotelu dostał się kuchennym wejściem, przygotowany na każdą niespodziankę.

Nie zapalać światła. Paść na łóżko. Zasnąć. Złodzieje mogą sobie kraść konie. Kiedy się dowiedzą, że należą do Hasyma, sami je zwrócą.

Dziwnie się otwiera drzwi własnego pokoju wytrychem, ale nocny portier nie musi wiedzieć, że gość wrócił.

Fandorin bezszelestnie przekroczył próg i wyciągnął ręce do przodu, żeby nie wpaść na wieszak. Ktoś z dwóch stron mocno wpił mu się w nadgarstki, a trzecia osoba, od której dolatywał mdlący zapach jaśminu, objęła Erasta Pietrowicza od tyłu za szyję i skwapliwie, ale niezbyt umiejętnie przycisnęła tętnicę szyjną.

Nie tak to się robi, idioto! Do tego nie potrzeba siły!

Ohydny zapach perfum wywołał u śmiertelnie zmęczonego Fandorina takie mdłości, że osunął się w ciemność właściwie z pewną ulgą.

Nowa perspektywa

Znowu pachniało jaśminem, choć nie tak ostro jak chwilę wcześniej. Coś brzęczało – miarowo i monotonnie. Czuć było podmuchy ciepłego wiatru. Z jakiegoś powodu ciało nie słuchało Fandorina. Nie mógł ani podnieść ręki, ani się poruszyć.

Świadomość wracała nie od razu, lecz skokami.

Najpierw Erast Pietrowicz zorientował się, że siedzi w fotelu, przywiązany albo przypięty do poręczy, ale przedramiona i nadgarstki, o dziwo, nie były ścierpnięte ani obrzmiałe. Później otworzył oczy i znowu je zmrużył. Oślepiło go jaskrawe światło dnia.

A zatem jaśminowy dusiciel przycisnął tętnicę szyjną nie przed chwilą, lecz wiele godzin temu. Słońce stało wysoko, cień był krótki. Świadomość powracała powoli, a głowa bolała dlatego, że tętnicę naciśnięto zbyt mocno, co spowodowało długotrwałe omdlenie.

W odległości kilku kroków Fandorin wyczuł czyjąś obecność. Lekko uchylił powieki. I co my tu mamy? Jakiś gabinet. Pod sufitem brzęczy elektryczny wentylator, miesza nagrzane powietrze. Związane ręce nie zdrętwiały, bo pod więzy podłożono poduszki. Ależ galanteria.

Mężczyzna, który roztaczał obrzydliwą woń taniej kwiatowej wody kolońskiej, siedział przy biurku i ze znużoną miną czyścił scyzorykiem paznokcie. To ten, który stał na kuchennych schodach. A więc nie jest to jednak agent ubezpieczeniowy. Na zielonym suknie leżały przedmioty wyjęte z kieszeni Fandorina: webley i derringer, portfel, dwa otwarte telegramy od dyrektora departamentu policji podpisane kobiecym imieniem Emma.

Jaśminowy poruszył się, więc Fandorin musiał przymknąć powieki.

Urządzili zasadzkę w pokoju hotelowym, to jasne – pomyślał. – Zmęczenie i brak snu spowodowały, że moja skóra nie wyczuła niebezpieczeństwa. To również jest jasne. Niejasne natomiast jest jedno. Dlaczego ręce ułożono mi na poduszkach? Co może oznaczać taka troskliwość? Odpowiedź nasuwa się sama. Rewolucjoniści zamierzają się okrutnie zemścić za swojego przywódcę. Już wiedzą, że przed śmiercią Dzieciołowi odrąbano dłonie. Widocznie w stosunku do moich kończyn też mają jakieś specjalne plany. Obłożyli je poduszkami, żebym nie stracił czucia. Już Chińczycy, niedoścignieni mistrzowie w dziedzinie tortur, wiedzieli, że jeśli się chce kogoś poddać dotkliwym męczarniom, nie należy

zadawać mu cierpień przed czasem.

Fandorin był nawet ciekaw, do czego popchnie walczących z samodzierżawiem ich wyobraźnia. Jednakże inne uczucie wzięło górę nad ciekawością. Wściekłość.

Och, panowie ptaszkuje, jeszcze pożałujecie, że nie zabiliście mnie od razu, obiecał w duchu Erast Pietrowicz. Tymczasem zadzwonił telefon, fałszywy agent ubezpieczeniowy (zdaje się Weismüller?) podniósł słuchawkę i stało się oczywiste, że dedukcja nie była słuszna.

– *Jawohl, Herr Konsul...* – powiedział Jaśminowy. – *Nein, aber schon bald... Ja, ich bin völlig sicher*^[18].

Wymowa wiedeńska. Żaden konspirator z tego Weismüllera. A napad zorganizował austriacki rezydent Lüst – ten, który długo i bezskutecznie dobijał się u Fandorina o spotkanie.

W okamgnieniu wyłoniła się zupełnie inna ścieżka dedukcji.

Obserwację w hotelu prowadzili austriaccy szpiedzy. Oto czynnik, który przeoczyłem! Istnieje siła nie mniej ważna niż rewolucjoniści, zainteresowana powszechnym strajkiem! W przededniu konfliktu wojennego Niemcy i Austriacy muszą za wszelką cenę pozbawić Imperium Rosyjskie ropy z Baku. Chciwość miejscowych przemysłowców, intryganctwo Szubina, wywrotowa działalność bolszewickiego podziemia – wszystko to jest Lüstowi na rękę. Bardzo możliwe, że guwerner Franz Kaunitz ma się jednak dobrze. Wykonał swoje zadanie, po czym się ulotnił. Sprytną operację wymyślili Austriacy, trzeba im oddać sprawiedliwość. Żadnych śladów, inni wyjmują dla nich kasztany z ognia. Ale do czego ja im jestem potrzebny? Po co tak ryzykują, wychodzą z cienia?

Jaśminowy jeszcze potakiwał, słuchając poleceń przełożonego, a Fandorin już znalazł odpowiedź na to pytanie.

Główne uderzenie jeszcze nie zostało zadane. Lüst przygotowuje jakąś dużą akcję, która całkowicie sparaliżuje bakijski region i zmusi Rosję do złagodzenia stanowiska w serbskim konflikcie. Tak, tak, Wiedeń właśnie do tego zmierza! Odebrać Petersburgowi hegemonię na Bałkanach, nie doprowadzając do wojny. Bez paliwa i olejów napędowych powszechna mobilizacja nie będzie możliwa, fabryki staną, okręty wojenne nie wyjdą w morze, aeroplany nie polecą, automobile nie pojadą. A ja jestem potrzebny Lüstowi z następującego powodu: rezydent wie, kim jestem, i chce wysondować, co zdążyłem odkryć i ile z tego przekazałem ministerstwu. Austriacy oczywiście nie wiedzą, kim jest Emma. Oto i wyjaśnienie poduszek. Będą słodko śpiewać, spróbują mnie zwerbować. Gdy się nie zgodzę, zabijają. Kiedy gra toczy się o wielką stawkę, wszystkie środki są dobre; zabójstwo zawsze można na kogoś zwalić. To Baku.

Jednakże należało się pośpieszyć. Kiedy zjawi się Herr Lüst (pewnie w którymś towarzystwie), sytuacja się skomplikuje. Z samym Jaśminowym nie będzie trudno sobie poradzić.

Ręce przywiązano starannie, z niemiecką solidnością, ale nogi „agent ubezpieczeniowy” lekkomyślnie pozostawił Fandorinowi wolne.

Erast Pietrowicz jęknął i zamrugał, udając, że dopiero się ocknął.

– *Herr Konsul!* – powiedział Weismüller (czy jak tam naprawdę się nazywał). – *Sie können jetzt kommen*^[19]. – Podniósł się, ale zamiast podejść do związanego Fandorina, odwrócił się w stronę drzwi i zawołał (nieprzyjemna niespodzianka): – *Hei, Kerle, kommt hier gleich!*^[20]

Weszli „chłopcy” – dwaj krzepcy mężczyźni bez marynarek, w samych koszulach. Stanęli po obu stronach fotela.

Pierwotny plan był bardzo prosty. Kiedy Jaśminowy się zbliży, Fandorin wymierzy cios ostrym noskiem trzewika we wrażliwe miejsce pod lewym kolanem. Kiedy mężczyzna się pochyli, Fandorin wykona *uwauti* nogą w podbródek. Później wygnie się i przegryzie więzy. Jakieś piętnaście sekund później ręce byłyby wolne. Ale w liczonym towarzystwie taki numer nie przejdzie. A więc trzeba poczekać na Lüsta. Przybrać postawę rozsądnej ustepliwości. Byleby tylko Lüst kazał go rozwiązać, potem jakoś pójdzie.

Boże, co to znaczy?

Agenci rozwiązali jeńcowi ręce. Co prawda Jaśminowy wyciągnął pistolet – to samo parabellum, które Erast Pietrowicz onegdaj wspaniałomyślnie mu zostawił. Fandorin zadarł głowę. Z góry spoglądały nań groźnie dwie pary oczu: z lewej strony niebieskie z białawymi rzęsami, z prawej piwne z rudymi.

– Spokojnie – rzekł albinos.

– Dobrze – odparł Erast Pietrowicz ugodowo.

Nie zwracając uwagi na parabellum, wymierzył jednocześnie dwa uderzenia otwartymi dłońmi i zwichnął dwie dolne szczęki. Cios nieskomplikowany, niestanowiący zagrożenia dla życia i zdrowia, ale efektowny – wyprowadza przeciwnika z równowagi.

Weismüller tępo spoglądał na podnoszącego się z fotela Fandorina oraz na dwóch wrzeszczących kolegów z jednakowo rozdziawionymi gębami.

Opamiętawszy się, nacisnął spust. Ale poprzedniego dnia Erast Pietrowicz nie po to brał parabellum do rąk, żeby pozostało sprawne.

Rozległ się suchy trzask, później następny. Strzały nie padły.

Fandorin zgromadził całą listę pretensji do Jaśminowego. Po pierwsze nie mógł darować niezgrabiaszowi tego, co ów zrobił z jego szyją. Po drugie pistolet był

wycelowany prosto w serce i gdyby nie wczorajsza zapobiegliwość Erast Pietrowicz już leżałby martwy. No a po trzecie kto widział tak się zlewać obrzydliwą wodą kolońską. I bez tego głowa pęka.

Fandorin podskoczył i uderzył wroga nogą w czoło. Ten cios nosi nazwę *usigorisi*, „ubój byka”. Krytyczne wstrząśnienie mózgu z natychmiastowym zejściem letalnym.

A co pan myślał, *Mein Herr? Im Krieg ganz wie im Krieg*^[21].

Na oczach dwóch rozdziawionych kretynów Erast Pietrowicz zabrał z biurka swój majątek.

– Kłaniajcie się ode mnie p-panu konsulowi.

I wyszedł.

Znalazłszy się na ulicy, stwierdził, że znajduje się w samym centrum europejskiej części miasta, na ulicy Nikołajewskiej, niemal naprzeciwko Rady Miejskiej.

W bramie lśnił wypucowany miedziany szyld:

Towarzystwo ubezpieczeniowe „Shabo i Partnerzy”
Wiedeń – Budapeszt – Baku

Ulicą przejeżdżały automobile i dorożki, chodnikiem leniwie przechadzali się znużeni słońcem mieszkańcy.

Ciekawe, jak oni zamierzali wynieść stąd moje ciało? Chyba mieli jakiś plan na wypadek nieprzyjemnego zakończenia rozmów? Niech go teraz wypróbują na Jaśminowym. Na przyszłość będą wiedzieli, jak się obchodzić z Fandorinem.

Wojna jeszcze nie została ogłoszona, ale na dobrą sprawę już się zaczęła. Jak zwykle siatka dywersyjna przystąpiła do walki, podczas gdy armaty jeszcze nie zagrzmiały. Czyż próba unieruchomienia bakijskich kopalni ropy naftowej to nie wrogie działania? No a gdzie jest wojna, panowie Austriacy, tam są też trupy.

Przede wszystkim nie trzeba było chwytać mnie z tyłu za gardło, gniewnie pomyślał Erast Pietrowicz i wzdrygnął się, przypominając sobie zapach jaśminu. Ale zwyczaj, żeby surowo się rozliczać z każdego moralnie wątpliwego czynu, domagał się podjęcia natychmiastowego śledztwa.

Wcale nie musiałem zabijać Weismüllera. Z zimną krwią pozbawiłem człowieka życia, tylko dlatego że byłem poirytowany, w dodatku jeszcze sobie w myśli zażartowałem z tego powodu. No ale jeśli zabija się bez mała czterdzieści lat, to ta

czynność przestaje szokować. Nie ma sensu przed sobą udawać. Wygląda na to, że walka ze Złem sprawiła, że stopniowo zamieniłem się w potwora... Zresztą tego dylematu, nad którym ludzkość łamie sobie głowę tysiące lat, nie rozwiąże się na poczekaniu. Zostawimy do *Nikki*.

Erast Pietrowicz pośpieszył do hotelu. Mógł się już nie obawiać, że ktoś go będzie śledził, a przecież musiał jak najprędzej skontaktować się z Petersburgiem. Aktywne uczestnictwo wrogiego wywiadu w bakijskiej zawierusze całkowicie zmienia perspektywę i cały obraz.

Natychmiast zatelefonować do Saint-Estèphe'a. Teraz nie ma czasu na konspirację.

Skręciwszy w Olginską, Fandorin zobaczył przed wejściem do „Nationalu” cztery jednakowe czarne auta. Na tarasie stali dwaj żandarmi. Z bliska dało się zauważyć, że twarze mają blade, nieprzypieczone słońcem. Nie bakijskie.

Boże, co tu się jeszcze stało?

W holu dziarski oficer z akselbantami rzucił się do Erasta Pietrowicza.

– Nareszcie! Szukamy pana po całym mieście! Chodźmy, chodźmy! Czekają na pana!

– Kto? – zapytał Fandorin, rozpoznawszy jednego z adiutantów generała Żukowskiego, komendanta Korpusu Żandarmerii.

– Dowódca i pan dyrektor departamentu policji.

Wielka polityka

Zastępca ministra spraw wewnętrznych, pełniący też funkcję dowódcy Korpusu Żandarmerii, generał świty jego wysokości Władimir Fiodorowicz Żukowski oraz dyrektor departamentu policji, tajny radca Emmanuel Karłowicz de Saint-Estèphe, czyli szefowie dwóch resortów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo imperium, niecierpliwie podnieśli się na widok Fandorina, kiedy ten, jeszcze nie ochłonawszy ze zdumienia, wszedł do sali bankietowej, którą przekazano do pełnej dyspozycji wysokich stołecznych figur. Urządzono w niej naprędce coś w rodzaju sztabu polowego. Wojskowi łącznościowcy kończyli instalowanie specjalnego telegrafu i kurierskiej linii telefonicznej, w kącie migąły światełka przenośnej radiostacji, kilku oficerów i urzędników rozkładało na stołach teczki kancelaryjne.

– Aha, oto i on!

Generał mocno ścisnął Erastowi Pietrowiczowi dłoń, ale buldogowata twarz z wypukłym czołem i wąsami à la Bismarck nie wyrażała życzliwości. Jego ekscelencja nie lubił emerytowanego radcy stanu, zdawał sobie sprawę, że ten o tym doskonale wie, i nie uważał za stosowne udawać. Powód antypatii krył się w zamierzchłej przeszłości. Żukowski służył niegdyś jako adiutant wielkiego księcia, moskiewskiego generał-gubernatora, który uważał Fandorina za swojego zagorzałego wroga. Minęło już z dziesięć lat, odkąd jego wysokość przeniósł się na tamten świat, ale Władimir Fiodorowicz, by tak rzec, odziedziczył niechęć w spadku po zmarłym. Erast Pietrowicz całkowicie odwzajemniał uczucia generała, bo żeby lubić człowieka, który ciebie nie znosi, trzeba być świętym Pańskim albo bodhisattwą. Fandorin zaś nie był ani jednym, ani drugim. Jednakże wierność wobec nieżyjącego zwierzchnika, osobnika antypatycznego i nielubianego przez moskwian, mogła budzić szacunek. Było w tym coś samurajskiego. Jeszcze większy szacunek Erasta Pietrowicza budziła postawa życiowa naczelnego dowódcy żandarmów. Był to człowiek energiczny, sumienny, nieprzypochlebiający się przełożonym.

Należy dodać, że i Władimir Fiodorowicz, nastawiony nieprzyjaźnie do Fandorina, wysoko cenił jego profesjonalizm i przenikliwość. Obaj umieli oddzielać sprawy osobiste od państwowych.

Emmanuel Karłowicz również się nie uśmiechnął do Fandorina, ale z innego powodu. W ogóle nigdy się nie uśmiechał. Był ponury, wychudzony, wiecznie ssał

pastylki na żołądek, a jego zielonkawa cera pasowała do koloru sukna zaścielającego służbowe biurko. Saint-Estèphe pochodził z rodziny emigrantów, którzy zbiegli do Rosji przed okropnościami rewolucji i pozostali w służbie północnego imperium – nierozgarniętego, opieszałego, lecz przez to niezmiernie hojnego w stosunku do osób rozgarniętych i nieopieszałych. Emmanuel Karłowicz był właśnie taki: solidny, obowiązkowy i uczciwy. Te trzy rzadko u nas spotykane (i jeszcze rzadziej występujące jednocześnie) cechy zapewniły Saint-Estèphe'owi błyskotliwą karierę, choć Erast Pietrowicz wolałby widzieć na odpowiedzialnym stanowisku szefa policji energiczniejszą osobę.

Bakijskie wydarzenia miały olbrzymie znaczenie dla państwa, a dzisiejsze nowiny sprawiły, że obecna sytuacja nabrała jeszcze większej wagi. Mimo to Fandorin był zdumiony, że aż dwaj wysocy funkcjonariusze, porzuciwszy wszystkie sprawy, przybyli na jego wezwanie na odległy kraniec imperium, i to jeszcze w szczytowym momencie kryzysu politycznego grożącego wybuchem wojny.

Tym bardziej nie należało tracić czasu na puste preludia. Erast Pietrowicz od razu przeszedł do rzeczy. Opowiedział o wielopiętrowym spisku, który stał się przyczyną strajku, o swoich podejrzeniach co do przygotowywanej akcji, która ostatecznie sparaliżuje przemysł naftowy, wreszcie o gorączkowej, całkiem bezczelnej aktywności austriackiej rezydentury.

O ile dyrektor departamentu policji słuchał uważnie, to na obwisłej twarzy Żukowskiego malowało się wyraźne zniecierpliwienie, a brwi coraz bardziej się marszczyły.

– Niech pan posłucha. – Generał przerwał w końcu Fandorinowi. – Nie przyjechałem tu z powodu strajku czy ropy. Tym zajmie się Emmanuel Karłowicz po moim powrocie do Petersburga.

– Więc d-dlaczego pan przyjechał? – zdziwił się Erast Pietrowicz.

– Dlatego że góra nie raczyła przybyć do Mahometa. Ile razy był pan wzywany do Petersburga? Telefonami, pilnymi telegramami? Ale Fandorin nie odpowiada, Fandorin nie ma, Fandorin jest nieuchwytny! – ze złością odparł Żukowski i już nie mógł się pohamować. – A cenny czas biegnie! Wszyscy mnie szarpia: trzej ministrowie, szef rządu, sztabu generalnego, sam monarcha. Gdzie jest ten piekielny Fandorin? W Baku, odpowiadam. Nie możemy go stamtąd wyciągnąć. Niech pan jedzie i go odszuka, polecono mi. Bo zanim dotrze do Petersburga, będzie za późno. Pociągami specjalnymi, zamkniętą dla innych trasą, dotarliśmy tutaj w ciągu trzydziestu siedmiu godzin. I przez kolejne trzy i pół sterczeliśmy w tej dziurze – dowódca machnął ręką w kierunku gipsowych esów-floresów na suficie – zanim pan raczył się zjawić. Plecie pan jakieś bzdury, a czas biegnie!

– To nie są bzdury! – Erast Pietrowicz się obruszył. – Jeśli przystąpimy do wojny z Austrią...

Masywna dłoń jego eksceleencji z ogłuszającym hukiem opadła na biurko.

– Da mi pan skończyć, łaskawco?! Wiem, że nie szanuje pan osób urzędowych, ale z gadulstwa do tej pory pan nie słynał!

Fandorin zbladł i złożył ręce na piersiach, po czym spiorunował gbura lodowatym spojrzeniem. Nie odezwę się więcej ani słowem, postanowił

– Ano właśnie... – Żukowski wytarł chustką spocone czoło. – Co za przekłety klimat! Milcz pan i słuchaj. Powiedział pan: Jeśli przystąpimy do wojny z Austrią. Nie tylko my i nie tylko z Austrią. Do nas przyłączą się Francja i Anglia, a do nich Niemcy i Turcja. Rozpocznie się ogólnoeuropejska bijatyka, jakiej nie było od czasów Napoleona, tyle że teraz z użyciem współczesnych środków zagłady. Zginą miliony, całe państwa zostaną spustoszone. Najstraszniejsze jest to, że te dwie lokomotywy już pędzą na siebie z naprzeciwka po tym samym torze, z każdym dniem coraz bardziej się rozpędzają i nikt, nawet maszyniści, nie wiedzą, jak nacisnąć hamulec albo skrócić na boczny tor. W Wiedniu i Petersburgu, w Paryżu i Berlinie tłumy żądają od rządu nieugiętej postawy, gazety dolewają oliwy do ognia, generalicja marzy o orderach i awansach, przemysłowcy już podliczają przyszły zysk z wojskowych zamówień. Jedyne monarchowie i trzeźwi politycy pragną pokoju, ale emocje nazbyt się rozogniły. Jaki monarcha, jaki polityk ośmieli się zignorować patriotyczną histerię społeczeństwa? Ściągnęłoby to nań oskarżenia o słabość...

Erast Pietrowicz zapomniał o urazie. Nie miał pojęcia, że kryzys aż tak się nasilił.

– Więc wojna jest nieunikniona? – zapytał cicho, wykorzystując krótką pauzę. – W takim razie nie rozumiem, wasza ekscelencjo, jak pan mógł w tak gorącym czasie opuścić stolicę.

Tym razem Żukowski się nie rozgniewał.

– Nowoczesne środki łączności pozwalają mi kierować podległymi służbami na odległość. Sztab operacyjny, utworzony z powodu nadzwyczajnych okoliczności, podróżuje ze mną. – Machnął dłonią w stronę oficerów i urzędników. – Pracujemy dniem i nocą. Przygotowujemy się do aresztowania podejrzanych osób, rozbijamy siatki terytorialnego i wojskowego wywiadu, opracowujemy środki ostrożności dla przedsiębiorstw zbrojeniowych. Pojawiała się jednak nadzieja, że unikniemy konfliktu zbrojnego, i to jest teraz najważniejsze. Oto dlaczego tutaj jestem.

– Nadzieja? Jaka?

– Pomysł zrodził się w Wiedniu, w kręgach dworskich. Franciszek Józef

ma osiemdziesiąt cztery lata i bardzo się boi, że wielka wojna doprowadzi państwo do zguby. Jednakże cesarz znalazł się w nader kłopotliwym położeniu, bowiem opinia społeczna jest jeszcze bardziej wzburzona niż u nas. Austriacy pragną odwetu za zabójstwo arcyksiężęcej pary. Według informacji ich wywiadu w zamachu brali udział oficerowie serbskiej tajnej policji. Wiedeń nie wierzy, że Belgradowi będzie zależało na znalezieniu i aresztowaniu organizatorów. Przedstawił Serbii ultimatum składające się z dziesięciu postulatów. Są tam nader surowe żądania dotyczące rozwiązania wszystkich antyaustriackich partii i organizacji, przeprowadzenia czystki w armii oraz w aparacie państwowym i tak dalej, i tak dalej. Belgrad zgadza się na wszystko prócz jednego: żeby śledztwo prowadzili austriaccy funkcjonariusze. W rzeczywistości oznaczałoby to rezygnację z suwerenności państwowej. Jak komisja zagraniczna może pełnić funkcje polityczne na twoim terytorium? Jeśli król Piotr na to przystanie, w kraju wybuchnie rewolucja. Po prostu go zabiją, tak jak jedenaście lat temu zabito króla Aleksandra. Serbski rząd poprosił, żeby usunąć tylko ten jeden punkt. Ale Wiedeń nie może. Naród austriacki nie uzna wewnątrzserbskiego dochodzenia. Jeśli Belgrad w ciągu kilku dni nie wyrazi zgody, ultimatum zostanie opublikowane w prasie. I wtedy nikt już nie będzie mógł się wycofać. Wojna ostatecznie stanie się nieunikniona... Jest tylko jedna osoba zdolna przełamać impas w rozmowach i powstrzymać katastrofę. Pan.

– S-słucham?

Fandorin pomyślał, że się przesłyszał.

– Franciszek Józef dał do zrozumienia, że jest gotów pójść na kompromis. Jeżeli śledztwem pokieruje człowiek, który mimo że nie jest poddanym austriackim, cieszy się pełnym zaufaniem Wiednia. Cesarz wymienił pańskie nazwisko. O ile dobrze zrozumiałem, oddał pan rodzinie Habsburgów jakieś przysługi?

Wyczekująca pauza, którą zrobił dowódca, oznaczała, że czeka on na wyjaśnienia Erasta Pietrowicza. Fandorin jednak milczał. Rzeczywiście, kilka lat temu pomógł nieszczęsnej rodzinie, w której wiecznie wydarzają się jakieś tragedie, rozwiązać pewien bolesny problem. Ale sprawa była delikatna, szczególnie poufna, w żadnym razie nie potrzebowała rozgłosu. Bardzo możliwe, że stary cesarz przypomniał sobie o Fandorinie nie tylko z racji jego śledczych talentów, ale ze względu na umiejętność trzymania języka za zębami.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Żukowski podjął:

– Wiedeń proponuje, żeby wyznaczyć pana na niezależnego szefa śledztwa. Będzie pan miał dwóch zastępców: austriackiego i serbskiego, każdego z własnym zespołem. Propozycja Franciszka Józefa urządza wszystkich. Belgrad nie znajduje słów podziwu. Po pierwsze jest pan Rosjaninem. Po drugie Serbowie pamiętają, że

podczas wojny 1876 roku walczył pan jako ochotnik w serbskim wojsku. Nasz cesarz też jest zadowolony. Rosja stanie się stróżem pokoju, wojny nie będzie, a nasz moralny wpływ na Bałkanach się zwiększy. Zgadza się pan przyjąć tę misję? A raczej czy czuje pan, że ma prawo odmówić?

Drugie pytanie zabrzmiało niepokojąco. Generał zauważył, że twarz Fandorina sposepniała.

– To okropne. N-niepotrzebnie zabiłem człowieka...

– Co?

Zastępca ministra wybałuszył oczy. Dyrektor departamentu, na odwrót, zmrużył powieki. Obaj wymienili zdumione spojrzenia.

– To dlatego Austriacy tak uparcie mnie p-prześladowali – wymamrotał Erast Pietrowicz, chmurząc się jeszcze bardziej.

– Tak, ich konsul w Baku poinformował nas, że żadną miarą nie może się z panem spotkać. Był zrozpaczony. Wiedeń zasypał go historycznymi szyfrogramami.

– Lüst stracił cierpliwość. Spróbował porwać mnie siłą. A ja niewłaściwie odczytałem jego intencje i zabiłem jednego z agentów...

– Niechże pan słucha, Fandorin! – ryknął generał. – Gra toczy się o ocalenie Europy, a pan tu o bzdurach! Austriacy sami są sobie winni. Co to za maniery, porywać pana siłą? I na litość boską, niech pan przestanie zbaczać z tematu! Zgadza się pan pokierować śledztwem?

– Oczywiście, że się zgadzam – odparł Erast Pietrowicz z nieszczęśliwą miną.

– Uf... – Żukowski wytarł twarz chustką i odwrócił się do asystentów. – Pułkowniku, niech pan natychmiast nawiąże bezpośrednią łączność z Carskim Siołem.

– Przepraszam, wasza ekscelencjo. Obawiam się, że wykorzystanie hotelowych przewodów nie jest możliwe. Poleciałem dostarczyć wszystkie niezbędne rzeczy ze sztabu Flotylii Kaspijskiej. Ale to zajmie ze dwie, trzy godziny...

– A więc tak. – Generał się podniósł. – Przenosimy się do budynku urzędu żandarmerii. Tam mają bezpośrednią łączność z ministerstwem, czyli że można się będzie połączyć również z monarchą. Muszę jak najprędzej zameldować jego wysokości, że pana znalazłem i że się pan zgodził – wyjaśnił Fandorinowi. – Aha, jeszcze jedno. Gratuluję awansu do rangi rzeczywistego radcy stanu. Teraz pan również jest „ekscelencją”.

– Za co t-takie wyróżnienie?

– Nie za co, ale po co. Chyba pan wie, jaką wagę Niemcy przykładają do hierarchii służbowej. Rozkaz jest przygotowany i zostanie natychmiast podpisany. Poza tym otrzyma pan list uwierzytelniający zawierający specjalne

pełnomocnictwa, a także prywatne listy jego wysokości do monarchów austriackiego i serbskiego. Dostarczę panu te fototelegraficzne depesze bezpośrednio na dworzec. Nocą, kiedy wszystkie dokumenty zostaną przygotowane, uda się pan specjalnym pociągiem do Batumi. W porcie będzie na pana czekał szybki jacht. Dwie doby później znajdzie się pan w Wiedniu. Austriacy nalegają, żeby instrukcje zostały panu wydane przez nich, na audiencji u cesarza. Ma pan pytania?

Zaskoczony Erast Pietrowicz pomasaował punkt koncentracji, który znajduje się dokładnie na środku czoła.

– W-więc do wieczora jestem wolny? Muszę zakończyć pewne sprawy.

– Do północy – uściślił generał. – Jeśli jakieś dokumenty nie zdążą nadejść, otrzyma je pan w Batumi. A na razie, w ramach swoich kompetencji, wystawię panu dokument, który pomoże panu w pańskich sprawach. Pułkownik! Gdzie jest mandat przygotowany dla pana Fandorina?

Oficer wręczył Erastowi Pietrowiczowi kopertę. Na indywidualnym blankiecie zastępcy ministra spraw wewnętrznych z podpisem i pieczęcią herbową odcisniętą w laku było napisane, że okaziciel niniejszego certyfikatu, rzeczywisty radca stanu E.P. Fandorin, wykonuje poufne zadanie wielkiej wagi państwowej, w związku z czym wszystkie urzędy policji i żandarmerii są obowiązane bezwzględnie podporządkować się jego poleceniom, a służbom cywilnym nakazuje się okazać mu wszelką pomoc.

– Mam p-prośbę, ważną. Mój pomocnik jest ranny i znajduje się w miejscowym szpitalu...

Żukowski niecierpliwie machnął ręką.

– Po prostu niech pan powie pułkownikowi. Wszystko zostanie skrupulatnie wykonane. Jeśli potrzebny jest transport, to go przetransportują. Jeśli specjalna opieka – będzie zapewniona. Niech pan myśli o Wiedniu i Belgradzie, niczym się nie rozprasza. Dam panu ochronę z najlepszych pracowników, a w Batumi dołączy do pana grupa trzech sekretarzy.

– Nie potrzebuję ochrony – odparował Fandorin.

Austriacy od razu się zorientują, że to profesjonalni wywiadowcy – pomyślał – i będą mnie traktować podejrzliwie. Ja też obejdę się bez oficjalnych nianiek.

– Sekretarzy również nie potrzebuję. Wezmę na m-miejscu jednego Austriaka i jednego Serba.

Generał ze zrozumieniem kiwnął głową.

– No cóż, to brzmi sensownie. Pan wie lepiej.

– A ochroniarz w-wystarczy jeden. To osoba sprawdzona i doświadczona. Przyda mi się. Tylko...

– Co „tylko”?

– Jest na bakier z prawem.

– Eraście Pietrowiczu – rzekł Żukowski błagalnie, stojąc już w drzwiach. – Przecież prosiłem, żeby nie zajmował się pan głupstwami! Monarcha czeka. Niech pan poda Emmanuelowi Karłowiczowi nazwisko pańskiego protegowanego, a wszystko zostanie załatwione. I ostatnia rzecz. Na dworzec, na miejsce naszego spotkania, odwiozą pana stąd, z hotelu. Więc kwadrans przed północą raczy pan być u siebie w pokoju.

Drzwi za jego ekscelencją zatrzasnęły się z hukiem.

Małomówny dyrektor departamentu od razu podniósł się z krzesła i odezwał beznamiętnym tonem:

– No a teraz, kiedy generał Strum-und-Drang^[22] pomknął jak błyskawica, porozmawiamy spokojnie i szczegółowo o bakijskich sprawach.

Nawet mówiąc coś żartobliwego, skwaszony Saint-Estèphe nigdy się nie uśmiechał.

– W odróżnieniu od Władimira Fiodorowicza niepokoję się strajkiem, a nie kwestiami polityki europejskiej. Po to przybyłem. Jakkolwiek potoczą się sprawy tam, na Bałkanach, nasz kraj nie powinien zostać bez ropy. Pociągnęłoby to za sobą poważne skutki.

Jakie skutki, Emmanuel Karłowicz nie wyjaśnił. I tak było wiadomo.

Fandorin wymienił środki, które jego zdaniem należało przedsięwziąć: surowa reprimenda dla nafciarzy, zapewnienie rezerwowych załóg na statkach i brygad awaryjnych w pociągach.

– Za późno. – Dyrektor pokręcił głową, dosłuchawszy do końca. – Spotkam się oczywiście z bakijskimi oligarchami, ale to już nic nie da. Dzisiaj w samo południe nagle zastrajkowała cała flotylla tankowców na Morzu Kaspijskim. Jednocześnie strajk ogłosił związek kolejarzy. Co dziwne, bez wcześniejszej wrzawy i żądań. Dostawa wszystkich produktów naftowych z wyjątkiem ropy została wstrzymana. W terminalach Carycyna i w zbiornikach w bazach znajduje się tygodniowy zapas. To ostateczny termin przerwania strajku. Dobrze, że przynajmniej rurociąg jest państwowy. Bez ropy byłaby po prostu katastrofa.

– Dzisiaj w południe? – wolno powtórzył Fandorin. – I załogi statków, i kolejarze? Bez uprzedzenia, bez żadnych żądań?

– Zgadza się. Czuć twardą rękę, wspólną wolę i żelazną dyscyplinę. Niedawno wspomniał pan, że pańskim zdaniem szykuje się jakaś wielka akcja. Jego ekscelencja przerwał panu, ale mnie to ogromnie interesuje. Ma pan konkretne przypuszczenia?

– Na przykład skoordynowany strajk transportowców – odrzekł Erast Pietrowicz.
– Ale on już się odbył.

Dyrektor sceptycznie pokręcił głową, lecz Fandorin zmienił temat:

– Człowiek, który przyda mi się na Bałkanach, jest poszukiwanym przestępcą.

– Przestępstwa ciężkie? Polityczne?

– Niezwiązane z polityką, ale bardzo ciężkie. Między innymi zabójstwa, w tym prawdopodobnie funkcjonariuszy państwowych, ucieczka z więzienia i Bóg jeden wie co jeszcze. Pewnie wystarczy na dziesięć wyroków zesłania na bezterminową katorgę.

– W takim razie to poza moją jurysdykcją. – Saint—Estèphe zamyślił się, zmrużył oczy. – Mogę mu wydać legitymację agenturalną na fikcyjne nazwisko, jednakże po powrocie na terytorium Rosji pański bandyta zostanie aresztowany. Niech lepiej zostanie za granicą.

Trudno było sobie wyobrazić Kara Hasyma żyjącego gdzieś poza Baku. Zresztą na pewno się nie zgodzi.

– Warunkiem mojego uczestnictwa w serbskim śledztwie będzie najwyższe ułaskawienie mojego pomocnika.

– To również nie leży w mojej kompetencji. Jednakże jestem pewien, że w razie sukcesu misji pańska prośba zostanie spełniona.

Niechby tylko spróbowano jej nie spełnić. Ale on ma rację. To nie jest temat do rozmowy z dyrektorem departamentu policji.

– P-pozalątwiam sprawy w mieście – powiedział Erast Pietrowicz, wstając. – Przed północą będę w swoim pokoju. Ż-żegnaj pana.

* * *

Na schodach u Hasyma jak zwykle siedzieli jacyś petenci. W odpowiedzi na powitanie kiwnęli głowami i odprowadzili Fandorina wzrokiem, w którym nie było nie tylko ciekawości, ale i żadnych emocji.

Hasym popijał herbatę i gawędził z siwobrodym starcem.

– Mam do ciebie sprawę, i to pilną – posepnie rzekł Fandorin.

– Ej, ja też mam do ciebie pilny sprawa – odparł Hasym. – Ale każdy sprawa umie czekać. Siadaj herbata pić.

– Moja sprawa nie umie czekać.

Erast Pietrowicz wymownie spojrział na starca. Tamten wstał, pokłonił się i wyszedł.

– Ty nieuprzejmy, Yumrubasz. Po co dobry człowiek wypędzał? Ja odwiózł twoi artyści do sam hotel. Przychodzę do domu, ludzie na mnie czekają. Dawno czekają.

Stary człowiek, siwy broda, rozmawiać przyszedł. Aj, wstyd! Siwy broda nie dla mnie przyszedł. Dla ciebie przyszedł.

– Dla mnie? – Fandorin obejrzał się na drzwi. – A kto to jest?

– Starzec jakiś. Imię powiedział, ale ja nie zapamiętał. Mahmud, Maksud. Nie o imię sprawa! – Goczi machnął dłonią. – On ważny rzecz powiedział. Cieszyć się będziesz.

– Ja? Czemu?

– Ona żyje. Można ją znowu zabijać. – Hasym uśmiechnął się drapieżnie.

– Kto żyje?

– Dziecioł.

Erast Pietrowicz nieelegancko rozdziawił usta.

– Jak to możliwe?! I skąd starzec w ogóle wie o Dzieciole?

– Siwy broda wie, że ja Dziecioł szukał. Dlatego przyszedł. Mówi, widzieli dzisiaj Dziecioł. Ona żyje, jest zdrowa.

– A ciało? Z odrąbanymi d-dłońmi...

– Bo ja wiem? – Goczi wzruszył ramionami. – Widać my kto inny zabili. Oszukała psu brat Szubin. Siwy broda, który ty wypędził (aj, wstyd!) kłamać nie będzie. Skoro powiedział, że widzieli Dziecioł, to znaczy, że widzieli.

– Gdzie go widziano? Kiedy? – zapytał Fandorin, wciąż jeszcze nie wierząc.

– W dzień. W Czarny Miasto. Koło stacja pomp, gdzie ropa tłoczą.

– Co on tam robił? Jeśli to rzeczywiście był Dziecioł.

– Siwy broda mówi, tam koło stacja ludzie droga naprawiali. Niby robotnicy, a sami nie robotnicy. Jedna człowiek podeszła do nich, długo szeptała. To Dziecioł była. Wnuk starca ją zna. Poszedł do dziadek powiedział. Dziadek do mnie przychodził. Później ty przyszedł, dziadek wypędzał. Aj, niedobrze.

Teraz dopiero Fandorin uwierzył. I nagle doznał olśnienia.

Żeby blokada naftowa była całkowita, pozostaje tylko jedno: unieruchomić państwowy rurociąg naftowy! Nie zastrajkuje, więc konspiratorzy zamierzają urządzić tam dywersję! Wszystko się zgadza. Dziecioł naprawdę żyje!

Myśli pomknęły błyskawicznie.

Pilnie powiadomić Saint-Estèphe'a! Ale co on może zrobić? Podlega mu tylko policja, a na nią w Baku nie ma co liczyć. Potrzebne jest wojsko. Jednak jeśli wysłać na stację posiłki, Dziecioł się spłoszy. Uderzy później, po moim wyjeździe. Wykombinuje coś, pomysłowości temu osobnikowi nie brakuje. Nie, trzeba go unieszkodliwić raz na zawsze!

– Muszę pomyśleć – rzekł Fandorin.

– Idź, pisz. Twój zeszytek gdzie zwykle leży. Ale ja ci bez zeszytek powiem. – Hasym popukał się w głowę. – Dziecioł chce stacja spalić. Nocą. Tam dużo, bardzo

duzo ropa, ona dobrze się pali. Był Czarny Miasto, będzie Czerwony Miasto.
I roześmiał się, zadowolony ze swojego dowcipu.

刀

Hasym się myli. Spali się nie tylko przepompownia. Pożar obejmie cały rurociąg, setki kilometrów, do samego Batumi. Na tym właśnie polega plan rewolucjonistów.

Co zrobić, żeby stacja pomp pozostała nienaruszona?

Posiłki na nic się zdadzą. Na stacji i tak jest wieloosobowa ochrona. Dziękiol może liczyć wyłącznie na zaskoczenie.

Co ja bym przedsięwziął na jego miejscu?

Założmy, że mam ludzi. Broni i materiałów wybuchowych też pod dostatkiem. Prawdopodobnie wystarczy wdrzeć się na teren przepompowni i obrzucić zbiorniki z ropą bombami. Wybuchnie pożar, a dalej wszystko potoczy się samo. Bardzo proste. Wniosek: wszystkie siły przerzucić na ochronę wokół budynku. Ochronę w środku można zdjąć, bo nic nie da. Ponadto należy przeczesać przyległy teren. Przed nocą spiskowcy zbiorą się gdzieś niedaleko.

Wszystko to mogę zrobić bez niczyjej pomocy. Mandat daje mi takie pełnomocnictwa.

Fandorin z westchnieniem ulgi odłożył zeszyt i wrócił do Hasyma.

– Nocą znowu będziemy Dziękiol łapać? – zapytał tamten, posilając się plackiem. – Na stacja pójdziemy?

– Ty mi się tam nie p-przydasz. Zresztą nie możesz iść. Żandarmi, specjalna procedura. Gdy cię zobaczą, od razu aresztują.

Erast Pietrowicz nie podał prawdziwego powodu, dla którego postanowił nie zabierać ze sobą pomocnika. Z czarodziejskim dokumentem generała Żukowskiego można było wprowadzić do strzeżonego obiektu nawet Alibabę i czterdziestu rozbójników, ale ludzie Dziękiola z pewnością obserwują przepompownię. Kara Hasym jest znaną osobą w mieście. Gdy się dowiedzą, staną się czujni. Takiego niedźwiedzia nie sposób ucharakteryzować.

– Teraz muszę się p-przespać. Równo dwie godziny. Położę się w najdalszym pokoju, niech twoi interesanci się tam nie zapędzają.

– Swój kindżał na próg położę. Nikt nie przekroczy. Śpij spokojnie, Yumrubaş.

Wyciągnąwszy się na kobiercu, Fandorin przyjął pozycję absolutnego odprężenia.

Co można było zrobić, zostało zrobione. Co trzeba jeszcze zrobić, zrobię. A teraz wyłączyć się. Dwie godziny błogiej pustki.

Rozmowa z diabłem

Dzięcioł przygryzał pusty munsztuk. Palenie tutaj było surowo wzbronione. Na białych kafelkach ciemniał jego cień – to gęstniał, to się rozjaśniał. Pod sufitem migotała żarówka. Pewnie się niebawem przepali.

– Co, przyjacielu – odezwał się w myślach Dzięcioł do postaci na ścianie – polowanie wchodzi w decydującą fazę? Jedzie, jedzie, jedzie do niej, jedzie do swej kochaneczki^[23]?

– Fandorin, hę? – Diabeł parsknął śmiechem. – Tak, sprytnie go podszedłeś.

Dzięcioł zerknął na zegarek. Z pisaniną Krab upora się sam, papierki można wypełniać również jedną ręką. Zostało jeszcze z dziesięć minut. Trzeba się wprawić we właściwy nastrój, maksymalnie się skoncentrować. Najmniejszy błąd może wszystko zaprzepaścić.

W tym właśnie celu przyszedł do ubikacji. Żeby pobyć w samotności.

– I pogadać sobie z przyjacielem od serca, nieprawdaż? – szepnął diabeł. – Teraz Słoń się nam nie wymknie.

Tępe zwierzę jest nieco zatrwożone, porusza uszami, macha trąbą, ale wie, że prawdziwe niebezpieczeństwo mu nie grozi. Najwrażliwsze miejsce na gigantycznym cielsku jest dobrze osłonięte, więc nie musi się zbytnio obawiać.

Jak w każdej wielkiej sprawie najważniejszą rzeczą było znalezienie pięty achillesowej. Śmiertelny cios w to miejsce powali niepokonanego, zdawałoby się, wroga.

Owo miejsce to Baku. Współczesne wielkie mocarstwa, same tego nie zauważając, stały się paliwowymi narkomanami. Bez zasobów energii państwo momentalnie się udusi, jak organizm bez krwiobiegu.

W Rosji są dwa źródła energii: węgiel i ropa. Z węglem trudno coś zrobić, wydobywa się go w wielu miejscach. Z ropą jest łatwiej. Prawie dziewięćdziesiąt procent eksploatuje się na jednym skrawku – na Półwyspie Apszerońskim, który od reszty kraju oddzielają góry Kaukazu i morze. Produkty naftowe dostarcza się trzema arteriami: przez Morze Kaspijskie statkami, na lądzie składami kolejowymi oraz rurociągiem.

Kolej się zbuntowała. Niełatwo było się dogadać z esdekami-mieńszewikami, ale w końcu osiągnięto porozumienie.

Eserzy, którzy kontrolują kaspijską flotyllę tankowców, certowali się przez pewien czas, ale również zgodzili się zaśpiewać we wspólnym chórze.

A dzisiejszej nocy nastąpi iluminacja w bakijskiej stacji pomp. Fala ognia przetoczy się przez osiemset kilometrów. W wielu miejscach zniszczy tory, wzdłuż których biegnie rurociąg.

Towarzysze w Donbasie i na Syberii rozpoczną powszechny strajk w przemyśle węglowym. Górnicy jeszcze się wahają, zaczęli im teraz nieźle płacić, ale kiedy wybuchnie powszechny zamęt, zatriumfują solidarność proletariacka i niezwyciężony duch pugaczowszczyzny, właściwy rosyjskiemu narodowi.

Kraj zostanie bez ropy, mazutu, olejów maszynowych, a później również bez węgla. Najważniejsze jednak, że zostanie bez nafty. Staną maszyny i transport, ale to jeszcze pół biedy. Jeśli natomiast w domach zgaśnie światło (a w osiemdziesięciu ośmiu procentach oświetlenie w Rosji jest naftowe), nastąpi epoka Wielkiej Ciemności.

Na ciemnych ulicach miast wyrosną barykady. Wypełnią się robotnikami strajkujących fabryk.

Na ciemnym terytorium chłopskiego kraju zapłoną dwory obszarników.

W ciemnych koszarach zacznie się poruszenie wśród agitowanych żołnierzy.

Wojskowo-przemysłowa klika będzie musiała zapomnieć o imperialistycznej wojnie, bo rzuci się do ratowania własnej skóry. Ale to jej się nie uda. Słoń absolutyzmu, trzechsetletni zniedołężniały olbrzym, nie utrzyma się na swoich kłocowatych nogach. Zwali się i zdechnie.

Wówczas zakończy się powszechny strajk. Znów zajaśnieje światło, opromieniając bezkresny kraj uwolniony nareszcie od niewolnictwa.

– Nie darmo operacja nosi nazwę „Z ciemności do światła” – wyjaśnił Dziecioł rozmówcy.

Diabeł nie byłby diabłem, gdyby w odpowiedzi nie wbił oponentowi szpili:

– Całe życie spędziłeś w podziemiu, w ciemności. Potrafisz żyć poza nią? Nie oślepniesz?
– W jego głosie zabrzmiały przypochlebne nutki. – Może pomyślisz też o rodzinie? Wkrótce stuknie ci czterdziestka, młodość masz już za sobą. Powiedz mi, człowieku-wyspo, nie lepiej zostać półwyspem, kiedy walka się zakończy?

– Nie przymilaj się, kreaturo! – przerwał kusicielowi rozzłoszczony Dziecioł. – Najpierw trzeba pokonać Słonia.

I pomyślał, w tajemnicy przed diabłem: Kiedy ziści się wielka wspólna Sprawa, można się będzie zatroszczyć o osobiste szczęście. Usypać groblę na drugą wyspę. A później, kto wie, może stworzyć cały archipelag.

Po tym, jak Słoń zdechnie, wszystko stanie się możliwe.

Walka z rakopodobnym

Fandorin dostał się na stację pomp dorożką. Miał przyklejoną brodę i okulary, a na głowie kaszkiet inżyniera z otokiem resortu górnictwa.

Ostrożność okazała się zbyteczna. Mimo że już się ściemniło, niewielki dziedziniec przed bramą i portiernią był zalany światłem elektrycznym. Wokół zaś nie paliło się ani jedno światełko: hale produkcyjne, wieże wiertnicze, zbiorniki oraz magazyny zdawały się martwe. Strajk zamienił Czarne Miasto w bezludną pustynię.

Rurociąg był strzeżony nie na żarty: szlaban z wartownikiem, wieże z reflektorami, wzdłuż muru patrole znajdujące się w polu wzajemnego widzenia.

Erast Pietrowicz przedstawił się dowódcy warty.

– Tak jest, wasza ekscelencjo. Czekają na pana.

– Gdzie tu macie k-kosz na śmieci?

Fandorin oderwał fałszywy zarost, a okulary wsunął do kieszeni. Porucznik się nie dziwił; uprzedzono go, że rzeczywisty radca stanu zjawi się w przebraniu.

Przed wyjazdem Erast Pietrowicz zatelefonował do Saint-Estèphe'a. Poinformował go, że nocą w przepompowni można się spodziewać dywersji, ale nie należy podejmować żadnych działań. Ludzi jest tam dosyć, a on, Fandorin, pokieruje kontroperacją osobiście. Do pana dyrektora miał dwie prośby: żeby wydał dowódcy ochrony odpowiednie instrukcje i żeby przysłał uniform.

– I to wszystko? – nerwowo zapytał Emmanuel Karłowicz. – Wolne żarty! Natychmiast udaję się na miejsce.

– W żadnym razie. To obudzi czujność d-dywersantów.

Saint-Estèphe westchnął i ustąpił.

– Z Bogiem! Będę czekał przy telefonie.

Dyżurny dowódca ochrony, kapitan Wasiljew skrupulatnie wykonał otrzymane przez telefon instrukcje.

– Do czasu przyjazdu waszej ekscelencji nie wprowadziliśmy żadnych zmian w obowiązującym harmonogramie. O dywersji wiem tylko ja i mój zastępca kapitan Simonaszwili. Czy wiadomo, na czym właściwie polega plan przestępców? Co to będzie: natarcie, podkop czy może atak bombowy?

– Nie w-wiem. Na którą godzinę wyznaczono akcję, też nie wiadomo. Dlatego

nie będziemy zwlekać. Proszę mnie oprowadzić po terenie, później wejdziemy do środka.

Przegląd ujawnił to, co należało ustalić. Znajdowało się tu sporo niedużych zabudowań – składów, szop, budek, pomieszczeń magazynowych. W razie przedostania się niewielkiej grupy bojowców nietrudno będzie im się ukryć.

Jak się przedostaną? A diabli ich wiedzą. Dziękił chyba nie zamierza szturmować od czoła obiektu, który ochrania cały batalion żandarmów. Widocznie wymyślił coś sprytnego. Możliwe, że on i jego ludzie już gdzieś tu są. Czekają na sprzyjający moment albo na wyznaczoną godzinę.

– Dobrze. Niech pan p-pokaże, gdzie się znajdują słabe punkty stacji.

– Mamy starannie przemyślane środki ochrony przeciwpożarowej – wyjaśniał kapitan po drodze. – Wszystko pokrywa gruba warstwa niepalnego lakieru. Rury, którymi płynie ropa z fabryk, są od zewnątrz ognioodporne. Jedyne miejsce, gdzie niebezpieczeństwem grozi każda iskra, a tym bardziej wybuch, to pomieszczenie z pompami. Ale zaraz pan zobaczy, jak pilnie jest strzeżone.

Korytarz, którym podążali, skręcił i doprowadził ich do drzwi. Pobłyskiwał nad nimi dziwny metalowy pałak. Wartownik z mauzerem za pasem zsalutował przełożonemu i bez słowa wyciągnął rękę.

Wasiljew zaczął rozpinać kaburę.

– To nowość techniczna, detektor metalu. W razie próby wniesienia do środka metalowego przedmiotu o wadze powyżej stu gramów włącza się alarm. Dlatego każdy, kto wchodzi, musi zdać broń palną. Ja również. Różnie może się zdarzyć. Dojdzie na przykład do samowystępu i rykoszetu. Aż strach sobie wyobrazić. W pomieszczeniu z pompami ochrona ma tylko krótkie kindzały w skórzanych pochwach.

Obaj oddali wartownikowi pistolety, kapitan odpiął szablę.

Ruszyli dalej – błyszczącym, oślepiająco białym przejściem. Gdyby nie intensywny, ostry zapach ropy, można by było pomyśleć, że to supernowoczesna klinika albo laboratorium naukowe. Z każdym krokiem coraz głośniejsze rozlegało się potężne dudnienie, jakby w pobliżu hałaśliwie oddychał zziębnięty olbrzym.

– Tutaj znajduje się serce przemysłu naftowego. Schodzą się doń, na podobieństwo naczyń krwionośnych, rury ze wszystkich rafinerii – z przejściem wyjaśniał kapitan, najwidoczniej dumny ze swojej pracy. – Potężna pompa wattowska wtłacza napływającą ropę do rury i popycha ciecz tak, że przesuwają się ona z prędkością dziesięciu metrów na sekundę. Na następnej stacji, pięćdziesiąt kilometrów dalej, ropa znowu jest dopompowywana. I tak do samego Batumi. W ciągu roku wypływa stąd prawie milion ton. Dajemy światło całej Rosji i połowie Europy!

Kapitan otworzył stalowe drzwi i podniósł głos do krzyku, ponieważ miarowe dudnienie stało się ogłuszające.

Na przeciwległym końcu przestronnego pomieszczenia połyskiwały boki ogromnej kadzi sięgającej niemal sufitu, a więc wysokiej na co najmniej dziesięć metrów. Po górnych partiach ścian oraz po prostu w powietrzu do zbiornika zbiegały się rury; płynęła nimi ropa do pompy.

– Wewnątrz pracuje wielotonowy tłok, który nazywamy „nurkiem” – krzyknął Wasiljew, pokazując gigantyczną beczkę. – Silnik jest elektryczny, mamy własną podstację! Jeśli dopływ prądu zostanie przerwany, pompa po prostu stanie. Ale jeśli choć jedna iskra wpadnie o tutaj, gdzie znajduje się wlot powietrza... Widzi pan, nad górnym podestem schodów?

Ale Fandorin nie patrzył w górę, oglądał bowiem pomieszczenie.

Dwaj technicy w niebieskich kitlach, kucnąwszy, mozolili się nad czymś w kącie. Dwaj wartownicy – każdy z kindziałem za pasem – stali po dwóch stronach żelaznych schodków, które pokazywał dowódca ochrony.

– I nikt obcy nie m-może się tutaj dostać?

– W żadnym wypadku.

– Czy oprócz korytarza, którym przyszliśmy, jest inna droga?

– Nie.

Erast Pietrowicz jeszcze raz uważnie omiótł wzrokiem pomieszczenie.

– Ilu ludzi ma pan do dyspozycji, panie kapitanie?

– Zmianę objęły pierwsza i trzecia kompania. Według wykazu to trzysta pięćdziesiąt osiem osób.

– Jak jest rozmieszczona ochrona?

– Zgodnie z instrukcją. Cztery plutony strzegą budynku stacji pomp. Dwa plutony ochraniają teren, wieże i wartownie. Kolejne dwa plutony, rozbite na drużyny, patrolują budynek na zewnątrz. Mysz się nie prześlizgnie, wasza ekscelencjo.

– Nie wystarczy, że się nie p-prześlizgnie. Musimy ją złapać... – Fandorin skierował się do wyjścia, a kapitan podążył za nim. – Nie będziemy siedzieć i czekać, aż przestępcy uznają za stosowne nas zaatakować. Wymierzmy uderzenie wyprzedzające. Udaremnimy ich plany. Potrzebni będą wszyscy pańscy ludzie. W środku nie ma się kogo obawiać. Nasze główne zadanie to obrona na z-zewnątrz.

– Zgodnie z instrukcją pod żadnym pozorem nie wolno mi zostawić bez ochrony pomieszczenia z pompami.

– Ilu to ludzi? Dwóch w środku i jeden przy metalowym pręcie? Niech tam. – Erast Pietrowicz machnął niedbale dłonią. – Na miejscach pozostaną również

strażnicy na wieżach i wartownicy przy wartowni. Reszta za bramę. Niech ściśle otoczą cały mur. Ilu do tego potrzeba ludzi?

– To czterysta dwadzieścia metrów – oszacował dowódca. – W odstępach co trzy metry, znaczy sto czterdzieści osób, czyli trzy i pół plutonu.

– Z-znakomicie. Pozostałych niech pan podzieli na dwie grupy. Pierwszą będzie dowodził pan, a drugą poprowadzi pański zastępca. Za bramą rozciągnięcie się w podwójnym szyku i przeczeszecie przylegający teren wzdłuż i wszerz. Jedna grupa ruszy w lewo, druga w prawo. Zadanie jasne?

– Tak jest – niepewnie odparł Wasiljew. – Ale w tej sytuacji w środku prawie nikt nie zostanie.

– Stacja będzie hermetycznie zamknięta dzięki zewnętrznej ochronie. Przed bramą w-warta. Ja sam również zostanę w środku. Przyłączę się do grupy, która wykryje przeciwnika i przystąpi do walki. Jeśli dotąd udawaliśmy, że niczego nie podejrzewamy, to teraz decydującym czynnikiem będzie szybkość. Niech pan ogłosi alarm i wyda rozkaz „Do broni!”. Wszystko prędko, biegiem. Teraz jest dwudziesta druga czterdzieści dziewięć. Równo o dwudziestej trzeciej i ani sekundy później powinna się zacząć operacja przeczesywania. Wykonać!

Wasiljew był oficerem z krwi i kości, karnym. Otrzymaawszy czytelny rozkaz, przestał wyłuszczać wątpliwości. Wyjął gwizdek i dmuchnął weń w szczególny sposób, trzy razy. Dwie albo trzy sekundy później z różnych stron dobiegły takie same gwizdy. Po chwili wszędzie rozległy się wykrzykiwane rozkazy, tupot butów, szczęk broni.

Fandorin stał na dziedzińcu przed bramą, ze skupionym wyrazem twarzy spoglądając na zegarek. Nie myślał wszakże o początku operacji, lecz o tym, że przed północą nie uda mu się wrócić do „Nationalu”.

To nic. Pociąg jest przeznaczony specjalnie dla mnie, nigdzie nie odjedzie. Generał Żukowski to nie panienka, zaczeka. Poza tym Saint-Estèphe z pewnością mu zameldował, że jestem zajęty.

Serce zaczęło mu bić szybciej. Hazard, przedsmak polowania, ostra woń ryzyka – czyż to właśnie nie jest prawdziwe życie?

A może zdążę do północy, przyszło Erastowi Pietrowiczowi na myśl, kiedy równo o dwudziestej trzeciej za bramą rozległ się rozkaz:

– Pododdział, kierunek na wprost biegiem marsz!

I jeszcze raz, nieco w oddali, z gruzińskim akcentem:

– Pododdział, kierunek na wprost biegiem marsz!

Na dziedzińcu nikogo nie było. Jedynie koło wartowni, przed furtką w bramie, czerniały dwie postaci: wartownika i dowódcy warty.

Już czas!

Krokiem na pierwszy rzut oka nieśpiesznym, ale w gruncie rzeczy bardzo szybkim Fandorin, jak gdyby się przechadzając, dotarł do najbliższego budynku (była to chyba elektrostacja, o której wspominał kapitan). Opuściwszy oświetlone miejsce, Erast Pietrowicz zrzucił z siebie wierzchnią odzież i stał się prawie całkowicie niewidzialny. Nowo upieczony rzeczywisty radca stanu miał na sobie jedynie dopasowany czarny strój „niewidzialnych”. Ponieważ nie lubił zasłaniać twarzy maską, po prostu przesunął po fizjonomii dłonią zabarwioną specjalnym roztworem, dzięki czemu skóra pociemniała.

Teraz, nawet jeśli ktoś uważnie obserwował teren, za nic by nie zauważył bezcielesnej sylwetki, która prześlizgnęła się wzdłuż muru w stronę wejścia do głównego budynku.

Pustym korytarzem Fandorin przemieszczał się jeszcze prędzej, bez najlżejszego szmeru.

Oni już tutaj są!

Na podłodze pod detektorem metalu twarzą do ziemi leżał wartownik. Spod ciała wypływała ciemna struga. Mauzer nadal tkwił w kaburze, zabójca albo zabójcy go nie zabrali. Wiadomo dlaczego: wiedzieli, że włączy się sygnalizacja.

Chcą nie tylko dokonać dywersji, ale i wziąć nogi za pas. Czyli że chodzi o bombę z zapalnikiem czasowym.

Erast Pietrowicz również wolał uniknąć hałasu syreny, więc wsunął webleya do skrytki w ścianie. Po czym pobiegł dalej. Był bardzo ciekaw, jakim cudem Dzieciołowi udało się dostać do budynku strzeżonego niczym twierdza. Uchyliwszy drzwi pomieszczenia z pompami, otrzymał odpowiedź na swoje pytanie.

Ach, więc to tak. Sprytnie...

Dwa ciała w niebieskich mundurach leżały na podłodze, dwie sylwetki w niebieskich kitlach siedziały w kucki i w skupieniu coś robiły – zza pleców nie można było dojrzeć co konkretnie.

A zatem jesteśmy technikami. Zdjęliśmy ochronę, co było nietrudne, a teraz montujemy urządzenie wybuchowe. No a który z nas to Dziecioł?

Pewnie ten, który wydawał polecenia, zerkając na jakąś kartkę. Lewą dłoń trzymał w kieszeni. Całą robotę wykonywał drugi.

Z uwagi na hałas, jaki robiła pompa, herszt musiał krzyczeć. Erast Pietrowicz słyszał prawie każde słowo.

– ...Teraz przycisk do oporu. Przekręć sprężynkę dwanaście razy...

– Nie tak szybko! – odrzekł wykonawca. – Nie nadążam! O, teraz gotowe. Co dalej?

Szef powiedział coś niewyraźnie, pokazując przy tym w górę. Wtedy drugi

mężczyzna podniósł się i pobiegł ku schodkom. W jednej ręce ścisnął jakieś czarne pudełko, drugą chwycił za poręcz.

Dzięcioł stał zwrócony plecami do Fandorina, nadal trzymając rękę w kieszeni. Spoglądał to na kartkę, to na współnika. Tamten też się nie oglądał. Cały czas się wspinał.

Chyba dam sobie radę z obydwoma.

Fandorin ruszył naprzód.

– Widzisz osłonę? Nie, patrz bardziej w lewo! – komenderował Dzięcioł. – Tam obok dławika na górze powinien być regulator powietrza.

– Jest, widzę! – dobiegło z góry.

– Przymocuj magnes! Pamiętasz jak?

Czarny cień stał już o krok od mężczyzny wydającego polecenia, a tamten niczego nie czuł i nie słyszał. Fandorin właśnie miał złapać Dzięcioła za szyję, gdy ten, uniósłszy głowę, głośno zapytał:

– Słuchaj, Dzięcioł, a czy pięć minut nam wystarczy? Trochę zmarudzimy przy bramie. Przystaw na siedem.

Więc Dzięcioł to tamten?

To zmieniało postać rzeczy.

– Nic nie szkodzi, Krab. Zdążymy! – odparł ten na górze, czymś zgrzytając. – A jak nie zdążymy, to do diabła z nami. Dwie minuty to zbędne ryzyko!

Trzeba poczekać, aż zejdzie. Inaczej nie wezmę go żywcem.

Zamiast wyeliminować mężczyznę z kartką, jak początkowo planował, Fandorin mocno chwycił go z tyłu za rękę i szepnął do ucha:

– Nie przerywaj instruktażu, Krab. Piśniesz, a zabiję.

I popchnął zmartwiałego terrorystę do przodu, dla większej pewności naciskając punkty bólu na nadgarstkach. Tamten jęknął i posłusznie podreptał.

– Stój! – syknął Fandorin.

Znaleźli się tuż pod żelaznymi schodami. Teraz z góry nie było ich widać. Krab ciężko oddychał, ale zachowywał się spokojnie.

– Zawołaj: „Coś tu jest nie tak. Nie mogę się połapać. Zejdz na chwilę” – szepnął Erast Pietrowicz i mocniej zacisnął palce.

Zamiast się odezwać, konspirator rzucił się przed siebie, jednocześnie kopiąc Fandorina obcasem w goleń. Z bólu Erastowi Pietrowiczowi pociemniało na kilka sekund w oczach, ale zimną krew stracił z innego powodu. Lewa ręka Kraba w nadprzyrodzony sposób się wydłużyła, a później w ogóle oddzieliła od ciała. Oszołomiony Fandorin rozluźnił chwyt. Wówczas dywersant ostatecznie się uwolnił. W dłoni Erasta Pietrowicza została proteza w skórzanej rękawiczce.

Okazało się, że Krab jest jednoręki!

Ale nie było czasu, żeby się dziwić. Błysnął nóż.

Fandorin rozpoznał zamach – dokładnie tak samo, od lewego do prawego ramienia, rozcinając powietrze, wyprowadzał uderzenie mężczyzna pod wagonem.

Ledwie zdążywszy odskoczyć, Erast Pietrowicz nie przestawał się cofać. Kaleka znakomicie operował białą bronią. Przez cały czas parował ciosy, atakował, nie dawał ani chwili wytchnienia.

– Prędeż, Dziecioł, prędeż! – krzyczał. – Trzymam go! Ustaw na trzy minuty! Nie, dwie! I uciekaj, uciekaj!

Kątem oka (nie było możliwości, żeby podnieść głowę), Fandorin dostrzegł, że po jednej z rur biegnących pod sufitem porusza się cień.

Sprężysty, miękki odgłos. Zeskoczył na ziemię.

Zaatakuj z tyłu? To by było wspaniale.

A niech to! Trzasnęły stalowe drzwi.

Umyka!

Wreszcie udało się pochwycić rękę napastnika. Ale rakopodobny miał fantastyczną siłę w swoich jedynych szczypcach. Wyrwał się.

Erast Pietrowicz rozzłościł się, że tyle czasu traci na inwalidę. Bomba tyka na całego, a Dziecioł daje drapaka!

Trudno. Żegnaj, Krab. Nie chcesz żyć, twoja sprawa.

Odskoczywszy w tył, Fandorin wyciągnął derringera. Pistolecik nie ważył stu gramów, więc czuły detektor metalu nie zareagował.

Derringer miał mnóstwo wad: zaledwie jeden nabój, malutki kaliber, położyć przeciwnika trupem można tylko pod warunkiem że trafi się w samo oko. Ale była też jedna zaleta, w tych warunkach bezcenna. I Erast Pietrowicz ją wykorzystał.

Klasnął niegłośny strzał, kula trafiła tam, gdzie powinna – w rozwścieczone oko. Gdyby strzelać z broni o dużej sile rażenia, istniałoby ryzyko, że ołów przejdzie na wylot i rykoszetuje w nieprzewidywalny sposób. A tu bez obawy. Towarzysz Krab padł martwy z kulą w czaszce.

Z szybkością błyskawicy, przeskakując po dwa stopnie, nie trzymając się poręczy, Fandorin wbiegł po schodkach.

Przez dobrą chwilę wpatrywał się ze skupieniem w tarczę bomby zegarowej, analizując jej konstrukcję.

Dziecioł ustawił zapalnik nie na trzy czy nawet dwie minuty, lecz na sześćdziesiąt sekund. A pięćdziesiąt już minęło.

Ale i dziesięć sekund to wcale niemało. Zwłaszcza jeśli bomba jest takiej nieskomplikowanej budowy, z prostym elektrolitowym zapalnikiem Louisa.

Erast Pietrowicz wyjął baterijkę i wskazówka się zatrzymała.

Teraz można się zająć Dzieciołem. Daleko zdążył uciec? I jak zamierza

przedostać się za bramę?

Nie tracąc czasu na schodzenie po schodkach, Fandorin wybrał tę samą drogę, którą minutę wcześniej umknął Dziecioł. Przebiegł po metalowej rurze, później zeskoczył na dół. Z wysokości jakichś siedmiu metrów niełatwo jest skakać bez uprzedniego przygotowania. Erast Pietrowicz sobie poradził, uczył się bowiem sztuki skakania i padania. Ale Dziecioł?

Trudny przypadek. Chyba będę musiał nieźle się nabiegać, pomyślał Fandorin. Nie bez satysfakcji.

Biały człowiek w Czarnym Mieście

Webleya w skrytce nie było. Erast Pietrowicz zaklął. Przeklęty Dziecioł nie dość, że skakał nie gorzej niż „niewidzialni”, to jeszcze świetnie znał się na broni. Nie w ciemną bity! Nie połazczył się na mauzer zabitego wartownika.

Teraz nie wolno już wypuścić łotra z rąk. Drugiego takiego webleya nie ma na całym bożym świecie. Fandorin sam udoskonalił istniejący model, przygotowano go na zamówienie, czekać trzeba było niemal rok.

Erast Pietrowicz natknął się na ślad przestępcy, gdy tylko wybiegł przed budynek. Przy stopniach, w cieniu, leżał z rozrzuconymi rękami mężczyzna w białej koszuli. W butach i spodniach od munduru. Był to ten sam dowódca warty, któremu Fandorin niespełna godzinę wcześniej pokazywał swój mandat. Możliwe, że usłyszał krzyki dobiegające z głównego budynku i postanowił sprawdzić, co się dzieje...

Brak kaszkietu, góry od munduru i bandoletu stanowił podpowiedź, jaki kierunek ucieczki mógł obrać zabójca. Erast Pietrowicz pobiegł prosto ku bramie. Na jego widok wartownik wystawił bagnet.

– Nie mozi chodzić! Kto taki? – wrzasnął, z przerażeniem spoglądając na umorusaną twarz i czarną sylwetkę rzeczywistego radcy stanu.

Sądząc z wymowy, Tatar. Widocznie niedawno objął zmianę. W wartowni Fandorin go nie zauważył. Pokazywać takiemu mandat to tylko strata czasu, a on jest teraz cenny.

Odepchnąwszy bagnet, Erast Pietrowicz chwycił żołnierza za gardło:

– Wychodził tedy oficer?

– Chodził – wychrypiał Tatar. Był całkiem młody, od niedawna na służbie. – Mówił: „Zapnij guzik, bałwanie”.

Fandorin cisnął karabin jak najdalej, żeby żołnierz z gorliwości nie wypalił mu w plecy. Wybiegł przed szlaban.

Z lewej i z prawej strony rozlegały się nawoływania w ciemnościach; pododdziały przeczesywały teren. Ale na wprost było cicho. Dziecioł mógł pobiec tylko w tamtym kierunku.

Niewidoczny w mroku, prawie nieważki i bezszelestny, Erast Pietrowicz biegł drogą, nie tyle wpatrując się w noc, ile przysłuchując dźwiękom.

W tym martwym mieście zgubić się albo przycząić można było wszędzie. Ale

Fandorin miał wrażenie, że od dawna i dobrze zna przeciwnika. Dziecioł nie należy do tych, którzy ratują się ucieczką. Już zrozumiał, że operacja poniosła fiasko. Na stacji nie doszło do wybuchu. Wie, kto zniweczył plan. I – bez dwóch zdań – pragnie za wszelką cenę wyrównać rachunki. Trzeba mu to jedynie umożliwić.

Nie zatrzymując się, Erast Pietrowicz starł rękawem farbę z twarzy, zrzucił kurtkę, cisnął dopasowaną czapkę. Przestał być niewidzialny. Zmaterializował się. Akurat wyjrzał księżyc, jakby chciał zobaczyć spotkanie dwóch zagorzałych wrogów.

Nagi tors, biała twarz, krótki język na głowie musiały się wyróżniać na absolutnie czarnym tle, jak rysunek kredą na tablicy szkolnej.

Dla lepszego efektu Fandorin zaczął jeszcze pokrzykiwać, nieśpiesznie krocząc pomiędzy nieoświetlonymi zabudowaniami.

– Ej, ptaszku dzięciole! Przyleć tutaj! Jestem sam!

Przed nim widniało oświetlone latarniami skrzyżowanie. Nie było sensu wlec się dalej. Nieopodal, na granicy Baku i Czarnego Miasta, znajdował się komisariat policji. W tamtą stronę Dziecioł na pewno nie pójdzie.

Wezwać na pomoc policjantów Fandorinowi jakoś nie przyszło do głowy. Nawet nie wziął ze sobą mauzera zabitego wartownika. By uniknąć pokusy zastrzelenia tego, kogo powinien ująć żywcem.

Nie, Dziecioł nie może uciec, pogodziwszy się ze swoją klęską i nie wzięwszy odwetu. Koniecznie zechce mnie walnąć dziobem. W przeciwnym razie to nie dzięcioł, ale marny wróbel. Jest gdzieś tutaj. Ukrył się. Sprawdza. Ej, gdzie się podziewasz? Nie szykuję żadnego podstępu, nie bój się. Jestem sam, bez broni. Idealny cel.

Erast Pietrowicz wolno szedł z powrotem. Co dwadzieścia kroków zatrzymywał się i krzyczał w ciemność:

– Zabiłem pańskiego jednorękiego przyjaciela! Nie fałszywego, lecz prawdziwego! Czyżby nie chciał mi pan za niego odpłacić?

Chce, i to jeszcze jak. Wystarczy wspomnieć, jak w przededniu dywersji na wielką skalę Dziecioł, ryzykując wszystko, pojechał do Jałty, żeby zabić Spiridonowa, z którym rewolucjoniści od dawna mieli na pieńku.

Noc jest cicha, wokół najmniejszego odgłosu. Krzyk powinien nieść się daleko.

Dzięcioł słyszy. Jest w pobliżu. Skrada się albo już zajął pozycję, mierzy.

Webley to wspaniała broń: celna, poręczna, szybkostrzelna, ale najlepiej bije z odległości dwudziestu pięciu, maksymalnie trzydziestu metrów. Jeśli Dziecioł woli ten pistolet od mauzera, to pewnie zna jego mocne i słabe strony. Nie będzie strzelał z daleka.

Dlatego też Erast Pietrowicz starał się poruszać tak, żeby znaleźć się na linii

celowania najwyżej z dwóch punktów jednocześnie. Dwóch punktów można jeszcze przypilnować, trzy to już spory kłopot. Idąc środkiem drogi, Fandorin co chwila przesuwiał się to w prawo, to w lewo. Wewnętrzny licznik odległości wciąż pracował.

Ale oto pojawiło się przed nim miejsce, w którym strzelec mógł się zaciąć w trzech punktach. Pośrodku ulicy sterczała ciemna budka transformatorowa. Kiedy Erast Pietrowicz podążał ze stacji w stronę skrzyżowania, minął tę niebezpieczną strefę bez zastanowienia. Był pewien, że Dziecioł znajduje się gdzieś z przodu. Teraz natomiast będzie musiał zdecydować, czy obejść budkę z prawej, czy z lewej strony. W obu przypadkach odległość od punktów nadających się na zasadzkę nie przekraczała dwudziestu metrów.

Będąc na miejscu Dziecioła, Fandorin wybrałby domek z cegły samanowej z wybitymi oknami, przylegający do drogi. Ale strzelać można było równie dobrze zza budki, a także z drugiej strony, gdzie czerniał stos potłuczonych cegieł.

Tymczasem księżyc zaświecił szczególnie jasno. Wiatr przegnał z nieba lekkie, przezroczyste chmury.

Erast Pietrowicz przestał krzyczeć, nie miało to już bowiem sensu. Jeśli Dziecioł uciekł, to nie usłyszy. A jeśli jest tutaj, to po co niepotrzebnie wysilać struny głosowe?

Zerknąwszy z ukosa na domek ziejący oczodołami okien, Fandorin zwolnił kroku. W tej sytuacji nie warto było polegać na słuchu. Przeciwnik nie jest takim idiotą, żeby zdradził się odgłosem odciąganego kurka. Nabój jest już pewnie w magazynku, a pistolet został odbezpieczony. Całą nadzieję Fandorin pokładał jedynie w sławetnym hikanie, instynkcie czucia skórą, niezbadanym przez naukę, a tym samym niepewnym. Ninja wierzą, że spojrzenie człowieka jest materialne; jeśli ktoś je na ciebie skieruje, możesz je uchwycić. Im bardziej jest skupione i emocjonalne, tym wyraźniejszy nacisk.

Bardzo możliwe, że napięte do granic możliwości nerwy mąciły mu w głowie, ale Erast Pietrowicz poczuł nagle przebiegające po skórze mrówki. Ktoś wbijał w niego wzrok z ciemności. Sądząc po intensywności doznania, bardzo uważny i wyjątkowo wzburzony. Dziwne było tylko to, że chłodek przebiegł po szyi, poniżej głowy, chociaż strzał powinien paść z przodu. Z tyłu za nim została ceglana chałupa, ale stamtąd nikt nie strzelił.

Erast Pietrowicz zamarł, gotów rzucić się do ucieczki w razie strzału.

– Ręce do góry, wasza ekscelencjo!

Głos dobiegał z tyłu; *hikan* nie zawiódł. Należało go słuchać.

A jednak w domku! Chyba narożne okno po prawej stronie. Dlaczego Dziecioł nie strzelił wcześniej? Dlaczego teraz nie strzela?

Podczas miłej rozmowy

– Ale niech się pan nie obraca – uprzedził kpiący głos. – Bo strzełę. Wolałbym porozmawiać, ale strzełę.

Nie doceniłem jego opanowania. Przepuścił mnie, żeby znaleźć się w korzystnej pozycji, z tyłu. Nie strzela, bo chce ustalić, skąd się dowiedziałem o planie wysadzenia stacji.

– Powoli na kolana – poleciał Dziecioł.

Co począć? Podnoszenie się z kolan to niebezpieczny moment, kiedy człowiek stanowi nieruchomy cel. A gdyby tak teraz, z pozycji stojącej, zrobić „karuzelę”? Diabła tam trafi z takiej odległości.

Mimo to Fandorin usłuchał. Z „karuzelą” nie ma co marzyć o rozmowie. Sprawa zakończy się śmiertelnym starciem. Martwe ciało nie odpowie na pytania. Przypuśćmy, że nawet udałoby się wziąć Dziecioła żywcem. Człowiek tego pokroju będzie milczeć, nie ulęknie się. A pewne odpowiedzi warto by poznać. Natomiast kiedy Fandorin padnie na kolana, przeciwnik nieco się rozluźni i podejdzie bliżej. Co jest bardzo, ale to bardzo pożądane.

Jednakże Dziecioł rozczarował Erasta Pietrowicza. Pozostał bowiem na tym samym miejscu. Widocznie wiedział, że nie powinien zbliżać się do Fandorina pod żadnym pozorem. I był pewien swojego celnego oka.

No cóż, skoro wróg nie wątpi w zwycięstwo, to znaczy, że chętniej odsłoni karty. Po co okłamywać kogoś, kto za pięć minut nie będzie już żył? Erast Pietrowicz nieraz wykorzystywał ten ryzykowny, ale niezawodny chwyt.

– Kto panu zdradził mój plan? – Dziecioł zapytał właśnie o to, o co miał zapytać.

– Nikt.

– Więc jak się pan domyślił?

– Nijak. Zarzuciłem wędkę z przynętą, a pan się złapał.

– Nie rozumiem. Można bez alegorii? – W głosie zabrzmiało rozdrażnienie.

– Nie trzeba czytać cudzych dzienników. A może pan sądził, że się nie domyśliłem, że koło Hasyma kręci się pański człowiek i regularnie wtyka nos w moje zapiski? Podwórce jest tam przejściowe, nasłanie szpiegów nie nastęrcza żadnych trudności. Wystarczyło, żebym napisał o pilnej potrzebie wymiany załóg statków i lokomotyw, a od razu zaczął się strajk na kolei i we flocie.

Żadnej reakcji – czujne milczenie.

– Kiedy natomiast dowiedziałem się, że jest pan cały i zdrowy, jałem łamać sobie głowę, dlaczegóż towarzysz Odysseusz przestał na mnie polować – ciągnął Fandorin, w ogóle się nie zacinając, co zdarzało mu się w chwilach najwyższego napięcia. – A później odgadłem, po co jestem panu potrzebny. Dzisiaj się tego domyśliłem. Chce się pan mną jakoś posłużyć. Czego się pan po mnie spodziewał?

– Że przyłeci pan i narobi rabanu, dzięki czemu większa część żandarmów pobiegnie przeczesywać teren. Mogłem się domyślić, że sprawa nie jest czysta, kiedy wszyscy prócz warty się wynieśli – ponuro odparł Dziecioł, dając się wciągnąć w grę.

– Starca specjalnie wysłał pan do Hasyma – nie zapytał, lecz skonstatował Erast Pietrowicz. Wszystko powoli się wyjaśniało. – A skąd pan wiedział, że przyjedzie generał Żukowski i udzieli mi specjalnych pełnomocnictw?

– Pomiedzy Petersburgiem a Baku krążyły szyfrogramy. A ja je czytałem. Mam w centralnym telegrafie swojego człowieka... – Głos był zadumany. Dziecioł analizował to, co usłyszał. – Tak, sprytnie mnie pan załatwił z dziennikiem, wasza świętej pamięci ekscelencjo.

Teraz należało prędko coś mówić, ponieważ po tych słowach powinien nastąpić strzał. Dziecioł dowiedział się już wszystkiego, co go interesowało.

– Pewnie będzie pan ciekaw usłyszeć jeszcze o czymś... – powiedział Erast Pietrowicz i zawiesił głos.

Na całym bożym świecie nie znajdzie się osoba, która zabiłaby tego, kto zaczął zdanie w podobny sposób.

– Niby o czym?

O niczym. Mydlę panu oczy.

W tym momencie Fandorin zakazał mózgowi jakiegokolwiek myślenia. Teraz należało całkowicie zawierzyć ciału, bo w tej sytuacji tylko ono mogło dopomóc. Naturalne odruchy są bardziej spontaniczne i szybsze niż jakiegokolwiek świadome działania.

Erast Pietrowicz z kolan przekoziółkował do przodu. Kula ze świstem rozcięła powietrze o cal nad jego głową. Później przetoczył się na bok i zerwał na nogi. Tuż przed nim wystrzeliła w górę fontanna piasku. Nadszedł czas na „karuzelę”. Erast Pietrowicz z krótkiego rozbiegu przeturlał się po ziemi, odepchnął rękami i wykonał przewrót. Przeciwnik zdążył wypalić jeszcze trzy razy, zanim Fandorin znalazł się w martwej strefie i przyłgnął do narożnika domu.

Webley ma siedem nabożów. Czyli że trzeba będzie jeszcze dwukrotnie wystawić się na strzał.

Stąpając bezgłośnie, Erast Pietrowicz obszedł dom z tyłu, żeby odciąć wrogowi drogę odwrotu. Z tak niewielkiej odległości usłyszałby najmniejszy szmer i ustalił

ruchy przeciwnika. Ale w domu panowała cisza. Dzieciół nie ruszał się z miejsca. Czekał.

Ma stalowe nerwy, to nie ulega wątpliwości. Dobrze, że zostały mu dwie kule, a nie jedna. Ostatnią jeszcze by zużył na siebie, a tak ma złudzenie, że wciąż może wziąć górę. Jak go tam dopaść? Domek jest mały. Jeśli wdrzeć się przez drzwi albo wskoczyć przez okno, drań z bliska nie spuści.

Nauka „niewidzialnych” głosi, że jeśli nie jesteś uzbrojony, rozejrzyj się jak należy, a z pewnością znajdziesz broń.

Fandorin rozejrzał się jak należy. Żadnej broni nie zauważył. Zobaczył za to matowo połyskującą kałużę ropy, jakich w Czarnym Mieście jest do licha i trochę.

Zdjął spodnie i został w samej przepasce na biodrach. Założył ją w przewidywaniu burzliwych wydarzeń, a nie z upodobania do egzotyki. Zawiązany w specjalny sposób pas materiału odpowiednio stymulował *tanden* – punkt siły położony jeden *shaku* poniżej pępka.

Erast Pietrowicz zanurzył japońskie pantaloney w czarnej woniejącej cieczy. Skrzywił się. Ależ ta ropa jest wstrętna! Nie ma gdzie uciec przed tym paskudztwem. Natarł się od stóp po czubek głowy i stał się czarny, ponownie zlewając się z nocą. Mokrych spodni nie wyrzucił, lecz skręcił z nich sznur.

Pod pachą miał przyklejony do ciała specjalnym plastrem minimalny zestaw ninja: sprężysty i wąski brzeszczot z ząbkowanym ostrzem (nie przyda się), rurkę z trującymi kolcami (również) i nieprzemakalną hubkę z krzesiwem – ta będzie wielce pożyteczna.

Z domu dobiegł śmieszek.

– Co tam się tak miotasz, Fandorin? Wpadnij, to sobie puścimy dymek.

Stoi naprzeciwko drzwi. Plecami do okien między środkowym i tym z lewej strony... Zaraz będziesz miał dymek, poczekaj.

Erast Pietrowicz spoglądał na księżyc, do którego wolno, ale nieubłaganie zbliżała się okazała gęsta chmura. To potrwa jeszcze jakieś półtorej minuty.

– Nie wie pan przypadkiem, kogo ukatrupiliśmy zamiast pana ubiegłej nocy? – Fandorin spróbował wyciągnąć z przeciwnika jeszcze trochę informacji. Ale ten nie dał się podejść.

– Zmieniły się zasady gry. Żadnych więcej zwierzeń. Jeśli da się pan postrzelić, wtedy owszem, przed śmiercią zaspokoję pańską ciekawość.

To już coś. Czyli że zna mężczyznę z odrąbanymi dłońmi.

Światło zaczęło stopniowo tracić blask. Zgasło na dobre. Czarne Miasto pograżyło się w ciemnościach. W tej samej chwili Fandorin skrzesał iskrę i zapalił nasyconą ropą tkaninę. Zmrużył oczy, żeby nie patrzeć na jaskrawy płomień. Podbiegł do ziejącej dziury po oknie i wrzucił pochodnię do środka. Jak należało

się spodziewać, Dziecioł odwrócił się i instynktownie nacisnął spust. Fandorin zaś pobiegł ku następnemu oknu, zanurkował przez parapet, rozpląszczył się na podłodze i zastygł w bezruchu.

Mężczyzna z pistoletem, wyraźnie widoczny na tle ognia, prędko się obracał, ale nie mógł zobaczyć czarnej postaci, która złała się z podłogą.

Żeby się tylko nie zastrzelił.

Erast Pietrowicz uciekł się do zupełnie dzieciennego wybiegu, o którym nauka *ninjutsu* nie mówi. Zawołał głośno: „Hau!” i odturlał się w bok.

Poderwawszy rękę, Dziecioł wystrzelił siódmą kulę. Ze ściany posypał się tynk.

– No proszę. – Fandorin nieśpiesznie się podniósł. – Niepotrzebnie się pan wahał. Trzeba było od razu się zastrzelić, gdy tylko został ostatni nabój. Będziemy się bić, czy tak się pan podda?

Przysłaniając dłonią oczy, zwyciężony przeciwnik wpatrywał się w ciemność i nadal niczego nie widział. Erast Pietrowicz podszedł bliżej.

– Niech się pan nie zbliża, ekscelencjo. Jest pan brudny jak świnia. Uwala mi pan ubranie – ze zdumiewającym spokojem odezwał się Odyseusz-Dziecioł. – Nie, nie będę się z panem bił. Strzelać też nie mam po co. Bolszewicy to nie histeryczne panny, nie odbierają sobie życia. Dialektyka uczy, że każda klęska to stopień do zwycięstwa.

Fandorin miał chęć przyjrzeć się twarzy tego filozofa, ale mężczyzna stał tyłem do ognia. Trudno, jeszcze będzie czas.

– Niech pan zdejmie mundur. Bez gwałtownych ruchów, bo połamię panu rękę. Na wszelki w-wypadek.

Z chwalebłą opieszałością Dziecioł zdjął oficerską marynarkę. Odwrócił się, pokazując, że nie ma innej broni.

Zapytał półgłosem:

– Co, uszasty? Wywinałeś się śmierci? Triumfujesz?

– N czemu m-mam być uszasty? – zdziwił się Fandorin.

Aresztowany był chyba nieco wytrącony z równowagi. Zaczynał pleść od rzeczy.

– Tak czy inaczej słoń zdechnie – powiedział. – A pan, japoński sztukmistrz, pogorszył tylko sytuację. Rewolucja i tak wybuchnie. Tylko najpierw będziemy musieli przeżyć wojnę światową. Zamiast ropy na rozpałkę pójdą miliony ludzi. Nadejdzie Ciemność, a po niej Światło.

Wszyscy żarliwi rewolucjoniści to w gruncie rzeczy ludzie chorzy psychicznie, pomyślał Erast Pietrowicz. Trzeba by ich wysyłać nie na szubienicę czy katorgę, ale do lecznicy.

– Nie będzie żadnej wojny światowej – zapewnił Dziecioła, wymacując szwy na ubraniu. – Może mi pan wierzyć... Niech się pan odwróci twarzą do światła.

Chcę się panu przyjrzeć.

Przez kilka chwil zagorzali wrogowie spoglądali sobie w oczy.

Przypomina diabła. W oczach pali się płomień, ale to odbłask ognia. Rzuca purpurowy cień – z tego samego powodu. Oto i cała tajemnica infernalności.

Japońskie spodnie się dopaliły, światło zgasło.

Ale ciemność trwała niedługo. Niemal natychmiast, wytoczywszy się zza chmury, zajaśniał księżyc.

Straszna bajka

Bardzo dawno temu Fandorin odkrył pewną ważną prawdę. Człowieka ocenia się nie po ubraniu, ale po innych atrybutach: wyrazie oczu, sposobie mówienia, ruchach. Ubrania może w ogóle nie być.

Co właściwie powinien zrobić dyżurny w cyrkule, kiedy w środku nocy wpada nagi, pokryty kleistą mazią osobnik i wlecze za kołnierz innego mężczyznę, którego wygląd jest o wiele bardziej przyzwoity? Odpowiedź w zasadzie jest oczywista – zagwizdać po patrol i niezwłocznie zatrzymać umorusanego jegomościa, a tego przyzwoitego natychmiast zwolnić. Ale w głosie, jakim nieoczekiwany przybysz rozkazał: „Przyprowadzić dowódcę zmiany. Żywo!”, było coś, co kazało policjantowi zerwać się na równe nogi, zapiąć kołnierzyk i pobiec na złamanie karku po zastępcę rewirowego, pochrapującego słodko w gabinecie.

Pięć minut później aresztowany znajdował się za kratami, pod nieustanną obserwacją dwóch stójkowych z rewolwerami w pogotowiu, a Erast Pietrowicz rozmawiał przez telefon z dyrektorem departamentu policji. Tamten już wiedział, że na stacji doszło do próby dywersji, oficer i trzech jego podwładni nie żyją, a urządzenie wybuchowe zostało rozbrojone.

– Natychmiast wyśle konwój po Odyseusza – powiedział Saint-Estèphe. – Od dawna marzę, żeby go poznać. Znakomita robota, Eraście Pietrowiczu. Pragnę pana również zawiadomić, że pociąg jest gotowy i czeka. Pańskie rzeczy zostały spakowane, adiutant Władimira Fiodorowicza wyjechał po pana do przepompowni, żeby od razu odstawić pana na dworzec. Zaraz przekażę telefonicznie kapitanowi Wasiljewowi, żeby skierował auto na komisariat. Najpóźniej o pierwszej będzie pan na dworcu. Do tego czasu pan Żukowski zbierze akurat wszystkie dokumenty.

– Proszę powiedzieć Władimirowi Fiodorowiczowi, żeby się nie śpieszył. Muszę jeszcze załatwić pewne sprawy. Zajmie to ze dwie, trzy godziny.

Emmanuel Karłowicz westchnął:

– Teraz panu wszystko wolno. Może pan nawet kazać czekać na siebie komendantowi Korpusu Żandarmerii.

Niecały kwadrans później przybył adiutant Żukowskiego. Do tego czasu Fandorin trochę się umył, a raczej oskrobał. W cyrkule nie było wodociągu, a tym bardziej gorącej wody. Obwąchawszy się ze wstrętem, Erast Pietrowicz ubrał się jak najprościej (nic prostszego od piaskowego stroju do gry w golfa w walizce nie

znalazł). Wsunął do kieszeni rozładowanego webleya i derringera z pustym magazynkiem. Groźny mandat został w przepompowni, ale teraz nie był już potrzebny.

– Jedźmy, pułkowniku. A pan – Fandorin odwrócił się do dowódcy zmiany – niech nie spuszcza z aresztowanego oczu. Wkrótce przybędzie po niego konwój.

Ciało pod ubraniem swędziało, skóra błyszczała jak nasmarowana olejem – w sumie fizyczne doznania były wstrętne. Dusza za to śpiewała z zachwytu nad odzyskaną harmonią.

Nikczemna dywersja została udaremniona. Dzieciół znajduje się tam, gdzie powinien się znajdować schwytyany ptak – w klatce. Przed Fandorinem stoi ważne zadanie. Możliwe, że najważniejsze w życiu.

Przed wyjazdem należało załatwić trzy sprawy.

– Pułkowniku, jedziemy do lecznicy Huijsmansa.

* * *

– Nie mam pocieszających wieści. – Lekarz dyżurny rozłożył ręce. – Pacjent nadal jest w stanie krytycznym. Według pana profesora główna przyczyna leży w zdruzgotanej psychice.

– Spróbuję temu zaradzić – rzekł Fandorin.

Opowiedział Masie, jak zakończyło się polowanie na Odyseusza.

– Cieszę się, panie. Pański honor został przywrócony, a dusza się uspokoiła. A więc ja też jestem spokojny – odparł Japończyk. – Teraz będziemy razem i może wyzdrowieję.

Jąkając się, zacinając bardziej niż zwykle, Erast Pietrowicz wyjaśnił, że musi pilnie wyjechać do Wiednia, w przeciwnym razie rozpocznie się wielka wojna. Nie miał odwagi spojrzeć Japończykowi w oczy.

– Oczywiście, niech pan jedzie. Nie może pan nie jechać. Będę się za pana modlił do Buddy i Chrystusa, ponieważ inaczej nie mogę pomóc. Proszę mi wybaczyć.

Dalej należało oznajmić coś jeszcze bardziej przykrego. Fandorin przygryzł wargę, odkaslnął, ale wciąż nie mógł się zdobyć na odwagę.

Bolesny temat poruszył sam Masa:

– Przyda się panu zaufany towarzysz podróży, który będzie pana ochraniał. Niech pan weźmie Hasymu-san. Nie będę zazdrosny, przysięgam na Chrystusa. – (Fandorin zauważył, że tym razem Japończyk nie wymienił Buddy). – Hasymu-san jest całkiem nieokrzesany, ale się nauczy. Jest oczywiście o wiele gorszy ode mnie, ale to szczerzy człowiek. Taki nie zdradzi, a to najważniejsze. Niech pan go weźmie

i nie martwi się o mnie. Sam sobie jestem winny, że dałem się postrzelić.

Oschłym tonem, żeby głos go nie zdradził, Erast Pietrowicz powiedział:

– Hm. Dwa razy dziennie, rano i wieczorem, będę otrzymywał telegraficzne informacje o twoim stanie. Gdy tylko to będzie możliwe, zostaniesz przetransportowany do Moskwy. Ja zaś postaram się nie przeciągać śledztwa i tak szybko, jak tylko się da...

– Niech pan nie traci czasu – znużonym głosem rzekł Masa. – Proszę iść i robić to, do czego został pan stworzony. Ratować świat.

Po czym odwrócił się do ściany.

Fandorin wracał do auta z ciężkim sercem. Gdyby został z Masą, gdyby towarzyszył mu przez cały czas, Japończyk z pewnością by wyzdrowiał. A teraz może się zdarzyć... Poczul ucisk w gardle. I przez całą resztę życia będę pamiętał, jakiego dokonałem wyboru. Nigdy sobie nie wybaczę. Nawet uratowany świat – jeśli uda się go uratować – nie będzie usprawiedliwieniem.

– Teraz do Starego M-miasta. Pod Bramę Szemachińską – ponuro odezwał się Erast Pietrowicz.

Adiutant wymownie zerknął na zegarek, ale nie ośmielił się zaprotestować. Jednakże kiedy samochód zatrzymał się przy wjeździe do Iczeri-Szeher i Fandorin skierował się w stronę ciemnego łuku, oficer wyskoczył za nim.

– Wasza ekscelencjo, otrzymałem rozkaz nie odstępować pana na krok.

– Nawet w b-buduarze damy? – szyderczo zapytał Erast Pietrowicz. – Niech pan zaczeka tutaj, pułkowniku. Zaraz wrócę.

* * *

Przez cały dzień Saadat miała mnóstwo zajęć. Przez cały dzień bujała w obłokach. Dawniej nigdy nie udawało jej się łączyć jednego z drugim. Mogła albo coś robić, albo oddawać się marzeniom. Teraz coś się w niej zmieniło.

Pracy było dużo jak nigdy. Prawie wszystkie fabryki stały i zamówienia – ustne, telefoniczne, telegraficzne – stale napływały do biura Walidbekow-nafta. Kiedy Saadat niefrasobliwie oznajmiała, że przyjmuje zamówienia również na ropę, partnerzy wpadali w uniesienie. Gotowi byli wziąć każdą ilość. Łatwo zgadzali się na kontrakty typu futures, które niedawno uznaliby za wydumane. I wszyscy chętnie wpłacali zaliczkę, nawet stuprocentową.

Nadszedł gorący, złoty czas. Ale prowadząc rozmowy, kręcąc korbką arytmomometru, robiąc notatki, Saadat nie myślała ani o ropie, ani o zyskach.

Rano zadzwoniła do szefa moskiewskiej filii, nad wyraz rzeczowego mężczyzny, który nie miał zwyczaju zadawać zbędnych pytań, i przed południem otrzymała

potrzebne informacje.

Erast nie jest golcem, ale nie jest również bogaty, nie ma nawet własnego domu. Rodzaj jego zajęć nie jest całkiem jasny. Coś w stylu konsultanta w różnych poufnych sprawach. Często współpracuje z organami rządowymi. (No cóż, Saadat widziała go w akcji, czuć solidne nawyki). Wiek – pięćdziesiąt osiem lat, o wiele starszy, niż się wydaje. (To chyba dobrze. Na pewno już się wyszalał i wyszumiał). Oficjalny status rodzinny – wdowiec, ze słynną aktorką Klarą Łunną zawarł ślub cywilny, innymi słowy, ma kochankę. (Należy przyjąć, że to przestarzałe informacje. W Baku ich związek ostatecznie się rozpadł). Żadnej Emmy na prowincji nie znaleziono. (To jeszcze trzeba wyjaśnić, ale po minionej nocy Saadat nie spodziewała się szczególnych komplikacji ze strony zagadkowej Niemki).

W sumie rozpoznanie nie wykazało poważnych przeszkód.

Naprawdę tego chcesz? – zapytała się Saadat w duchu. Po czym roześmiała się z pytania. Najbardziej na świecie. To jedyne, czego naprawdę chcę. Nigdy w życiu niczego tak nie pragnęłam. A skoro pragnę, to znaczy, że dostanę.

Saadat wiedziała, że Fandorin na pewno zjawi się w nocy. Nie może nie przyjść, wyczytała to z jego oczu. Intuicyjnie wyczuwała również, że nie należy on do tych, którzy oszukują. Długi, trudny dzień minął w słodkim przedsmaku spotkania, a wieczór na przyjemnych przygotowaniach.

Zafar przyszykował gorącą kąpiel z oślego mleka, od którego skóra staje się delikatniejsza niż japoński jedwab. Saadat włożyła kilka zwiewnych, przezroczystych szat, żeby ręce ukochanego po kolei je zdejmowały. Ta na samym spodzie była purpurowa.

Bardzo ważną rzeczą jest zbudowanie sekwencji zapachów. Żeby w przedpokoju odurzająco pachniało lawendą, a nad nakrytym stołem nie unosiła się woń jedzenia, lecz przewrotnej werbeny. Łoże miłości nie będzie dzisiaj roztaczało aromatu róż, który pasuje do pierwszego spotkania, lecz zmysłowego muszkatu.

Kolację przygotowano lekką, nieobciążającą żołądka: szampan, ostrygi, ostry ser owerniacki, owoce.

Oczekiwanie się przeciągało, ale Saadat nie martwiła się ani nie okazywała zniecierpliwienia. Najprzyjemniejszy sposób spędzania czasu przez kobietę to czekanie na kochanka, gdy jest się pewną, że przyjdzie. Saadat układała pasjansa, zaciągała się dymem z kaliana przepojonym słodkim winem. Papierosów nie paliła, żeby oddech nie przesiąkł tytoniem.

Erast zjawił się dopiero po północy.

Podczas gdy Zafar otwierał drzwi i prowadził gościa korytarzem, Saadat, błogo się przeciągnąwszy, zadała sobie ważne pytanie. Od czego zacząć: od rozmowy

o przyszłości czy...

No oczywiście od „czy” – zażądało ciała.

Kiedy więc Erast wszedł, wręczając na progu panamę milczącemu eunuchowi, Saadat na palcach podbiegła do ukochanego, zarzuciła mu rękę na ramiona, koniuszkiem nosa dotknęła jego warg.

– Pachniesz ropą...

– W-wybacz. Nie miałem czasu starannie się umyć.

– Kąpiel z oślego mleka jeszcze nie wystygła – wyszeptała Saadat, rozpinając mu kołnierzyk. – Ale podoba mi się, jak pachniesz. Zapach ropy to mój ulubiony aromat. Przejdzie nim cała pościel, cała się o ciebie pobrudzę. Ależ będzie cudownie!

Westchnąwszy, Erast powiedział:

– Wpadłem na pięć minut. P-pożegnać się. Muszę pilnie wyjechać. Pociąg czeka.

Saadat od razu zrozumiała, że on mówi poważnie. Noc namiętności odwołana. Widocznie kolejna sprawa wagi państwowej. Żeby podczas strajku kolejarzy przygotowano dla kogoś pociąg specjalny – to nie żarty. Znaczy, że konsultacje Erasta są w cenie. Jednak rząd nie umie być prawdziwie hojny.

– Ile ci płacą za twoje usługi?

– Po pierwsze to nie usługi. Po drugie nic. – Delikatnie zdjął z ramion jej rękę. – Naprawdę muszę już iść. To sprawa wyjątkowej wagi, wymaga pośpiechu.

Saadat nakazała milczenie głosowi ciała. Przeszkadzał myśleć.

– Ale dziesięć minut chyba znajdziesz? Usiądźmy.

Trzeba z nim bez ogródek, bez kobiecych sztuczek i wschodnich zawilóści. To człowiek logiki.

I Saadat wypowiedziała najlepsze, najuczciwsze słowa w swoim życiu.

– Najdroższy – rzekła. – Życie ma sens, jeśli człowiek jest szczęśliwy. Ten, kto przeżył życie bez szczęścia, przypomina bankruta. Dobrze mi z tobą. Tak dobrze nigdy mi z nikim nie było. Tobie ze mną też jest dobrze, wiem. Oboje jesteśmy silni, stworzeni dla siebie. Mam w nosie wszystkie konwenanse Zachodu i Wschodu. Oto moja oferta. Proponuję ci swoją rękę i serce. – Fandorin zrobił gwałtowny ruch, ale Saadat przyłożyła mu palec do ust. – Nie przerywaj... Lubię udawać biedną, ale jestem bogata, bardzo bogata. Mam cechę, której mężczyźni nie cierpią w kobietach: lubię rządzić. Ale z tobą jestem gotowa być na równej stopie. Jeśli będę miała takiego towarzysza jak ty, zakasujemy wszystkich konkurentów. Zdradzę ci wszystko o ropie i Baku. Wiem, że szybko się nauczysz. Każde z nas będzie zajmowało się tym, na czym zna się najlepiej. Ja przemysłem i handlem, a ty ochroną i rozwiązywaniem konfliktów. Pobijemy wszystkich na głowę, jestem pewna...

Po jego twarzy przemknął grymas, więc Saadat zmieniła kurs:

– Jeśli nie chcesz być przedsiębiorcą, nie będę nalegać. Zajmuj się tym, czym chcesz. Wiem, że masz własne środki, ale nie masz pojęcia, czym jest prawdziwe bogactwo. Dowolne hobby, dowolna fantazja – wszystko będzie w twoim zasięgu...

Znowu nie to, poczuła Saadat. Z każdym słowem Erast jak gdyby się odsuwał. Serce kobiety ogarnęła panika.

– Kocham ropę – powiedziała prędko – ale dla ciebie z niej zrezygnuję. Sprzedam swój biznes, teraz jest najwłaściwsza chwila, każdy kupi z pocałowaniem ręki. Dostanę miliony. Pojedziemy do Moskwy albo do Europy, gdzie zechcesz. Będziesz wychowywał Turala. Zrobisz z niego takiego mężczyznę jak ty. A ja będę przy tobie. Niczego więcej nie potrzebuję... Dlaczego milczysz? – zawołała z rozpaczą.

Fandorin pogładził ją po dłoni.

– Omówimy to, kiedy wykonam zadanie, z powodu którego muszę wyjechać.

– Nie bądź taki rozsądny! – Saadat pochwyciła jego palce. – Twoja odpowiedź jest mi potrzebna teraz! Mów, czego chcesz! Zgadzam się na wszystko... Aha, rozumiem! Jesteś dumny, myśl, że będziesz na utrzymaniu żony, budzi w tobie odrazę! Chcesz, to przepiszę wszystko na ciebie?

Erast pocałował jej nadgarstek i wstał.

– Nie potrzebujesz moich pieniędzy? Chcesz, to przekazę cały majątek w zarząd powierniczy do pełnoletności Turala? Będziemy żyć biednie, tylko z twoich środków!

W tym momencie Erast przygarnął ją do siebie i zmusił pocałunkiem do milczenia. Po czym powiedział:

– Jesteś najlepszą z kobiet. Na pewno do ciebie wrócę. Ale teraz naprawdę muszę iść.

I poszedł.

Saadat osunęła się na krzesło, pochyliła i wybuchnęła płaczem.

* * *

Zafar odsunął się od sekretnego okienka i zasłonił twarz dłońmi. Zawsze podpatrywał to, co się działo w buduarze. Nie z pożądania, które było mu obce, ale żeby w porę spełnić swój obowiązek: podkręcić albo przygasić światło, rozsunać zasłonę w niszy i temu podobne. A zresztą czyż mógł zostawiać panią bez opieki z obcymi mężczyznami, których dusze są nieodgadnione? Za nic.

Jednakże nigdy, ani razu przez wszystkie lata nie doświadczył takiej udręki.

Wielokrotnie widział, jak Saadat zdejmuje w obecności kochanka jedną po drugiej zwiewne szaty i staje przed nim zupełnie naga. Dzisiaj jednak warstwa po warstwie obnażała swoją duszę i ten widok złamał Zafarowi serce. Zdarzyło się okropne nieszczęście, którego się nie spodziewał. Saadat się zakochała.

Tylko ja odbieram to jako nieszczęście, bo ona jest szczęśliwa, powiedział sobie eunuch i pomyślał, że może później znajdzie pocieszenie w tej myśli. Ale nie teraz.

Od dzieciństwa żył w mrocznym, wrogim świecie, którego radości zostały stworzone nie dla niego. Wiedział, że jest skazany na wieczną samotność, i nawet znajdował dobre strony tego stanu: był wewnętrznie wolny, nikomu niczego nie zawdzięczał, niczego się nie bał, nie targały nim niskie żądze.

I nagle w jego życiu pojawiła się Saadat.

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, poczuł się tak, jakby w zamkniętym na głucho i ciemnym pokoju otworzyły się na oścież okiennice, do środka wpadło jaskrawe słońce i powiał ożywczy wiatr. Uświadomił sobie wówczas, w jakiej zimnej i dusznej komórcie żył przedtem. Rozbolało go odmarzające serce. Istnienie zyskało sens: być przy niej, służyć jej, grzać się jej ciepłem i sycić jej światłem. Oto szczęście, którego na nic by nie zamienił, nawet na zwrot odebranej męskości. Po co mu męskość, skoro nie będzie przy nim Saadat?

Całe dziesięć lat przeżył jak w błogim śnie, po którym winno nastąpić jeszcze bardziej promienne przebudzenie.

Rzecz w tym, że Zafar miał marzenie. Dalekie jak błyszcząca na niebie gwiazda, ale w odróżnieniu od gwiazdy dostępne. Kiedyś jego pani zrozumie, że na świecie istnieje tylko jeden prawdziwy człowiek, a wszyscy inni to miraż i chimera, przelotne cienie. Otworzą jej się oczy i zobaczy obok siebie duszę gotową zlać się z jej duszą bez reszty.

Na przeszkodzie stoją dwie rzeczy. Saadat jest za bardzo kobietą i w dodatku za bardzo bogatą. Ale to pierwsze z czasem minie. Trzeba poczekać jeszcze jakieś dwadzieścia albo trzydzieści lat. Kiedy stuknie jej pięćdziesiątka albo sześćdziesiątka (u różnych kobiet różnie bywa), krew przestanie się w niej burzyć. Wtedy się zrównają. I będą żyli dusza przy duszy, szczęśliwie i beztrąsko – jak długo Allah pozwoli.

Druga przeszkoda też może runąć. Wszystko, co materialne, jest nietrwałe. Może się zdarzyć bankructwo, spadnie zapotrzebowanie na ropę albo wybuchnie rewolucja. Saadat wszystko straci. I wtedy okaże się, że jej oddany niewolnik posiada środki, które pozwolą im dostatnio żyć. Oto dlaczego Zafar wszystkiego sobie odmawiał, kradł pani pieniądze, cichaczem udzielał pożyczek na lichwiarski procent. Już dzisiaj w szwajcarskim banku leży spora suma, a za dwadzieścia albo trzydzieści lat zamieni się w solidny kapitał. Saadat niczego nie zabraknie. Taka

kobieta nie może żyć w nędzy.

Ale jego pani skierowała słowa miłości do innego mężczyzny, a tamten obiecał, że wróci. Marzenie prysło. Wszystko skończone. Zafar siedział zgięty w pół i postękiwał, bo choć próbował płakać, łzy nie chciały popłynąć. To dlatego że przez całe życie eunuch ani razu nie płakał. Nie potrafił.

Zajęty podejmowaniem kolejnych męczących wysiłków, nie zauważył, kiedy Saadat weszła do pokoiku. Objęła swojego wiernego sługę i zalała się łzami za oboje.

– Słyszałeś, słyszałeś? – łkała. – Myślisz, że on wróci? Nie, oczywiście, że nie! Coś mu się stanie, czuję to. Nigdy więcej go nie zobaczę! Boże, jaka jestem głupia! Wszystko zawsze robiłam nie tak. Nie tak żyłam, nie tak się przy nim zachowywałam...

Saadat powiedziała jeszcze wiele niemądrych babskich rzeczy, podczas gdy Zafar milczał i gładził ją po głowie. Serce pękało mu z bólu; litował się jednak nad nią, a nie nad sobą.

– Niech się pani nie trapi. On jest silny, więc nic mu się nie stanie. To człowiek słowa, więc wróci. A jeśli nie wróci, sam go przywiozę. Może pani na mnie polegać – powiedział twardo, kiedy jej łkania nieco przycichły. – Zrobię wszystko, żeby pani była szczęśliwa.

Jeszcze nigdy nie wypowiedział przy niej tylu słów.

Saadat uniosła twarz i uważnie popatrzyła na Persa.

– Ach, Zafar, mam syna, który jest dla mnie najdroższy pod słońcem. Teraz jeszcze pojawił się mężczyzna, którego pokochałam... Ale czasem mi się wydaje, że na całym świecie nikt nie jest mi tak bliski jak ty.

– Allah z panią. Jak można coś takiego mówić? – Pokręcił z wyrzutem głową. – Jestem kaleką i pani niewolnikiem. Pani zaś jest królową nad królowymi.

* * *

Erast Pietrowicz wyszedł na zupełnie ciemną ulicę, na której nie paliło się żadne światełko, i odwrócił głowę w prawo. Dobiegało stamtąd miarowe pochrupywanie niewiadomego pochodzenia. Od muru oderwał się wielki czarny cień.

– Prędko wyszedł, Yumrubas. Ja myślałem długo czekać będę.

– To ty? – Fandorin się ucieszył. – Akurat zamierzałem do ciebie iść. Ale skąd się dowiedziałeś, że jestem tutaj?

– To Iczeri-Szeher, wszystko tu wiem. Czego nie wiem, ludzie opowiadają. – Hasym wzruszył ramionami i znowu zabrał się do chrupania. W dłoni trzymał torebkę, z której coś wyjmował i wsuwał do ust. – Gozinaki chcesz? Żałuj, że nie

chcesz, bo smaczny. Ty zabił twoja wróg? Ej, nie odpowiadaj, sam odpowiem. Gdyby nie zabił, toby nie poszedł do kobieta.

– O tym opowiem ci później. Mam do ciebie sprawę. Ważną.

– Ja też mam sprawę, Yumrubas. Ale ty stary, głowa siwy. Ty pierwszy mów.

Dobrze jest mieć do czynienia z człowiekiem, który nie lubi długich rozmów, pomyślał Fandorin. Zwłaszcza jeśli jest mało czasu. I zadał najważniejsze pytanie:

– Potrzebuję twojej p-pomocy. Pojedziesz ze mną?

– Dokąd?

– Do Wiednia.

– A gdzie to jest?

– D-daleko.

– Dalej niż Szemacha?

– Dalej.

Goczi zamilkł, w zamyśleniu pogryzając słodycze.

– Po co tak daleko jechać?

– Muszę przeprowadzić dochodzenie w sprawie zabójstwa arcyksięcia.

– Ajaj – Hasym się przejął. – Kto to ten Arcy? Twój rodzina?

Okazuje się, że można mieszkać w dużym mieście, gdzie na każdym rogu ulicy słyhać wołania gazeciarzy, i nie mieć zielonego pojęcia, co się dzieje na świecie!

– Nie, to nie jest moja rodzina.

– Przyjaciel?

Erast Pietrowicz zaczął wyjaśniać, kim był Franciszek Ferdynand i dlaczego należy niezwłocznie udać się w podróż. Goczi nie przerywał.

– Jasne. Jego stryj twój przyjaciel – powiedział, wysłuchawszy Fandorina. – Stary cesarz nie ma nikogo, kto może za bratanek mścić. Pomagać trzeba. Sprawa dobra. Dlaczego nie pojedę?

Trzeba mu będzie kupić w Batumi cywilizowane ubranie, bo w Serbii wezmą go za baszybuzuka. I nauczyć manier. Posługiwania się widelcem, chusteczką do nosa. No dobrze, droga potrwa trzy dni. Będzie się czym zająć.

– Z-zaczekaj. – Fandorin o czymś sobie przypomniał. – Mówiłeś, że też masz do mnie ważną sprawę.

Hasym westchnął.

– Człowiek jeden przychodził, list przynosił i czytał. Od twój żona list.

– Od Klary?

Szczerze mówiąc, Erast Pietrowicz zupełnie zapomniał o niewolnicy gorących namiętności. Jak mogła przysłać list Hasymowi?

Fandorin chwycił złożoną kartkę. Pstryknął zapałką.

Znajomym zamaszystym pismem napisano u góry:

Dobry człowieku, na miłość boską! Odnieście to do hotelu "National" dla pana Fandorina. On da wam pieniądze! Klara Łunna.

Skrzywiwszy się, jakby go rozboleł ząb, Erast Pietrowicz rozłożył kartkę.

Niech mnie Pan ratuje! Jestem przetrzymywana w okropnym miejscu. Mojemu życiu grozi niebezpieczeństwo! W imię tego, co nas przedtem łączyło, w imię dawnej miłości, w imię litości dla nieszczęsnej kobiety – błagam o ratunek!

Niegodna Pana, stojąca nad grobem Klara

– Człowiek kartka podniósł i przyniósł – flegmatycznie rzekł Hasym.

– Dlaczego tobie, a nie do „Nationalu”?

Goczi wzruszył ramionami.

– Ja tobie obiecał, że znajdę twój żona. Pytał ludzi. Ludzie wiedzą.

– Gdzie twój informator podniósł k-kartkę?

– W Czarny Miasto. Miejsce taki jest, ulica Czarna się nazywa. Który dom, wiem. Jedziemy prędko żona ratować czy pies z nią tańcował?

Bodajby ją licho wzięło! Niech sama sobie radzi ze swoim wielbicielem, miał ochotę powiedzieć Fandorin. Do diabła, świat stoi na krawędzi katastrofy, każda godzina jest droga, a tu znowu trzeba się będzie wlec do obmierzłego Czarnego Miasta, żeby wydostać Klarę z niewoli, a później odwieźć z powrotem do Baku. I w dodatku tracić czas na histerię i pocieszenia. To niemożliwe!

Ale czy ma wybór?

Do głowy przyszła mu nowa maksyma w stylu *junzi* – prezent dla Konfucjusza do jego listy mądrości. Szlachetnemu mężowi tylko się wydaje, że ma wybór. W rzeczywistości wyboru nigdy nie ma.

Kopnąwszy kamienny krawężnik, Erast Pietrowicz jęknął:

– Dobrze. Jedziemy.

* * *

Żeby nie tracić czasu na rozmowę z adiutantem, mężczyźni wyszli przez inną bramę. Środek transportu znaleźli bez problemu. Hasym zatrzymał nocnego dorożkarza i uprzejmie go poprosił, żeby zszedł z kozła. Rozpoznawszy sławnego goczi, woźnica nie przestraszył się, lecz ucieszył. Z pokłonem wręczył lejce.

Fandorin nie potrafił zrozumieć wymiany zdań, ale wszystko i tak było jasne. Dorożkarz jest zadowolony, że przyda się wielkiemu człowiekowi, i wie, że nie będzie stratny.

Czy słusznie robię, że wywożę go z jego naturalnego środowiska, gdzie czuje się jak ryba w wodzie? Jednakże jeśli dochodzenie zakończy się pomyślnie, Hasym zostanie uwolniony od wszystkich grzechów. Tyle że pewnie z miejsca dopuści się następnych...

Oto o czym rozmyślał Erast Pietrowicz, popatrując na swojego potężnego woźnicę smagającego konie. Powóz mknął przez śpiące miasto z powrotem do przemysłowej dzielnicy. Wydawało się, że zakazane miejsce żadną miarą nie chce się rozstać z moskiewskim przybyszem.

Pół godziny w jedną stronę. Tam maksymalnie jakieś dziesięć minut. Klarę wysadzi się przy komisariacie. I w żadnym razie nie dać się styranizować – uratowana i *sayōnara*.

Według najbardziej optymistycznych prognoz i tak wychodziło, że pod Bramą Szemachińską uda im się stanąć nie wcześniej niż o trzeciej nad ranem, a pociąg wyruszy w drogę chyba już przed świtem.

Nic nie szkodzi, z powodu strajku droga jest pusta, na stacjach można nie zwalniać, więc nadrobimy, uspokajał się w duchu Fandorin.

I oto znowu wyrosło przed nimi Czarne Miasto, do którego Fandorina wcale nie ciągnęło. Tym razem przy przejeździe skręcili w drugą stronę, gdzie powietrze było jeszcze bardziej zakopcone, a krajobraz całkiem posępny: jednolite spłaszczone baraki ze ślepymi okienkami.

– Tu jest fabryka mazutu – wyjaśnił Hasym. – Dlatego ulica Czarna. Robotnicy, który w fabryka pracują, też czarni. Teraz nikt nie ma. Właściciel Dżabarow, zła człowiek, wypędził... O, tam kartka leżał.

Hasym pokazał ręką domek niczym niewyróżniający się spośród reszty – z takimi samymi czarnymi, przeżartymi kopciem ścianami.

Dżabarow? To młody nafcjarz, który na bankiecie w Mardakanie wybałuszał oczy na Klarę – przypomniał sobie Erast Pietrowicz. – Czy to nie on przypadkiem jest tajemniczym porywaczem?

– Dziwne miejsce na miłosne g-gniazdko. Jesteś pewien, że to tutaj?

– Dobry miejsce – odparł Hasym, stękając przy schodzeniu z kozła. – Nikt szukać nie będzie. Można kobierzec położyć, na ściana jedwab wieszać. Ładnie będzie. Po co pytania zadajesz? Skąd mam wiedzieć? Zaraz wejdziemy, sami zobaczymy.

Erastowi Pietrowiczowi przyszło do głowy, że w obu pistoletach, dużym i małym, nie ma już nabojów.

– Nie masz czasem z-zapasowej broni? Bo ja zostałem z pustymi rękami.

– Dlaczego nie mam? Zawsze mam.

Z rewolwerem otrzymanym od Hasyma Fandorin ostrożnie ruszył przed siebie. W domu panowała cisza, ale to nic nie znaczyło.

Erast Pietrowicz pchnął skrzypiące drzwi. Nie były zamknięte.

– Psst! Ja przodem, ty za mną.

Poświecił latarką.

Chyba nikt tutaj nie mieszka. Wszędzie śmieci, gruz. Ale co to za ledwie widoczna jasna smuga na podłodze? Szczelina, przez którą prześwituje światło.

Erast Pietrowicz westchnął z ulgą. Teraz szybkie natarcie.

Chwycił za obręcz przymocowaną do klapy, szarpnął ją i zobaczył prowadzące w dół słabo oświetlone schody. Rzucił się po stopniach.

Nagle poczuł ciężkie uderzenie z tyłu głowy – i zakończył schodzenie nie tak, jak zamierzał. Z rumorem pokoziołkował w dół. Po czym wylądował w ciemności.

* * *

Gdy się ocknął, pomyślał: Stop. To już mi się przydarzyło. Niedawno. Co to za idiotyczne *deja vu*? Tylko jaśminem nie pachnie.

Siedział przywiązany do krzesła, zupełnie jak przedtem w biurze ubezpieczeniowym. Co prawda bez poduszek, no i skrępowany był o wiele solidniej – nie tylko ręce, ale i kolana ściągnięte miał sznurem.

Z tyłu głowy poczuł niedwuznaczny ucisk metalowej lufy. W pomieszczeniu nie zauważył kobierców ani jedwabiu, wszystko było jakieś czarne, ale przyjrzeć się należycie Fandorin nie zdołał, ponieważ zobaczył przed sobą mężczyznę, który żadną miarą nie mógł się tu znajdować.

– Oprzytomniałeś? – zapytał Dziecioł. – Zaraz się stąd wynoszę. Chciałem tylko, żebyś na mnie popatrzył i zrozumiał, kto z nas jest zwycięzcą.

W czarnym pokoju unosił się zapach kurzu, a także – słaby – czegoś znajomego. Perfum Klary.

– Gdzie jest Klara? – zapytał Fandorin ochrypłym głosem.

– Wypuściliśmy. Po co mi ta lalka? – Konspirator szarpnął ramieniem. – Nie miałem wątpliwości, że postanowisz na koniec zabawić się w rycerzyka. Ludzie twojego pokroju są nazbyt przewidywalni.

– Co z Hasymem? – zapytał Erast Pietrowicz.

Dziecioł zwrócił się jednak nie do niego, lecz do tego, kto stał z tyłu i celował Fandorinowi w głowę.

– Dosyć, idę. Jest twój.

Uśmiechnął się krzywo, mrugnął porozumiewawczo i zniknął z pola widzenia.

Odgłos oddalających się kroków. Trzaśnięcie drzwi. Cisza.

Przed bezsilnym Fandorinem pojawił się mężczyzna ubrany na czarno.

– Muszę cię zabić – powiedział Hasym, kołyszając rewolwerem. – Ale najpierw chcę z tobą porozmawiać. Jesteś silnym człowiekiem, nie zasługujesz na to, żeby cię zarznąć jak barana.

Jak czysto mówi po rosyjsku! Oto co najbardziej zdumiało Erasta Pietrowicza.

– To niemożliwe – rzekł Fandorin, mrużąc oczy przed światłem lampy. – Aż tak się co do ludzi nie myślę. A Masa tym bardziej. Nie możesz być zdrajcą. Oczy ludzi zdolnych do zdrady mają podwójne dno.

– Nie jestem zdrajcą – odparł Hasym. Jego twarz niknęła w cieniu, on sam górował nad jeńcem. – Po prostu pozostaję wierny jemu, nie tobie. On otworzył mi oczy na życie, kiedy siedzieliśmy w jednej celi. Nauczył mnie poprawnie mówić i poprawnie myśleć. Wszystkiego mnie nauczył. Jest dla mnie jak ojciec. Ty też mógłbyś być dla mnie jak ojciec, gdybym spotkał cię wcześniej. Ale mieć dwóch ojców – taka rzecz się nie zdarza.

– Nie rozumiem – wyznał Erast Pietrowicz. – Zupełnie nic nie rozumiem.

– Co tu jest do rozumienia? On powiedział: „Ten człowiek jest mi potrzebny. Japończyka trzeba wykluczyć z gry, bo przeszkadza. Zajmij jego miejsce. Ochroniaj Fandorina do czasu”. Dlatego nocą w Mardakanie do ciebie nie strzelano. Wrzucono cię do szybu, a ja pomogłem ci się wydostać. Stałeś się jak wosk w moich rękach.

– To znaczy, że zasadzki nie zorganizował ani Artaszew, ani Szubin?

– Nie, to robota Kraba i jego ludzi.

– A banda Chaczatura?

– Ojciec jest mądry – powiedział Hasym. Jego oczu Fandorin wciąż nie widział. – Jednoręki Chaczatur psuł nam szyki, nie chciał się dogadać. Ojciec powiedział: „Dzięki Fandorinowi upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu: pozbędziemy się kretynów anarchistów, a przy okazji on niech myśli, że Krab nie żyje”.

– A kim był mężczyzna, któremu odrąbałeś dłonie?

– Złodziejem. Ukradł partii pieniądze. Ukrywał się, ale go znaleźliśmy. Ojciec powiedział: „Przypilnuj, żeby z ciała nie zdjęto odcisków palców, bo go zidentyfikują. Jest notowany w kartotece policyjnej”. Więc zostawiłem go bez dłoni.

Erast Pietrowicz zamknął oczy. Przypomniawszy sobie, jak Hasym szeptał o czymś z Artaszewem i tamten wziął winę na siebie. Z Szubinem goci też znalazł się w łódce sam na sam. Oto dlaczego żandarm w ostatniej chwili krzyknął: „Tak się nie umawialiśmy!”.

– Co tak milczysz? – Hasym się nachylił. Spojrzenie miał ostre, zimne; znajome rysy twarzy układały się w oblicze zupełnie innej osoby, o której Fandorin nic nie

wiedział. – Myślałeś, że jestem tępym dzikusem. Traktowałeś mnie z góry. Umieć czytać i pisać. Przeczytałem twój dziennik i poznałem wszystkie plany. Długo chodziłeś u mnie na pasku. Raz udało ci się mnie oszukać i wydałeś ojca policji. Ale go uwolniłem. Zwyciężyłem. Jestem mądrzejszy od ciebie.

– Zdrajca nie bywa zwycięzcą – ze wstrętem odparł Erast Pietrowicz. – Strzelaj, zdrajco. Później będziesz się przechwalał.

– Już ci mówiłem, że nie jestem zdrajcą! – Czarne oczy zapłonęły, już nie były zimne. – Jestem człowiekiem honoru! Ty też jesteś człowiekiem honoru, więc nie chcę cię zabijać. Prosiłem ojca, żeby cię wypuścił. Ale ojciec powiedział, że dopóki stoisz mu na drodze, sprawa jest zagrożona. Pojedziesz do Wiednia i przeszkodzisz w wybuchu wojny. A bez wojny nie będzie rewolucji. Trzeba cię koniecznie zabić.

– Mam cię dość. Strzelaj.

Fandorin spojrział w bok, żeby w ostatnich chwilach życia nie widzieć podłej twarzy zdrajcy. Już lepiej wbić wzrok w ścianę.

Warto by ułożyć przedśmiertny wiersz, jak nakazuje *sijutsu*, nauka prawidłowej śmierci. Coś o czarnym kolorze. O tym, że z takiego czarnego pokoju zupełnie nie żał odchodzić w jeszcze większą czerń. Kto wie, może za nią jaśnieje światło?

Nie, nie ma czasu. Takiej odpowiedzialnej rzeczy nie robi się w pośpiechu. Trzeba było się zatroszczyć wcześniej. Jak tu teraz jeszcze liczyć sylaby?

A jeśli bez arytmetyki? Tak po prostu, jak się uda?

Trzy linijki:

Unoszę duszę w kosmos,
Zwracam Ziemi wypożyczoną materię.
Dziękuję ci, życie. Żegnaj.

Ale mężczyzna ubrany na czarno ciągle coś głądził, przeszkadzał skupić się na poezji.

– Obiecałem ojcu, że cię unieszkodliwię. Unieszkodliwię to niekoniecznie znaczy zabiję. Przysięgnij, że na zawsze wyjedziesz z Rosji, że nigdy nie będziesz szkodził ojcu i jego sprawie. Zabierz Saadat-chanum i jedźcie bardzo daleko, na drugi koniec świata. Czytałem, że jest taki kraj na środku morza, nazywa się Oceania. Żyje się tam jak w raju. Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił. Daj słowo honoru. Rozgryzłem cię. Jeśli dasz słowo, to go nie złamiesz.

Erast Pietrowicz się zamyślił. Spróbował sobie wyobrazić, jak razem z Saadat mieszkają na odległej rajskiej wyspie.

Nie, to niemożliwe. Oto jeszcze jedna sentencja w prezencie dla Konfucjusza: Człowiek, który długo podążał Drogą, a później skręcił do cienistego zagajnika,

powiesi się tam na pierwszym z brzegu drzewie.

Jeśli skęcisz z drogi, by ominąć zło, to tak jakbyś przyznał, że twoje życie jest podłe.

Można by teraz skłamać. Zdawałoby się, że nie ma nic prostszego. Ale i na to Fandorin nie mógł się zdobyć. Powiedziane jest: Lecąca strzała nie macha ogonem. Hasym rzeczywiście go rozgryzł.

Erast Pietrowicz pokręcił głową.

– Nie.

– Szkoda. Ale wiedziałem, że tak powiesz.

Mężczyzna ubrany na czarno podniósł rewolwer i strzelił związanemu jeńcowi w głowę.

Nagle głos, bardzo znajomy, ale nie sposób stwierdzić czyj, zaszeptał Fandorinowi do ucha bajkę, przy której Erast Pietrowicz bał się kiedyś zasypiać: „W czarnym czarnym mieście, na czarnej czarnej ulicy, w czarnym czarnym domu...”.

PRZYPISY

- [1] Mówiąc między nami (fr.).
- [2] *Kikimora* (ros.) – poczwara (przyp. tłum.).
- [3] Tytułowa bohaterka sztuki Aleksandra Ostrowskiego (przyp. tłum.).
- [4] Gazyry – ładownice naszyte na czerkieskę (przyp. tłum.).
- [5] Anna na wstędze – Order św. Anny, który zajmował najniższe miejsce w hierarchii orderów carskich (przyp. tłum.).
- [6] Katieńka – banknot sturublowy, który zawdzięczał swoją potoczną nazwę wizerunkowi Katarzyny II (przyp. tłum.).
- [7] Prawo moralne we mnie (niem.).
- [8] Tak, to my, gryzетки (niem.).
- [9] Pluszkin – bohater *Martwych dusz* Mikołaja Gogola, niezwykle skąpy (przyp. tłum.).
- [10] Czurczchela – rodzaj deseru z orzechów, które nawleczone na nici obtacza się w zagęszczonym soku winogronowym (przyp. tłum.).
- [11] Co się stało? Gdzie jest Tural? (niem.).
- [12] Jeszcze nie, ale już wkrótce! Teraz jedziemy! (niem.).
- [13] Bakijskie Niemiecko-Austriackie Ziomkostwo (niem.).
- [14] Członek rzeczywisty zarządu (niem.).
- [15] Nabywca działki znakował ją słupami ze swoim nazwiskiem i datą kupna (przyp. tłum.).
- [16] Koniec obstawiania! (fr.).
- [17] Odwagi, odwagi, moi dzielni Francuzi! (fr.).
- [18] Tak jest, panie konsulu... Nie, ale już wkrótce... Tak, jestem całkiem pewien (niem.).
- [19] Panie konsulu! Teraz może pan przyjechać (niem.).
- [20] Ej, chłopcy, chodźcie tu prędko! (niem.).
- [21] Na wojnie jak to na wojnie (niem.).

[22] Burza i napór (*niem.*).

[23] Fragment pieśni *Trojka* Piotra Wiaziemskiego (przyp. tłum.).